

MIŁOŚNE KONSTELACJE

...bo zawsze
masz opcję
a każdy wybór
zmeni twój los.

...pozostanie tylko pytanie:
jak życie potoczyłoby się
w innej konstelacji...

BŁESZYŃSKA
KATARZYNA

BELLONA

Błeszyńska Katarzyna

Miłosne konstelacje

„w tym przędziwie i
bezkształcie wśród muzyki
co z zadumy i marzenia dwojga istnień
zwykła istnieć samoistnie zaginęły nasze dłonie”

Marlena Zynger, *Tarantella*

Część 1

TU I TERAZ

Maria

„Człowiek posiada tę odrobinę rozumu,
by uświadamiać sobie, że nie może żyć wyłącznie według jego zasad.
Żyje się uczuciami - a wówczas żadne racje nie zdają się na nic”

Erich Maria Remarque, *Nim nadejdzie lato*

2010

1. To, co nosimy w sobie

Jestem nudna. Kiedyś wydawało mi się, że jest inaczej, ale teraz jestem pewna: mój umysł się zamknął w ramach wyuczonych konwenansów i nie mam już nic ciekawego do powiedzenia. Zupełnie nie jestem otwarta na świat i na ludzi. Ludzie mnie stresują. Nie mam ochoty już więcej przed nimi grać. Kiedyś grałam z pasją i zaangażowaniem, tworząc retuszowane portrety samej siebie. Jaka byłam błyskotliwa! Patrzącą prosto w oczy. Chciałam wykrzyknąć wszystkim: patrzcie na mnie! Jestem bohaterką świata! Zapamiętajcie mnie, bo jeszcze o mnie usłyszycie!

Kiedy się pojawiałam, wszystkie spojrzenia kierowały się w moją stronę. Nie byłam skończoną pięknnością, ale zwracałam uwagę swoim wysokim wzrostem i bujnymi blond włosami, które równą taflą spadały na ramiona. Miałam zawadiacki błysk w oczach i szeroki uśmiech, odsłaniający równe zęby. Mój nos był trochę zbyt duży i spiczasty, ale wmawiałam sobie, że to oznaka silnego charakteru.

Wmawiałam sobie poza tym wiele rzeczy i to był mój sposób na kompleksy. Po prostu znajdowałam jasną stronę albo tłumaczyłam sobie, że inni mieli podobne ułomności i wcale im to nie zaszkodziło. Nie ma ludzi idealnych, nie ma życiorysów bez skazy ani ludzi szczęśliwych bezustannie. Największym

niedostatkiem w moim życiu był brak mamy, która zmarła gdy miałam czternaście lat. Ale o tym później.

Muszę zastanowić się nad sobą i nad swoim życiem, i pierwsze, co przyszło mi do głowy, to właśnie to, że jestem teraz zupełnie kimś innym niż kiedyś. I widzę wyraźnie, że miałam kiedyś jakiś podstępny sposób na siebie. Szłam z wysoko podniesioną głową, nie dopuszczając myśli, że mam jakiegokolwiek powody, żeby chylić czoła przed kimkolwiek i czymkolwiek. Nie wiedziałam wiele, a sądziłam, że jestem panią świata. Tego świata, który miał się skończyć z chwilą nadejścia roku dwutysięcznego. Byliśmy dziećmi końca świata i pierwszym pokoleniem młodej demokracji. Za wszelką cenę musieliśmy osiągnąć cel i zrealizować plany. Życie oferowało nowe możliwości, więc łapczywie staraliśmy się wykorzystać każdą szansę.

Chciałam wtedy wiele i miałam wielkie marzenia. Chciałam mieć wszystko to, czego nie miałam. A nie miałam miłości i pieniędzy. Miałam tylko - i aż! - samą siebie. Kiedy odeszła mama, mogłam zamienić się w nieszczęśliwą sierotkę, nad którą litowała się rodzina i wszyscy patrzyli z troską w oczach. Doskonale znałam ich myśli. Współczuli nam - mnie, mojej siostrze i tacie, rzecz jasna, że taka tragedia się stała, że mama była przecież taka młoda, no i jak on sobie teraz poradzi? Biedne dzieci! Ciotki gotowały nam pożywne zupy i nazywały „biedactwami”. I wtedy po raz pierwszy obiecałam sobie, że nie będę biedactwem i głośno powiedziałam, że nie życzę sobie, żeby mnie tak nazywano. Wykrzyczałam to głośno, wrzucając łyżkę do talerza z zupą, aż rozbryzgnęła się, zostawiając zielone ślady na białej ścianie. To była ogórkowa.

I nie byłam żadnym biedactwem ani sierotką. Z Marysi, którą wszyscy znali z bajki Konopnickiej jako „sierotkę Marysię”, zmieniłam się w Majkę. Oczywiście, w zaciszu swego pokoju włączałam Kate Bush i przy *Mother stands for comfort* moje ser-

ce wyło z tęsknoty. Nie wiem co bym zrobiła wtedy bez muzyki. Przetrwałam dzięki niej. I wtedy, i później, i zawsze. Płakałam, gdy piosenki poruszały moje najcieńsze struny, tańczyłam, gdy energia z nich płynąca dawała mi siłę, a czasem pod wpływem niektórych dźwięków czułam, że mogę zdobyć świat. I w końcu odciąłam się od swojego sieroctwa dosłownie i w przenośni. I sama już nie wiem, czy stałam się naprawdę silna, czy tylko silną udawałam. I nadal udaję. A jeśli dobrze udawałam i udowodniłam swoim życiem, że silna jestem, to silną rzeczywiście się stałam. Więc możemy się oderwać od siebie takich, jakich nie lubimy. Więc możemy stać się takimi, jakimi chcemy być. To, rzecz jasna, moja teoria i moje życiowe *credo*.

Mam obok siebie człowieka, którego kocham. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby komfortowo żyć. Choć zawsze można mieć więcej i chcieć więcej, ale sens w tym, żeby we właściwym momencie ustalić priorytety. Prowadzę wygodne i dostatnie życie. Mam przestronny dom pod Warszawą, z niewielkim ogrodem, urządzone z rozmachem, z niemal w całości sponaowanym kredytem. Wakacje spędzam w egzotycznych miejscach, w dobrych hotelach. Mam złotą kartę kredytową i nowy samochód służbowy. Nie z najwyższej półki, ale z wysokiej. Kiedy zostanę partnerem w kancelarii, samochód będzie lepszy i zarobki pójdą w górę. Mam więc perspektywy, a o moim awansie Anglicy mają zdecydować w niedługim czasie, bo to angielska kancelaria. Zaczęłam tu pracować tuż po studiach, więc ponad dziesięć lat temu. Pracuję i pracowałam naprawdę dużo i ciężko. Z pełnym poświęceniem, całymi dniami, a czasem i nocami; nieraz zdarzało mi się nocować na sofce w moim gabinecie.

Naprawdę bardzo lubię swoją pracę. Trzeba w niej nieźle główkować, ale też mieć cały arsenał wielu umiejętności, takich jak analityczne i logiczne myślenie, wyciąganie wniosków, szybkość reakcji, odporność na stres, wytrzymałość, dyplomację,

umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. O wiedzy nie wspomnę, bo osoby bez sprawdzonych umiejętności nie mają u nas czego szukać. Nieuctwo wychodzi od razu i jest eliminowane. Ale sama wiedza nie wystarcza, jeśli chce się przetrwać i osiągnąć sukces. Ja jestem wciąż jeszcze młodym, ale już cenionym radcą prawnym. Dałam się poznać w dziesiątkach trudnych sytuacji i zaskarbiłam sobie zaufanie współpracowników. Zrealizowałam więc pierwszą część mego życiowego planu: jestem spełnioną kobietą dwudziestego pierwszego wieku - wykształconą, ambitną i aktywną zawodowo. Planowanie. Miło jest osiągać cele, ale spontaniczność też ma swoje zalety. Mam wrażenie, że brakuje jej w moim życiu.

Tego dnia chciałam mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, bo musiałam wyjść z kancelarii o szóstej, żeby zdążyć do lekarza. A klient chciał już dzisiaj mieć umowę do końca wynegocjowaną. W połowie dnia zadzwonił telefon od kontrahenta klienta, którego reprezentowałam, i pojawiła się kolejna, wymagająca negocjacji kwestia. Była piętnasta, więc miałam niejasne przeczucie, że nie uda mi się tego zamknąć przed szóstą. Chciałam przesunąć wizytę, ale się nie udało. Chciałam odwołać wizytę, ale Adam powiedział, że to zbyt ryzykowne i że się nie zgadza. Kategoriecznie mi zabronił. Usłyszałam jego zdecydowane: „nie”.

- Ustaliliśmy przecież priorytety; oboje wiemy co jest teraz dla nas najważniejsze - powiedział.

Tak, to była druga część mojego życiowego planu: macierzyństwo.

Nie musiałam sobie przypominać tej rozmowy, tych rozmów, tych ciągłych rozmów, hipotez, możliwości, gdyż od pół roku one zdominowały wszystko. Zmieniły nasze priorytety i podporządkowały całą resztę. Jedna jedyna rzecz, która okazała się

problemem, której nie mogłam zaplanować, wyuczyć się, zagrać, załatwić, wydzwonić. Jedną jedyną rzecz, w obliczu której okazałam się bezsilna.

Pięć po szóstej chwyciłam torebkę i wybiegłam z pracy. Jechałam samochodem, a właściwie stałam w korku na moście Poniatowskiego i rozmawiałam przez telefon z klientem. Chciał pilnie zwołać spotkanie, ostatnie spotkanie, na którym walnie pięścią w stół i pokaże, kto tu rządzi: on - prezes dużego koncernu produkującego napoje gazowane, czy firma, której daje robotę i z którą nie może się dogadać. Musiałam wszystko załagodzić i przekonać go, że takie spotkanie byłoby ostatnią słuszną rzeczą. Obiecałam jednak, że zaraz wykonam do nich telefon i przekażę jego stanowisko. Jednym słowem, cała droga do lekarza upłynęła mi na tego typu rozmowach.

Wpadłam do kliniki spóźniona, ale czas naszej wizyty jeszcze nie nadszedł, bo było jakieś obsunięcie. Adam pocałował mnie na powitanie, a potem wskazał miejsce obok siebie. Kiedy tylko poczułam jego ciepłą dłoń, zrobiło mi się raźniej. Adam. Jesteśmy małżeństwem od ośmiu lat. Mówią nam, że jesteśmy do siebie podobni. Że wyglądamy jak rodzeństwo. Oboje wysocy, falujące blond włosy, dość regularne rysy, choć duże nosy, szeroko otwarte niebieskie oczy i wyraźnie zarysowane brwi. A może po prostu upodobniliśmy się do siebie przez te lata? Tak dzieje się ponoć u małżeństw. Nie wiem. Wiem, że jest mi z nim dobrze. Wiem, że mnie akceptuje bez zastrzeżeń, że dobrze się z nim czuję, że ufam mu i mogę być z nim szczerą.

Szczerą? Czy jestem z nim szczerą? Co to oznacza? Żeby mówić sobie o wszystkim, o rzeczach ważnych i mniej ważnych? Czy żeby niczego nie ukrywać? Tylko z terażniejszości czy z przeszłości też? Przecież każda kobieta ma swoje małe sekrety. Sekrety i sekreciki. Że regularnie depiluje wąsik nad górną wargą albo że wkłada specjalną, powiększającą wkładkę do

biustonosza. Takie tam sekrety, które sekretami wcale nie są. A zatem nie o to chodzi, lecz o podważenie zaufania. Chodzi o sprawy, które - gdyby wyszły na jaw - mogłyby to zaufanie nadszarpnąć. Albo je całkowicie zniszczyć.

Jesteśmy tutaj, bo chcemy mieć dziecko. Jesteśmy tutaj, bo nie zachodzę w ciążę. Najpierw odstawiłam tabletki antykoncepcyjne, które brałam wiele lat. Niestety, nic nie wychodziło przez niemal rok. Lekarz nam powiedział, że to normalne, że trzeba próbować. Zrobił też konieczne badania, które wyszły prawidłowo. Zapisał mi jakieś hormony i monitorował cykl, wskazując, kiedy powinniśmy próbować. I wtedy oboje straciliśmy ochotę na seks. Kochać się na zawołanie, w celu poczęcia dziecka, w określonym dniu albo nawet czasie? Koszmar! Uznałam, że na to samo wyjdzie, jeśli spróbujemy to zrobić metodą *in vitro*. Myślałam, że tak będzie prościej i szybciej.

Pierwsza próba się nie powiodła. Druga też. Tak się może zdarzyć. Nie chcę opisywać tego znoju zabiegów, stymulacji hormonalnej i naszej zawiedzionej nadziei, kiedy okazało się, że nic z tego. Mamy jeszcze jedną szansę. Jeden zarodek do wykorzystania. A potem cała procedura musi się powtórzyć. Jeśli byśmy chcieli. Ale nie wiem, czy będziemy chcieli. Bo to naprawdę trudne. Jeśli kochając się na zawołanie, czuliśmy się uprzedmiotowieni, to teraz czujemy się uprzedmiotowieni w dwojnasób.

Czasem napada nas myśl, że robimy coś wbrew ustalonemu porządkowi natury. Wbrew podstawowym wartościom, wytycznym dla życia. Oczywiście, podobnie jak Adam, uznaję, że prawo natury zmienia się zgodnie z ewolucją świata i człowieka. Tak jak św. Augustyn, uznaję niezmiennność prawa natury, odmiennie jednak interpretowanego przez człowieka w różnych warunkach, zgodnie z wymaganiami określonego czasu. I uważam, że dzisiaj, tu i teraz, gdy nauka poczyniła tak ogromny krok w kierunku odkrycia biologicznej genezy człowieka, gdy powstały nowe

możliwości prokreacji, nowe sposoby na spełnienie ludzkich marzeń o własnym dziecku, my postanowiliśmy z nich skorzystać. Bo mieliśmy już dosyć monitorowania cyklu, USG co trzy dni i seksu na zawołanie. Zdecydowaliśmy się przejść przez coś podobnego i tak samo „mechanicznego”, ale przynoszącego lepsze efekty. W teorii. Bo efektów - jak widać - nie ma.

Pielęgniarka wyczytuje nasze nazwisko i wchodzimy do gabinetu. Doktor siedzi przy biurku; na nasz widok się podnosi, przyjaźnie uśmiecha i podaje dłoń na powitanie. Najpierw mi, potem Adamowi. Pełna kurtuazja. Gabinet jest imponujący i zupełnie nielekarski. Ciemny mahoń mebli, na ścianach dyplomy i certyfikaty doktora, wokół kilkadziesiąt zdjęć różnych bobasów. „To wszystko moje dzieci” - pokazywał nam je z dumą podczas pierwszego spotkania.

- Przeglądam państwa dokumentację i nie będę ukrywał, że jestem zdziwiony. Jestem zdziwiony, że kolejna próba się nie powiodła. Wedle wszelkiej wiedzy, rokowaliście sukces już za pierwszym razem. Skoro nie za pierwszym, to za drugim. A tu za trzecim także się nie udało. No, cóż, zdarza się, ale... - zawiesił głos i zajrzał mi głęboko w oczy, po czym skierował wzrok na Adama. - W takich sytuacjach zawsze proponuję... zalecam coś jeszcze.

Zanim kończy, przebiega mi przez myśl: „No tak, jakaś kolejna stymulacja, jakieś nowe lekarstwo, po którym będę śpiąca albo wiecznie poirytowana, jakieś hormony. A może dać sobie spokój? Czy wszyscy muszą mieć dzieci? Będziemy bezdzietnym małżeństwem. Z pasjami i podróżami”. Zaraz jednak odrzucam tę myśl, bo teraz już wiem, teraz już rozumiem, teraz jeszcze bardziej chcę, pragnę, jak pragnie się czegoś, co nie chce przyjść, co wydaje się być poza zasięgiem. Każdego dnia odczuwam to pragnienie; ono jest we mnie, drażni mnie niczym kropla skałę. Niezauważalnie. I tylko łza się pojawia, gdy oglądam film, gdy

coś przeczytam albo coś usłyszę - o dziecku. Gdy w telewizji mówią, że jakiś rodzic pobił dziecko, gdy w supermarkecie matka wydziera się na małą dziewczynkę jak szalona - zdarza mi się, niemal bezwiednie, poczuć ucisk w gardle, dławienie, które wyciska łzy z oczu.

To łzy żalu nad głupotą tych ludzi, tych nieświadomych kreatur, które nie potrafią powstrzymać swoich nerwów, swojej niecierpliwości, swojej agresji. Gdy widzę rodziców z dzieckiem na spacerze, czuję żal i zazdrość. I dlatego wiem, że zrobię wszystko, co powie lekarz, że dostosuję się do jego najdrobniejszych wskazówek, połknę wszystko, co mi zapisze i zniosę każdy ból. Przygryzam nerwowo wargę, wbijam paznokcie w zaciśniętą pięść i cała zamieniam się w słuch. Spoglądam na Adama. Wydaje się spokojny i lekko się uśmiecha. Wyczuwa moje napięcie, bo wyciąga dłoń i czuję jego krzepiący uścisk.

- W takich sytuacjach proponuję... - mówi wolno doktor -aby rodzice... ale przede wszystkim przyszła matka spróbowała zajrzeć w siebie. Oczywiście, relaks i spokój też zalecam, ale tu chodzi o coś więcej. Chodzi o taki wewnętrzny spokój... Jakby to nazwać...? Psychiczny spokój. Takie psychiczne samozadowolenie. Chodzi o to, aby pozbyć się wszystkiego, co może ograniczać: złych wspomnień, traumy z dzieciństwa, jakiegoś poczucia winy... Jest wiele ograniczeń, które nosimy w sobie, czasem nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Czyli zaleca pan terapię? Psychoterapię? - pytam.

- Jak najbardziej. Może nie od razu psychoterapię, ale kilka spotkań - jak najbardziej. Może jakaś grupa wsparcia... To pozwala lepiej zrozumieć siebie. Czasem chodzi też o to, aby pozbyć się jakiegoś lęku. Bo w sytuacji, kiedy się pragnie dziecka, a ciąży nie ma, no to lęk, siłą rzeczy, się pojawia. I może działać jak blokada. Może to zabrzmieć okrutnie, ale trzeba zaakceptować fakt, że być może dziecka nigdy nie będzie i że ... - zawahał

się - że świat się na tym nie kończy. Wtedy można osiągnąć stan równowagi, a równowaga ułatwia zajście w ciążę.

Tak mniej więcej to brzmiało. Do mnie dotarło najmocniej to, co powiedział o ograniczeniach, które nosimy w sobie, o poczuciu winy. Może każdy nosi w sobie doświadczenia, o których wolałby zapomnieć, wymazać ze swej historii. A może nie każdy. Więc szczęśliwy ten, kto ich nie ma.

Jest coś, o czym chciałam zapomnieć, co chciałam wyrzucić ze swej pamięci. A jednak teraz, w ostatnim czasie, kiedy tak bardzo chciałam mieć dziecko, tamte wspomnienia powróciły. I z całą mocą widzę wszystko bardzo wyraźnie. I za każdym razem próbuję wyrzucić to z pamięci. A teraz, po słowach doktora, uświadamiam sobie, że muszę się z tym zmierzyć. Przypomnieć sobie wszystko bardzo dokładnie, poczuć zapach tamtych dni sprzed dziesięciu lat, zrozumieć, co wtedy czułam, co myślałam i czym się kierowałam.

Wybaczyć sobie i wybaczyć jemu.

Część II

TAM I WTEDY

Maria

„Czy można się wyrwać przeznaczeniu? Trzeba by na to przeciwstawić mu własną konsekwencję, ustalić własną prawdę i odeprzeć każde natarcie prawd cudzych i rutynowanych”

Stanisław Dygat, *Disneyland*

1999-2000

1. Studia, Magda i barwny ptak

Studiuję na czwartym roku prawa. Jestem w czołówce studentów. Średnia cztery osiem to naprawdę nie byle co. Nie jest łatwo studiować na prawie, zwłaszcza odkąd student stał się członkiem anonimowej masy kilku tysięcy przyjętych na rok. Kiedy studiował tu mój ojciec, było inaczej. Wszystkie egzaminy były ustne, istniała jakaś interakcja: student-profesor. Profesorowie znali imiona swych studentów, służyli radą, pożyczali literaturę, mieli czas, żeby porozmawiać i być dla swych adeptów mistrzami. Teraz trwa gonitwa, zarówno studentów, jak i profesorów; że o młodszej kadrze nie wspomnę. Kiedyś czekałam na egzamin trzy godziny, po czym przyszedł spóźniony profesor, przepytął trzy osoby i opuścił gabinet, oświadczając, że spieszy się do kancelarii. Na stłumiony jęk spoconej masy ludzi w białych koszulach odrzekł tylko, wzruszając ramionami: „Nie mam czasu; mój czas to pieniądz”.

Kiedyś, przed zapisami na seminarium magisterskie, oczekujący tłum studentów, napierając na drzwi, stłukł szybę i połamał szprosy. Jakimś cudem nikomu nic się nie stało, z wyjątkiem dziewczyny, która w tym tłumie zemdląła. W takiej masie puszczają wszelkie emocje; tłum niesie człowieka do oceanu chamstwa, którego nawet nie można dostrzec i pojąć w danej chwili.

Czasem żałowałam, że poszłam na prawo. Przez całe liceum malowałam, rysowałam, lepiłam z gliny. Nie przeszkadzało mi to być najpierw wice-, a potem przewodniczącą samorządu uczniowskiego. Potrafiłam być uduchowioną artystką i mocno stąpającą po ziemi aktywistką. Więc trochę się wahałam, gdy miałam podjąć decyzję o wyborze studiów. W końcu praktyczna strona mojej natury zwyciężyła i ku uciesze ojca, złożyłam dokumenty na prawo. Miał dwie córki, ale to ja zawsze byłam tą rozsądną, zdolną, odpowiedzialną, z którą wiązał plany. Nigdy tego nie powiedział wprost, nigdy też mi niczego nie narzucał, ale czułam, że byłby dumny, gdybym poszła w jego ślady. A ja kochałam ojca ponad wszystko. Niestety, nie widywałam go zbyt często, bo całymi dniami pracował.

Dlaczego czasami żałowałam? Bo znalazłam się wśród zupełnie nieciekawych ludzi. Miałam w sobie jakąś potrzebę indywidualności, odrębności, wynikające z młodości przeświadczenie

o niepowtarzalności własnej egzystencji. A wokół mnie kłębił się tłum identycznych ludzi, rozmawiających tylko o zaliczeniach, egzaminach i notatkach. Życie studenckie wyobrażałam sobie zupełnie inaczej. Miał to być czas zdobywania nowych doświadczeń, odkrywania szerszych horyzontów, z nauką w tle. Tak sobie myślałam. Tymczasem w tych ludziach o identycznych spojrzeniach nie było cienia chęci poznania niczego ponad relację przepisu prawnego do normy prawnej. Nie oglądali filmów, nie czytali książek, nie słuchali muzyki, nie chodzili na koncerty, ubierali się w kolory granatowe i szare. Na szczęście, w tej identycznej masie łatwo było wyłowić najmniejszą indywidualność.

I w ten sposób zauważyłam Magdę.

Miała na głowie burzę mocno skręconych blond loków i ogromne, błękitne oczy, które podkreślała grubą, czarną kreską nad górną powieką. Dodatkowo robiła sobie czarny pieprzyk na prawej powiece. Wąskie usta malowała jasnorożową, perło-

wą szminką. Wyglądała jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska w czasach młodości.

Zobaczyłam ją pierwszy raz, kiedy stałam w kolejce do dziekanatu, aby złożyć jakieś podanie. Mimo że przed drzwiami stało kilkanaście osób, ona weszła poza kolejnością, informując wszystkich, że chce tylko o coś zapytać. Oczywiście, została w gabinecie na tyle długo, aby załatwić swoje sprawy, więc kiedy wyszła, podniosły się głosy oburzenia.

- I o co chodzi? Masz czas, to stój - powiedziała. - Mamusia w domu obiadek ugotuje? Ugotuje. A mnie nikt nie ugotuje; sama sobie gotuję i jeszcze na jedzenie zarabiam. I właśnie spieszę się do pracy. I nie mam czasu tu stać! - odwróciła się na pięcie i odeszła z podniesioną głową, zostawiając za sobą oburzone spojrzenia.

Przemknęło mi przez myśl, że ma dość zaskakujący strój jak na pracę w kancelarii: krótka, żółta spódniczka, wysokie platformy i czarny golf ze sznurem pereł. Parę dni później zobaczyłam ją na wykładzie i usiadłam obok. Od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Był w niej bliski mi bunt wobec całego świata.

- Kwadransik spóźnienia ma już za sobą - odezwała się, gdy minęło piętnaście minut od godziny rozpoczęcia wykładu, a profesora wciąż nie było.

- Widocznie mu się nie spieszy - odpowiedziałam. - Jest tyle przyjemniejszych rzeczy do zrobienia niż wykładanie postępowania cywilnego.

- I tyle większej kasy do zarobienia - zauważyła, odgryzając kawałek drożdżówki. - Oni pracują na uczelni dla prestiżu. Prawdziwą kasę zarabiają gdzie indziej - oblizała usta. Dopiero teraz spojrzała na mnie uważnie i dostrzegłam błysk zainteresowania w jej oczach.

- Odróżniasz się od całej reszty w tym berecie - powiedziała.

- Cała reszta to jednolita masa. Nietrudno się od nich odróżnić. Nie chciało mi się dziś układać włosów, stąd ten берет. Ale za to zrobiłam sobie paznokcie - pomachałam palcami, na których lśnił czerwony lakier.

Uśmiechnęła się szeroko, wyrażając swoje uznanie.

- *A propos* profesora... - odezwała się po chwili. - Ja nie krytykuję bynajmniej pogoni za pieniądzem, bo sama jestem na tych studiach po to, aby kiedyś zarabiać dużą kasę. Dzisiejszy wykład mógłby się w ogóle nie odbyć, jeśli o mnie chodzi, bo boli mnie głowa.

Wydała mi się naturalna i bezpretensjonalna, czym od razu mnie ujęła. Od tamtego dnia zaczęła się nasza przyjaźń. Profesor na wykład nie dotarł, więc poszliśmy do wydziałowej kawiarenki na kawę. Magda zaczęła opowiadać o sobie. Powiedziała mi od razu, że właściwie to ona nie jest lepsza od wszystkich tych materialistycznych dupków, bo poszła na prawo żeby zarabiać kasę, że wcale jej ten kierunek nie pociąga, ale kobieta musi twardo stąpać po ziemi i mieć jakiś porządny, prestiżowy zawód. Pochodziła z małej miejsciny w okolicach Ciechanowa, skąd od dawna chciała się wyrwać.

- Nie chcę skończyć tak jak moja mama: ciągle sprzątajac, gotujac, piorac i narzekajac na swój los. Każdy dzień taki sam, każda sobota: zakupy, pranie i mrożenie obiadków na najbliższy tydzień, niedziela: kościółek, a potem schabowy na obiad i rosół. I tak przez całe życie. Na wakacje szkoda pieniędzy, bo trzeba zbierać na nową lodówkę albo pralkę. Czy wiesz, że ja nigdy nawet nie byłam z rodzicami na prawdziwych wakacjach? Kiedyś zapytałam mamę, czy ona nie chce od życia czegoś więcej, czy jej się podoba takie życie bez żadnych planów, ambicji... I wiesz, co usłyszałam? Że wszyscy tak żyją. Jej siostra, siostry syn, sąsiadka. Owszem, w zasięgu jej wzroku wszyscy tak żyli, a niczego lepszego nie chciała dostrzec. No, ale ja dostrzegłam

i dlatego tu jestem. I właśnie za chwilę wygram casting, bo wiesz, dorabiam czasem jako modelka i dostanę ten pokaz i zarobię gotówkę, żeby zbierać na studia, bo ja jestem na płatnych. Mimo że byłam najlepsza w liceum w Ciechanowie, to i tak na studia bezpłatne w Warszawie się nie dostałam... Cóż, poradzę sobie... - wzruszyła ramionami i zdmuchnęła z czoła grzywkę, co było jej rozpoznawczym gestem, który w pewnym momencie zaczęłam bezwiednie powtarzać.

Kiedy dziś wspominam wszystkie chwile z tamtego okresu, wiem, że byłam Magdą zafascynowana. Była otwarta, szczerą i bezpośrednią. Inna niż ja, która zawsze ważyłam słowa i dobierałam je starannie. Podobał mi się jej optymizm i odwaga. Choć z wieloma jej poglądami się nie zgadzałam, to doskonale rozumiałam jej punkt widzenia i dlatego nie byłam w stosunku do niej zbyt krytyczna. Dobrze się bawiłam w jej towarzystwie. Poza tym była naprawdę piękna, typem urody, która działała na mężczyzn i na kobiety. Mężczyźni tracili dla niej głowę, a kobiety nie mogły oderwać wzroku od jej twarzy, która zniewalała nie tylko doskonałą harmonią rysów, lecz także bogatą, urzekającą mimiką. Gdy była czymś wzburzona albo zachwycona, wyrażała to całą sobą, przewracając oczami, prychnąc albo wydymając usta. Była barwna niczym rajski ptak, a ja takiej osoby potrzebowałam w tamtym momencie życia. W końcu uznałam siebie za nieco barwniejszego ptaka niż cała ta reszta kanarków, Magdę za barwną papugę i szłam pewnym krokiem do przodu. Postanowiłam wytrwać.

Byłyśmy młode, radosne i pełne najlepszych przeczuć co do naszej przyszłości. Młodość dawała nam niegasnącą wiarę we własną wyjątkowość i niepowtarzalność swojego istnienia. Jej pragnienia, artykułowane wprost i bezpośrednio, były pragnieniami całego pokolenia. Młoda demokracja pokazała swoje możliwości, zawsze tylko dwie: wygrać albo przegrać.

Liczyła się tylko ta pierwsza.

Kiedy tamtego dnia wróciłam do domu, nikogo w nim oczywiście nie zastałam. Ojciec jak zwykle pracował do późna, siostra była u swojego chłopaka, u którego spędzała większość wolnego czasu. Na studiach polonistycznych miała go całkiem sporo. On - jako młody makler giełdowy - pracował do późna, więc zostawały im tylko wspólne wieczory.

Moja siostra Ewa zamierzała jak najszybciej wyjść za mąż. Jej przyszłość wydawała się więc przesądzona i jasna: ślub, a potem bobas, jeden, drugi i stagnacja rodzinnego życia. O tym marzyła i mówiła wprost o swych planach. Ja głośno się z nią nie zgadzałam i z całą pewnością siebie twierdziłam, że rola kobiety nie kończy się na oporządzaniu domu i rodziny. Wciąż szukałam siebie, swojej roli i miejsca w życiu, ale jednego byłam pewna: chciałam być niezależna i wykształcona, silna i pewna siebie. Bałam się okazywać swoje prawdziwe uczucia, lęki tłumiłam, a rozczarowania topiłam w tanim winie.

Zrobiłam sobie kanapkę z żółtym serem i zadzwoniłam do Bogdana. Bogdan był moim przyjacielem i łączyła mnie z nim silna więź. Poznaliśmy się na zajęciach pracowni plastycznej, do której uczęszczaliśmy w liceum. Był bardzo utalentowany i z łatwością dostał się na Akademię Sztuk Pięknych. Mocnej budowy, wysoki, z niezwykle gęstą blond czupryną, był atrakcyjny, choć nie można było go uznać za klasycznego przystojniaka. Był to raczej taki duży, ciepły facet, w którego ramionach każda kobieta miałaby ochotę znaleźć ukojenie. Ale do tej pory żadna dziewczyna nie zdobyła jego serca. Malarstwo olejne było jego pasją, której oddawał się całym sobą. Tylko ono się dla niego liczyło. Wyznał mi, że sztuka jest jego jedyną kochanką i nie interesują go żadne inne. Miał kiedyś jakąś niezobowiązującą „dziewczynę”, ale nigdy jej nie poznałam i mało o niej opowiadał. Rozmawialiśmy jednak o wielu innych sprawach, a on był moim najbliższym powiernikiem. Jego rodzice rozwiedli się, gdy miał osiem lat,

i właściwie wychowali go dziadkowie. Miał naturę analityczną, krytyczną i ogólnie dość pesymistyczną.

Choć oboje byliśmy silni i zdecydowani, lubiliśmy się czasem zamartwiać przyszłością, przeszłością i ogólną nędzą egzystencji. Wtedy myślałam, że wynikało to raczej z jego miłości do siebie, niż z braku wiary. Czasem tak bywa, że natury narcystyczne lubią na siebie zwracać uwagę, choćby narzekając na swój los. Życie później pokazało, że jednak się myliłam i Bogdan wcale nie był taki silny, jak sądziłam.

Zaczęłam opowiadać Bogdanowi wydarzenia tamtego dnia. O tym, jak usiadłam obok Magdy, o tym, jaka jest zdeterminowana, ambitna i błyskotliwa, że przyjechała z małego miasteczka, pracuje i sama się utrzymuje.

- Cieszę się, że w końcu znalazłaś kogoś fajnego na tych studiach. To jakaś ciekawa postać, ta Magda. Ale nie wiem, czy mi się podoba. Takie zdeterminowane osoby, które przyjeżdżają z prowincji, żeby zrobić karierę, nie budzą mojego zaufania -powiedział, wolno dobierając słowa.

- Daj spokój! Dlaczego? Co jest złego w tym, że ktoś ma ambicje i marzy o lepszym życiu? To przecież pozytywne.

- Może i pozytywne dla niego, ale nie dla reszty. Takie osoby bywają bezwzględne i nie mają zasad. Wiesz, skrupuły... takie tam rzeczy. Nie mają wyjścia, muszą osiągnąć sukces. Bo inaczej jak wrócą do swojego miasteczka? Z czym? Z niczym? Jako przegrani? Nie mają nic do stracenia, więc robią wszystko, żeby osiągnąć cel. Po trupach.

- Uogólniasz - skwitowałam. - Nie wiem, skąd u ciebie te uprzedzenia.

- Mam parę takich osób na roku. Wiem, co mówię. Są koszmarnie! Te ich umizgi do wykładowców, to ciągle, gorączkowe rozglądanie się wokół, żeby przypadkiem nie przeoczyć kogoś, kogo warto poznać.

- W takim razie jaki miałyby niby cel w tym, żeby mnie poznać? - zapytałam z przekąsem.

- A o to musisz ją już zapytać. Nie wiem, może warto znać taką kujonkę jak ty? - roześmiał się i usłyszałam, jak zaciągnął się papierosem.

- Co się z tobą porobiło? Pamiętasz nasze happeningi, kiedy latałaś w bikini po ulicy, cała wymalowana farbą fluorescencyjną? Jako meteoryt?

- Znowu palisz? - zmieniłam temat.

- Tylko wieczorami, dla relaksu.

- Dla relaksu, dla koncentracji, dla uspokojenia... Każdy powód jest dobry. Niszczysz sobie zdrowie. Wiesz, że palenie tytoniu o czterdzieści procent zwiększa ryzyko wystąpienia nowotworu?

- A co z pozostałymi sześćdziesięcioma? Nie zależy mi, żeby dożyć setki; nawet osiemdziesiąt to za dużo. Życie jest nudne. Mogę umrzeć młodo, co mi tam.

Usłyszałam, jak wypuszcza dym.

- Będiesz mówił inaczej, jak na świecie będą żyły twoje dzieci, a ty będziesz czekał na wnuki.

- Nie żartuj! To nie dla mnie. Nie interesuje mnie rozmnażanie, przedłużanie nędznego gatunku. Sam się ze sobą męczę, więc po co powoływać na ziemię kolejnych męczenników? To wykluczone.

Taki był Bogdan. Cyniczny, egzaltowany i jedyny w swoim rodzaju. Był wtedy dla mnie najbliższą osobą i jedynym przyjacielem.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, sięgnęłam jeszcze po kodeks i przeczytałam kilkanaście artykułów z postępowania cywilnego. Te studia były bezwzględne. Mimo mojego politowania dla rzeszy studentów na roku, byłam jednym z nich i stawałam się taka jak oni.

Czytałam kodeksy zamiast powieści.

2. Nasze życie pozakodeksowe

Spędzałam z Magdą coraz więcej czasu. Chodziłyśmy razem na wykłady, ćwiczenia, obmyślałyśmy strategię zaliczeń i metody nauki. A było jej strasznie dużo. Opasłe tomy książek, kodeksów, literatura przedmiotu i orzecznictwo. Zabierając się do nauki, najpierw robiłyśmy plan. Zliczałyśmy liczbę stron do opanowania i dzieliłyśmy ją na liczbę dni, które przeznaczaliśmy na uczenie. Następnie realizowałyśmy dniówkę, podkreślając ołówkiem najważniejsze rzeczy. Potem było drugie czytanie, ze szczególnym naciskiem na podkreślone informacje. Na samym końcu następowało trzecie czytanie, już tylko samych podkreśleń. Potem spotykałyśmy się i wzajemnie siebie przepytowałyśmy. Byłyśmy ogólnie dość skrupulatne i wytrwałe, ale czasami dopadała nas obezwładniająca inercja. I właśnie któregoś takiego dnia, kiedy padał deszcz, było mgliście i ponuro, Magda przyszła do mnie i już w drzwiach oświadczyła:

- Musimy usprawnić naszą pamięć. Nasza pamięć działa podobnie jak pamięć komputera. Jeden komputer jest wolniejszy, drugi szybszy. Jedna głowa działa wolniej, druga szybciej. Trzeba usprawnić przepływ neuronów w mózgu, a wtedy wydolność naszej pamięci wzrośnie. Są na to specjalne medykamenty...

- Co ty wygadujesz! Nie będę łykała żadnych prochów! Uzależnię się i zamiast skończyć studia, skończę w psychiatryku -obruszyłam się.

- Ja nie mam wyboru. Przestałam przyswajać. Nic nie umiem, rozumiesz? Od trzech dni nie przeczytałam żadnej strony. Tylko siedzę i patrzę wciąż na tę samą kartkę. Nie mogę czytać. Próbowałam zmieniać miejsce, pozycję, czytać chodząc. Nic nie działa. Nie mam wyboru. I tak skończę w psychiatryku, jak mnie wyleją ze studiów. To będzie straszna porażka.

- Masz chwilową blokadę, to się zdarza. Też to kiedyś miałam. Musisz to przeczekać.

- Nie mam na co czekać. Za dwa tygodnie egzamin!

Następnego dnia przyszła do mnie w o wiele lepszym nastroju. Usiadła w fotelu, uśmiechając się szeroko, i od razu zażądała, abym ją przepytawała z przypozwania. Wyrecytowała wszystko bezbłędnie, bardzo z siebie dumna.

- To działa! - uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Wzięłaś te prochy? - szeroko otworzyłam oczy.

- Tak. Wczoraj po południu. A potem wieczorem zaczęłam czytać i poszło mi świetnie.

- Co to jest? Jakiś dopalacz? Psychotrop?

- Żaden dopalacz ani psychotrop. Po prostu lekarstwo dla ludzi chorych na Alzheimera, którym pamięć szwankuje. Mój kolega po medycynie powiedział mi, że nic mi się nie stanie, jak sobie trochę przed egzaminem łyknę.

I łyknęła, i zdała egzamin na piątkę.

Spróbowałam tych tabletek. Przy trzecim egzaminie i mnie dopadła rezygnacja, więc uznałam, że czas spróbować. Nie zadziałało. Na początku jakby szło mi lepiej, ale potem zupełnie się zablokowałam i na nic się zdało łykanie pastylek.

Miałam wrażenie, że Magda i Bogdan od razu przypadli sobie do gustu. Któregoś popołudnia zabrałam ją do jego pracowni, którą dzielił z kilkoma innymi osobami. Tamtego dnia wydawało mi się, że nie istnieję, bo właściwie rozmawiali tylko ze sobą i tylko na siebie patrzyli. Bogdan pokazał jej swoje obrazy, wypiliśmy herbatę, a potem nagle oświadczył, że chciałby zrobić Magdzie portret. Tego już było dla mnie za wiele! Nie dość, że traktowali mnie jak powietrze, to na dodatek mój najlepszy przyjaciel zupełnie stracił głowę. Miałam wtedy wrażenie, że zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Myliłam się. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do mnie. Oboje otworzyliśmy tanie wino i piliśmy je samotnie, a jednak razem, po obu stronach linii.

- Jest pierwotna. Bardzo pierwotna. Tandetnie pierwotna -mówił przejęty. - Chciałbym ją ubrać w strój chłopki i namalować. Może uda mi się uchwycić tę jej naturalną dzikość. Bo jest dzika i pierwotna - powiedział.

- W strój chłopki? A jak to niby chłopki się ubierają?

- Myślę o chłopce z obrazów Chełmońskiego. Jakaś lniana sukienka, odsłaniająca to i owo, a właściwie więcej odsłaniająca niż zakrywająca.

- Oj, zdaje mi się, że nieźle się na nią napaliłeś - powiedziałam z przekąsem, sięgając po kieliszek.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale prawda jest taka, że ona jest dla mnie ciekawym obiektem, przedmiotem. I to wszystko.

- A kim ja dla ciebie jestem? - zapytałam przekornie, bo gdzieś tam we mnie odezwała się nuta zazdrości, a wino zagłuszyło dumę, która nie pozwoliłaby się do tego przyznać.

- Ty jesteś głównym podmiotem mojego życia i moją największą muzą.

W jego głosie wyczułam nutę ironii.

- Jasne. Tylko, że mnie nie chciałeś nigdy malować.

- Jak to? A ten cykl szkiców węglem, do których pozowałeś?

- Nie żartuj! Tam chodziło o proporcje ciała. Twarze nie miały rysów.

- Mogę ci zrobić portret w każdej chwili - zaproponował wspaniałomyślnie.

Bogdan był mi bliski w sposób szczególny. Nie było w tym jednak nic seksualnego. Był to rodzaj braterskiej miłości, przyjaźni na śmierć i życie, i bezwzględnej akceptacji. Kiedy jednak następnego dnia Magda zapytała, czy coś mnie łączy z Bogdanem, nie wiedziałam, jak to dokładnie nazwać.

- Chodzi mi o to, czy jesteście parą? - sprecyzowała.

- Nie, nie jesteśmy - odpowiedziałam, wzruszając ramionami. - To mój... to po prostu mój przyjaciel.

- Nie wierzę w przyjaźń między kobietą a mężczyzną - skwitowała. - Zawsze kryje się za tym coś więcej. Albo on się w niej kocha, albo ona w nim i ktoś udaje, że tego nie dostrzega. Nie kochasz się w nim potajemnie czasem?

- Nie, nie kocham się. Słuchaj, przyjaźń między chłopakiem a dziewczyną jest możliwa i ja z Bogdanem jesteśmy tego najlepszym dowodem. Dzwonimy do siebie, zwieramy się sobie, pocieszamy się, dajemy sobie rady. Czysta przyjaźń. To, co mówisz, to zwykle uproszczenie, sprowadzenie wszystkiego jedynie do seksu.

- Bo zawsze chodzi o seks. Wszystko w końcu i tak sprowadza się do seksu.

Wiedziałałam do czego zmierza. Jakiś czas temu opowiedziała mi swoją historię. W liceum miała nauczyciela od polskiego. Był dość młody, około trzydziestoletni, przystojny, pisał wiersze. Zadurzyła się. Któregoś dnia na przerwie podszedł do niej i zaproponował spotkanie. Poszli na kawę. Potem były wspólne wypadki do kawiarni, a po jakimś czasie do niego. Czytał jej swoje wiersze. Był romantyczny i czuły, więc nie stawiała oporu, kiedy na którymś spotkaniu włożył jej rękę pod spódnicę. Było miło i za każdym razem milej. To trwało kilka miesięcy. Kiedyś, w przypływie szczerości, opowiedziała o wszystkim swojej najlepszej koleżance z klasy, a koleżanka, niestety, podzieliła się tymi wiadomościami ze swoją mamą. Matka powiadomiła o wszystkim dyrektorkę szkoły. Zrobiła się straszna burza. Nauczyciel wyparł się wszystkiego i kazał jej wszystkiemu zaprzeczyć, i powiedzieć, że wymyśliła sobie całą tę historię. Gdyby tego nie zrobiła, zwolniliby go z pracy dyscyplinarnie. Więc zrobiła tak, jak kazał. Ale nie sądziła, że przestaną się spotykać. Prosiła, błagała,

płakała. Nie chciał się zgodzić; mówił, że jest dla niej za stary i że powinna się spotykać z rówieśnikami. Czuła się upokorzona i wykorzystana. Jedyne pocieszeniem była piątka, którą jej postawił na koniec roku, mimo że na nią zupełnie nie zasługiwała. Oddawała puste prace albo pisała na nich listy do niego, które on oceniał na pięć.

Ja nie miałam takich doświadczeń i nie przeżyłam żadnych wielkich uniesień. Nikt nie złamał ani nie zdobył mojego serca. W klasie maturalnej miałam chłopaka w swoim wieku. Spotykaliśmy się dość regularnie, był mi bliski. Strasznie byłam ciekawa, jak to jest, więc pewnego dnia po prostu zrobiliśmy to u mnie w domu, na sofie w dużym pokoju. A potem robiliśmy to dość regularnie. Lubiłam go i bardzo mi się podobał. Moje koleżanki wiele opowiadały wtedy o swoich seksualnych doświadczeniach, więc i ja chciałam już tego doświadczyć. I mieć to za sobą.

Dziś wydaje mi się to głupie i czasem żałuję, że stało się to tak po prostu. Bez wielkiego uczucia, romantycznych uniesień. Bo nie można trywializować tego wydarzenia, bo jest to coś, co zaczyna nowy rozdział życia kobiety. Ja jednak wolałam udawać, że tak nie jest. Miałam wtedy jakby zamrożone serce i nie chciałam, aby ktokolwiek stopił ten lód. Zadurzenie, miłość postrzegałam jako przejaw słabości, jako furtkę do głębokiego poznania, które może przynieść zniszczenie. Miałam za sobą wielką stratę. Straciłam matkę i moje serce było od tamtej pory złamane. Nie mogłam sobie pozwolić na jakikolwiek więcej ból. Zachowywałam się w tamtym czasie tak, jakby mi wcale nie zależało na związku. Miałam w sobie zbuntowaną zawiadłość i przekonanie, że jestem silną, ambitną dziewczyną, która sama osiągnie, co tylko zechce, i nikogo do szczęścia nie potrzebuje.

Studia były ważne, nauka konieczna, ale faceci stanowili nasz niegasnący i autentyczny przedmiot zainteresowania. Tak, to dobre słowo: „przedmiot”. Wypatrywałyśmy ich wszędzie: na

uczelni, na wykładach, ćwiczeniach, korytarzach, w autobusach, na przystankach, w pubach, barach, dyskotekach. Wszędzie byli, a my wszędzie obdarzałyśmy ich przeciągłymi spojrzeniami, dając znak, że jesteśmy gotowe do flirtu. Bezlitośnie ich ocenialiśmy: ubranie, intelekt, uzębienie, cerę, a nawet zapach.

W każdą sobotę chodziłyśmy na dyskoteki, żeby trochę odreagować całotygodniową orkę na uczelni, żeby się wytańczyć i upić. W tamtym czasie piłam naprawdę dużo. Zaliczałyśmy różne kluby, ale naszym ulubionym było Ground Zero na Wspólnej. Uwielbiałyśmy jego mroczną, dekadencją atmosferę. Drinki były drogie, jak na nasze studenckie kieszenie, więc zaczynałyśmy pić już w domu. Zazwyczaj Magda przychodziła do mnie i razem się szykowałyśmy. Przynosiła swoje kosmetyki i u mnie, w łazience, przy akompaniamencie głośnej muzyki, nakładałyśmy na powieki warstwy szminki, cieni i tuszu do rzęs. Malowałyśmy paznokcie i nakręcałyśmy włosy na termo-łoki, które wcześniej gotowałyśmy w garnku. Temu wszystkiemu towarzyszyły drinki z wódki i soku pomarańczowego, które piłyśmy niemal duszkiem.

Ostro podchmielone, wkraczałyśmy do klubu, gdzie dobrze znałyśmy barmanów, szatniarzy i ochroniarzy, którzy wpuszczali gości do środka, dokonując ich selekcji. Atrakcyjne dziewczyny były zawsze mile widziane, bo przyciągały klientów z forszą. Oczywiście, klient z forszą to był najczęściej stary facet, czyli wtedy, dla nas, od trzydziestki wzwyż. Mnie tacy zupełnie nie interesowali, bo należeli do innego pokolenia i bajki, które oni oglądali w dzieciństwie, nie były moimi bajkami. Dla mnie Bolek i Lolek czy Reksio to prawie prehistoria, dla nich z kolei Smerfy nie znaczyły kompletnie nic. Poza tym przychodziłam do klubu, żeby się wyszaleć, a nie po to, żeby wysłuchiwać o problemach w pracy bądź kredycie do spłacania. O ile ja wycofywałam się przed finałem, Magda szła na całego i nie miała żadnych skrupułów przed przelotnymi związkami.

Dla Magdy tacy faceci mieli swój urok. Uwielbiała, gdy zapraszali ją na drogie kolacje i przyjeżdżali pod uczelnię wypasionymi furami.

Zawsze miała jakiegoś i zawsze na początku była nim zachwycona, by po z górą kilku miesiącach zupełnie stracić zainteresowanie. Ja znałam ich zupełnie przelotnie, bo nie znajdowałam z nimi wspólnego języka. Już sam elegancki samochód, markowy garnitur i zapach drogiej wody kolońskiej wprowadzały mnie w stan zakłopotania. Byli dla mnie jakby z innego świata, do którego nie miałam i nie chciałam mieć wstępu. Pamiętam, jak siedząc na tylnym siedzeniu samochodu jakiegoś kolejnego wielbiciela Magdy, czułam się zażenowana, słysząc, jak ona nazywa go „misiaczką pluszową”, czochra jego włosy i wkłada rękę między jego nogi. A potem konspiracyjnie odwraca się w moją stronę i szepcze: „Jest strasznie napalony!”. Parskałam wtedy i marzyłam, żeby czym prędzej opuścić duszną od pożądania atmosferę tego samochodu.

Tymczasem Magda pozowała do obrazu Bogdanowi. Zrelacjonowała mi wszystko nadzwyczaj szczegółowo. Umówili się u niego w pracowni z samego rana. Bogdan najlepiej myślał, pracował i tworzył rano. Jak sam mówił, z biegiem dnia jego umysł i ciało spowalniały obroty, aby wieczorem być gotowe jedynie na relaks i spoczynek. Typowy ranny ptaszek.

Najpierw zaczęła się stylizacja. Kazał jej założyć na gołe ciało jakieś „łachmany”, które w dodatku pachniały stęchlizną, a potem usiąść na jakimś starym fotelu, obitym czerwonym pluszem. Ustawił jej dokładnie ręce, głowę i zabronił zmieniać pozycję. Kiedy spróbowała nawiązać dialog, powiedział, że to go rozprasza. Trwali tak w kompletnej ciszy przez pół godziny, po czym Magda poprosiła o włączenie jakiejś muzyki.

- Wykluczone. To mnie rozprasza - powiedział.
- To może chociaż radio...

- Jeszcze bardziej mnie rozprasza. Jeśli usłyszę informację o jakiejś katastrofie, to zupełnie nie będę mógł już pracować. To mnie strasznie rozwala.

- Zdrętwiałam cała.

- Pierwsza sesja jest trudna, bo robię szkic całości. Potem będzie łatwiej, bo się skupię na poszczególnych elementach, więc nie będziesz musiała na przykład trzymać ręki nad głową.

Wytrwała jeszcze dziesięć minut, a potem powiedziała:

- Dobra, muszę przerwać. Zrób mi herbatę.

Usiadła na kanapie. Przyniósł jej herbatę i usiadł naprzeciwko. Zrobiło się całkiem miło. Zaczął jej opowiadać o swoich studiach, o wystawie, w której miał wziąć udział, o znajomych i o książce Hermana Hessego, którą właśnie czytał. Wypytywał o nią.

Jej stęchła szata była sznurowana z przodu i widać było przez nią zarys biustu.

- Masz piękny biust - powiedział dokładnie wtedy, kiedy opowiadała mu, że stara się o pracę w agencji nieruchomości. Magda, oczywiście, zauważyła, że od pewnego czasu wpatrywał się w prześwit między sznurowaniami jej szaty, ale nie spodziewała się bynajmniej takiego wyznania.

- Tak sądzisz? - zapytała kokieteryjnie.

A potem pomyślała sobie, że on jest po prostu ekscentrycznym artystą bez żadnych zahamowań i nagle zapragnęła pójść na całość.

- Chcesz zobaczyć dokładnie?

- Czemu nie...

W jego głosie i zachowaniu nie dostrzegła żadnej namiętności, ale decyzję już podjęła. Zaczęła powoli rozsznurowywać „szatę” i po chwili zsunęła ją z ramion, ukazując biust w całej okazałości.

Wstał z krzesła i usiadł obok niej. To, co następnie zrobił, wprawiło ją w stan najwyższego zdumienia. Otóż Bogdan pod-

łożył swoją prawą dłoń pod jej prawą pierś i zaczął ją ważyć w dłoni. Podnosił ją do góry i lekko opuszczał, a potem powiedział zupełnie zasadniczo:

- Musi ważyć jakieś pół kilo. Nieźle. Opada nie za nisko. Piękne piersi. Równe, w kształcie jabłka. Naprawdę piękne piersi. Musisz być z nich dumna.

Magdę całkowicie zamurowało. Patrzyła, słuchała i nie wierzyła własnym oczom.

- No, dobra. Pogadaliśmy sobie trochę, a teraz czas zabrać się do pracy.

Bogdan wstał i podszedł do sztalugi przeciągając się lekko. Magda pospiesznie zasznurowała „szatę” i usiadła w fotelu.

Jeszcze tego samego dnia, po popołudniowych wykładach, o wszystkim mi opowiedziała. Siedziałyśmy w kawiarence wydziałowej i piłyśmy kawę, a ona mówiła z przejęciem:

- To nie jest normalny facet! Mówię ci, żaden normalny facet tak by nie zareagował. On jest nienormalny albo jest gejem. To proste. Powiedz mi, proszę, ja naprawdę nikomu nie powiem: czy on jest gejem?

Spojrzała z nadzieją w moje oczy.

- Magda, nie wiem... nie sędzę... Nie pytaj mnie, skąd ja mogę wiedzieć? Czy myślisz, że o takich rzeczach opowiada się naokoło? Nie wiem.

- Ale przyznasz, że normalny facet tak się nie zachowuje?

- A jak się powinien zachować, twoim zdaniem?

- No wiesz... mógłby mnie dotknąć, pocałować... Mógłby nawet zażartować i się jakoś wykręcić... Ja naprawdę poczułam wtedy jakiś fajny nastrój między nami... Powiedział, że mam piękne piersi...

- Jesteś rozczarowana, że nie rzucił się na ciebie w szale seksualnego porywu... - zaśmiałam się.

- No tak! No właśnie! Najpierw gada, że mam piękne piersi, wpatruje się w mój dekolt, a potem... ogląda mnie jak manekina.

Nie! Nie jak manekina; ogląda moje cycki jak pomidory na targu. Kompletnie mnie zatkało. Mówię ci, to ciota!

- To mój przyjaciel i nie nazywaj go tak, dobrze? Jest... ekscentryczny. To wszystko. A ciebie po prostu traktuje jak... - zawahałam się - .. jak piękny obiekt malarski.

- Dziwak. Nic z tego nie rozumiem - odpowiedziała, upijając łyk kawy.

Szczerze mówiąc, mnie zachowanie Bogdana też trochę zdziwiło. Postanowiłam przy najbliższej okazji zapytać go o sesję malarską z Magdą.

3. Recepta na szczęście, czyli każdy ma prawo do miłości

Któregoś dnia, po powrocie do domu, zastałam ojca w kuchni. Trochę mnie jego obecność zdziwiła, bo zazwyczaj nie wracał przed dziewiątą. Robił jajecznicę. Mój tata całkiem niezle radził sobie w kuchni; potrafił przyrządzać pieczenie cielęce, bitki wołowe i inne tego typu „domowe specjały”, które kiedyś robiła mama. Zostawiła po sobie trzydziestodwukartkowy zeszyt w kratkę, w którym odręcznie spisywała przez lata różne kulinarne przepisy na tradycyjne potrawy, a także takie, które sama wymyślała.

Ten poplamiony zeszyt był świadectwem jej codziennej obecności w naszym domu. Czasem kartkowałam go pieczołowicie, niby w poszukiwaniu jakiejś receptury, podświadomie mając ukrytą nadzieję, że znajdę receptę mojej mamy na życie. Tak bardzo chciałam przeczytać coś, co pochodziłoby bezpośrednio od niej, co byłoby świadectwem jej uczuć i pragnień. Oczywiście, niczego takiego nie znajdowałam, jednak i tak miałam pewność, że w tych przepisach na ogórkową i rosół, który musi „wolno

pyrkolić, żeby doszedł", było czytelne świadectwo jej wielkiej miłości do nas. Pamiętam, jak zawsze pytała, czy nam smakuje obiad, jak nakładała dokładki, jak martwiła się, gdy nie miałyśmy apetytu.

Ucieszyłam się, gdy tamtego wieczoru zobaczyłam ojca smażącego jajecznicę.

- Dobrze, że jesteś - spojrzał na mnie znad patelni. - Zjesz ze mną? Zrobię do tego zieloną sałatę z winegretem - oderwał drewnianą łyżkę od patelni i wskazał sałatę, która, już umyta, leżała w szklanej misce na kuchennym stole.

- Pewnie, że zjem. Jesteś wcześniej... Coś się stało? - zapytałam, wieszając swoją skórzaną kurtkę na wieszaku w przedpokoju.

- Tak się jakoś złożyło. Chodź szybko, bo wystygnie - zawołał z kuchni.

Po chwili siedziałam już razem z nim przy dębowym stole w naszej wysłużonej kuchni i zabierałam się do jedzenia jajecznicy. Średnio ścięta, na szynce, posypana szczypiorkiem, to tego kromka świeżego chleba z masłem. Pycha! Rozmawialiśmy przez chwilę na jakieś ogólne tematy, o mojej sesji, o książkach, które muszę kupić, o niczym ważnym.

- Spotykam się z kimś - powiedział w pewnej chwili, nie odrywając wzroku od talerza z jajecznicą.

Mój ojciec jest mężczyzną i z kimś się spotyka? Na początku zupełnie to do mnie nie dotarło. No tak. No i co z tego? I nagle zrozumiałam, i zapytałam zupełnie idiotycznie:

- Z kobietą?

- Tak - parsknął lekko.

W jednej chwili, momentalnie, automatycznie poczułam irytację. On się spotyka z kobietą. On ma kogoś. Skoro mi o tym mówi, to znaczy, że to coś poważnego. Mój ojciec był dla mnie po prostu ojcem. Nie wyobrażałam sobie, że może mieć kogoś, że

może się z kimś spotykać, uprawiać z kimś seks! Spojrzałam na niego inaczej niż zwykle, próbując dostrzec w nim mężczyznę, a nie tylko ojca. Wysoki, postawny, ciemnowłosy, z pierwszą siwizną na skroniach. Pociągła twarz o szerokiej zuchwie, zielone oczy o głębokim spojrzeniu, ujmujący uśmiech. Mój ojciec był przystojny, musiałam przyznać. Tak jak każdy, miał przecież prawo się zakochać.

- Czy Ewa o tym wie? - wykrztusiłam, bo od razu sobie pomyślałam, że dla Ewy to będzie nie mniejszy szok niż dla mnie.

- Jeszcze jej nie mówiłem... Majka, Jezu Chryste, nie patrz tak na mnie! To, że mam kogoś, że w końcu spotkałem właściwą osobę, to chyba nie jest żadne przestępstwo, prawda? Chcę ją wam przedstawić... poznać ją, to zobaczycie, że to wspaniała kobieta.

- Daj spokój, nie musisz jej nam od razu przedstawiać, nie ma pośpiechu. Czy ja ci przedstawiam każdego chłopaka, z którym się spotykam? - zapytałam z udawaną beztróską.

Ojciec zamilkł na moment, a jego milczenie było dla mnie wystarczającą odpowiedzią. To nie była jakaś tam kobieta, to była ta właściwa kobieta.

- Ale ja chcę, żebyście ją poznały - powiedział spokojnie.

- Długo ją znasz?

- Pięć lat.

- Pięć lat?! - wykrzyknęłam, otwierając szeroko oczy. - Żartujesz?!

- Spotykam się z nią od roku. Znam ją ponad pięć lat, bo razem pracujemy, ale spotykamy się od roku i...

- Od roku?! I nic nam nie powiedziałaś? Dlaczego to ukrywałaś tyle czasu, nie rozumiem.

- Właśnie mówię. Jestem teraz pewien, że to właściwa osoba, i wam mówię - ojciec wstał od stołu i wstawił swój talerz do zlewu.

- Rok czasu - powtórzyłam, wyobrażając sobie te wszystkie ich spotkania, o których nie powiedział nam słowem. Byłam szczerze zdziwiona.

Nigdy nie zastanawiałam się, jak się ojcu żyje samemu. Dla dzieci rodzice są po prostu rodzicami, dla których najważniejsze są one same.

Dziecięcy egoizm jest niepokonany, a potrzeba akceptacji i miłości rodziców nigdy niezaspokojona. Myślałam w tamtej chwili, jak typowe, egoistyczne dziecko, dla którego rodzic jest na wyłączność, a ono samo ma być jedynym i ostatecznym podmiotem jego miłości.

Mój ojciec nie był wylewny. Nigdy nam się nie zwierzał. Była między nami tego rodzaju bliskość, jaką dają więzy krwi, a także wspólnie przeżyta strata. To ja płakałam, tęskniąc za mamą; on przy mnie nigdy nie uрониł ani jednej łzy. Miał trzydzieści osiem lat, kiedy mama odeszła i zostały mu - na utrzymaniu i do wychowania - dwie dorastające córki. W tamtym czasie nie zastanawiałam się, jak bardzo musiało mu być ciężko po jej śmierci i jak wiele kosztowało go zachowanie kamiennej twarzy, gdy córki płakały.

Niedługo potem ojciec przedstawił nam Barbarę, z którą się spotykał. Była księgową w jego kancelarii. Od pierwszej chwili jej nie lubiłam. Wydała mi się pospolita i prymitywna. Tak naprawdę nie lubiłam jej od momentu, kiedy ojciec mi o niej powiedział, i zapewne taki sam los spotkałby każdą inną kobietę, która zdobyłaby jego serce. Byłam przekonana, że powinien należeć wyłącznie i niezmiennie do jednej osoby: do mojej zmarłej mamy.

Kiedy teraz przypominam sobie tamten czas, wiem, że dokładnie wtedy zaczęłam czuć, że tracę ojca. Dzisiaj rozumiem, że to było nieuzasadnione przekonanie, ale wtedy ogarnęła mnie przerażająca pustka i wynikająca z niej potrzeba miłości. Poczułam się opuszczona. Nie miałam już od dawna matki, a teraz traciłam ojca.

Następnego dnia po tym, jak ojciec przedstawił nam Barbarę, spotkałam się z Bogdanem i opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami. Zrelacjonowałam mu tę wizytę, skrytykowałam jej ubiór i brak stylu.

- Nie rozumiem, co ojciec w niej widzi. Moja mama miała klasę, rozumiesz? Miała wysoko upięty blond kok i grzywkę w stylu Bardotki. Uwielbiała klasyczne beże i szarości, była szczupła... Była... po prostu piękna.

- A wolałabyś, żeby ta Barbara była twoją mamę na głowę urodą i stylem? - zapytał przewrotnie.

Byłam u niego w pracowni. Siedzieliśmy na starej kanapie i piliśmy herbatę z cytryną. Przysunęłam się bliżej i oparłam głowę na jego ramieniu.

- Mogę się do ciebie przytulić? Tak po prostu, wiesz, normalnie przytulić?

- Jasne - objął mnie ramieniem.

W tym momencie zrozumiałam coś, czego nie byłam pewna, kiedy Magda zapytała mnie, kim dla mnie jest Bogdan. Teraz wiedziałam: przyjacielem. Serdecznym przyjacielem. I to nieprawda, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną zawsze podszyta jest seksem. Wspólna bliskość, jaką wtedy poczuliśmy, nie dała nam obojgu jakiegokolwiek poczucia, że to może być coś więcej. Czułam ciepło jego ciała i to było kojące uczucie.

- Niczego bym nie wolała. Wolałabym, żeby ona zniknęła -powiedziałam cicho.

Tymczasem z mojego horyzontu niemal zniknął ojciec. Zdarzało się, że nie wracał na noc, więc widywaliśmy się rzadko. Jego kobieta była rozwódką, miała dwudziestoletnią córkę, która studiowała w Krakowie na UJ, i niewielkie mieszkanie do swojej wyłącznej dyspozycji. I mojego ojca coraz częściej, rzecz jasna.

Byłam bardzo samotna.

4. Pustka w życiu i w sercu

Magda zaczęła pracę w agencji nieruchomości. W związku z tym zmieniła styl ubierania. Zrezygnowała z krzykliwych czerwieni i amarantów. Włożyła brązową tweedową garsonkę i czarne szpilki. Top na ramiączkach odsłaniał głęboki dekolt. A zatem, przestrzegając *dress codu*, obowiązującego w firmie, dołożyła do niego wybitnie kobiece elementy, dzięki czemu nie zatraciła swojego szalonego seksapilu.

- Popracuję tam jakiś czas, liznę trochę wiedzy i spadam gdzie indziej. Szkoda czasu na marnowanie życia w jednej firmie. Dwa lata góra wszędzie. Nieruchomości to przyszłość, dobrze się w tym rozeznać.

Podziwiałam w dalszym ciągu jej samozaparcie i optymizm. Spotykała się aktualnie z jakimś maklerem, który obsypywał ją prezentami.

- To już inna półka. Strój mówi o tobie. Ja muszę wzbudzać zaufanie. Kompletnie zmieniam garderobę. Teraz kupuję rzeczy proste, ale wysokiej jakości.

Zamilkła na chwilę, patrząc na mnie spod przymkniętych powiek, a potem dodała:

- Jeszcze tylko rok i robimy stąd wypad. Trzeba myśleć o życiu poważnie, zahaczyć się w dobrej firmie.

- Nie przesadzaj. Na wszystko jest czas i pora - odpowiedziałam znudzonym głosem, bo perspektywa studiowania i pracy zupełnie mnie nie pociągała. - Jeszcze się napracuję. Teraz chcę choć spróbować żyć pełnią studenckiego życia. Mam i tak za mało czasu, bo zakuwam nieustannie, a jak zacznę pracować, to już w ogóle zrobię wysiadkę... Na zarabianie przyjdzie czas.

- Ty nic nie rozumiesz. Tu nie chodzi o pieniądze.

Teraz rzeczywiście nic nie rozumiałam. Myślałam, że Magdzie chodzi przede wszystkim o pieniądze.

- Tu chodzi o ambicje. Ja nie mam tatusia, który mi kupi mieszkanie, a potem załatwi pracę. Ja na to wszystko muszę sama zapracować i wszystko sobie załatwić. I nie mogę czekać do końca studiów. Bo po studiach, to do najlepszych kancelarii trafią ci, którym tatusiowie wszystko załatwią. Ja muszę się przegryźć, wyszarpać wszystko pazurami. Jak skończę studia, to będę stać o piętro wyżej z dorobkiem niż każdy potencjalny synek mamusi i tatusia, którego rodzice mogą ustawić!

Każdy miał swoje problemy. Ja nie bałam się przyszłości zawodowej, bo rzeczywiście wiedziałam, że w razie czego ojciec mnie przygarnie do swojej kancelarii. Ale ona przynajmniej wiedziała, do czego zmierza. Miała plan. Ja miałam wrażenie, że idę jakimś utartym szlakiem, który jednak nie jest moim własnym. Coraz częściej czułam, że odgrywam wyuczoną rolę, w której nie mogę odnaleźć swojej prawdziwej twarzy. Nie wiedziałam do końca, jaka jestem naprawdę i nie wiedziałam, czego pragnę.

W jednym Magda miała całkowitą rację: plany należało mieć więcej niż mniej skryzalizowane. Swoje miejsce w życiu być może też. A ja zaczęłam czuć w tym czasie pustkę w życiu i w sercu. A może to pustka w sercu była powodem mojej pustki w życiu? Zrobiłam bilans i zaczęłam się poważnie niepokoić. Miałam dwadzieścia dwa lata i moje serce nigdy nie zadrżało mocniej dla nikogo.

Bogdan także był sam. To znaczy: nie miał dziewczyny. Miał jedynie przyjaciela, z którym łączył go nie do końca dla mnie jasny układ. To był student ostatniego roku Szkoły Głównej Handlowej, który - jak twierdził Bogdan - miał znajomości w kręgach graczy giełdowych i znakomicie się na giełdzie poruszał. Bogdan natomiast dysponował pewnym kapitałikiem, który odziedziczył po babci, i chciał go pomnożyć. I Kuba - bo tak się ów przyjaciel nazywał - mu w tym pomagał.

Kuba znał także biznesmenów, którzy handlowali sztuką. Wywozili na przykład obrazy polskich malarzy na Zachód i tam je dobrze sprzedawali. I tu z kolei Bogdan pomagał Kubie w nabywaniu co lepszych prac za niewielkie pieniądze. Bogdan znał wielu zdolnych studentów i absolwentów ASP, od których kupował obrazy, a potem odsprzedawał je Kubie. Świetnie znał się na sztuce i doskonale wyczuwał w kimś twórczy potencjał. Wszyscy w tej relacji biznesowej zarabiali i byli zadowoleni z takiej współpracy.

Zwierzyłam się Bogdanowi ze swojej frustracji. Magdzie jakoś nie mogłam, bo była między nami, mimo wszystko, jakaś niewidzialna, lecz wyczuwalna nić rywalizacji. Po tym, co mi ostatnio powiedziała, wiedziałam, że jestem dla niej panienką z zamożnego domu. Ja tam zamożności żadnej nie odczuwałam, ale rzeczywiście nie musiałam pracować, martwić się, tak jak ona, czy wystarczy mi na chesne i na życie. Poza tym chyba jednak nie do końca jej ufałam. Z Bogdanem potrafiłam być zupełnie szczerą.

- Wiesz, może to ze mną jest coś nie w porządku? Może... czy ja wiem... ? Może ja nie umiem kochać? - powiedziałam mu, gdy się spotkaliśmy.

- Może i tak... Dobrze cię rozumiem, bo co do siebie mam podobne obawy.

- No właśnie, powiedz, co to jest? Co to w ogóle jest miłość? A może byliśmy zakochani, tylko nie wiedzieliśmy, że to miłość? Może to tylko w literaturze są motyle w brzuchu na czyjś widok i drżenie serca?

- Nie. Jakbyś się zakochała, to byś wiedziała. To nie jest niezauważalne. Ci, którzy pisali książki, też przecież musieli tak to czuć. Można nawet kochać kogoś całe życie. Czytałaś *Miłość w czasach zarazy* Marqueza? On ją kochał całe życie i czekał na nią całe życie; jak jej mąż zmarł, a była już wtedy starą kobietą, to jej się oświadczył.

- I nie miał innych kobiet?

- Miał całe mnóstwo. Był w tym ekspertem. Ale kochał tylko tę jedyną. Seks i miłość to dwie odrębne sprawy.

- To jest bez sensu. Chodzenie do łóżka bez miłości.

- Czy tu chodzi o sens? - spojrzał na mnie i wzruszył ramionami. - Tu chyba chodzi o zabawę, o to, żeby było miło, czy ja wiem... ? Może zresztą dla facetów to jest prostsze. Tak jesteśmy skonstruowani. Dla nas seks to seks, a miłość to inna sprawa. A w ogóle to ludzie nie chcą teraz się zbyt szybko wiązać, bo za dużo mają do stracenia. Druga osoba to... jakaś odpowiedzialność, czy ja wiem... ?

A potem zaczął obgryzać paznokcie, co czynił zawsze, gdy czymś się nagle zdenerwował. Patrzyłam na niego, udając, że tego nie dostrzegam, i pomyślałam, że on mi nie pomoże znaleźć odpowiedzi, bo jej nie zna.

- Boisz się odpowiedzialności?

- Ja ci mówię hipotetycznie, jak jest. Jeśli o mnie chodzi, to ja mam jedyną wierną kochankę i jest nią sztuka. Już ci mówiłem. I nie chcę rzeczywiście zdradzać jej z żadną inną.

Lubiłam Bogdana. Czułam się z nim swobodnie. Mogłam mu o wszystkim powiedzieć. I rozumiałam go. Lubiłam Magdę i też ją rozumiałam. Nie będę udawała lepszej ani bardziej prawej od nich. Wszyscy byliśmy wtedy konsumpcyjnie nastawieni do życia. Gdziekolwiek się nie obejrzałam, z każdej strony wзираła taka zachłanność na owoce życia. Byliśmy zachłanni. Każdy marzył o karierze, o sukcesie. Oczywiście, gdzieś tam skrywały się jakieś dekadencje jednostki, pijące piwo w Harendzie i narzekające na los, ale patrzyłam na nich z wyższością i zupełnie nie potrafiłam zrozumieć.

Nastaly czasy, w których opłacało się mieć pieniądze, i stały się one wyznacznikiem sukcesu. Dostrzegłam w nas wszystkich pewne wspólne cechy. Nie chcieliśmy się angażować, bo bali-

śmy się, że stracimy koncentrację nad czymś ważniejszym: nad sobą. Pokolenie egoistów? Ludzi bojących się zaangażowania? Miłości? Konsumpcja. Czysta konsumpcja.

Byłam jedną z nich, choć podświadomie chciałam być inna. Bo kimże ja byłam? Tego jeszcze wtedy nie wiedziałam. Kilka rzeczy wywarło na mnie wpływ, odcisnęło swoje piętno. Śmierć mamy. Na pewno. Musiałam być silna wbrew wszystkiemu. Nie mogłam pozwolić, żeby ktoś mnie zranił, więc bałam się otworzyć serce na miłość. Związek taty z Barbarą - poczułam się zepchnięta na dalszy tor i samotna; nie miałam już nawet tatusia na wyłączność.

I wtedy nagle to do mnie dotarło, i powiedziałam Bogdanowi:

- A ja myślę, że sensem życia jest miłość i to jest najważniejsze. Jak tego nie masz, to możesz się pogubić.

Jakiś czas później Magda zaczęła mi opowiadać o swoim szefie z pracy, który się do niej przystawiał. Miał żonę, która zresztą pracowała w tej samej firmie i była jego współpracowniczką. Ponoć poszli razem na lunch i wtedy zauważyła, że on z nią po prostu flirtuje. Zupełnie nie zawracałaby sobie tym głowy, gdyby nie jego późniejsze zachowanie.

- Po prostu nie mogę się od niego opędzić. Jest wszędzie i we wszystkich jego działaniach ja mam uczestniczyć. Kiedy coś piszę na komputerze, pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha, że cudnie pachnę. Mówi, że ładnie wyglądam, gdy jego żona jest obok i wszystko słyszy.

- I co ona na to?

- Potwierdza i kiwa głową z aprobatą. To jest właśnie najdziwniejsze. Dasz wiarę? Ja już się w tym wszystkim nie mogę połapać. Normalna kobieta by tego nie akceptowała, przy normalnej babie facet by sobie na to nie pozwolił.

- A jaka ona jest? Jak wygląda? - zapytałam zaciekawiona, bo także dostrzegłam w tym coś niespotykanego.

- Jest bardzo profesjonalna. Naprawdę zna się dobrze na tym, co robi. Pracuje więcej niż on, to pewne. Zostaje po godzinach, gdy on wychodzi.

- Ładna?

- Trochę grubawa. Szatynka, ładne włosy, elegancka, zadbana, zawsze ma paznokcie zrobione.

- Ile ma lat?

- Po trzydziestce... Trudno dokładnie powiedzieć.

- A on?

- On wygląda na jakieś trzydzieści pięć, sześć.

W tym momencie podeszła do nas jakaś atrakcyjna blondynka w szarej, tweedowej marynarce i zwróciła się do Magdy:

- Mariusz daje ci notatki z cywila. Nie będzie go dziś na specu i prosił, żebym ci je przekazała.

- O, super! Dzięki - wzięła notatki i zaczęła je przeglądać.

- Tak wyglądają dobre notatki - powiedziała pod nosem. -Mariusz Jodła, solidna firma, najlepszy student na roku.

- Który to? Nie kojarzę - zapytałam, upijając łyk kawy.

- Jeden z niewielu ciekawych chłopaków na roku. Kto wie, może nawet najciekawszy. Średnia pięć zero, zna trzy języki *perfect*. I na dodatek przystojny. Flirtujemy.

- Nie sądziłam, że interesują cię rówieśnicy.

- Ten mnie interesuje. On ma potencjał. Teraz to tylko student, ale zobaczysz... Jeszcze o nim usłyszysz.

- Pokaż mi go przy okazji - rzuciłam niedbale i poszłam kupić sobie drożdżówkę z serem.

Wtedy nie wiedziałam, że rzeczywiście wkrótce miałam o nim usłyszeć więcej i to nawet całkiem dużo. Zupełnie nie przeczuwałam, że będę chciała usłyszeć o nim wszystko, że stanie się dla mnie punktem odniesienia i centrum mego życia. Mariusz Jodła.

Kiedy wypowiedziała jego imię i nazwisko, wydało mi się jakieś takie dziwnie leśne. Wyobraziłam sobie wysokiego i chudego osobnika w okularach, z odstającymi uszami. Wkrótce miałam się przekonać, że moje skojarzenie było błędne.

Moja siostra była ode mnie starsza o dwa lata i zawsze zachowywała się tak, jakby była mądrzejsza o całe pokolenie doświadczeń. Dopiero kiedy poszłam na prawo, zaczęła patrzeć na mnie z większym respektem i rozmawiać po partnersku. Zdarzały się chwile, kiedy potrafiłyśmy razem szczerze porozmawiać, i tak naprawdę byłyśmy sobie bardzo bliskie. Paradoksalnie, jednym ze zdarzeń, które nas zbliżyły najbardziej, była śmierć mamy.

Mama chorowała prawie dwa lata. Kiedy w końcu postawiono diagnozę, błyskawicznie odbyła się operacja. A diagnoza brzmiała jak wyrok: rak. Wszyscy przeżyliśmy szok. Rodzice od razu powiedzieli nam prawdę, ale patrząc na mamę, na jej piękne, zadbane dłonie, nieskazitelny makijaż i falujące blond włosy, trudno było pojąć groźbę tej diagnozy. Do szpitala pojechała zdrowa, a wróciła chora. Tak to widziałam, bo tak to wyglądało. Miałam wrażenie, że gdyby nie poszła na tę operację, to by nie umarła. Po operacji dość szybko doszła do siebie i przez rok żyliśmy prawie normalnie. A potem wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Duszności i temperatura, przerzuty do płuc. Po roku już jej z nami nie było.

Pamiętam pewien wieczór, kiedy leżałyśmy z nią na kanapie i oglądałyśmy *Przeminęło z wiatrem*. Bardzo przeżywałyśmy przygody bohaterów i w przerwie filmu głośno je komentowałyśmy. Ewa twierdziła, że Scarlett powinna wybrać Retta Butlera, a ja się z nią nie zgadzałam. Uważałam, że nie może tego zrobić, skoro kocha Ashleya. Mama tylko nam się przyglądała w milczeniu, a potem zobaczyłam łzy w jej oczach.

- Chodźcie tu do mnie, szybko! - poprosiła, siląc się na uśmiech.

Objęła nas mocno i przytuliła nasze głowy do piersi.

- Moje dwie kochane córeczki! Kiedyś będziecie miały swoich Rettów i Ashleyów...

Głos jej się załamał, więc zamilkła na chwilę, a my wiedziałyśmy, o czym pomyślała: że być może ona już nie doczeka tych chwil. Było to dwa miesiące przed jej śmiercią, gdy choroba gwałtownie się rozwijała.

- Tak się cieszę, że was urodziłam - powiedziała. - Jesteście wspaniałe. Gdyby mi się w życiu nic nie udało, to wy byście wystarczyły.

A udało jej się wiele: mąż, dzieci, rodzina. I praca. Zrobiła doktorat z chemii i pracowała jako pracownik naukowy. Robiła badania, publikowała i jeździła na konferencje. Mam całą stertę książek z jej publikacjami, które czasem przeglądam, niewiele z nich rozumiejąc. Nigdy nam o tym nie mówiła, tylko siadała w kącie pokoju. Telewizor grał, my szczebiotałyśmy, a ona stukwała na maszynie i mówiła, że zaraz zrobi nam kolację. Taką miała podzielną uwagę! A potem wyczarowywała jakieś cuda na talerzu.

Kiedy odeszła, taty nie było. Wyszedł do apteki po lekarstwa, które nie miały już się więcej przydać. Byłyśmy tylko my dwie. Mama nagle wstała z łóżka. Nikogo wtedy przy niej nie było. Ja się zdrzemnęłam, a Ewa była w łazience. Przebudził mnie jakiś rumor. Kiedy się podniosłam, zobaczyłam, że mama osunęła się na podłogę w przedpokoju. Brakowało jej tchu, z trudem łapała powietrze. Natychmiast obie do niej podbiegłyśmy, siadając na podłodze. Szepnęła tylko: „To koniec”, a potem z ruchu jej warg odczytałam niemal bezgłośnie: „Kocham was”.

- My też cię kochamy! Mamo, słyszysz?! Mamo, zostań... Mamusiu...

Płakałyśmy histerycznie, trzymając się w ramionach. Od tamtej chwili wiedziałyśmy, że mamy tylko siebie i to było najsilniejszym bodźcem naszej siostrzanej symbiozy.

Ewa nigdy nie ukrywała, że chciałyby szybko założyć rodzinę i mieć dzieci.

- Ja tam wolałabym coś najpierw osiągnąć, trochę pożyć, a potem dopiero myśleć o rodzinie i dzieciach - odpowiadałam przekornie.

- No, widzisz? W końcu i tak wszystko sprowadza się do rodziny i dzieci. Na co tu czekać? Na starość? Na śmierć? - pytała filozoficznie.

To ostatnie akurat do mnie przemawiało najbardziej, tyle że mój lęk przed śmiercią sprowadzał mnie do innych refleksji. Chciałam czerpać z życia całym garściami, chciałam się bawić, cieszyć, śmiać, mieć pieniądze i wydawać je na piękne rzeczy. Chciałam podróżować i odkrywać piękne miejsca, poznawać ciekawych ludzi, żyć nieprzeciętnie. Ale dzisiaj muszę przyznać, że w prostej logice mojej siostry tkwił sens, którego wtedy nie potrafiłam pojąć.

Nosiłam w sobie smutek, który jednak za wszelką cenę chciałam ukryć. Więc na co dzień zakładałam na siebie uśmiechniętą twarz i beztróska przyjmowałam wiele spraw. Była to oczywiście pozorna beztróska, bo naprawdę bardzo się wszystkim przejmowałam i bałam wielu rzeczy. Byłam na przykład bardzo nieśmiała i wstydziłam się wypowiadać swoje poglądy, bałam się krytyki i odrzucenia. Ale właśnie dlatego musiałam udawać odważną i w końcu za taką zaczęłam uchodzić. Musiałam udowodnić sobie i światu, że nie boję się życia, bo lęk przed życiem był dla mnie tożsamy z lękiem przed śmiercią. Kto boi się życia, boi się śmierci, bo śmierć jest naturalną jego konsekwencją.

Jeszcze tego samego dnia wybrałam się z Magdą i Bogdanem na wystawę fotografii jednego z jego kolegów. Zabrał ze sobą Kubę, którego dzięki temu miałam okazję bliżej poznać. Bogdan wielokrotnie mi o nim opowiadał; raz widzieliśmy się przelotnie, ale właściwie nigdy nawet dłużej nie rozmawialiśmy.

Wystawa miała się odbyć w Starej Prochowni o dziewiętnastej. Magda obiecała przyjść po mnie, żebyśmy razem mogły się wyszykować, tradycyjnie pijąc alkoholowe drinki. W domu była Ewa, która za chwilę wychodziła na spotkanie ze swoim chłopakiem. Moja siostra nie kryła rozdrażnienia, a ja znałam przyczynę jej niepokoju. Nie dostała pierścionka zaręczynowego, mimo że -wedle jej kalkulacji - już dawno powinno to nastąpić. Poza tym, podobnie jak mnie, zirytowała ją wiadomość o kobiecie ojca.

Malowałam się przed lustrem, kiedy przyszła do mnie Ewa. Zadała mi jakieś niezobowiązujące pytanie *d propos* wieczornego wyjścia i usiadła na brzegu wanny. Najwyraźniej chciała porozmawiać.

- Widziałaś ojca ostatnimi czasy, bo ja powoli zapominam, jak wygląda? - zagała.

- Ma się świetnie, rozmawiałam z nim dziś rano przez telefon. Chciałam, żeby mi przyniósł z kancelarii komentarz z prawa pracy, ale niestety stwierdził, że jak chcę go mieć dzisiaj, to sama muszę się pofatygować, bo on na Hożą dziś nie przyjdzie.

- „Na Hożą” powiedział?

- Tak. Też mnie to zabolalo. Nie powiedział „do domu”, tylko „na Hożą”. On ma teraz „Hożą” tu i „Nowoursynowską” -u niej.

- Oszalał - powiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Idą dzisiaj do teatru i musi się spieszyć na Nowoursynowską, tak powiedział - dodałam z przekąsem.

- Do teatru... - powtórzyła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - Z nami przez całe życie był dwa razy w teatrze,

a z nią biega co sobotę. Ja mu wprost powiedziałam, że zgłupiał dla tej baby i że robi z siebie idiotę. Od kiedy on lubi teatr? -prychnęła.

Przestałam malować rzęsy, bo mimowolnie się zdenerwowałam. Ja też nie mogłam pojąć, jak ojciec mógł stracić głowę dla tej kobiety. Ona w niczym nie przypominała mamy. Powiedziałam to głośno.

- I wiesz, co mi odpowiedział, gdy mu zadałam właśnie to pytanie? - Ewa spojrzała na mnie z drwiącym uśmiechem.

- Co?

- Powiedział, że dokładnie tak samo, jak ja mogłam stracić głowę dla Roberta.

- No nie...

- Tak. I wiesz, o co mnie zapytał? Kiedy planuję ślub. A wiesz dlaczego? Bo chce mieć wolne mieszkanie.

- Przepraszam bardzo, ja jeszcze tu mieszkam i nie życzę sobie tutaj żadnej Barbary.

- Ja nie mówię, że jutro, że za miesiąc. Może za rok, może później... Ale takie ma plany.

Poczułam, że gryzę boleśnie wargę. No cóż, nie dało się ukryć, że ten temat wyprowadzał nas obie z równowagi. Nie mogłyśmy znieść myśli, że w życiu ojca jest kobieta. Już nawet nie wiem, która z nas bardziej to przeżywała. Postanowiłam zmienić temat.

- A kiedy planujecie ślub?

- O tym jeszcze dokładnie nie rozmawialiśmy. Domyślam się... to znaczy wiem... no, wiem... - uśmiechnęła się konspiracyjnie - .. że zamówił pierścionek.

- Wow! - zawylałam.

- No. Był ze mną w salonie Kruka, no i wiesz, ja pokazałam, który pierścionek mi się podoba... A wczoraj zadzwonił do niego telefon i on się trochę zmieszał, bo przy mnie musiał rozmawiać i tylko powiedział, że odbierze. No to co? No, pierścionek.

- Pewnie tak.

Powiedziałam to ze szczerym przekonaniem, bo ich rozmowy o zaręczynach trwały już od paru miesięcy. Oczywiście, to Ewa była ich inicjatorką, a on trochę najpierw się opierał, że niby musi zebrać pieniądze na pierścionek z brylantem i tak dalej. W którejś kolejnej rozmowie Ewa powiedziała mu, że na brylancie jej zupełnie nie zależy, a on ponoć zaprotestował, argumentując, że pierścionek zaręczynowy brylant musi mieć, choćby najmniejszy. Byłam skłonna w to uwierzyć, bo mój przyszły szwagier był wyjątkowym snobem; lubił tylko rzeczy markowe, drogie i wysokiej jakości.

Patrząc na moją siostrę, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że i ona była „towarem” najwyższej jakości. Była klasycznie piękna. Włosy gęste, słomiany blond, długie i falujące - obie miałyśmy włosy po mamie. Jednak jej rysy były doskonale harmonijne. Była skończoną pięknnością. Idealny profil, piękna cera, równo rozstawione oczy, wydatne kości policzkowe i zmysłowo pełne usta. Przemknęło mi przez myśl, że na tak pięknych, smukłych palcach rzeczywiście powinien zabłysnąć brylant.

- A więc oświadczy ci się już wkrótce - stwierdziłam radośnie.

- Nie martw się, siostrzyczko, wkrótce i ciebie dopadnie jakiś *Mister Right* - uśmiechnęła się konspiracyjnie i poszła otworzyć drzwi Magdzie, bo właśnie w tej chwili zadzwonił domofon.

Normalnie bym jej pewnie odszczeknęła, że mam inne plany na życie i *Mister Right* nie jest ich centralnym punktem, ale tym razem nie odpowiedziałam nic.

Magda wniosła ożywienie i wesołość, gdy tylko przekroczyła próg. Miała na sobie czarną sukienkę na ramiączkach i ramoneskę w tym samym kolorze. Wyglądała zaczepnie i seksownie. Od

razu zażądała mocnego drinka i oświadczyła, że ma dla nas coś, co wydobędzie z naszych oczu głębię spojrzenia.

- Sztuczne rzęsy - zamachała mi przed oczami pudełeczkiem. - Takiemu spojrzeniu żaden facet się nie oprze.

Potem nastąpiły wielokrotne próby naklejania „tego czegoś” na powieki, co bynajmniej wcale nie było proste. Po którejś nieudanej próbie stwierdziłam, że się w to nie bawię i byłam naprawdę wściekła, bo miałam lepkie powieki i, co gorsze, nie potrafiłam usunąć z nich kleju. Wyskubywałam go palcami i nerwowo zerkałam na zegarek.

- Spóźnimy się. Obiecałam Bogdanowi, że będziemy o ósmej - narzekałam.

- Spokojnie. Przecież nie zdejmą zdjęć ze ścian.

- Ale wypiją wino i zjedzą kanapki - odpowiedziałam ironicznie. - Po prostu nie chcę się spóźnić.

W końcu pomalowałam całe powieki granatowym cieniem i oświadczyłam, że wychodzę i radzę jej zrobić to samo. Jakoś udało jej się przykleić w końcu te rzęsy i trzepotała nimi rozanielona. Potem w tramwaju sprawdzała siłę swojego spojrzenia na każdym wchodzącym facecie, co było nawet zabawne. Mrużyła oczy i mrugała na przemian. Jedno muszę przyznać: z Magdą nigdy nie było nudno.

Kiedy dotarliśmy na miejsce (oczywiście spóźnione), impreza się rozkręciła w najlepsze. Na sali był tłum ludzi, którzy przeciskali się między sobą. Rozglądałam się za Bogdanem. W końcu to on mnie wypatrzył i pojawił się przede mną z lampką wina.

- A dla mnie? - zapytała Magda z urażoną miną.

- Kuba zaraz przyniesie.

Po chwili rzeczywiście pojawił się Kuba z winem. Zwróciłam od razu uwagę na staranność jego stroju. Ciemnobeżowa marynarka w delikatną granatową kratę, niebieska koszula i starannie

zawiązany pod szyją granatowy fular. Czarne włosy, zaczesane do tyłu, lśniące w świetle reflektorów. Wypielęgnowane dłonie i nieskazitelny manicure.

Tymczasem Bogdan gadał jak nakręcony:

- Podobają wam się rzeźby? Świetne, prawda? I te jego zdjęcia! Esencja kolorów. Jest bardzo utalentowany i pełen pomysłów. Zaraz go przyprowadzę.

Po chwili pojawił się w towarzystwie niewysokiego, ciemnowłosego chłopaka, który patrzył na nas w skupieniu.

- To Marek Żuczek, autor tych dzieł - powiedział. Wymieniłyśmy uściski dłoni i próbowałyśmy wsłuchać się

w treść rozmowy, a właściwie monologu Kuby, który, jak się zorientowałyśmy, chciał kupić od Marka kilka prac. Mówił w sposób przeciągły, starannie dobierał słowa i gestykulował swymi wypielęgnowanymi dłońmi. Był dopracowany w każdym szczególe garderoby i zachowania.

Piłyśmy w milczeniu wino i wymieniałyśmy spojrzenia. Wzrok Magdy zdawał się mówić: „Nikt na mnie nie zwraca uwagi, nudzę się”. Mój z kolei nakazywał jej wytrzymać jeszcze chwilę. Marek na nas spoglądał z aprobatą od czasu do czasu, Kuba poświęcał swą uwagę Markowi, a Bogdan - co od razu rzuciło mi się w oczy - wpatrywał się w Kubę. Właśnie tak. Wpatrywał. Nie: patrzył, zerkał, spoglądał. Nie. On się w niego wpatrywał. Zupełnie tak samo, jak w swoje obrazy w akcie twórczego uniesienia. Najpierw pomyślałam, że chce go w ten sposób wesprzeć w rozmowach „przednegocjacyjnych”, ale potem przemknęła mi przez głowę inna myśl, która mnie zaskoczyła i onieśmieliła. Wydało mi się nagle, że on i Kuba są parą. Magda zniknęła po chwili, bo wypatrzyła w tłumie ludzi jakiegoś znajomego, a ja nadal stałam z nimi i obserwowałam.

To, co najpierw tylko podejrzewałam, po godzinie i dwóch kolejnych lampkach wina stało się jeszcze bardziej czytelne. Sta-

łam przy barze i rozmawiałam z dwiema dziewczynami, które zastanawiały się, czy Frida Kahlo naśladowała Diego Riverę, czy to on naśladował ją. Pewne były tylko tego, że tych dwoje naprawdę się kochało, a po rozwodzie znów się zesзли. Tak naprawdę tylko przysłuchiwałam się ich rozmowie, bo wciąż obserwowałam Bogdana i Kubę. Stali sami w rogu sali, oddaleni ode mnie o jakieś pięć metrów, i o czymś z pasją rozmawiali. Z głośników dobiegała *California* Melanie Farmer, co wprowadziło mnie w nastrój sennego rozmarzenia.

W pewnym momencie zauważyłam, że Bogdan strzepnął z ramienia Kuby jakiś paproch. Dobrze wiedziałam, że ten gest oznaczał jakby troskę, zażyłość, był sygnałem. Taki gest rzadko kiedy nie miał ukrytego znaczenia. A poza tym dostrzegłam natychmiastową reakcję Kuby: jego czuły uśmiech. A potem musnął ustami jego policzek. Wiedziałam już, że ze sobą flirtowali. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. W końcu ściągnęłam na siebie spojrzenie Bogdana. Odczytał z mojej twarzy zdumienie połączone z niedowierzaniem i tylko jakoś tak niemrawo się uśmiechnął. Sięgnęłam natychmiast po kieliszek.

Nie rozumiałam, dlaczego Bogdan nic mi nie powiedział. Dlaczego powtarzał te swoje głupoty o „sztuce, jedynej kochance”? Tamtego wieczoru więcej nie rozmawialiśmy. Wiedziałam, że był zbyt wstawiony, a ja zbyt poruszona, żeby zadawać mu jakieś pytania. Ale następnego dnia, kiedy tylko się obudziłam, zadzwoniłam i oświadczyłam, że wpadnę do niego po popołudniowych wykładach.

Usiadłam w jego starym fotelu, w pracowni, i czekałam na kawę, którą właśnie parzył. Na wiklinowym stoliku przede mną stał karton wedlowskich ptasich mleczek, więc sięgnęłam po jedno. Słodczyce mnie zawsze uspokajały.

Kiedy postawił przede mną kubek z parującą kawą, z miejsca wypaliłam:

- Uważasz mnie za swoją przyjaciółkę? Jestem ci bliska?

- Tak. O co ci chodzi?

- Nie wiesz?

Milczał przez chwilę. Wypił łyk kawy i w dalszym ciągu się nie odzywał.

- Skoro wiesz i skoro jesteś moją przyjaciółką, to dlaczego z taką pretensją do mnie teraz mówisz? - powiedział w końcu zupełnie spokojnie.

- Jesteś gejem? - Zapytałam wprost.

- Czyżbym wyczuwał pogardę?

- Nie! Jaką pogardę?! Jeśli jesteś, to OK. Nie ma sprawy. To dla mnie bez znaczenia. Tylko dlaczego mi nie powiedziałeś?! Nie masz do mnie zaufania? Bałeś się, że cię wyśmieję? Znamy się sto lat przecież, nie rozumiem po prostu, dlaczego mi nie powiedziałeś.

- To nie takie proste... - zamilkł ponownie. - Ja sam długo nie byłem pewien. Wciąż jeszcze nie wiem. A może boję się tej pewności?

- Ale... jesteś z Kubą? Jesteście... parą?

- Tak - odpowiedział natychmiast. - Taką mam nadzieję. On... jest mi bardzo bliski.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Nie ma dla mnie znaczenia, czy jesteś z chłopakiem, czy z dziewczyną. I nigdy nie śmiałybym nikim pogardzać z tego powodu. Rozumiesz?

- Cieszę się.

- Po prostu poczułam się jakaś taka zignorowana, gdy zobaczyłam cię z Kubą i te iskry między wami. Wyobrażasz sobie, że ja mogłabym ci nie powiedzieć, gdybym się zakochała?

- Znałaś go. Mówiłem ci, że się przyjaźnimy. Ale rozumiem, sorry... - rozłożył ręce na znak bezradności.

Był smutny. Jakiś taki przygaszony. Czułam, że chce mi jeszcze coś powiedzieć. Piliśmy kawę i milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

- Nie jestem gotowy, żeby to obwieścić światu, rozumiesz? U mnie na wydziale standardy są inne, ludzi pewne rzeczy nie dziwią, nie bulwersują, ale ulica... Tu nie ma tolerancji jeszcze. Dlatego nie chcę się z tym obnosić.

- Rozumiem.

Rozumiałam go i mu współczułam. Gej wciąż był uważany za odmieńca. Ja chciałam kochać, ale nikogo na horyzoncie widać nie było, a on miał horyzont zapełniony, tyle że nie mógł ujawnić, kto na nim stoi. Chwyciłam go za rękę i mocno ścisnęłam. Zrozumieliśmy się bez słów.

Kiedy następnego dnia spotkałam Magdę na wykładzie, z miejsca zasygnalizowała mi, że właśnie wróciła z *lunchu* ze swym szefem. Była cała rozpromieniona.

- Jadłaś kiedyś kalmary w sosie cytrynowym? Wspaniale! A do tego białe *chardonnay*. Chyba zrezygnuję z mięsa.

Spojrzałam na nią, unosząc brwi na znak zdumienia.

- To jednak chodzisz z nim na *lunche*? Służbowo, jak rozumiem?

- Służbowo, nie służbowo... Powiedzmy, że się zaprzyjaźniamy. Teraz wiem o nim więcej. Powiedział mi, że jego małżeństwo to czysta fikcja.

- Każdy żonaty facet, który ma nadzieję na romans, gada takie banały - zauważyłam.

- To jest inna sprawa. Oni tak naprawdę są w separacji. Wprawdzie razem jeszcze mieszkają, ale mają osobne sypialnie, łazienki... Właściwie nic ich nie łączy.

- Poza aktem małżeństwa... - lekko prychnęłam.

- Jesteś cyniczna. Mówię, że nic ich nie łączy w sensie emocjonalnym. Nie kochają się po prostu.

Ostatnie zdanie wyszeptała, bo właśnie zaczął się wykład. Otworzyła swój brulion, w którym zaczęła notować. Po jakimś czasie przestała i wyjęła z teczki granatowy zeszyt.

- Ksero jest czynne? Muszę skserować notatki Jodły, bo dzwonił, że chce dziś zeszyt z powrotem - powiedziała cicho.

- Czynne. Kserowałam dziś orzeczenia.

- Mówię ci, ten Jodła to niezły numer. Ostatnio przegadałam z nim całe seminarium, a właściwie opowiadaliśmy sobie seksualne dowcipy.

- Taki kujon, a nie słuchał profesora?

- Jedna dziewczyna prezentowała referat. Nudy. Ale wiesz, on to taki wyluzowany kujon; wiesz, chodzi na imprezy, czyta książki. Jest bardzo inteligentny poza tym, to się czuje. I przystojny...

- Możecie przestać gadać? - odezwała się z pretensją dziewczyna siedząca przed nami. - Ja tu przyszłam na wykład, a nie na słuchanie twoich opowieści.

Zamilkłyśmy więc i próbowałyśmy się skupić na wykładzie. W przerwie oddaliśmy zeszyt Jodły do kserowania. Na drugą część wykładu już nie dotarłyśmy. Poszłyśmy napić się piwa do Harendy. Przemknęła mi myśl, żeby powiedzieć Magdzie o Bogdanie, ale z miejsca ją odrzuciłam, przypominając sobie naszą wczorajszą rozmowę i jego obawy o brak tolerancji. Jednak ona w pewnym momencie sama podjęła ten temat.

- Nie myliłam się co do Bogdana. To pedzio. Są parką razem z tym Kubusiem.

Poczułam wzburzenie.

- „Są parką”, „z Kubusiem”?! Czy ty siebie w ogóle słyszysz? „Pedzio”? Nie rozumiem, jak możesz tak mówić!

- A nie? Wczoraj świergotali do siebie jak słowiki. Od tego Kuby na kilometr jedzie pedałem.

- Czy ty siebie słyszysz? - powiedziałam z pretensją.
- O co ci chodzi?
- Kpisz sobie. Jesteś cyniczna. Masz coś do gejów? Czy to ważne, kogo kochamy?
- Kochamy? A kto tu mówi o miłości? Różną się i tyle.
- A ty się nie rzniesz? Palców nie starczy, żeby policzyć...
- No wiesz? Jak możesz? Tak mi płacisz za szczerłość? - Magda naprawdę się zdenerwowała.
- Nie! Ja cię nie osądzam. To twoja sprawa, z kim śpiesz i dlaczego. To kwestia wyboru. Wolnego wyboru. Dlaczego odmawiasz go ludziom, którzy mają inną orientację?!

- Ja niczego im nie odmawiam. Powiedziałam coś takiego?! - Magda podniosła głos.
- Nie musiałaś tego mówić wprost! Mówiłaś o nich z pogardą. „To pedzio”, „są parką” - naśladowałam jej sposób mówienia.
- Okej, dopijam piwo i spadam - podniosła szklankę do góry i wychyliła do dna. - Muszę się wyspać, bo jutro wcześniej wstaję do pracy.
Może przesadziłam. Może mogłam to zrobić w inny sposób. Cała ta sytuacja wyprowadziła mnie z równowagi. Byłam w tamtej chwili wkurzona na Magdę. Chciałam jej przecież tylko uświadomić, że powinniśmy powstrzymać się od krzywdzących ocen, od uznawania stereotypów, od powierzchownych sądów. A tymczasem sama ją osądziłam.
Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że jest mi przykro z powodu naszej kłótni. Ona na to, że dawno już zapomniała o sprawie i żebym się niczym nie przejmowała. I rzeczywiście tak było. W jej głosie nie usłyszałam cienia smutku. W tej chwili jednocześnie zazdrościłam i współczułam Magdzie jej grubej skóry.

Po naszej rozmowie Bogdan bardzo się przede mną otworzył. Ktoregoś wieczoru wyznał mi, że są właściwie z Kubą nierozłączni. Spędzają ze sobą każdą wolną chwilę i dobrze im razem.

- Powiedziałem o tym mojej mamie - wyznał w pewnym momencie.

- I co? - zapytałam przejęta.

- Powiedziała, że ojciec nie może się o tym dowiedzieć. I w ogóle żebym nikomu o tym nie mówił, bo to wstyd dla niej.

- Ojej, tak mi przykro - powiedziałam zmartwiona.

- Mogłem się tego spodziewać. Ale wiesz... gdzieś w głębi serca liczyłem na to, że zrozumie, że przyjmie to... no wiesz, ze zrozumieniem. A ona mi powiedziała, że powinienem się leczyć.

- Leczyć? - powtórzyłam za nim, bo jakoś nie wiedziałam, jak to skomentować.

- Pewnie, że dla świętego spokoju wolałbym być hetero, mieć dziewczynę, potem żonę, dać jej wnuki, o których marzy. Ale jestem jaki jestem i nic na to nie poradzę. Podobają mi się kobiety, ale... no wiesz, tak jak podobają mi się piękne dzieła architektury - cenię je za wspaniałe proporcje, formę. Doceniam urodę kobiet i to wszystko. Nigdy mi nie zabiło serce dla żadnej. Po prostu.

Przypomniało mi się, jak ważył w dłoni pierś Magdy, i mimowolnie się roześmiałam, zasłaniając ręką słuchawkę. Musiałam przyznać, że miała niezłego nosa.

- Jedno jest pewne - powiedziałam z przejęciem. - Honor Magdy został uratowany.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Miała na ciebie wyraźną ochotę, pokazała ci piersi, a ty tylko ważyłeś je w dłoniach. Poczula się odrzucona.

Zaśmiał się głośno, a ja mu zawtórowałam. Mimo jego zmartwienia, spowodowanego brakiem akceptacji matki, wyczuwałam w nim radość. Był zakochany.

5. Miłość, szydełko i hafty

Środa była dniem, którego nie lubiłam. Miałam ćwiczenia z prawa pracy na ósmą rano. Akurat czytałam do drugiej w nocy *Wilka stepowego* Hermana Hessego więc rano nie mogłam się do-budzić. Książka bardzo mnie przygnębiła. Obudziłam się smutna i zniechęcona. Pogoda też nie zapraszała do wyjścia z domu. Nastął marzec, ale nic nie zwiastowało końca zimy.

Wypiłam kawę i zrobiłam sobie grzankę z dżemem. Ojca nie było, Ewa spała. Nie lubiłam wstawać, kiedy ktoś w domu spał i trzeba było robić wszystko cicho, żeby go nie zbudzić. Nasze mieszkanie było przestronne, ale i tak nie mogłam na przykład włączyć sobie Kasi Kowalskiej na cały regulator. Lubiałam malować się, słuchając muzyki. Robiąc wszystko w kompletnej ciszy, zupełnie nie mogłam się dobudzić.

W efekcie na zajęciach po prostu przysypiałam i w żaden sposób nie mogłam się skupić. Myślałam o zaręczynach Ewy. Tak jak przypuszczała, Robert w końcu się oświadczył. Dostała pierścionek z białego złota, z brylantem. Elegancki i piękny w swojej prostocie. Robert miał się pojawić u nas na obiedzie, aby oficjalnie poprosić ojca o rękę Ewy. Takie to miało być wszystko tradycyjne i oficjalne. Ewa powiedziała mi tylko, że nie zamierzają długo czekać ze ślubem.

- No to jakie roszczenia w tej sytuacji będą przysługiwały? -pani doktor wyrwała mnie z rozmyślań.

Wyprostowałam się i nerwowo przygryzłam wargę, zupełnie nie wiedząc, co odpowiedzieć, bo myślami byłam przecież bardzo daleko od prawa pracy.

- Myślę że... - zaczęłam niepewnie, rozglądając się wokół w poszukiwaniu pomocy.

- O przywrócenie do pracy - szepnął do mnie ktoś siedzący obok.

- O przywrócenie do pracy, oczywiście - powiedziałam bardzo pewnym tonem.

Pani doktor przytaknęła i zaczęła czytać następny kazus.

- Dzięki - szepnęłam i spojrzałam na podpowiadacza. Uśmiechnął się, pokazując wszystkie zęby. To był filmowy

uśmiech i filmowy zgryz. Piękny profil, klasyczne rysy, kruczoczarne włosy i przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu. „Cóż za piękna twarz” - pomyślałam od razu. A potem zaczęłam żałować, że nie umalowałam się staranniej i założyłam ten luźny, szydełkowy sweter, w którym zupełnie nie było widać mojej zgrabnej sylwetki. Poczulałam się onieśmielona. Zdawałam sobie sprawę, że ten chłopak mi się podoba, że zrobił na mnie wrażenie, choć powiedział zaledwie kilka słów ściszonego głosem, a potem uśmiechem wysłał sygnał: „Nie ma sprawy, drobnostka”. Próbowałam z całych sił skupić się na kazusie, na wypadek gdybym znowu została wyrwana do odpowiedzi. Nie mogłam w końcu wyjść na idiotkę przed tym przystojniakiem.

W czasie przerwy zaczęliśmy rozmawiać. Ze wszystkich sił chciałam zachować spokój i nie okazywać wrażenia jakiegoś na mnie zrobił. Miał na sobie koszulę w czerwoną kratę, która podkreślała jego szerokie, umięśnione ramiona i szczupły tors. Wymieniliśmy kilka nieznaczących zdań, sama już nie pamiętam

o czym, chyba o kazusach, o tym, że na egzaminie też ma być jakiś stan faktyczny do rozwiązania, coś w tym stylu. A potem on zapytał ni stąd, ni zowąd:

- A poza studiowaniem... Co robisz ciekawego?

W pierwszej chwili pomyślałam, że to żartobliwe pytanie

i postanowiłam żartobliwie odpowiedzieć.

- Szydełkuję i haftuję. To moje hobby.

- Tak? - spytał z niedowierzaniem, a jednocześnie dostrzegłam w jego oczach zainteresowanie. I jakoś tak bezwiednie zaczęłam opowiadać o swojej zmyślonej pasji szydełkowania.

- Uwielbiam szydełkować. To świetny relaks! Robisz coś zupełnie mechanicznie, twoje myśli krążą daleko. Nie robisz nic, a powstaje o... taki sweter - wskazałam na bordowy sweter, który miałam na sobie. Zrobiła go dla mnie ciocia Hanka, ale jakie to miało znaczenie? Mówiłam coś, czego na pewno nie słyszał wcześniej z ust żadnej dziewczyny, i już sama zaczynałam w to wierzyć.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- Od mojej ciotki. Są różne szydełka; w zależności od ich grubości powstają różne sploty... - zaczęłam się rozkręcać i opowiadałam z zaangażowaniem, przypominając sobie wszystko to, co wiele razy mówiła ciotka Hanka, chcąc mnie wciągnąć w swoją pasję.

- Moja babcia szydełkowała i robiła na drutach, ale nie przypuszczałam, że studentki prawa to robią - roześmiał się.

Rozpoczęły się zajęcia, a ja zaczęłam się obawiać, że jednak zrobiłam z siebie idiotkę i nie powinnam opowiadać jakichś zmyślonych historii o przyjemności szydełkowania. Jednocześnie miałam wrażenie, że dostrzegłam błysk zainteresowania w jego oczach. Nie myliłam się, bo po zajęciach poprosił mnie o telefon. Skonstatował z uśmiechem:

- Na wypadek, gdybym chciał zamówić u ciebie jakiś szydełkowy szalik. Ile bierzesz za godzinę?

- Myślę, że się dogadamy.

- Ja też tak myślę - pokiwał znacząco głową.

I zniknął. Po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że nie mam jego numeru ani nie wiem nawet, jak się nazywa. Miałam nadzieję, że zobaczę go na następnych zajęciach, ale nie przyszedł. Nie był zapisany do mojej grupy zajęciowej. Nie wiem, jakim cudem pojawił się wtedy na prawie pracy. Wcześniej go nie widziałam.

Nie zadzwonił do mnie i nie przyszedł na kolejne zajęcia, mimo że przecież wiedział, że jest to sposób, żeby mnie zobaczyć ponownie.

Na kolejny wykład z postępowania administracyjnego Magda wpadła zziębnięta i niemal spóźniona. Profesor także się spóźnił, więc miałyśmy chwilę, żeby pogadać. Praca rzeczywiście absorbowowała ją coraz bardziej, a także - a może nawet przede wszystkim - jej szef.

- Wpadłam tylko na chwilę, wpiszę się na listę i znikam - wyrzuciła z siebie, muskając mój policzek na powitanie. - Wieczorem lecę z Pawłem do Londynu, muszę się jeszcze spakować.

Więc jej szef stał się już Pawłem.

- Lecisz? Samolotem?

- Jest tam biznes do zrobienia. Lecimy. W końcu jestem jego asystentką.

Pokiwałam znacząco głową. Pomyślałam, że dzieje się coś między nią a tym Pawłem, ale najwyraźniej po moich ostatnich uszczypliwościach nie chce mi zdradzić szczegółów. W ogóle od tamtej wymiany zdań Magda jakby mniej mi się zwierzała. Przestała opowiadać o swoich podbojach.

- No i mam do ciebie prośbę. Znowu pożyczyłam notatki od Mariusza Jodły, ale muszę zniknąć i nie zdążę mu ich oddać. Mogłabyś?

- Jasne. Tylko jak mam go złapać?

- Dam ci jego telefon. Zadzwoń i umówcie się gdzieś na wydziale... *please*...

- Nie ma sprawy. A ty kiedy wracasz?

- Za tydzień. Błagam cię, wpisz mnie na zajęcia, gdzie da radę, dobra?

Zgodziłam się. Większość wykładowców po prostu prosiła nas o wpisywanie się na listę, której potem często nie sprawdzali. Wykład się zaczął, Magda siedziała przez jego pierwszą część, ale widziałam, że myślami jest w zupełnie innym miejscu. Po przerwie wyszła, zostawiając na moim policzku mokrego buziaka.

Zadzwoiłam do Mariusza Jodły jeszcze tego samego dnia, bo bałam się, że jak nie zadzwonię od razu, to w ogóle o tym zapomnę. Przedstawiłam się jako koleżanka Magdy, która ma mu oddać jego notatki. Umówiliśmy się następnego dnia po południu w Audi Maksie*.

Punktualnie piętnaście minut po czwartej zeszłam do szatni, gdzie znajdował się punkt kserograficzny. Tak się umówiliśmy. I właśnie tam, w kolejce do ksero, ujrzałam nieznanego pod-powiadacza. W rękach trzymał otwartą książkę i ją wertował. Podeszłam bliżej i wtedy on podniósł wzrok.

- Ooo, specjalistka od szydełkowania! - zobaczyłam w jego spojrzeniu radosne zainteresowanie.

- Cześć! - odpowiedziałam i dumnie podniosłam głowę. W końcu miał mój telefon, a nie zadzwonił. Chyba wyczuł moją powściągliwość, bo powiedział:

- Miałem do ciebie zadzwonić, ale najpierw wolałem skończyć kurs szydełkowania, żebyśmy mieli wspólne tematy.

Zaśmiałam się i przewróciłam oczami.

- A tymczasem co czytasz? - zapytałam. Otworzył książkę i wyrecytował:

- Psycholodzy amerykańscy są zgodni, że szydełkowanie odpręża, pozwalając oderwać się od stresów codzienności. Człowiek szydełkujący wpada w stan zwany fazą alfa... - tu się lekko zaśmiał, w czym ja mu zawtórowałam - ... w stan zwany fazą alfa, w czasie której mózg doznaje regeneracji. Tego typu odpoczynek jest zalecany osobom narażonym na duży wysiłek intelektualny, jak na przykład studenci prawa...

Śmiałam się w głos i nie mogłam przestać.

- Nabijasz się ze mnie. Nieładnie! - powiedziałam, udając obrażoną i tłumiąc śmiech.

* Auditorium Maximum, największa sala wykładowa na terenie kampusu Uniwersytetu Warszawskiego.

- Ależ nie. Wcale. Mówiła mi o tym Majka, znajoma z roku.

Szukałam wzrokiem Mariusza Jodły, choć nie miałam pojęcia, jak wygląda. Wprawdzie Magda pewnie mi o nim opowiadała, ale zapamiętałam z tego tylko tyle, że jest przystojny.

- Słuchaj, szukam jednego chłopaka, któremu mam oddać notatki. Znasz może Mariusza Jodłę?

- Od urodzenia - odpowiedział poważnym tonem. - Czy mogę prosić o moją własność? - spojrzał na granatowy brulion, który trzymałam pod pachą.

Dopiero teraz odgadłam, że musiał od początku wiedzieć, że to ja do niego zadzwoniłam.

- Wiedziałaś?!

- Od chwili, kiedy tylko usłyszałem twoje pierwsze słowo w telefonie - powiedział rozbawiony.

- O nie!

- O tak! No dobra, chodźmy się czegoś napić - powiedział, oddając książkę do kopiowania. - Te dwie strony i potem od pięćdziesiątej do sześćdziesiątej drugiej - zwrócił się do chłopaka z ksero.

W jego głosie brzmiała pewnośc siebie, która bynajmniej mi nie przeszkadzała. Stojąc obok niego, po zaledwie pięciominutowej rozmowie doznałam wrażenia, że znam go całe wieki. Może to zabrzmiało naiwnie, ale czułam się tak, jakbym już wielokrotnie stała z nim, gdzieś, tutaj, tam, razem. To było takie *deja vu* albo coś w tym rodzaju. Oczywiście, wiedziałam, że zgodzę się pójść z nim zaraz do jakiejś kafejki albo pubu. Było to wtedy dla mnie jasne jak słońce. W jednej sekundzie zdecydowałam, że nie pójdę na ćwiczenia z administracyjnego, które miały się zacząć za dziesięć minut. Obiecałam wpisać Magdę na listę, ale w ogóle wtedy o tym nie myślałam. Nie miałam jeszcze żadnej nieobecności i od razu skalkulowałam, że nic takiego się nie zdarzy, jeśli raz opuszczę zajęcia. Oczywiście, tego mu nie powiedziałam

i oczywiście zaczęłam głośno zastanawiać się, czy mam w ogóle czas, żeby napić się z nim kawy czy czegoś tam. Wyobrażam sobie, że zrobiłam wtedy minkę egzaltowanej panienki, jak to mi się czasem zdarzało, kiedy udawałam, że mam kilka opcji, a każda bardziej interesująca. W rzeczywistości miałam przed sobą perspektywę wieczoru z Ewą, która opracowywała menu na sobotni, zaręczynowy obiad.

Odebraliśmy swoje rzeczy z szatni. Kiedy sięgałam po kurtkę, on mnie uprzedził i pomógł mi ją nałożyć. Mimo że wyśmiewałam się z tych wszystkich dżentelmeńskich gestów, jak całowanie dłoni kobiety, otwieranie drzwi samochodu albo nakładanie płaszcza, tym razem nie czułam w tym żadnej niestosowności. Lekko się uśmiechnęłam, co on dostrzegł i także się uśmiechnął, robiąc minę, która miała oznaczać: „A co mi tam, jestem rycerzem swojej damy”. Zarzuciłam na ramiona długi, wełniany szalik w kolorze kawy z mlekiem i skierowałam się w stronę wyjścia.

Oczywiście, przepuścił mnie w drzwiach. Zimny wiatr dmuchnął mi w twarz i poczułam przejmujący chłód. Dochodziła siódma, więc robiło się ciemno. Owinęłam dokładnie szyję szalikiem i zapięłam guziki. Zaczął sypać śnieg i szybko pokrywał białą miasto. Nie chciało się wierzyć, że kilka dni temu było piętnaście stopni, świeciło słońce, a ziemia pachniała wiosną. W końcu była prawie połowa marca.

- Ładną mamy zimę tej wiosny - rzucił pod nosem.

Kiwnęłam tylko głową, bo gwałtowny podmuch wiatru odebrał mi mowę. Szliśmy w milczeniu szybkim krokiem, odwracając głowy przed gwałtownymi podmuchami.

- Niedaleko jest przyjemna kawiarenka, dosłownie pięćdziesiąt metrów stąd - odezwał się, kiedy wyszliśmy na Nowy Świat. Naprawdę mocno wiało, a śnieg sypał już na całego. Trawniki były białe, chodniki zasypane.

Po dziesięciu minutach siedzieliśmy na pięterku przytulnej kawiarenki i obserwowaliśmy ulicę. Rozcieraliśmy zmarznięte dłonie. Za oknem śnieg nie przestawał sypać. Zamówiliśmy dwie herbaty i kremówki.

- No więc... co robisz poza szydełkowaniem? - zapytał.

- Jeszcze raz powiesz słowo o szydełkowaniu, a wyjdę - powiedziałam, przybierając groźny ton.

- Bo właśnie chciałem zapytać, czy ten szalik...

- Ani słowa! Milcz! - rozkazałam.

- Oczywiście, rozkaz wykonuję: ani słowa więcej. Graliśmy. Obydwoje trochę graliśmy. Nie wiem, skąd to się

wzięło, ale malowaliśmy jakieś swoje nowe twarze dla potrzeb tej znajomości. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, widzę to bardzo wyraźnie. Zaczęłam opowiadać zmyślane bzdury o tym szydełkowaniu, potem podjęłam rolę egzaltowanej panienci, a on rycerskiego giermka. Bawiło nas to i w jakiś sposób wyznaczyło styl naszej relacji wtedy i później.

A tamtego wieczoru opowiedzieliśmy sobie morze historii.

O nas. Tak jakbyśmy chcieli nadrobić wszystkie lata, kiedy się nie znaliśmy. Nigdy nikt nie dowiedział się o mnie tyle w czasie jednego spotkania i nigdy ja nie usłyszałam o nikim tak wiele. Był wcześniakiem, miał starszego brata, był bardzo żywym dzieckiem, wybił sobie mleczaka, gdy miał sześć lat, więc potem, przez kolejne trzy, nie miał zęba na przodzie, jego rodzice są obydwójce prawnikami, tak samo jak dziadek i pradziadek, lubi Kunderę i impresjonistów, nie znosi jazzu, nie ma artystycznych talentów, choć parę lat temu się uparł i uczył grać na gitarze, i trochę gra. Opowiadał i ja opowiadałam, i komentowałam to, co on mówił, i czułam, że chciałabym wiedzieć o nim wszystko. I on o mnie też. Opowiedziałam mu o sobie, o swojej rodzinie, o śmierci mamy (nie wdawałam się w szczegóły, bo nagle, gdy mu o tym powiedziałam, poczułam, że chce mi się płakać),

o swoich młodzieńczych pasjach plastycznych i o tym, że czasem mi szkoda, że nie poszłam na Akademię Sztuk Pięknych.

- Ale dlaczego nie malujesz? Lubiłaś to, więc powinnaś to robić. Nie musisz kończyć ASP, żeby wziąć sztalugę, farby i po prostu malować.

- Inni malowali lepiej... na przykład Bogdan - oczywiście opowiedziałam mu o swej przyjaźni z nim.

- No i co z tego? Ty się nie musisz z nikim ścigać. Właśnie dlatego, że robisz teraz coś innego, że będziesz kiedyś prawnikiem, to już nie musisz się ścigać z artystami. Malujesz, bo chcesz, bo ci to sprawia przyjemność. Życie daje nam tyle możliwości! Jakie to smutne, obudzić się pewnego dnia i zrozumieć, że nie wykorzystano się wszystkich szans. Trzeba wykorzystać każdą chwilę, wycisnąć z chwili każdą sekundę, próbować wszystkiego żeby w końcu znaleźć swoje przeznaczenie - mówił z przejęciem.

- A ty odnalazłeś swoje przeznaczenie?

- Jeśli chodzi o zawód, to na pewno wiem, że chcę być prawnikiem, że to jest to, co chcę robić w przyszłości. Tak, w tym sensie odnalazłem.

- A w innym sensie, no wiesz, takim życiowym? Wiesz, kim jesteś?

- Jestem egoistą - powiedział bez zastanowienia. Zobaczył w moich oczach pytanie.

- Tak. Niestety. Moja mama mi to wciąż powtarza, a ja? No cóż... I jestem przeambicjonowany. Przerost ambicji. Gdy zobaczę coś, co mi się podoba, to się do tego zapalam i chcę to robić. I robię. Tenis, narty, taniec, karate, języki. Ale to właśnie z tej zachłanności na życie. Bo ja wiem, widzisz, że to wszystko minie. Że młodość też kiedyś minie i możliwości się skończą, i zacznie się praca, i gonitwa z czasem. Ja to wiem i dlatego jestem taki zachłanny na życie teraz.

Słuchałam go jak zahipnotyzowana. Mówił wszystko to, co i ja czułam. Ujął mnie swoją szczerością. Że był egoistą? A kto nie był? Nie zraził mnie tym wyznaniem, wręcz przeciwnie. Patrzyłam na niego z uwagą i chłonęłam każde słowo. Nagle zapragnęłam znowu sięgnąć po pędzel i zatopić go w miękkiej farbie, poczuć zapach terpentyny i oddać się błogiemu zapomnieniu, jakie odczuwałam, kiedy skupiałam się na malowaniu. W jednej chwili postanowiłam, że znów zacznę malować. Ta perspektywa bardzo mnie ożywiła i nappełniła jakąś nową nadzieją.

W pewnej chwili zorientowałam się, że minęła dziesiąta. Postanowiliśmy wracać. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, świat był przysypany świeżą warstwą śniegu, który wciąż padał. Mariusz chwycił jedną część mojego wiszącego szalika i podrzucił lekko do góry.

- Owiń się ciepło, bo inaczej mi się przeziębisz - rzucił niedbale.

Powiedział: „m i się przeziębisz”, co nie uszło mej uwagi.

Odprowadził mnie na przystanek i poczekał ze mną na autobus. Cały czas rozmawialiśmy o różnych rzeczach, o uczelni, profesorach, książkach, nowych filmach. Śmiałam się, gdy naśladował jednego z wykładowców, starszego profesora, któremu kiedyś na wykładzie wypadła sztuczna szczeka.

- Masz płatki śniegu na rzęsach - zauważył w pewnym momencie, stając naprzeciwko mnie.

- Ty też. Zamieniamy się w śnieżne bałwanki - odpowiedziałam.

Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie, oświetleni poświatą latarni na Nowym Świecie.

A potem przyjechał autobus. Wsiadłam do środka i usiadłam przy oknie. Widziałam go niewyraźnie przez przyprószone śniegiem szyby. Podszedł do autobusu i narysował duże serce na szybie, a potem szybkim gestem odgarnął śnieg z jego środka i mo-

gliśmy się zobaczyć. Pomachałam mu. Cały czas się śmiałam. Czułam, że stało się coś ważnego. Nie mogłam porównać tego z niczym, co wcześniej przeżyłam. Dojeżdżając na swój przystanek, wciąż miałam uśmiech na twarzy.

W domu wyjątkowo był także tata. Rozmawiali właśnie z Ewą o planowanej na sobotę wizycie Roberta z rodzicami. Wiedziałam, że Ewa to wszystko bardzo przeżywa. Miałam jej pomóc w zrobieniu obiadu.

- Nie ma mowy, żeby ona tu wtedy była - mówiła Ewa.

Domyśliłam się, że chodzi o Barbarę. A więc ojciec miał pomysł, żeby ją zaprosić. Więc chce, aby uczestniczyła w ważnych momentach naszego życia. Zrozumiałam wtedy, że on naprawdę traktuje ją bardzo poważnie.

- Sama zadeklarowała pomoc, nie widzę w tym nic złego - skwitował.

- Majka mi pomoże. Poza tym to tylko obiad dla sześciu osób. Będziemy my i jego rodzice. To jest nasze rodzinne wydarzenie. Nie widzę powodu, żeby ona tu była. Nie odczuwam takiej potrzeby - przekonywała go Ewa.

Ojciec pokiwał tylko głową, a mnie przeszło przez myśl, że może o n odczuwa taką potrzebę. Miałam mętlik w głowie.

Zacząłam sobie robić kanapkę w kuchni i w milczeniu przyśluchiwałam się ich rozmowie. Ojciec siedział przy kuchennym stole pijąc herbatę, a Ewa stała oparta o parapet przy oknie i żywo gestykulowała.

- To niedorzeczne, żeby tu była w takiej chwili. Ja nie chcę, żeby była na tym obiedzie. Ona nie jest członkiem naszej rodziny.

- Nie jest członkiem naszej rodziny - powtórzył za nią ojciec. - Ale może będzie.

Spojrzałam na Ewę zdumiona.

- Ty chcesz się z nią ożenić? - zapytałam odruchowo, wstrzymując przeżuwanie kanapki.

Wzruszył ramionami, upijając łyk herbaty.

- Może poprzestańmy na razie na jednym ślubie, OK? -skwitowała Ewa. - Nie róbmy rewolucji.

- Ty się chcesz z nią ożenić? - zapytałam ponownie, siadając naprzeciw ojca.

- Nie wykluczam tego.

Wszystko się nagle zaczęło zmieniać. Czasem bywa tak, że nic w naszym życiu się nie dzieje latami, a czasem w krótkim czasie wszystko przewraca się do góry nogami. Miałam wrażenie, że nadchodził czas zmian. Nie wiedziałam, czy na lepsze, czy na gorsze, ale jednego byłam pewna: zmieniałam się ja i zmieniał się świat wokół.

6. Proroczy sen

Myślałam o Mariuszu. Wspominałam tamto popołudnie i wieczór. Wszystko było idealne. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Zastanawiałam się, czy on też myśli o mnie. Miałam nieodparte przeczucie, że tak.

Tamtej nocy miałam sen. To nie był zwykły sen. To był sen, z gatunku tych, które utwierdzają nas w obranej drodze. Śnił mi się pocałunek z Mariuszem. Pełen pasji i uczucia, doskonały.

Obudził mnie telefon. Spojrzałam na zegarek, dochodziła dziesiąta. Nie miałam dziś porannych zajęć, więc mogłam sobie pozwolić na dłuższe spanie. Odebrałam. To był on.

- Chciałem zapytać, co robisz? Jak spałeś? Bo marzy mi się poranna kawa z szanowną panią.

Zrobiło mi się gorąco. Ja też chcę! Marzę o tym - chciałam krzyknąć, ale zamiast tego powiedziałam zaspanym głosem:

- Ooo, szczerze mówiąc, właśnie się obudziłam - ziewnęłam. - Niech pomyśle... - zaczęłam oceniać w myśli, ile czasu zabierze mi kąpiel i makijaż.

- Za jakąś godzinę możemy się umówić - zdecydowałam.

Mieliśmy się spotkać w małym, nowoczesnym barku na Złotej. Jak się okazało, oboje mieszkaliśmy w centrum, dość blisko siebie.

Wyskoczyłam z łóżka i włączyłam muzykę. Brian Adams śpiewał *Have you ever really loved a woman*, a ja weszłam pod prysznic. Potem mocno wytuszowałam rzęsy, a powieki musnęłam odrobiną błękitu. Czułam się radosna i podekscytowana perspektywą spotkania. Poszłam do swojego pokoju i otworzyłam stuletnią szafę, która pamiętała jeszcze dom mojej świętej pamięci babci. Stary, dobry orzech z ozdobnym usłojeniem. Wybrałam granatowe dzinsy i białą, koszulową bluzkę. Włosy związałam w koński ogon. Byłam młoda i piękna, nie potrzebowałam niczego więcej, żeby wyglądać dobrze. Zamiast biżuterii miałam uśmiech na twarzy. Pomalowałam usta delikatnym, różowym błyszczkiem i byłam gotowa.

Podśpiewywałam, patrząc z zadowoleniem na swoje odbicie w lustrze. Nałożyłam brązowy, pikowany płaszcz, szydełkowy szal i już pędziłam na spotkanie z przeznaczeniem.

Kiedy doszłam na miejsce, Mariusz siedział przy stoliku w rogu sali. Lokal był prawie pusty. Za barem stał młody chłopak i przyrządzał cappuccino. Zmierzył mnie wzrokiem i dostrzegłam w tym pewien rodzaj aprobaty, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że wyglądam dobrze. Rzuciłam tylko radosne „Dzień dobry” i skierowałam się w stronę Mariusza.

Obdarzył mnie swoim szerokim uśmiechem i delikatnie musnął mój policzek. Poczulałam jego świeży zapach. Ładnie pachniał. Zapach jest ważny. I nie chodzi tu o wodę kolońską albo drogie perfumy. Człowiek musi po prostu ładnie pachnieć sobą. Byłam i jestem strasznie wrażliwa na zapachy. A jego zapach mnie po prostu od razu uwiódł. To był od początku taki bliski mi zapach, wchodził we mnie i zostawiał obietnicę.

- Ktoś tu nie założył czapki i ma zmarznięte uszy - powiedział z czułą przyganą.

To nie było nic banalnego w stylu „ładnie wyglądasz” czy „miło cię widzieć”. Zganił mnie na powitanie za nienoszenie czapki. Skąd wiedział, że potrzebowałam delikatnej przygany? W jednej sekundzie wróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy często słyszałam takie słowa z ust mamy. Wtedy mnie one denerwowały, ale potem czułam zazdrość, słysząc je z ust innych mam. Bo nie były kierowane do mnie.

- Tak, to głupie z mojej strony. Może zapomniałam tej czapki, a może jej celowo nie wzięłam, żeby nie popsuć fryzury - powiedziałam z pokorą.

- Zjesz kanapkę, *croissanta*, napijesz się kawy? Zamówiłam sobie francuskiego *croissanta* i cappuccino.

I znów rozmawialiśmy, a nasze tematy się nie kończyły. Nie było sekundy ciszy na zastanowienie, o czym można by jeszcze pogadać, jak to się czasem dzieje, kiedy nagle na pierwszej randce zapada kłopotliwe milczenie. My cały czas rozmawialiśmy. Byłam z nim bardzo swobodna.

Po dwóch godzinach, dwóch *croissantach*, jednej wspólnie zjedzonej bagietce z serem i dwóch cappuccino, wyszliśmy z baru i pomaszerowaliśmy Marszałkowską. Gdy mijaliśmy księgarnię, zatrzymałam się przed wystawą.

- Ooo, jest już nowy William Wharton. Uwielbiam go! - wykrzyknęłam, widząc na drzwiach plakat z okładką książki *Al*. - Wejdźmy na chwilę. Muszę to kupić.

W księgarni odnalazłam powieść Whartona. Mariusz tymczasem zniknął gdzieś w dziale literatury prawniczej. Nie mogłam się oprzeć pokusie i zaczęłam szperać wśród książek. I wtedy pod literą „D” natknęłam się na Stanisława Dygata i jego *Disneyland*. Dawno tego nie wznawiali. Miałam jeden stary egzemplarz, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Piękna książka, jedna z moich ulu-

bionych. Bohater był młodym człowiekiem, szukającym swojego miejsca w życiu, szukającym miłości. Postanowiłam kupić tę książkę dla Mariusza. Poszłam do kasy i dostrzegłam go nieopodal, przeglądającego jakieś czasopismo. Zapłaciłam za książki, a potem do niego podeszłam.

- Kupiłaś? Skinęłam głową.

- A ja też coś kupiłem i chcę ci dać - wyciągnął spod kurtki książkę. - To dla ciebie.

Spojrzałam na tytuł. *Nim nadejdzie lato* Remarque'a. A więc też kupiłam mi książkę. Byłam wzruszona.

- Ja też coś dla ciebie mam - podałam mu Dygata.

- Stanisław Dygat *Disneyland*. Czytałem jego *Podróż*.

- Przeczytaj to. Niesamowita książka.

- Bardzo dziękuję - spojrzał mi poważnie w oczy.

Ta chwila była piękna. Obydwoje pomyśleliśmy, aby zrobić sobie tę samą niespodziankę. Ta chwila mnie zachwyciła i onieśmieliła. Nagle zdałam sobie sprawę, że zakochuję się w tym chłopaku, że jest spełnieniem wszystkich moich marzeń i wyobrażeń. Staliśmy naprzeciw siebie, ze swoimi książkami w rękach, i milczeliśmy. Wokół słychać było gwar rozmów, ale my nie słyszeliśmy niczego. I wtedy mnie pocałował.

Na wykładach popołudniowych wcale nie mogłam się skupić, więc pod pulpitem czytałam *Nim nadejdzie lato*. Od pierwszych stron książka mnie wciągnęła, urzekła swym nastrojem i piękną nostalgią. Mariusz zadzwonił wieczorem, pytając, jak minął dzień. Okazało się, że następnego dnia mieliśmy wykłady w podobnych godzinach, a potem okienko, więc zamierzaliśmy się gdzieś wypatrzyć. Życzył mi dobrych snów i zapowiedział, że w łóżku będzie czytał *Disneyland*.

Potem rozmawiałam z Bogdanem i ze szczegółami wszystko mu opowiedziałam. O wczorajszym popołudniu, dzisiejszym przedpołudniu, książkach w księgarni. Przemilczałam tylko pocałunek, bo miałam wrażenie, że mówiąc już o tym, coś spłoszę.

- No, no, mam wrażenie, że tu się coś rodzi - powiedział, gdy skończyłam opowiadać. I mnie się tak zdawało.

Cały czas o nim myślałam. I był to taki przyjemny stan. Słuchałam muzyki, piosenek o miłości, o oddaniu, o zaczarowaniu drugą osobą. Znałam je wszystkie doskonale, ale nagle wyłapywałam z nich inną treść. Nowe znaczenie. Celinę Dion śpiewała *Falling into you*, a ja wiedziałam, czułam to głęboko, że rzeczywiście się zakochuję pierwszy raz, prawdziwie, że chcę dać całą siebie i zatracić się w tym oddaniu.

Byłam totalnie zakręcona. Nagle uwierzyłam w miłość, wiedziałam, że tylko ona zbawi świat i tę jedną, malutką jego część, jaką ja jestem. Czułam się ziarnem piasku wśród miliardów innych ziaren i zachwyciła mnie myśl, że tyle jest na świecie ludzkich serc, a właśnie w jednym momencie dwa z nich odnajdują siebie i zaczynają bić mocniej. Może to wszystko, co piszę, brzmi infantylnie, ale ja naprawdę czułam takie uniesienie. Zupełnie jakbym wzbijała się ponad powierzchnię ziemi.

Marzyłam tylko o jego pocałunkach, przypominałam sobie jego zapach, wyobrażałam sobie, jak by to było przeżyć to z nim. Miałam oczywiście na myśli seks. Seks plus to wszystko, co już do niego czułam. Skoro na sam dźwięk jego głosu w słuchawce biło mi serce; ba, nawet dźwięk dzwonka powodował dreszcz, że może to on, to co dopiero seks. Jaki będzie seks z nim? - zastanawiałam się i czułam przyjemne podniecenie.

Przez całe wykłady myślałam tylko o nim. O tym, że niedługo się spotkamy. Kiedy wychodziłam z sali wykładowej, zrobiło

mi się gorąco na samą myśl, że za chwilę go zobaczę. Szłam z koleżanką; ona coś do mnie mówiła, ale nie słyszałam co. Rozglądałam się tylko wokół w nadziei, że go gdzieś wypatrzę. Nie musiałam długo szukać. Stał przy głównych drzwiach i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Niby coś do niej mówił, ale patrzył... tak, w moją stronę. Nasze spojrzenia się spotkały. Zobaczyłam uśmiech na jego twarzy. Podeszłam.

- Więc to nie może być sukcesja generalna w żadnym razie albo ja nic z tego nie rozumiem - dotarł do mnie głos jego rozmówczynie.

Nie pozwolił jej dokończyć, bo od razu zwrócił się do mnie:

- Jesteś. No to będziemy się zbierać. Mamy niecałą godzinę. Masz ochotę na pierogi? Niedaleko jest taki przyjemny bar, w którym podają niezłe pierogi.

- Idziecie coś zjeść? To i ja się dołączę, bo też jestem strasznie głodna - powiedziała dziewczyna.

Spojrzał na nią niepewnie, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, że pospieszył się z informacją o naszym *lunchu*. I przez to mieliśmy ogon. Nieproszone towarzystwo.

- My się nie znamy. Aśka - wyciągnęła rękę w moją stronę. Dziewczyna była nieprawdopodobnie gadatliwa i właściwie

nie zamykała ust. Cały czas mówiła. Nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy słuchać jej monologów, przerywanych jakimiś naszymi „Tak” albo „Tak bywa”, albo „Czemu nie?” lub „Tak myślisz?”.

Przed wejściem do baru Mariusz delikatnie mnie objął, wpuszczając do lokalu. Było w tym coś troskliwie czułego. A potem oboje właściwie jedliśmy w milczeniu, słuchając nadal monologów Aśki. Ale jego spojrzenie mówiło wiele. Zdradzało uczucie. Nie mogłam się mylić. I nie mogę teraz powiedzieć, że byłam zaślepiona swoim zakochaniem. Nie. Obydwoje byliśmy. Kiedy wróciliśmy na wydział i mieliśmy się rozstać, i w końcu pozbyliśmy się nieproszonego towarzystwa, powiedział:

- Słuchaj, chciałbym żebyśmy się spotkali gdzieś razem. Może jakieś kino? W sobotę?

- W sobotę raczej nie dam rady. Mam uroczysty obiad w domu. Moja siostra się zaręcza - ostatnie zdanie wypowiedziałam konspiracyjnym szeptem.

Uśmiechnął się, a w jego spojrzeniu dostrzegłam jakby aprobatę, która miała mówić: „kochają się, zaręczają, bardzo dobrze”. Zajęcia się już zaczynały, więc rzucił tylko:

- To w niedzielę? Zadzwoń, dobrze?

Zadzwoił jeszcze tego samego dnia i umówiliśmy się na niedzielę.

7. Słodkość truskawkowego dżemu

Zanim nadeszła niedziela, minęła upiorna sobota i spotkanie z Robertem - narzeczonym mojej siostry i państwem Miszczakami - jej przyszłymi teściami. Ewa była od rana strasznie zdenerwowana. Przygotowywałyśmy proste, sprawdzone dania, które robiłyśmy wiele razy, a mimo to moja siostra traciła zmysły. Uważała, że schab pieczony ze śliwką wyszedł „za suchy”; miała pretensje, że to przeze mnie, bo miałam go podlewać, a tymczasem godzinę wisiałam na telefonie. Oczywiście, z Mariuszem. Moja siostra dostrzegła zmianę we mnie, moje rozmarzenie, moją euforię niemal, kiedy dzwonił. Kiwała tylko głową ze zrozumieniem.

A ja z kolei patrzyłam na nią z większym zrozumieniem niż kiedyś. Bo przedtem nie mogłam pojąć, jak w centrum swego życia można stawiać mężczyznę. Teraz bardziej potrafiłam ją zrozumieć. Oczywiście, nawet na moment nie odeszłam od własnych planów. Nadal zamierzałam przede wszystkim skończyć studia, zacząć pracę w dobrej kancelarii, iść na aplikację i zostać

adwokatem albo radcą prawnym. Prowadzić sprawy, duże, ważne, robić fuzje i przejęcia. Chciałam być niezależna i zarabiać dużo pieniędzy. Ale wiedziałam też, że pełnię szczęścia można osiągnąć, kiedy do tego wszystkiego dodamy miłość.

Obiad zaręczynowy się udał. Kiedy zobaczyłam w drzwiach Roberta z bukietem czerwonych róż, pomyślałam, że w tej chwili powinna je odebrać nasza mama. Ewa włożyła kwiaty do wazonu, który stał na mahoniowej konsoli, tuż obok zdjęcia mamy, i wiedziałam[^] że pomyślała o tym samym. Mama patrzyła na nas wesoło z fotografii, a za nią, w oddali, szumiał Bałtyk.

Potem pojawili się rodzice Roberta, którzy okazali się bardzo sympatycznymi ludźmi. Zwłaszcza panowie od razu przypadli sobie do gustu i rozprawiali z przejęciem o premierze Jerzym Buzku, który w ich oczach budził szacunek.

- To uczciwy człowiek, z rodziny o wielkich patriotycznych tradycjach. Prawicowiec, ale nie jakiś ideolog i w dodatku protestant w ugrupowaniu katolickim - dochodziły do mnie słowa ojca, gdzieś między kuchnią a salonem, kiedy to donosiłam nowe dania i zmieniałam talerze.

A potem zaczęto rozmawiać na temat, którym ostatnio żył cały kraj: dwunastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Polska wstąpiła do NATO. Staliśmy się członkiem najsilniejszego paktu militarnego.

- W końcu doczekaliśmy się należnego miejsca wśród państw świata i ostatecznie uniezależniliśmy się od Rosji - stwierdził mój ojciec.

- Ja wiem, czy to dobry moment na wejście do sojuszu? - pan Miszczak powątpiewająco zmarszczył czoło. - Wojny i tak teraz nie będzie żadnej. Świat, Rosja mają inne problemy. Zreformowaliby lepiej służbę zdrowia, wybudowali porządne szpitale. Na modernizację armii poszły przecież koszmarnie pieniądze.

- Nie. To było konieczne - zaoponował ojciec. - To jedyny efektywny sojusz militarny w Europie. Po upadku komuny,

po rozwiązaniu Układu Warszawskiego trzeba było to zrobić! -w jego głosie słychać było niebezpieczną zapalczliwość.

- Teraz będą naszych wysyłać na te wszystkie misje pokojowe i tyle będzie z tego pożytku, że Polacy będą ginąć za obcych - dodał pan Miszczak.

Mój ojciec już chciał gwałtownie zaprotestować, ale Ewa, która właśnie wracała z kuchni, zza pleców pana Miszczaka zmierzyła ojca lodowatym spojrzeniem i przecząco pokręciła głową, co miało oznaczać, że chce, aby się powstrzymał od radykalnych, siejących ferment sądów. Ojciec zamilkł i przeżuwał w milczeniu schab. Znałam jego poglądy i je szanowałam, ale gdzieś wewnątrz nie zgadzałam się z nimi. W pokoleniu mojego dziadka była woła walki, pokolenie mojego ojca prowadziło walkę ukrytą, zakulisową. Ulotki drukowane w podziemiu i kolportowane w szeregach Solidarności. A ja? A moi rówieśnicy? Nie walczyliśmy o kraj. Walczyliśmy o siebie.

Moja siostra zupełnie się pogubiła. Próbowwała zajmować rozmową swoją przyszłą teściową, zapominając znośić ze stołu puste talerze po zupie pomidorowej. Ja tymczasem, niewiele mówiąc, za to zachowując wciąż bystrość myślenia, dopilnowałam wszystkiego, a na koniec podałam podgrzaną w piekarniku szarlotkę z lodami waniliowymi. W międzyczasie myłam naczynia i zaprowadzałam ogólny ład.

W trakcie deseru Robert odchrząknął i zwracając się do mojego ojca, powiedział uroczyście, że chce pojąć obecną tu Ewę za żonę. Niby wszyscy o wszystkim wiedzieli, a każdy zachowywał się tak, jakby się o tym pierwszy raz dowiedział. Może po prostu pewne ważne momenty życia wymagają szczególnej oprawy, bo tylko wtedy dociera do nas ich waga? Chyba tak. Także i ja uświadomiłam sobie, że moja siostra zaczyna nowy rozdział życia, a siedzący obok Robert będzie jej niedługo ślubował miłość i wierność. Jak świat długi i szeroki, wszystko wygląda podob-

nie. Czy jesteś biedny czy bogaty, czy żyjesz w Kalifornii, czy w Moskwie, pewnego dnia spotykasz właściwą osobę, zakochujesz się, postanawiasz z nią spędzić resztę życia, a potem macie dzieci i je razem wychowujecie. Miałam w sobie jeszcze wciąż młodzieńczy bunt przed tak „banalnym” zwieńczeniem swego żywota, a jednocześnie podejrzewałam, że nic lepszego człowiekowi nie może się przytrafić, bo niczego lepszego na tym świecie po prostu nie ma. I jeśli właśnie to się uda, to „to” nazywa się szczęście.

- Kiedy planujecie ślub? - zapytał rzeczowo ojciec.

- Nie chcemy długo czekać. Za kilka miesięcy, może lipiec, sierpień - odpowiedział Robert.

- Musi być „r” w miesiącu. Lipiec odpada - powiedziała rezolutnie moja siostra, uśmiechając się czule do swojego narzeczonego, a w blasku świec zamigotał brylant w pierścionku na serdecznym palcu jej prawej dłoni.

- Będzie „r”, będzie „r”, Ewuniu - zaszczębiotał Robert, chwytając ją za rękę.

A potem zaczęły się rozmowy o tym, gdzie ten ślub, gdzie wesele, jaka suknia i tym podobnych rzeczach, ale przyznam, że poszłam zmywać naczynia i pograżyłam się w myślach dotyczących mojego jutrzejszego spotkania z Mariuszem.

To miała być nasza pierwsza oficjalna randka. Wcześniej przecież spotkania były raczej przypadkowe i spontaniczne. To dzisiejsze było ustalone. Miał przyjść po mnie o szesnastej.

Zrobiłam przegląd szafy i oczywiście stwierdziłam, że nie mam co na siebie włożyć. Miotalam się przed lustrem, mierząc coraz to nowe stare ubrania i wszystkie wydawały mi się beznadziejne. Potrzebowałam czegoś nowego. Że też nie pomyślałam o tym wcześniej i nie poszłam na jakieś zakupy! Była pierwsza,

musiałam jeszcze umyć włosy i się wymalować; nie było czasu na buszowanie po sklepach.

- Robię sałatkę z grillowanym kurczakiem, zrobić dla ciebie? - do pokoju zajrzała Ewa. Miała znakomity nastrój po wczorajszym obiedzie, i była mi niesłychanie wdzięczna za moją nieocenioną pomoc.

- Zjem, zjem, dzięki! - wychyliłam się zza szafy.

- Porządki czy przymiarki? - weszła do pokoju. Wzruszyłam tylko ramionami, zrezygnowana.

- Umówiłam się na dzisiaj, ale nie mam co na siebie włożyć.

- To ten nowy chłopak?

- Tak...

Spojrzała na mnie pytająco, ale ja nie miałam nastroju na opowieści. Ewa na szczęście nie była nachalna i okazała się wspaniałomyślna.

- Moja szafa jest do twojej dyspozycji, jakby co...

- Serio? - spojrzałam na nią z niedowierzaniem, bo czego jak czego, ale ubrań Ewa nie znosiła pożyczać. Musiała mieć wyjątkowo dobry dzień.

Miałyśmy podobne figury, więc w jej szafie bez problemu mogłam znaleźć coś odpowiedniego. Moja siostra miała wyrafinowany gust i lubiła rzeczy dobrej jakości. Długa, zakardowa kamizelka z domieszką *lycry*, zapinana na suwak, okazała się idealna. Jej błękit pasował do moich oczu. Pod spód włożyłam białą, obcisłą bluzkę z dekoltem. Rozpuściłam swoje długie włosy. Mocno wytuszowałam rzęsy, a powieki przyprószyłam błękitem. Obrysowałam usta jasnobeżową konturówką i wypełniłam je błyszczkiem w kolorze pastelowego różu.

- Nieźle - powiedziała Ewa, gdy mnie zobaczyła. - Widzę, że musi ci zależeć...

- Aż tak to widać? - zapytałam zaniepokojona.

- Ja widzę, bo cię znam.

Przyszedł po mnie o szesnastej. Zaprosiłam go do mieszkania, a sama zaczęłam się ubierać. Miał na sobie błękitną koszulę, której kołnierzyk wystawał znad granatowej kurtki. Wyglądał świeżo. Jasna koszula przyjemnie kontrastowała z jego oliwkową karnacją. Moja siostra wyrzała z pokoju i z uśmiechem na twarzy się przedstawiła.

- Zejdę po jakieś pączki na dół - powiedziała, wkładając płaszcz.

Wiedziałam, że to wymówka. Nigdy nie jadała pączków, ale w naszej kamienicy, na parterze, rzeczywiście mieściła się cukiernia.

- Zjecie?

- Nie, my już wychodzimy - zareagowałam natychmiast, żeby uniemożliwić Mariuszowi jakąkolwiek inną odpowiedź.

Tak naprawdę mieliśmy dużo czasu, bo nasz seans miał się zacząć dopiero o osiemnastej trzydzieści. Ale nie chciałam nikogo innego, żadnych osób z nami, chciałam po prostu być z nim i go poznawać, poznawać, poznawać. Byłam wystarczająco przejęta tym spotkaniem, żeby znosić jeszcze lekko kpiący uśmiech mojej siostry, który znaczył tyle co „Patrzcie, patrzcie, nie poznaję Majki, uczucie widać na kilometr, to ci dopiero heca, a taka niewzruszona była zawsze”.

Przyjechał samochodem, białym, starym fordem escortem. Powiedział, że dostał go od dziadka. Zaparkowaliśmy w pobliżu Miodowej i spacerkiem zmierzaliśmy w kierunku Starego Miasta. Dochodziliśmy do kolumny Zygmunta, kiedy powiedział:

- Pójdziemy na wieżę?

- Na jaką wieżę?

Wskazał ręką wieżę widokową z dzwonnica, przy kościele św. Anny.

Wdrapaliśmy się wąskimi schodami na szczyt. Byliśmy sami na małym tarasie widokowym, z którego widać było Wisłę. Lekki wietrzyk od północy nawiewał mi włosy na twarz.

- Pięknie...-powiedziałam.

Stał obok mnie i patrzył przed siebie. Potem spojrzął na mnie i odgarnął mi włosy z twarzy. -

- Ty jesteś piękna - powiedział.

Pocałowaliśmy się. To trwało długo. Nie wiem, jak długo, bo czas się zatrzymał. To był pocałunek, który wprowadził mnie w stan jakiejś szalonej pasji.

A potem na wieży pojawiło się małżeństwo z dwojgiem dzieci, nasz pocałunek został przerwany szczebiotem dziecięcych głosów. Trzymając się za ręce, schodziliśmy po krętych schodach. Mariusz podtrzymywał lekko moją dłoń.

Niewiele mówiliśmy. W czasie pierwszych naszych spotkań gadaliśmy jak najęci, a teraz milczeliśmy. Zmierzaliśmy w stronę samochodu, trzymając się za ręce, obydwójce pogrążeni we własnych myślach. Miałam wrażenie, że on nad czymś się zastanawia, że za chwilę mi wyjaśni, o co chodzi, ale nic takiego nie nastąpiło. Trzymał mnie mocno za rękę i wyczuwałam w tym jakiś upór. Może dotarło do niego w tamtej chwili, że rodzi się między nami coś niezwykłego? Może było coś, o czym myślał, a co wołał zostawić dla siebie?

Minęła szósta i już niebawem miał się zacząć nasz seans. Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy Krakowskim w kierunku Bednarskiej. Niestety, nie mogliśmy w nią wjechać od tej strony, bo stał tam zakaz wjazdu.

- Zapomniałem, że tu jest zakaz - pokiwał głową z dezaprobatą, ale zamiast się wycofać, sprawnie zawrócił samochód i wjechał w Bednarską tyłem. Do Dobrej był spory kawałek, ale było za późno na zmianę trasy, jeśli nie chcieliśmy się spóźnić. Czułam przyjemny dreszcz, jadąc tak w dół ulicy tyłem. Spod

przymkniętych powiek obserwowałam jego skupione spojrzenie, kiedy odwrócony patrzył w tylną szybę i bez cienia niepewności jechał do tyłu. Miał lekko rozchylone usta; dostrzegłam jego białe zęby. Zmarszczył brwi, skoncentrowany na tym, aby jechać prosto. Ukradkiem podziwiałam jego doskonały profil. Wydał mi się idealnie piękny i doskonały. Byłam nim zachwycona.

Człowiek jest dobry. Zawsze wierzyłam, że człowiek z natury jest dobry. Dopiero skomplikowane meandry życia znoszą go z prostej ścieżki losu i potrafią uczynić już nie takim prawym. Tak samo jest z zaufaniem. Człowiek ufa, dopóki ktoś go w życiu nie zawiedzie. Byłby głupcem, gdyby z nikczemności innych ludzi wobec siebie nie wyciągał wniosków. Tak samo było ze mną. Ale tamtego marcowego popołudnia, jadąc wbrew przepisom w dół ulicy, nie oglądałam się za siebie, bo ufałam, że ktoś to robi za mnie i że jestem bezpieczna. W tamtej chwili pojechałabym z nim na koniec świata, bo mu ufałam.

Nie wiem, o czym był tamten film. Nie wiem, jaki miał tytuł. Nie pamiętam. Przez pierwsze dziesięć minut siedzieliśmy obok siebie, wpatrzeni w ekran. A potem jego ręka odszukała moją. Położyłam głowę na jego ramieniu i patrzyłam przed siebie, ale nie widziałam tam nic ciekawszego od tego, co czułam. A czułam ciepło płynące z jego dłoni, rozchodzące się powoli po całym moim ciele. Miałam lekko zmarznięte dłonie, ale po krótkim czasie zrobiły się gorące. Moja głowa spoczywała wciąż na jego ramieniu i było mi błogo. A potem poczułam, że odwrócił głowę; uniosłam swoją lekko i pocałowaliśmy się. Pragnęłam go, jak jeszcze nigdy nikogo.

Miotaliśmy się tak chyba z godzinę, całując się i przytulając na przemian. W końcu szepnął mu do ucha:

- Wiesz, o co tu chodzi?

- Tak, zakochuję się w tobie - odpowiedziałam z naturalną prostotą, choć od razu asekuracyjnie zaśmiałam się bo chciałam żeby to zabrzmiało przewrotnie.

Uśmiechnął się i przytulił mnie mocniej.

- O co w tym filmie chodzi? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

- Więc może wyjdziemy?

- Jasne.

Postanowiliśmy pospacerować nad Wisłą. Był chłodny wieczór, ale mnie było gorąco. Rozpięłam płaszcz. Na niebie nie było żadnej gwiazdy, a księżyc wyglądał jak płonąca kula. Całowaliśmy się, mocno trzymając swoje dłonie. Niewiele mówiliśmy. Miałam wrażenie, że słowa są zbędne. Było tak, jakbym odnalazła samą siebie. Nagle zobaczyłam wyraźnie, że zmierzam we właściwą stronę. No i pojawiła się radość. Po prostu zwykła, szczerą radość. Co jakiś czas, zupełnie bez powodu, śmialiśmy się głośno, gdy nasze spojrzenia pokazywały to niepojęte zaangażowanie.

Kiedy wróciłam do domu, zamknęłam się w swym pokoju i znów spojrzałam na księżyc. Pozostał niemym świadkiem wieczoru. Całą noc nie spałam. Byłam po uszy zakochana.

Nad ranem trochę się zdrzemnęłam, ale najwidoczniej nie był to najmocniejszy sen, skoro obudziły mnie odgłosy szyczącej się do wyjścia Ewy. Właściwie rok miała zaliczony, pracę magisterską oddaną i czekała tylko na termin obrony, ale wciąż chodziła na jakieś fakultatywne wykłady.

Wstałam z łóżka i poszłam zrobić sobie kawę. Zaraz potem zadzwonił telefon. Spojrzałam na zegarek: dochodziła dziewiąta. Dzwonił Mariusz, ciekawy, jak spałam. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że wcale. Wróciłam z kawą do łóżka i ziewnęłam.

- Czasem tak mam, gdy jest pełnia. Nie mogę spać - powiedziałam beztrzesko, choć to nie tylko pełnia była powodem mojej bezsenności.

- A ja tak nigdy nie mam, a tym razem też prawie nie spałem. I co na to powiesz? - zapytał.

- Coś się widocznie zmieniło - powiedziałam ze śmiechem, upijając łyk kawy.

- Ale u ciebie nic się nie zmieniło. Po prostu jak zwykle pełnia i kłopoty ze snem, tak? - zapytał przewrotnie.

- Nie jestem pewna.

- Czy mam jakoś cię utwierdzić?

- Tak, chcę być pewna.

- Mam zaraz się u ciebie stawić czy mogę po wykładach? Jesteś sama?

- Tak, Ewa właśnie wyszła. O której dziś kończysz? - zapytałam.

- Poniedziałek to orka. Od pierwszej do wieczora.

- A ja mam poniedziałki wolne. Powoli zjem śniadanie, a potem wezmę się za postępowanie cywilne.

Jakoś tak zupełnie naturalnie przeszliśmy do spraw uczelnianych. Kazusy, kodeksy, seminaria, referaty, egzaminy. Ten temat nigdy się nie kończył, ale też był najczęstszym przedmiotem niezobowiązujących rozmów z dosłownie każdym na roku. Do kogo chodzić, u kogo zdawać, który z wykładowców z czego pyta i tak dalej. Musiałam przyznać, że był we wszystkich strategiach nieźle oblatany.

Skończyliśmy rozmowę jakoś tak zwyczajnie, nie umawiając się, nie obiecując sobie kolejnego spotkania. Miałam niemiłe wrażenie, że było to takie zbyt „koleżeńskie”. Sama siebie zgałam za takie myśli, no bo przecież zadzwonił, powiedział, że nie spał, dał mi do zrozumienia, że z mojego powodu. A więc także on wie, że dzieje się między nami coś ważnego. Chłodna woda pod prysznicem przywróciła mi jasność myślenia i znów byłam radosna.

Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, rozczesując mokre włosy, i zrobiło mi się jednak żal, że nie zobaczę go dzisiaj.

Uśmiechnęłam się bezwiednie. A więc tęsknota. Po prostu tęsknię. Zaczęłam nawet myśleć, że mogłabym wyskoczyć na wydział i wypożyczyć do skserowania dwa artykuły na seminarium. Doskonale wiedziałam, że mogę to zrobić jutro, że muszę je przeczytać dopiero na przyszłotygodniowe seminarium i że to czysty pretekst, żeby go niby przypadkiem spotkać. Westchnęłam tylko cicho, bo postanowiłam przewyciężyć swoje pragnienia i zacząć uczyć się procedury cywilnej.

Tymczasem nastawiłam wodę na jajka i włożyłam kromkę do tosterka. Potem wsypałam do wody sól, a jajko, które wyjęłam z lodówki, włożyłam do kubka z ciepłą wodą. Tak zawsze robiła mama, żeby jajko nie pękło po włożeniu do wrzątku. Pamiętam, gdy jako kilkuletnia dziewczynka zapytałam, dlaczego soli wodę, skoro gotuje jajko w skorupce, „przecież ono i tak się nie posoli”. I wtedy mi powiedziała. Włożyłam jajka na cztery minuty do gotującej wody i zrobiłam kawę.

Sprzątałam właśnie po śniadaniu, kiedy zadzwonił domofon. Spojrzałam na zegarek. Minęła dziesiąta. Za wcześnie na pocztę. Nacisnęłam przycisk domofonu. To był Mariusz. Serce mi podskoczyło. Miałam na sobie domowe dresy i zero makijażu. Zaczęłam przeczesywać ręką włosy.

Po chwili zobaczyłam go w drzwiach, z papierową torbą w dłoni.

- Jeszcze ciepłe *croissanty*. Dostawa do domu. Czy mogę się wprosić na kawę do szanownej pani?

Parsknęłam śmiechem.

- Jasne, zapraszam. Zaraz zaparzę świeżej. Wszedł za mną do kuchni i usiadł przy stole.

- Przytulnie tu - rozejrzał się wokół.

Ja też lubiłam naszą kuchnię. Dębowe szafki, biały kredens, lniane zasłony w oknach i zazdrostka z szydełkową firanką, zrobiona przez ciotkę Hankę. Na ścianie kazimierzowski pejzaż

olejny. Dębowy stół z grubym blatem i stare, przedwojenne krzesła z tapicerowanymi siedzeniami.

Uśmiechnęłam się, stawiając na stole dzbanek z kawą, ciepłe mleko, dwie filiżanki i oczywiście francuskie rogaliki, które kupił. Przyniosłam też masło, dżem truskawkowy i twaróg.

- Spróbuj z dżemem, pycha - powiedziałam.

- To ja się bałam, że zostanę zganiony za bombę kalorii, którą przyniosłem, a tu widzę, że trafiłem na prawdziwego łakomczucha - skwitował, smarując rogalika masłem.

- Jesteś piękna bez makijażu - powiedział po chwili. - Masz taką piękną oprawę oczu, gęste rzęsy; wcale nie musisz się malować.

Parsknęłam tylko, bo speszył mnie tym niespodziewanym komplementem. Miałam niedosuszone włosy w lekkim nieładzie i krem nawilżający na twarzy, nic więcej.

Piliśmy kawę, jedliśmy rogaliki i było pięknie. Początkowe skrępowanie zniknęło; czułam się zupełnie swobodnie. Kiedy sprzątałam ze stołu, zaproponował, że mi pomoże. Ja zmywałam, a on wycierał naczynia.

- Dziecko się upaćkało - powiedział w pewnej chwili. - Masz dżem na brodzie.

Miałam ręce mokre, więc rozłożyłam je tylko bezradnie. Wtedy on zbliżył się do mnie i zlizął dżem z mojej brody. Byłam tym gestem lekko oszołomiona, ale też wydał mi się czuły. Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam w nich pytanie. Zachował się spontanicznie i dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo to było intymne.

Pocałowaliśmy się. To był długi pocałunek. A potem jego usta wędrowały po całej mojej twarzy. Muskał ustami moje policzki, nos, oczy, czoło. I znowu się całowaliśmy. Wtuliłam się w niego całym ciałem. Wiedziałam, że mnie pragnie. Ale to ja zrobiłam pierwszy krok. Włożyłam dłoń pod jego koszulę i pogłaskałam plecy. Miał gładką skórę, pod którą wyczuwałam sprężyste mię-

śnie. Spojrzał mi znów pytająco w oczy. W odpowiedzi zamknęłam powieki i mocniej przywarłam do niego.

A potem znaleźliśmy się jakimś cudem w moim pokoju, na niepościelonym jeszcze łóżku. Całował moje piersi, a potem nagle wyszeptał tylko cicho:

- Chcesz?

Oczywiście, że chciałam, choć oczywiście przemknęło mi przez myśl, że powinniśmy poczekać. Znałam go dopiero tydzień. To był bardzo intensywny tydzień, ale skoro czułam do niego całe to morze uczuć, to może powinnam poczekać? Ale na co miałam czekać? Przecież życie jest krótkie, a pewna jest tylko śmierć. I przemknęło mi przez myśl, że nie oddając się temu fascynującemu magnetyzmowi, nigdy w życiu nie przeżyję czegoś podobnego. Moje ciało było pobudzone nie tylko jego pieszczotami, ale jakimś elektryzmem, który przechodził między nami. Dotyk jego dłoni, języka, smak jego ciała, zapach - wprawiły mnie w trans. Jeszcze nigdy nie czułam takiej potrzeby oddania i nigdy tak wiele nie chciałam dać. I było to dla mnie częścią jakiegoś naturalnego procesu, jakby reakcji łańcuchowej, wprowadzenia w ruch pierwszej kostki domina.

I stało się. Uprawialiśmy seks. Jeśli powiem, że to był najlepszy seks, jaki w życiu przeżyłam, to nie będzie znaczyło wiele. Bo cóż ja takiego do tamtej pory przeżyłam? Bo wszystko, co przeżyłam, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Było niczym w porównaniu z tamtym przedpołudniem.

Na wykłady tamtego dnia nie poszedł.

8. Nierozłączni

Magda wróciła ze swoich wojaży w bardzo dobrym nastroju. Wyglądała poza tym szalowo. Kaszmirowa marynarka i ele-

gancki plecak z czarnej, lakierowanej skóry, idealny manicure; paznokcie, choć bordowe, były dość krótko przypiłowane. Stała się bardziej wysublimowana i nabrała klasy. Przynajmniej z wyglądu, bo jej zachowanie zaczęło mnie bardziej razić niż bawić.

- Pięknie wyglądasz w tej marynarce - powiedziałam zgodnie z prawdą, bo naprawdę podobał mi się jej nowy styl.

- Paweł stwierdził, że muszę ją mieć, że ta marynarka to cała ja: ekscentryczna, lecz elegancka. Było super, a jaki hotel! Limuzyna wozila nas na spotkania. Ale powiedz, wpisywałaś mnie na wykłady? Mam nadzieję, że nie narobiłam sobie tyłów?

- Spoko. Wszystko jest pod kontrolą. Raz nie byłam na procedurze, ale w ogóle zapomniała sprawdzić listę. Robiła przypozwanie, straszne nudy.

- Muszę to wszystko nadrobić, chyba nocami, bo nie wiem, kiedy; w weekend może. Już sobie obiecałam, że w sobotę nie dam się Pawłowi wyciągnąć z domu.

- Lubisz go?

- Jest szczerzy i otwarcie stawia sprawę. Nie żyje z żoną, ona jest, rozumiesz, oziębła.

Uniosłam brwi.

- Wiem, co o tym sądzisz, ale uwierz, że znam szczegóły tej sytuacji i wiem, że tak jest. A zresztą - zniecierpliwiła się - czy ja ci się muszę tłumaczyć? Fajnie się z nim bawię i już.

- Jasne - wzruszyłam ramionami.

- Oddałaś notatki Jodle? - zapytała nagle.

Spojrzałam na nią i zamrugałam powiekami, co miało oznaczać, że coś się wydarzyło, że doceniłam jego urok, o którym mi przecież sama opowiadała. Że unoszę się nad ziemią.

- Oddałam i oddałam mu coś więcej: siebie - zaśmiałam się lekko.

- Co?! - prawie krzyknęła.

Postanowiłam jednak spoważnieć i mniej więcej oddać powagę sytuacji w jakiej się znalazłam. Z Magdą było to trudne, bo styl naszej wzajemnej relacji zakładał przedmiotowe traktowanie facetów i lekko cyniczne podejście do sfery uczuć i związków.

- No, dobrze, a teraz na poważnie - powiedziałam. - Od pierwszego momentu coś między nami zaiskrzyło. Uwierz mi, to było zupełnie niespodziewane, nowe dla mnie odkrycie. I od pierwszej chwili staliśmy się właściwie nierozłączni...

Opowiedziałam jej wszystko dość szczegółowo, a ona zupełnie zaniemówiła. Myślałam, że jest pod wrażeniem mojej opowieści, ale byłam w błędzie. Kiedy doszłam do wczorajszych rogalików u mnie w domu, w końcu się odezwała.

- To nie jest facet dla ciebie - skwitowała.

- Dlaczego? - zapytałam.

- To nie jest ten rodzaj chłopaka, po prostu. Gdybyś mi powiedziała, że chodzi o przelotną znajomość, to OK. Ale jak mi tu opowiadasz, że się angażujesz, że pierwszy raz tak się czujesz, to ja ci powiem: nie angażuj się w to, bo ten facet na to nie zasługuje.

- Hej, a skąd niby ty możesz wiedzieć, na co on zasługuje? - Byłam naprawdę zdziwiona jej reakcją. Zaczęłam podejrzewać, że po prostu mi zazdrości.

- Bo go akurat znam - skwitowała krótko.

- Bo chodzisz z nim na wykłady? Bo pożyczają ci notatki? Bo opowiadał ci świńskie dowcipy?

- Nie sądzę, żeby był gotowy na miłość. Mam wrażenie, że poszukuje, że chce eksperymentować...

- No i może znalazł... mnie.

- Tak, na pewno - zaprzeczyła głową.

- Czy ty mi zazdrościsz? - zapytałam z pretensją w głosie. - Bo mam wrażenie, że po prostu nie możesz ścierpieć, że na kimś mi w końcu zależy. Sama dokładnie pamiętam, jak się nim za-

chwyciałaś, że taki przystojny, że inteligentny... A teraz, jak ja to potwierdzam, jak ja ci to mówię, to on się nie nadaje! Jestem w nim zakochana! Pierwszy raz w życiu zakochana. I mam wrażenie, że on też! - teraz mówiłam już podniesionym głosem.

Magda milczała przez chwilę, jakby zastanawiając się, co odpowiedzieć. I nie powiedziała nic więcej na ten temat.

- Za chwilę zajęcia. Chodźmy już - podniosła się z ławki.

Mariusz nie zadzwonił tego dnia ani przez dwa następne. Byłam tym bardzo zdziwiona. Zaczęłam nawet się niepokoić, że może coś się stało. Kolejnego dnia zobaczyłam go jednak na uczelni i nie wyglądał bynajmniej na chorego. Stał w grupce osób i machnął mi ręką na przywitanie. Machnął ręką, tak. Właśnie do kogoś coś mówił i nie zadał sobie trudu, żeby rozmowę przerwać i zwrócić się do mnie z choćby z krótkim: „Cześć”. Najpierw mnie to zasmuciło, a potem rozzłościło. Poczulałam się zignorowana. Zналиśmy się krótko, ale przecież dużo między nami się wydarzyło. Nie mogłam uwierzyć, że to dla niego było bez znaczenia. Empik, wieża, kino, rogaliki i cudowny seks. Dlaczego milczy?

Wieczorem zadzwoniłam do Bogdana i o wszystkim mu opowiedziałam. Jemu też milczenie Mariusza wydało się dziwne.

- Coś musi być na rzeczy. Może się czegoś o tobie dowiedział? A może ma jakieś problemy? Może umiera mu babcia i musi wozic matkę do szpitala w tę i z powrotem... - dywagował Bogdan.

- No to przecież by mi powiedział! To przecież by zadzwonił. Zna mój numer.

- A właściwie dlaczego ty do niego nie zadzwonisz?

- Zwykle to on dzwonił tak często, że nie było potrzeby.

- No ale teraz nie dzwoni, więc czas się dowiedzieć, o co chodzi.

Zadzwoiłam. I go nie zastałam. Jakaś kobieta, pewnie jego matka, powiedziała, że go nie ma i że na pewno powtórzy, że dzwoiłam. A więc powinien oddzwonić.

Nie oddzwonił.

Późnym wieczorem zadzwoniłam do Bogdana i jeszcze raz od początku zaczęłam wszystko analizować.

- Oddzwoni jutro, może za późno wrócił - zapewnił mnie.

- To gdzie był do późna?

- Szalejesz. Nie zachowuj się jak zazdrośnica. Był, gdzie był. Nie jest twoją własnością. Nie ślubował ci. Znacicie się tydzień. Nie padły żadne obietnice, deklaracje. Bądź rozsądna.

- Za szybko z nim poszłam do łóżka. Powinnam poczekać. Dać nam trochę czasu - zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju. - Tak, dlatego się nie odzywa. Nie powinnam słuchać głosu serca, a właściwie ciała - parsknęłam - no tak, poszłam na całość, nie kalkulowałam, nie zastanawiałam się, a przecież miłość to gra, to gra damsko-męska. Nie można odkrywać wszystkich kart od razu. Powinnam go kusić, powinien marzyć o seksie ze mną... Gdzie ja miałam głowę?!

- Daj spokój! - przerwał mi. - Czy to ma aż takie znaczenie? Moim zdaniem, w tych sprawach nie ma żadnych reguł. Było super przez cały tydzień, kiedy się spotykaliście, rozmawialiście ze sobą i świetnie się dogadywaliście. A potem było cudnie w łóżku. Mamy tu komplet. Po co zwiewać, gdy ma się i seks, i uczucie?

- Magda miała rację. To szczeniak niedojrzały.

- Magda ci tak powiedziała? - zapytał zdziwiony. Opowiedziałam mu o reakcji Magdy na wieść o tym, że spotykam się z Mariuszem.

- No, to wszystko jasne. Ona musiała mu coś nagadać - podsumował.

To mogła być prawda. Mariusz milczał od trzech dni. Dokładnie od kiedy powiedziałam jej o nim, a ona spieszyła się na

seminarium z cywila, na które także i on chodził. Było bardzo prawdopodobne, że wtedy mu coś powiedziała.

Rano moje przypuszczenia obróciły się w całkowitą pewność i byłam wściekła na Magdę. Znalazłam ją w szatni na pierwszej przerwie i powiedziałam, że musimy pogadać.

- Muszę zejść do barku, napić się kawy i zjeść jakąś kanapkę, bo umieram z głodu. Nie jadłam śniadania. Zakuwałam do drugiej, bo mam wrażenie, że jestem ostatnim debilem, nic nie umiem - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Była rzeczywiście blada i miała podkrążone oczy. W tym momencie byłam pełna podziwu dla jej determinacji i uporu. Praca, kochanek, uczelnia i jeszcze nauka po nocach.

Jadła z apetytem, a z każdym połkniętym kęsem wracała jej żywotna energia. W dalszym ciągu narzekała, że nic nie umie z procedury, że nie odróżnia współuczestnictwa materialnego od formalnego i że musi naprawdę nad tym przysiąc, i że kupiła nawet komentarz.

- Rozmawiałaś na mój temat z Mariuszem Jodłą? - zapytałam niespodziewanie.

- A dlaczego miałabym rozmawiać? - zapytała.

- Ja ciebie pytam.

- A ja pytam ciebie.

- Powiedz mi szczerze - naciskałam.

Wzruszyła ramionami i przeżuwała bułkę, mlaskając przy tym głośno, co strasznie mnie denerwowało. Przeszywałam ją spojrzeniem na wskroś i z jej speszzonej reakcji wywnioskowałam, że musiała z nim rozmawiać.

- Powiedz mi lepiej, co się stało? - zapytała, nie patrząc mi w oczy.

- Dobrze, ale najpierw ty mi powiedz, czy cokolwiek mówiłaś mu na mój temat?

- Coś tam wspominałam - powiedziała w końcu. - Powiedziałam, że się przyjaźnimy i że jesteś świetną dziewczyną, takie

tam trzy po trzy gadanie. Chciałam się zorientować, co o tobie sądzi.

- I co?

- Najwyraźniej to samo, co ty o nim. Jest zachwycony... -przewróciła oczami.

- Jasne - parsknęłam z niedowierzaniem. - I dlatego cztery dni się nie odzywa, a na mój telefon nie oddzwonił.

- Mówiłam ci, że to nieodpowiedni gość. Małolat jeszcze. Niewyżyty.

- Niewyżyty? Co masz na myśli?

- Jest za młody na zaangażowanie. Trzeba szukać dojrzałych facetów. Ustabilizowanych.

- Po co w ogóle rozmawiałaś z nim na mój temat? Prosiłam cię o to?

- Tak jakoś wyszło. Nie powiedziałam nic złego, wręcz przeciwnie. Przecież wiedział, że się znamy, przecież na moją prośbę oddawałaś mu notatki.

- Nie wiem. Czuję, że ta rozmowa z tobą jakoś na niego wpłynęła i dlatego nie dzwoni - powiedziałam zrezygnowana. -A mnie naprawdę na nim zależy.

Pierwszy raz spojrzała na mnie ze zrozumieniem i zobaczyłam w jej oczach jakby cień troski. Byłam już naprawdę dezorientowana.

- Faceci tacy są. Nie wiadomo czasem, o co im chodzi. A może chodzić o mecz piłki, który właśnie jest w telewizji. On go ogląda i zapomina, że obiecał zadzwonić. I dlatego nie ma co się zatracać w miłości. Zawsze lepiej, jak facet kocha cię bardziej, niż ty jego. Bo inaczej łatwo stracić kontrolę.

Wróciła do swojego standardowego, mentorskiego tonu i perorowała z przejęciem na temat prawd i półprawd, w które wierzyła, teorii własnych i cudzych, które stosowała i na tym dobrze wychodziła. A ja kiwałam z aprobatą głową i udawałam, że jej

słucham. A słuchałam tylko swojego serca, które przecież nie mogło się mylić i czuło, że wszystko, co robił i mówił w poprzednim tygodniu, było szczere i prawdziwe.

Postanowiłam jednak nie dzwonić. Uzbroiłam się w dumę i powtarzałam sobie, że najważniejsze to nigdy, przenigdy nie narzucać się facetowi. Największym stymulatorem uczuć jest pewnego rodzaju obojętność i niedostępność. Danie, które czeka na talerzu przy pustym stole - stygnie, zanim zostanie skonsumowane, za to kiedy musimy na nie czekać - nasz apetyt rośnie.

Oczywiście, popadłam w jakiś nieprzyjemny stan rozmarzonego zniechęcenia. Kierowana impulsem, kupiłam baterię farb olejnych i wyciągnęłam z piwnicy moją dawno nieużywaną sztalugę. Zaczęłam malować. Ustawiłam sobie misę z jabłkami na starej komodzie, obok tego pusty wazon i paterę. Zrobiłam najpierw szkic ołówkiem, potem farbami. Przyszło błogie zapomnienie; znów przeszłam na twórczą stronę mocy. Jak bardzo mi tego brakowało! Łapałam plamy popołudniowego słońca i utrwaląłam je w świetlnych refleksach na płótnie. Przejrzałam album z dziełami Moneta i poszukałam palety odpowiednich barw. Byłam jak w transie i dzięki temu nie myślałam o dziwnym „zniknięciu” Mariusza.

Nadszedł weekend, a on w dalszym ciągu nie dzwonił. Bogdan chciał mnie wyciągnąć na jakąś wystawę, na którą szli z Kubą, ale zupełnie nie miałam nastroju. Ewa była u Roberta, tata u Barbary a ja siedziałam sama w domu i usiłowałam się uczyć. A potem zrobiłam sobie na obiad kurczaka z ryżem i sałatką z pomidorów, wypięłam do tego dwie (duże) lampki wina

i poszłam spać. I spałam do wieczora. Obudziła mnie Ewa, która właśnie wróciła.

- Już śpisz? - zajrzała do mojego pokoju.

- Raczej jeszcze. Zasnęłam po obiedzie - powiedziałam niemrawo.

Zacząła coś opowiadać o planach weselnych, o zamiarach na wspaniałą krawcową, która uszyje jej suknię. Nie zauważyła we mnie żadnego entuzjazmu, więc wzruszyła tylko ramionami i wyszła z pokoju.

W tym momencie zazdrościłam mojej siostrze jej prostego, poukładanego świata. Jakże inna była na przykład od Magdy. Magda szarpały emocje, niespełnione nadzieje, ukryte plany, kalkulacje. Bogdan z kolei poszukiwał swej tożsamości, która gdzieś mu ciągle umykała. Ja też szukałam swojej prawdziwej twarzy, a właściwie skrywałam tę prawdziwą: wrażliwej dziewczyny, łaknącej miłości i ciepła. Przybierałam pozy i od dziecka udawałam silniejszą, niż byłam w rzeczywistości. Uczyniłam z tego swój oręż. Bałam się miłości, ale ostatnio zaczęłam jej dziko pragnąć. No i wymyśliłam sobie idealnego księcia z bajki. Bzdury! Postanowiłam się ogarnąć i odrzucić mrzonki.

Zrobiłam sobie długą kąpiel, a potem, omotana szlafrokiem, podgryzając delicje szampańskie, uczyłam się administracyjnego. Zasnęłam około drugiej w nocy i obudziłam się przed dziesiątą. To był mój wolny poniedziałek, więc mogłam sobie na to pozwolić. Ewy nie było. Wykąpałam się i zrobiłam śniadanie. Mimowolnie pomyślałam, że dokładnie tydzień temu jadłam francuskie rogaliki i piłam kawę, a moje serce rosło. A teraz nastąpiło nie wiadomo co i z nie wiadomo jakiego powodu.

I wtedy zadzwonił dzwonek domofonu. Właśnie podnosiłam filiżankę z kawą i na jego dźwięk zadrżałam, wylewając kawę na szare spodnie od dresu. Pomyślałam, że to on. I nie myliłam się. Dokładnie tak samo jak tydzień temu, stał przed drzwiami,

a w prawej dłoni trzymał papierową torbę. „Zapewne z *croissantami*”, pomyślałam. Przywitałam go chłodno; nawet się nie uśmiechnęłam.

- Mogę wejść? Chciałbym ci coś wyjaśnić.

Zaprosiłam go do środka i tak jak tydzień temu odebrałam od niego torebkę z rogalikami.

Usiedliśmy przy kuchennym stole, ale ani ja, ani on nie sięgnęliśmy po *croissanty*. Nalałam kawy.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego milczałem... - zaczął niepewnie i spojrzał na mnie.

Nie odezwałam się słowem, bo przecież to było jasne, że się zastanawiałam. Postanowiłam nie uprawiać gierki w stylu „nic się nie stało, o co ci chodzi, przecież nie jesteś moją własnością”. Nie chciałam udawać, że to, co między nami się wydarzyło, nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

- Musiałem sobie wszystko uporządkować. Spojrzałam pytająco.

- Tak. Musiałem pewne sprawy wyjaśnić. Momentalnie wszystko pojęłam. Miał dziewczynę, z którą zerwał dla mnie. Zakochał się we mnie i tamtą rzucił. I teraz ona płacze, a my mamy być szczęśliwi.

- Złamałeś komuś serce? - zapytałam, choć od razu to pytanie wydało mi się bezsensowne i pożałowałam, że je w ogóle zadałam.

- Nie, nie. Proszę, nie wchodźmy w szczegóły. Może w ogóle nie powinienem ci o tym mówić, nie powinienem zniknąć poza tym, ale potrzebowałam chwili na ogarnięcie tego, co się stało między nami.

Chwycił mnie za rękę.

- I jak tam twoje plany malarskie? - zmienił nagle temat.

- Zdziwisz się - powiedziałam radośnie. - To już nie plany, to już nowe dzieła. Chcesz zobaczyć?

Zaprowadziłam go do gabinetu ojca, w którym pod oknem ustawiłam swoje trzy płótna. Szczerze się zachwycił moją martwą naturą z jabłkami, więc mu ją podarowałam. Nagle uznałam, że to jego kilkudniowe milczenie nie ma żadnego znaczenia. Mógł z kimś się spotykać, mógł mieć nawet dziewczynę, mogła być jakaś, która miała nadzieję na coś więcej; wszystko jedno. Jakie to miało znaczenie? Piliśmy kawę, rozmawialiśmy, patrzył z oddaniem w moje oczy, a ja niczego więcej nie potrzebowałam do szczęścia. Całowaliśmy się przy dźwiękach *Jeziora szczęścia* Bajmu, a kiedy Chris de Burgh zaśpiewał *I am high, high on emotion* dostaliśmy istnego szału radości i tańczyliśmy w szalonym transie. Mariusz wskoczył na łóżko, a ja klęczałam na dywanie udając, że gram gitarową solówkę. Moje emocje rzeczywiście sięgały zenitu.

Tamtego popołudnia poszedł na wykłady.

Zaczęliśmy się regularnie spotykać. Codziennie do siebie dzwoniliśmy, widywaliśmy się na uczelni, chodziliśmy na spacer, on przychodził do mnie, a ja do niego. Można powiedzieć, że staliśmy się nierozłączni. Czułam z nim porozumienie i wspólnotę, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Nabrałam całkowitego przekonania, że jest tym jedynym. Utwierdził mnie w tym kolejny sen, który mi się przyśnił. Wyśniłam siebie w białym welonie. Reszty nie pamiętam; chyba miałam na sobie też białą sukienkę. To wszystko. Żadnych okoliczności, innych ludzi, zdarzeń, nic.

To był taki sen-symbol. Obraz, który się pojawił i utrwalił w mojej podświadomości. Można by powiedzieć: to proste, Ewa cały czas opowiada o zaręczynach, ślubie, nic dziwnego, że w moim śnie pojawił się welon. A że ja go miałam na głowie? No i co z tego? Ja jednak wiedziałam, że to nie był zwykły sen. Mia-

łam już takie. Obrazy, które się pojawiały i mówiły wszystko. Czarna tablica, na której ktoś białą kredą napisał: martyrologia narodu żydowskiego. A potem taki temat pojawił się na mojej pisemnej maturze z polskiego.

Nabrałam więc przekonania, że sen o welonie był proroczy.

Pierwszy miesiąc to był czas poznawania i ciągłego odkrywania siebie. Czas zachwytu. Z każdym dniem utwierdzał moje uczucie do Mariusza. Oczywiście, wyznania miłości nie padły, ale mówiliśmy sobie bez końca, jak bardzo się lubimy i jak bardzo jesteśmy sobie bliscy. Słuchałam piosenek i odkrywałam w nich nowe treści. Kupowałam płyty i zaznaczałam fragmenty piosenek o miłości, które mnie szczególnie poruszyły, bo pokazywały stan, w którym byłam. A potem słuchaliśmy ich razem, leżąc objęci albo kochając się. Mieliśmy swoje ulubione, które przegrywałam specjalnie dla niego, robiąc tylko nasze muzyczne składanki. Każda piosenka pachniała inną chwilą, a wszystkie razem tworzyły naszą historię.

Mieszkaliśmy blisko siebie, dzieliły nas dosłownie dwie przecznice. Mogliśmy się równie dobrze spotkać w szkole albo nawet w przedszkolu, albo na jakimś kółku zainteresowań w rejonowym domu kultury. Okazało się nawet, że tam, gdzie ja chodziłam na plastykę, on uczęszczał na kółko fotograficzne. Więc mijaliśmy się przez całe życie po to, aby się spotkać któregoś popołudnia w szatni Audytorium Maximum.

Poznałam jego rodziców. Ojciec był bardzo sympatyczny, otwarty i przyjazny. W jego mamie natomiast wyczułam dystans. Wcześniej, gdy opowiadał mi o swoich rodzicach, przedstawiał matkę jako otwartą osobę o temperamencie choleryczki, natomiast ojciec był, jego zdaniem, typowym introwertykiem. Moje wrażenie nie odpowiadało zupełnie temu, co mi opowiadał. Akurat byłam trochę przeziębiona, kiedy pierwszy raz odwiedziłam Mariusza, a jego matka zaproponowała herbatę. Kiedy ją

przyniosła wraz z plasterkiem cytryny na spodku, ucieszyłam się i zaczęłam coś mówić o swoim przeziębieniu.

- Brałam już *rutinoscorbin* i *scorbolamid*...

- Nie trzeba brać wszystkiego - przerwała mi z jakąś nieumiejętnie skrywaną irytacją. - Jak *rutinoscorbin*, to nie *scorbolamid* - powiedziała z przyganą, a potem jeszcze dodała: - Więcej nie oznacza lepiej.

Nic nie odpowiedziałam, bo wyczułam jej nieprzychylność. Naprawdę nie chciałam się zrazić do jego matki. Chciałam pokochać wszystko, co dotyczyło Mariusza. Ale naprawdę wyczułam jej niechęć. Więc na wszelki wypadek wolałam się za wiele nie odzywać, gdy ją spotykałam.

Najczęściej on przychodził do mnie. Prawie zawsze byłam sama, bo Ewa praktycznie już wprowadziła się do Roberta. Oficjalnie mieszkała z nami, ale cały czas przesiadywała u niego, kupowała zasłony, dywany, zamówiła kuchnię, planowała ślub i wesele. Ojciec także niewiele w domu przebywał i niemal wszystkie noce spędzał u Barbary. A my z Mariuszem mieliśmy całe mieszkanie dla siebie. Do niego zaglądaliśmy czasem w ciągu dnia, kiedy jego rodzice byli w pracy.

Nastała słoneczna wiosna i była to pierwsza miłosna wiosna mojego życia. Kwitły kwiaty i kwitło moje serce. Patrzyłam na zielone krzewy z zachwytem, czułam zapachy wszystkimi zmysłami. Byłam zakochana. Z wzajemnością.

Któregoś majowego dnia zrobił mi niespodziankę. Czekał na mnie przed salą wykładową na Oboźnej, gdzie miałam właśnie francuski. Wyszłam z budynku wraz z niewielką grupą kursantów i dostrzegłam go, stojącego po drugiej stronie ulicy, opartego o mur, w nonszalanckiej pozie z jedną nogą ugiętą, podpierającą betonową ścianę. Wyraźnie kogoś wypatrywał, a tym kimś byłam, rzecz jasna, ja. Koleżanki zazdrośnie się uśmiechnęły, widząc moją rozanieloną minę, gdy się dostrzeegliśmy po prze-

ciwległych stronach niewielkiej uliczki. Chcieliśmy natychmiast do siebie dotrzeć, jednak sznur przejeżdżających akurat samochodów nam to uniemożliwił. Staliśmy tak, każde po swojej stronie ulicy, i śmialiśmy się do siebie. W końcu równocześnie ruszyliśmy na spotkanie i spotkaliśmy się na środku ulicy. Przystanęliśmy na chwilę i pocałowaliśmy się w usta. W tym samym momencie usłyszeliśmy klakson samochodu. Pocałunek na środku ulicy to nie był najlepszy pomysł. Chwyciliśmy się za ręce i pobiegliśmy na chodnik.

- Jaka cudna niespodzianka! Myślałam, że cię zobaczę dopiero wieczorem - powiedziałam radośnie.

- Wieczorem? Nie wytrzymałbym bez ciebie do wieczora - przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował. - Odwołali mi wykład, a następny mam dopiero za dwie godziny. Chodźmy na pizzę.

Ruszyliśmy w stronę Starego Miasta. Mariusz miał na sobie błękitną koszulę i sprane dżinsy. Wysoki i szczupły, z nieco za długą czupryną czarnych włosów, wzbudzał zainteresowanie dziewczyn, które mijając nas, omiatały go spojrzeniami. Oboje zresztą wzbudzaliśmy zainteresowanie. Oczywiście, byliśmy piękni i młodzi, ale to nie tylko z tego powodu ludzie nam się przyglądali. Byliśmy zakochani, a blask, jaki z nas emanował, oślepiał wszystkich wkoło. Trzymał mnie za rękę, a potem obejmował i przyciągał do siebie.

Zamówiliśmy dwie pizze w małej pizzerii na Podwalu. Przy stoliku obok siedziała młoda kobieta z małą dziewczynką z burzą blond loków na głowie. Mama karmiła ją pizzą i cały czas prosiła, żeby jadła szybciej, bo się gdzieś spieszy.

- Widzisz tę małą? - zapytał w pewnym momencie. Kiwnęłam głową, przełykając kęs pizzy.

- Nasza córeczka też by tak wyglądała.

To, co powiedział strasznie mnie zdziwiło, ale jednocześnie uradowało. W tamtym momencie wydawało mi się, że napraw-

dę musi mnie bardzo poważnie traktować i mieć wobec mnie poważne plany, skoro tak mówi. Nie okazałam jednak zdumienia, tylko udałam, że przyjmuję za rzecz najbardziej oczywistą w świecie, że będziemy mieli kiedyś dziecko.

- Równie dobrze mogłaby mieć czarne włosy po tobie - rzuciłam od niechcienia.

- Nie, chłopak miałby po mnie, a dziewczynka po tobie.

- To ile ty byś chciał mieć tych dzieci? - zapytałam z udawanym przestraszaniem.

- Całą gromadkę. Ja bym uciekał do pracy, a ty byś zostawała w domu z bandą wrzeszczących dzieciaków. Tak bym cię urządził!

Zamilkliśmy na chwilę i zajęliśmy się jedzeniem, zerkając co chwilę w stronę dziewczynki. Była rzeczywiście śliczna.

- Nasze dziecko byłoby na pewno piękne. Wyobrażasz sobie? Poczęte z takiej miłości - odezwał się cicho.

Pokiwałam głową i pocałowałam go w usta.

To była sielanka. Oczarowanie. Pierwszy raz coś takiego przeżywałam. Czułam wszystkimi zmysłami, że jestem dla niego ważna. Nie było żadnej rysy na szkle. Było doskonale. Aż się chwilami bałam tego absolutnego poczucia szczęścia.

To, że się spotykam z Mariuszem, Magda przyjęła ze zdziwieniem, którego nawet nie próbowała ukrywać. W końcu uznała, że najwyraźniej on rzeczywiście się we mnie zakochał. Ja z kolei nabrałam podejrzeń, że Magda sama była zainteresowana Mariuszem, a on nie odwzajemniał jej zalotów, więc zaczęła odnosić się do niego wrogo. Wielokrotnie spotykaliśmy się na uczelni w trójkę i za każdym razem miałam wrażenie, że jest między nimi jakiś trudny do zrozumienia dystans. Powiedziałam Mariuszowi o swoich odczuciach.

- Dystans? Nie wiem, o co ci chodzi. To po prostu koleżanka z seminarium. Niby jak mam się do niej odnosić?

- Mówiła, że się lubiliście, pożyczałeś jej notatki.

- I nadal pożyczam i czasem nawet siedzimy ze sobą w ławce. Mam do niej obojętny stosunek, ale skoro to twoja przyjaciółka. ..

Tak naprawdę to Magdę nie zajmowała zbyt moja miłość, bo niespodziewanie okazało się, że jej związek z Pawłem nabrał ognistych rumieńców. Poszliśmy któregoś dnia razem do biblioteki uniwersyteckiej. Szukając jakiegoś nazwiska w wykazie publikacji, wyznała mi, że zależy jej na Pawle.

- On się rozwodzi. Wniósł pozew - powiedziała.

- Jak to? Z twojego powodu? - zapytałam zdziwiona.

- Nie z mojego powodu - powiedziała zirytowana. - Przecież mówiłam ci, że od dawna jest w separacji z żoną, więc chce to jakoś uregulować.

Milczałam przez chwilę, bo nie chciałam na głos wypowiadać słów, które chodziły mi po głowie. Że on chce tę sytuację „uregulować”, bo jest teraz z nią, z Magdą.

- Ona jest straszna - powiedziała po chwili. - To kobieta-cyborg. Nie, właściwie nie. Nie kobieta. Ona nie jest tak naprawdę kobietą.

- Dlaczego?

- Wycięto jej macicę i całą resztę. Nigdy nie będzie mogła mieć dzieci.

- I dlatego, twoim zdaniem, nie jest kobietą? Moim zdaniem, jest nieszczęśliwą kobietą.

- I nieznośną. Po tych hormonach, które bierze, jest po prostu nie do wytrzymania. Od dawna żyli osobno, on wiesz... miał nawet jakiś jeden związek, potem pojawiłam się ja i ona nie miała nic przeciw. Dopiero teraz, kiedy Paweł chce się rozwieść, wstąpiła w nią furia.

- Zdała sobie sprawę, że zostanie sama - powiedziałam.

- Tak. A on chce to już załatwić, bo nic ich nie łączy. I tu nie chodzi wcale o to, że jest bezpłodna, bo już wcześniej, przed jej operacją, nic między nimi nie było. Łączyły ich tylko interesy.

- I wspólna obietnica, „że cię nie opuszczę aż do śmierci” - powiedziałam dobitnie, bo jakoś żal mi się zrobiło tej bezpłodnej żony, która została wymieniona na „sprawny” model.

- No tak - spojrzała mi prosto w oczy. - To dla mnie też nie jest łatwe, wiesz? Myślałam czasem, że on kogoś unieszczęśliwia, żeby być ze mną. Że ona zostanie samotna, bezpłodna i nieszczęśliwa. Ale to tylko pozory, to tylko tak z zewnątrz wygląda. Prawda jest inna. Ona jest egoistyczna, chamska, nie szanuje ludzi; straszna baba, naprawdę. A poza tym... on chciałby mieć kiedyś dzieci, no a ona nie może.

- To można przecież dziecko zaadoptować, jest tyle sierot...

- Nie masz o tym pojęcia. Co ty mówisz?! Zaadoptowane dziecko to nie to samo, co własne. Dlaczego ma z nią być i nie kochając jej, adoptować jakieś dzieci? Czy ty siebie słyszysz? - pokiwała głową, patrząc na mnie z politowaniem. - A ja kocham Pawła, wiesz?

Magda kocha swego szefa?! Jeszcze niedawno wyznawała mi, że jest przez niego molestowana i rozważała nawet rzucenie tej pracy. A teraz nagle mówi, że go kocha. Patrzyłam na nią z niedowierzaniem; trudno mi było uwierzyć w te słowa. Ale jednocześnie dostrzegłam w niej jakby wewnętrzne rozdarcie i zrozumiałam, że to wyznanie musiało ją wiele kosztować.

- I nie jest mi z tym wcale tak dobrze. Z tą miłością - powiedziała cicho.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Mnie moja miłość uskrzydlała i wprowadzała w stan radości nieznanym wcześniej.

- Jeszcze niedawno obie byliśmy wolne, bawiliśmy się facetami, a teraz... Wpadliśmy. Zamieniliśmy się w swoje własne

cienie. Miłość uzależnia i zabiera tożsamość, nie sądzisz? - dodała po chwili.

- Może po prostu kiedyś zabawa musi się skończyć? - odpowiedziałam. - Nie wiem, ja zupełnie nie mam takich odczuć. Cieszę się, że znalazłam kogoś dla siebie. Wiem, że to ten właściwy i jestem... no wiesz, cieszę się - spojrzałam na nią niepewnie. - Po prostu wszystko jest doskonałe.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa - powiedziała z jakimś smutkiem w oczach. - Może on rzeczywiście dojrzeje...

- O co ci chodzi?

- Jest młody, już kiedyś o tym rozmawialiśmy... Po co do tego wracać?

- To ty wracasz - zauważyłam. - Więc może powiedz mi wyraźnie, o co ci chodzi. Co masz do niego? Bo to, że opowiedział ci parę świńskich dowcipów, to już wiem.

- Rzeczywiście, to bez sensu. Dobrze ci z nim, to najważniejsze. Ja się nie wtrącam. Po prostu, jak widzisz, nasze życie zmienia się przez facetów. Obie się zakochałyśmy i coś się zmieniło. Czasem mi tego brakuje. Tego, co było przedtem.

Miałam wrażenie, że chciała zmienić temat. Ale łapałam sens tego, o czym mówiła. Nasze związki wypierały w pewnym sensie naszą przyjaźń. Już nie byłyśmy dla siebie na wyłączność. Nie chodziłyśmy razem do klubu potańczyć. Miałyśmy męskich towarzyszy i to ich towarzystwo było dla nas najbardziej interesujące.

Właśnie dlatego zaproponowałam, żebyśmy poszli gdzieś razem. My - czyli ona z Pawłem i ja z Mariuszem. Początkowo jakby się trochę wzdrygała, ale byłam nieustępliwa. Powiedziałam, że proponuję Bogdanowi, aby dołączył do nas z Kubą. W końcu się zgodziła i obiecała, że porozmawia z Pawłem. Jeszcze tego samego wieczora zadzwoniła i potwierdziła spotkanie.

9. Dziki taniec

To był pierwszy raz, kiedy na idealnym obrazie Mariusza położył się cień.

Umówiliśmy się, że wpadnie do mnie przed wyjściem do klubu. Przyszedł o siódmej, kiedy jeszcze się szykowałam. Wyglądał znakomicie w kremowej koszuli, która kontrastowała z jego ciemną karnacją i czarnymi włosami. Skóra jego twarzy wpędzała mnie w kompleksy, bo miał idealnie gładką cerę. Ja na swojej wiecznie znajdowałam jakieś wypryski, a on był zawsze porcelanowo gładki. Pory jego skóry były niemal niewidoczne. Ciemne brwi i rzęsy, w dodatku długie i gęste, oraz oliwkowa skóra sprawiały, że od samego rana wyglądał idealnie. Ja byłam blada, więc żeby nadać swojej twarzy więcej wyrazistości, musiałam się trochę napracować.

Kiedy przyszedł, nie miałam jeszcze makijażu, a włosy nawinęłam na grube wałki, które miały im nadać puszystości.

- Moja piękna dziewczyna w wersji *saute* - powiedział, całując mnie.

Zdjął granatową marynarkę i powiesił ją na drewnianym wieszaku w przedpokoju. Potem bez pytania przeszedł do kuchni.

- Zrobię sobie herbaty, napijesz się? - zapytał.

Czuł się w moim mieszkaniu bardzo swobodnie, bo spędzał w nim naprawdę dużo czasu. Widywaliśmy się codziennie, razem się uczyliśmy, razem gotowaliśmy, razem zmywaliśmy naczynia.

- Dla mnie też zrób! - zawołała Ewa ze swojego pokoju. Ku mojemu zdziwieniu, Ewa nie zachwyciła się Mariuszem.

Uważała, że jest sztuczny i nadmiernie egzaltowany. Zawsze, kiedy przychodził, zaczynała prowadzić z nim jakieś dziwne dysputy, nie wiadomo czemu służące. Uważała na przykład, że masło jest zdrowsze od margaryny, z czym on się nie zgadzał, sta-

wiając na margarynę. On był zwolennikiem i wielbicielem Wałęsy, a ona uważała, że były prezydent jest zbyt konfliktowy i że stracił kilka szans na mocne reformy. Kiedyś rozpętała się z tego powodu prawdziwa bitwa na słowa między nimi. Ewa wykrzykiwała, że przecież przez całą swoją prezydenturę Wałęsa kłócił się ze wszystkimi, że podzielił Solidarność i wywołał „wojnę na górze”. Nie wiem, dlaczego była taka zaciekle. To były pierwsze wybory, w których obie głosowałyśmy i obie oddałyśmy głos na prezydenta Wałęsę. Tak samo głosował nasz ojciec. Wieczór wyborczy spędziliśmy wszyscy przed telewizorem, oglądając relację telewizyjną i wyjąc z rozpaczy nad porażką Lecha. A potem nagle Ewa stała się zwolenniczką Kwaśniewskiego. Mariusz twierdził, że zwycięstwo prezydenta Kwaśniewskiego to wynik dobrze zastosowanego marketingu politycznego.

- O zwycięstwie Kwaśniewskiego zdecydowała kampania wyborcza!
- przekonywał Mariusz. - Kwaśniewski celowo spóźnił się na debatę! Chciał wyprowadzić Wałęsę z równowagi. Mówił do niego „panie Wałęsa” zamiast „panie prezydencie”. Wszystkie te zagrywki to właśnie celowo zastosowane chwytły marketingu politycznego, na które ludzie się nabrali!

- A Wałęsa chciał mu nogę podać zamiast ręki! To zwykłe chamstwo!
- Ewa nie dawała za wygraną. - Kwaśniewski pokazał wyborcom, że jest zrównoważony i chce spokoju, że Polska ma być „wspólna”. I mnie to przekonuje. Rewolucja już była, komuna się skończyła!

No i tak prześcigali się w wymianie poglądów, do której i ja się włączyłam, bo sprawy społeczno-polityczne bardzo mnie interesowały. Mimo całego naszego nastawienia „na siebie”, marzyliśmy przecież o silnej, nowoczesnej Polsce.

- A ja wam powiem, gdzie był błąd - przekonywałam. - W drugiej turze Wałęsa zwrócił się o poparcie do antykomunistów. I efekt był taki, że wyborca, który w pierwszej turze głoso-

wał na Olszewskiego, w drugiej w większości poparł Wałęsę lub został w domu. Tymczasem zwolennicy Jacka Kuronia w większości poparli Kwaśniewskiego, a w tamtych wyborach prezydenckich to ich głos był decydujący.

Nasza emocjonalna wymiana poglądów wprawiała Mariusza w dobry humor, a Ewę w irytację. Zawsze, kiedy pojawiał się w jej obecności, obawiałam się jakichś salw armatnich. Niestety, i tym razem nie dało się ich uniknąć.

- Moja księżniczka robi się na bóstwo? Tylko nie przesadź z kolorami...

- Dlaczego? - zapytała Ewa, wchodząc do kuchni. - Co masz przeciwko ceniom do powiek?

- Ona jest piękna i bez niebieskich powiek - odpowiedział.

- A kiedyż to Majka malowała sobie oczy na niebiesko?

- No właśnie, na szczęście tego nie robi.

- No to o jakie „kolory” ci chodzi? - wzruszyła ramionami.

- Ewa, proszę... - wyjrzałam z łazienki.

- Po prostu nie lubię, gdy młode kobiety za mocno się malują - powiedział Mariusz. - Nie potrzebują tego; młodość je zdoła.

- Co za slogany! - prychnęła moja siostra. - A stare mogą się mocno malować, twoim zdaniem? Bo ja uważam, że właśnie wtedy zmarszczki bardziej rzucają się w oczy. Czerwone usta i pomarszczona skóra, fatalnie. Młode dziewczyny mogą wybrać każdą opcję.

- Ty, na przykład, za mocno się malujesz - wypalił Mariusz. Spojrzałam na niego z dezaprobatą, bo, moim zdaniem, dla

świętego spokoju powinien zrezygnować z dalszej polemiki. Wiedziałam, że Ewa uważa siebie za ekspertkę w kwestii wyglądu.

- A ty nie masz o tym zielonego pojęcia - odwróciła się na pięcie i zniknęła w swoim pokoju.

Podeszłam do niego i usiadłam mu na kolanach. Miał na twarzy uśmiech udawanego rozbawienia.

- Mordo - tak do niego żartobliwie mówiłam - daj spokój, dotknąłeś jej czulej struny: wyglądu.

- Ale ja nie powiedziałem, że źle wygląda...

- Już cicho sza... - zamknęłam jego usta pocałunkiem. Siedząc na jego kolanach poczułam, że jego penis twardnieje. Ja także go pragnęłam, ale w tej chwili to było niemożliwe. Podniosłam się więc niechętnie.

- Idę nałożyć niebieski cień na powieki - powiedziałam ze śmiechem.

Punktualnie kwadrans po dziewiątej byliśmy pod klubem Ground Zero na Wspólnej. Bogdan z Kubą już na nas czekali. Kiedy wymienialiśmy uściski na przywitanie, podjechała taksówka, z której wysiedli Magda i Paweł. Ona wyglądała olśniewająco. Jej bujne blond włosy były skręcone w drobne loki. Rzęsy (najwyraźniej doszła już do wprawy w przyklejaniu sztucznych) czarnym cieniem oplatały oczy, perłowy cień do powiek kontrastował z nimi i sprawiał, że były zmysłowo ciężkie. Usta powiększyła konturówką i wypełniła perłowym błyszczkiem. Mała czarna odsłaniała głęboki dekolci i nogi w siatkowych pończochach. Do tego oczywiście piętnastocentymetrowe, czarne szpilki. Z miejsca poczułam się przy niej jak Kopciuszek w swoich obcisłych dzinsach, koronkowej czarnej bluzce z dużym dekoltem i czółenkach na czterocentymetrowych obcasach.

Tuż za nią z taksówki wysiadł Paweł. Widziałam go już kilka razy przelotnie, ale jakoś nigdy nie zauważyłam, że miał łysinę na środku potylicy. Teraz, kiedy wylaniał się z taksówki, wyraźnie dostrzegłam jasną plamę głowy wśród ciemnych włosów. Może i był interesujący, przystojny nawet, ale mnie przede wszystkim

wydał się stary. Miał trzydzieści pięć lat, więc my wszyscy byliśmy o mniej więcej trzynaście lat od niego młodszy.

Przywitaliśmy się, a Kuba z Bogdanem skomplementowali wygląd Magdy. Odnotowałam w myślach, że mną tak się nie zachwycali. No, ale cóż, ja byłam w końcu „naturalnie piękna”, a ona „zjawiskowo zrobiona”. W oczach Mariusza też dostrzegłam uznanie. Widocznie nie przeszkadzało mu, że miała na twarzy tonę makijażu.

Paweł z miejsca uznał, że musi nam pokazać, jakim to jest wielkim światowcem, i bez pytania zamówił butelkę szampana dla wszystkich. Kiedy Mariusz poprosił piwo dla siebie, spojrzał na niego zdziwiony.

- Zamówiłem oryginalnego szampana *Dom Perignon*, a ty będziesz pił piwo? - powiedział z pretensją.

Mariusz nic na to nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Był milczący i zamyślony. Zazwyczaj zajmował sobą wszystkich, opowiadał dowcipy i komentował wszystko wokół. Tamtego dnia był milcząco obojętny.

- Prawdziwy szampan to elegancja i styl. Niewiele alkoholu, a bąbelki przyjemnie uderzają do głowy - mówił Paweł. - Człowiek czuje się zrelaksowany, a skutki wypicia alkoholu są bardzo wysublimowane. To nie jest jakieś tam wino musujące. Prawdziwy szampan. Zachodzą procesy fermentacji, po fermentacji alkoholowej do takiego wina dodaje się *liqueur de tirage* z drożdży i cukru, który powoduje właśnie naturalne powstawanie pęcherzyków dwutlenku węgla. I mamy bąbelki. W powszechnym przekonaniu tę metodę wynalazł mnich Dom Perignon.

Opowiadał o tym, w czasie gdy kelner bezgłośnie otworzył szampana i rozlewał go do wysokich kieliszków.

- Wyborne - powiedział Paweł smakując wino. - Zdrowie pięknych pań!

- Rzeczywiście doskonale. Świeże i delikatne - zauważył Kuba.

- Wytrawne, ale subtelne - dodał Bogdan.

Ja tylko pokiwałam głową z uznaniem. Choć w tamtym czasie najczęściej pijałam bułgarską Sofię i nie mogłam się uważać za znawczynię win, z miejsca poczułam sympatię do *Dom Perignon*. No cóż, może mu się od tego lepiej medytowało? Mnie w każdym razie szampan wyraźnie poprawił nastrój i zapragnęłam tańczyć.

Mariusz natomiast stał ze swoją szklanką piwa w dłoni i patrzył martwo przed siebie. Przytuliłam się do niego, bo miałam nadzieję, że moja czułość poprawi mu nastrój.

- Co za nadęty dupek! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Daj spokój, chce nam zaimponować. My mamy młodość, on pieniądze, tak już jest... Zatańczmy - chwyciłam go za rękę i pociągnęłam na parkiet.

Po chwili się rozluźnił i tańczył ze mną do radosnych dźwięków piosenki *All you need is love* Tiny Turner. Mariusz był wspaniałym tancerzem. Dosłownie stapialiśmy się w tańcu w jedność. Jego najmniejszy ruch był dla mnie drogowskazem i prowadził w stronę jego ramion, a potem nakazywał się oddalić po to, abym wykonała podwójny obrót. Zawsze uwielbiałam tańczyć, ale teraz, wraz z nim, nabrało to charakteru bardzo zmysłowego. Czułam, że oddaję mu w tańcu całą siebie. Jakbyśmy stapiali się i dążyli do jakiegoś boskiego zakończenia. To było zmysłowe. Bardzo intymne. Jak seks.

Wróciliśmy szczęśliwi i lekko zdyszani do naszego stolika.

- Nie widziałam cię wcześniej w takim dzikim tańcu. Świetnie ze sobą tańczycie - powiedziała Magda.

A potem, kiedy usiadłam obok niej, pochyliła się do mnie i zapytała konspiracyjnie:

- I jak ci się podoba?

- Kto?

- Jak to kto? Paweł.

- No wiesz, sprawia dobre wrażenie, jest przyjacielski, chyba się stara...

- Bardzo dobrze zna się na winach. Należy do takiego klubu... przysyłają mu kilka butelek w miesiącu, a my je potem razem degustujemy. To jest życie!

Snobizm. Niezdrowe zachłyśnięcie się życiem, jakiego nie znała - przemknęło mi przez myśl. „Nie szukaj wartości w małych rzeczach i pozornym blichtrze”. Ale tu wszędzie wokół rządził blichtr. W strojach, w pozach, zapachach i sposobie bycia. Chcąc nie chcąc, byłam jego częścią. Odwróciłam się w stronę Mariusza, który rozmawiał z Bogdanem i Kubą. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, bo muzyka grała za głośno, więc zwróciłam się do Magdy.

A potem zobaczyłam, że Mariusza nie ma obok. Nie było też Bogdana ani Kuby. Zaczęłam ich wypatrywać w tłumie.

Dochodziła północ, zabawa się rozkręciła, w sali było duszno od dymu papierosów. Wstałam i zaczęłam rozglądać się za Mariuszem. I wtedy go zobaczyłam. Na parkiecie. Z tlenioną blondynką. Ten taniec był dziki. Przyciągał ją blisko do siebie, a ona odginała się do tyłu. Ich biodra kręciły się w jednym rytmie, złączone ciasnym uściskiem. Poczułam zazdrość. Przecież tańczył ze mną, a nasz taniec był doskonały. Po co mu tandetna blondynka? Nie zauważył nawet, że go obserwuję, bo był zbyt pochłonięty tańcem. Obok niego tańczyli Bogdan i Kuba; niby razem, a jednak osobno, tak aby nie zwracać niczyjej uwagi. Dwaj mężczyźni w tańcu budzili wtedy wielką niechęć.

Zauważył mnie natomiast Bogdan i wymieniliśmy porozumiewawcze sygnały. Od razu wiedziałam, że i on uznał zachowanie Mariusza za dziwne. Ten taniec był prowokujący, był prawie obsceniczny. Ktoś powie: no cóż, on tylko tańczył z inną dziewczyną. To żaden grzech, nic takiego. Ale my spotykaliśmy się od miesiąca i to był najpiękniejszy miesiąc mojego życia. Istniał

dla mnie tylko on, w życiu, w sercu i na parkiecie. Nie czułam najmniejszej potrzeby tańczenia z kimś innym. A on najwyraźniej czerpał z tego radość. Patrzyłam na niego, na nich, i było mi po prostu przykro. Stałam sama i poczułam się bardzo samotna. I wtedy znaleźli się przy mnie Bogdan z Kubą.

- Sama go wzięła za rękę i zaczęła z nim tańczyć, widziałem na własne oczy - powiedział Kuba. - On po prostu poszedł z nami potańczyć...

- Ma chyba wolną wolę; gdyby nie chciał, to by z nią nie tańczył - odpowiedziałam i zaraz po tym dodałam pozornie bez troski: - Zresztą... może sobie tańczyć z kim chce.

Jak zwykle, musiałam udawać silniejszą, niż byłam. Nie mogłam pokazać swojego rozczarowania. Może później, przed Bogdanem, ale teraz, przed nimi, znowu grałam.

- Ale jest tu z tobą. Jesteście razem przecież - Bogdan kręcił głową z dezaprobatą.

- Wiecie co, może po prostu się napijemy, co? - zaproponowałam.

Poszliśmy do baru i zamówiliśmy trzy wódki z sokiem pomarańczowym. Wypiłam prawie jednym haustem. A potem zamówiłam kolejnego drinka. Kiedy pojawił się przy mnie jakiś przystojny blondyn, pozwoliłam się podrywać. Udawałam zainteresowanie i odwzajemniałam jego pełne adoracji spojrzenia. Nie wiem, ile to trwało; chyba niezbyt długo, ale zdążyłam skończyć drinka.

- Widzę, że się dobrze bawisz? - zobaczyłam przed sobą Mariusza.

- Znakomicie - odpowiedziałam.

Spojrzałam na blondyna i obdarzyłam go uśmiechem.

- To jest... - chciałam go przedstawić, ale wyleciało mi z głowy jego imię.

- Robert - dokończył za mnie.

- No, właśnie, Robert. I właśnie mieliśmy zatańczyć. Idziemy? - zwróciłam się do blondyna.

Nawet nie spojrzałam na Mariusza. Tańczyłam i głośno się śmiałam. Obejmował mnie, a ja jego. Dostrzegłam, że Mariusz stoi przy barze z Kubą i Bogdanem, i nam się przygląda. Nie wiedziałam, czemu to robię. A właściwie wiedziałam. Nie mogłam mu powiedzieć wprost, że nie podobał mi się jego zmysłowy taniec z blondynką. Więc kiedy nadarzył się ten blondyn, zrobiłam to samo co Mariusz, bo miałam nadzieję, że w ten sposób on poczuje to samo, co ja czułam, widząc go w objęciach z blondynką. Zazdrość. I w ten sposób bez słów powiem mu wszystko. Przetęńczyłam jedną piosenkę, potem drugą, a potem wróciłam do Mariusza.

- Ale się zmęczyłam. To był dziki taniec.

Spojrzał na mnie, a z wyrazu jego twarzy mogłam odczytać tylko niechęć.

- Zupełnie mnie ten wieczór nie bawi. Jestem zmęczony i boli mnie głowa. Wracamy?

- Ja się świetnie bawię, dlaczego mam wracać? - powiedziałam beztrąsko.

- To nie wracaj. Zostań. Mam dosyć tego snoba Magdy i tych dwóch wpatrzonych w siebie pedałów - powiedział, cedząc słowa.

- Pedałów? - zapytałam. - To moi przyjaciele. Jak możesz tak o nich mówić? Czy to ważne, kogo kochamy? Najważniejsze, żeby kochać, żeby być ze sobą, a nie obtańcowywać na parkiecie jakieś tandetne blondyny.

Miałam tego nie mówić, ale powiedziałam. Wiedział już, że jestem zazdrosna. - No właśnie, przyganiał kocioł garnkowi. No właśnie. Wiesz co, chyba sobie lepiej pójdę, a ty wracaj do swojego przystojniaka.

- A ty do swojej blondyny! - niemal krzyknęłam i odwróciłam się na pięcie.

Co było dalej? On zniknął, a ja wypiałam kolejnego drinka i byłam już pijana. Blondyna spławiłam, bo przecież kompletnie mnie nie interesował. Odegrał swoją rolę i przestał być potrzebny. Bogdan z Kubą pocieszali mnie przez resztę wieczoru, a Magdzie powiedziałam, że Mariusz się źle poczuł i wrócił do domu. Pokiwała tylko głową, ale miałam wrażenie, że była zbyt pochłonięta Pawłem, aby jakoś specjalnie odnotować ten fakt.

A ja byłam bardzo nieszczęśliwa. Skąd się to bierze? Skąd się to wtedy wzięło? Obeszliśmy siebie naokoło pierwszy raz. Przecież się kochaliśmy. Dlaczego tak trudno jest po prostu być prostolinijnym w partnerskiej relacji? I tak, krok po kroku, obchodząc siebie, oddaliśmy się od tego, co najważniejsze, co jest sensem i największym darem. Od miłości, która nieczęsto się zdarza.

- Następnego dnia obudziłam się ze strasznym bólem głowy. Czułam się źle, a bezpośrednim tego powodem był nadmiar spożytego alkoholu i zamęt w sercu. Poczucie porażki i bezsensu. Miałam żal do Mariusza i nie mogłam zrozumieć, jak mógł tak się zachować. To było niespodziewane. Wiedziałam, że nasz związek nie jest już idealny. Czułam strach na myśl o tym, że mogłabym go stracić. W obliczu takich myśli wydał mi się nagle niezastąpiony; nie mogłam wprost wyobrazić sobie życia bez niego.

Cała rozdygotana, zrobiłam sobie kawę i śniadanie. Byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam zjeść kanapki. Cały czas zerkałam na zegarek i odmierzałam czas. Czas, który mijał od naszego rozstania. Chciałam z kimś porozmawiać, podnosiłam słuchawkę, żeby zadzwonić do Bogdana, a potem ją odkładałam, bo

obawiałam się, że Mariusz zadzwoni, a mój telefon będzie zajęty. Czekałam. I się nie doczekałam. Nie zadzwonił.

To była długa niedziela. Walczyłam z bólem głowy, połknęłam dwie tabletki przeciwbólowe, smarowałam głowę amolem; nic nie pomagało. W końcu wieczorem zadzwoniłam do Bogdana, bo musiałam z kimś pogadać. Jeszcze raz przeanalizowaliśmy wydarzenia ostatniego wieczoru.

- Nawet jeśli odpłaciłaś mu tym samym, to on pierwszy zaczął z nią tańczyć i to jego вина - skwitował Bogdan.

- Jak on mógł?! Powiedz, po co mu to było?

- Ja też tego nie rozumiem. Kuba mówi, że ostatecznie on nie zrobił nic złego, ale mnie to wydaje się jakieś takie mało fajne. Doskonale rozumiem, co czujesz.

- A potem jeszcze sobie poszedł i mnie zostawił.

- Najgorsze, że nie zadzwonił.

- Czy ja powinnam do niego dzwonić? - zapytałam.

- Nie sądzę.

- Nie będę dzwonić. To on pierwszy obściskiwał się na parkiecie i to on mnie zostawił. Nie będę dzwonić.

I nie zadzwoniłam. Ani tego dnia, ani następnego. On też milczał. We wtorek mogłam go spotkać na wydziale, ale robiłam wszystko, aby to nie nastąpiło. Wiedziałam, gdzie ma zajęcia, wiedziałam, gdzie pije kawę na przerwach, wiedziałam, gdzie zazwyczaj się spotykaliśmy i po prostu unikałam tych miejsc. Przypadkowe spotkanie byłoby banalne. Zaslugiwałam na coś więcej.

W środę wieczorem zadzwonił domofon. Znieruchomiałam na chwilę. Zadzwonił jeszcze raz. Natarczywie i głośno, aż za-świdrowało mi w uszach. Wiedziałam, że to on. Z premedytacją nie otwierałam przez dłuższą chwilę, ale kiedy zobaczyłam go w drzwiach, poczułam dziką radość. Zapomniałam już nawet, o co nam poszło. Postarałam się jednak, aby wyraz mojej twarzy nie zdradzał żadnych emocji. Po prostu go wpuściłam.

- Chciałem ci powiedzieć, że jest mi przykro - powiedział.
- Mnie też - odezwałam się smutno.
- Możemy porozmawiać? Usiedliśmy na kanapie w dużym pokoju.
- Tamten wieczór był bez sensu. Wiem, że poszło o ten mój taniec z Beatą. To moja koleżanka z liceum. Nie wiedziała, że jestem z tobą, i zaprosiła mnie do tańca.
- Ale ty wiedziałeś.
- Ale ja wiedziałem. Nie pomyślałem, że tobie będzie to przeszkadzało. To, co jest między nami, jest najważniejsze i nic tego nie zmieni. To był tylko nic nieznaczący taniec.
- A podobało ci się, gdy tańczyłam z tym blondynem, tak?
- No nie.
- No właśnie - pokiwałam głową.
- Przepraszam.
A potem były pocałunki. Namiętność. Całował moją twarz i oczy, rozpiął bluzkę i całował moje ciało centymetr po centymetrze. Była w tym pasja i czułość. Zapomniałam o żalu. Liczyło się tylko nasze tu i teraz. Znowu byłam szczęśliwa i czułam ulgę.

10. Gorąca sesja

Wielkimi krokami zbliżała się sesja, więc musieliśmy się uczyć. Mariusz był wspaniale zorganizowany. Cały dzień miał rozpisany co do minuty. Robił dodatkowo kurs zarządzania na SGH, chodził na francuski, judo i basen. Wszystkie egzaminy zazwyczaj zdawał w terminach zerowych, na samych piątkach. Twierdził, że wszystko można zrobić, jeśli się dobrze rozplanuje dzień i nie marnuje czasu na bzdury.

Kiedy przychodził do mnie i widział włączony telewizor, natychmiast go wyłączał.

- To złodziej czasu. Można przed nim siedzieć i czekać, aż minie życie.

- Ale to mój ulubiony serial. Trwa tylko pół godziny... - próbowałam protestować.

- Ile artykułów z postępowania cywilnego przeczytałabyś w tym czasie?

- Nie wiem, daj spokój.

- Co najmniej pięć, trzykrotnie i ze zrozumieniem. Pomnóż to przez wszystkie odcinki i wyjdzie ci cały kodeks.

- Jasne, na pewno - prychnęłam. - Lubię ten serial.

- Ale co on ci daje? No co? Płytką rozrywkę.

- Lubię go. Relaks?

- A ja mam lepsze pomysły na relaks - przyciągnął mnie do siebie i włożył mi rękę pod bluzkę. - Ale to po pierwszym rozdziale. Też mam ochotę, ale na przyjemności będzie czas po pracy.

Taki był. I bardzo podobało mi się to jego zorganizowanie. Uosobienie niezłomnego charakteru i upor. Zadaniowiec. Te cechy u mężczyzny były przecież nieodzowne. Czyż Mariusz nie spełniał moich marzeń o idealnym mężczyźnie? Ale była w tym też jeszcze jakaś kalkulacja, której nie lubiłam i która budziła mój opór.

Wiosna tamtego roku była ciepła, nawet upalna. Czerwiec przywitał nas słońcem i zupełnie letnią pogodą. Temperatura sięgała trzydziestu stopni. W taką właśnie upalną, czerwcową sobotę uczyliśmy się do sesji egzaminacyjnej, która miała się rozpocząć za tydzień. Ustaliliśmy, że nie spotkamy się cały dzień i będziemy się pilnie uczyć, a potem wieczorem wyskoczmy na imprezę do znajomych z roku. Wszystko sobie pięknie zaplanowaliśmy w porannej rozmowie telefonicznej.

Było strasznie duszno. Zasłoniłam wszystkie żaluzje i zasłony w domu, żeby ograniczyć dopływ żaru, który lał się z nieba.

W nocy otwierałam wszystkie okna i w ten sposób wychładzałam mieszkanie. Siedziałam w samej tylko bieliźnie na kanapie w dużym pokoju, z nogami opartymi na fotelu, obłożona podręcznikami, komentarzami i notatkami, i czytałam na głos. Szło mi nawet nieźle. Około drugiej poczułam się głodna, więc zrobiłam sobie sałatkę grecką. Kiedy ją jadłam, popijając sokiem pomarańczowym, zadzwonił domofon.

Nie miałam pojęcia, kto to mógł być. Nałożyłam rozpinaną koszulę z cienkiego lnu, podniosłam słuchawkę domofonu i zapytałam, kto tam.

- Twój ukochany - usłyszałam głos Mariusza. Roześmiałam się i wpuściłam go do kamienicy. A więc mój

planista nieplanowo zaszczycił mnie swoją wizytą, pomyślałam z czułością, i po chwili otworzyłam drzwi mieszkania. Objął mnie na powitanie i zamknął mi usta pocałunkiem.

- Wyglądasz tak ponętnie w tej koszulce - szeptał mi do ucha. - Próbowałem się uczyć, ale cały czas myślałem, co mógłbym z tobą robić. Moja kochana, tak cię pragnę...

Jego słowa i mnie rozpały. Niewiele mi było trzeba, bo ten upał rzeczywiście działał bardzo proseksualnie.

Kochaliśmy się dwukrotnie. Pierwszy raz był pośpieszny i gwałtowny, za drugim razem smakowaliśmy subtelnie swoje ciała i najskrytsze zakamarki. Kiedy był we mnie, czułam niespotykaną słodycz i pełnię. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłam, bo nikt nigdy nie był mi tak bliski. Z nim mogłam robić wszystko. Nie czułam żadnych zahamowań. Jeden jego dotyk wprowadzał mnie w ekstazę.

Leżeliśmy obok siebie, nadzy i spoceni.

- Dobrze mi z tobą, wiesz? - powiedział, przyciągając mnie do siebie.

- Mnie też.

- Uwielbiam się z tobą kochać. Po prostu uwielbiam - pocałował mnie w policzek. - Z tobą jestem jak w transie. Z tobą to

jest niezwykle. Powiniennem się uczyć, ale naprawdę nie mogłem zupełnie się na niczym skupić. Zamiast paragrafów widziałem twoje cudne pośladki.

- Moje biedactwo niezaspokojone! - powiedziałam z czułością.

- Mam duży temperament, może nawet za duży; to jest czasem kłopotliwe - powiedział patrząc w sufit.

- Dlaczego? Milczał przez chwilę.

- No wiesz, nie zawsze jesteś pod ręką - mrugnął porozumiewawczo i zmienił temat: - Kochanie, nie chce mi się, ale rozsądnie będzie, jak wrócę do siebie i sami się jeszcze pouczymy. A potem przyjadę po ciebie przed ósmą, OK?

Kiwnęłam głową. Rozstanie nie było jednak takie proste. Mariusz cały czas mnie obejmował, ja jego, całował moją szyję, gdy próbowałam się ubierać, przyciągał do siebie i mocno przytulał. Naprawdę, najlepiej było nam w czułych objęciach, ale tak w żaden sposób nie moglibyśmy się uczyć. W końcu, po wymianie kolejnych czułości, zamknęłam za nim drzwi i od razu poczułam pustkę. I wtedy usłyszałam pukanie do drzwi. To był on.

- Zapomniałem cię ostatni raz pocałować - powiedział, przyciągając mnie za policzki.

Nastał więc kolejny pięciominutowy pocałunek, który sprawił, że znów siebie zapragnęliśmy i zrobiliśmy to na stojąco w przedpokoju.

- Już prawie piąta, a za parę dni sesja. Jeśli za chwilę stąd nie znikniesz, to wyrzucę cię siłą. Zrobiłeś, co miałeś zrobić, i spływaj - szepnęłam mu do ucha już po wszystkim.

- Wykorzystałaś mnie, a teraz nie jestem ci do niczego potrzebny - uśmiechnął się czule.

W końcu się rozstaliśmy, a ja wróciłam do kodeksów.

Sesja trwała, egzamin z procedury cywilnej zdałam na piątkę, uczyłam się prawa międzynarodowego. Do kraju przybył Jan Paweł II ze swoją siódmą pielgrzymką. Oglądałam w telewizji powitanie papieża na Wybrzeżu przez prezydenta Kwaśniewskiego i prymasa Glempa. „U schyłku kończącego się tysiąclecia, a zarazem na progu nowych czasów, które nadchodzą, pragnę wraz z moimi rodakami rozważyć wielką tajemnicę Boga, który jest miłością”, mówił, rozpoczynając swoją pielgrzymkę. Kochałam, byłam szczęśliwa. Słuchałam tego niezwykłego Polaka z nadzieją w sercu.

Upały stały się nieznośne; nawet w nocy temperatura nie spadała na tyle, żeby można było skutecznie wychłodzić mieszkanie. Jedynym wyjściem pozostawała nauka w czytelni Biblioteki Narodowej, gdzie była klimatyzacja. Uczyło tam się wiele osób z naszego wydziału, a także ze Szkoły Głównej Handlowej. Przychodziliśmy z zamiarem wkuwania, ale kiedy pojawiał się ktoś znajomy, pogawędki skutecznie skracały czas nauki.

Jak się okazało, Mariusz spotykał tam bardzo wielu znajomych. I były to w większości dziewczyny. Niespecjalnie zawracałam sobie tym głowę, bo większość osób uczących się w tym miejscu stanowiły dziewczyny. Zauważyłam, że niektóre z nich wyraźnie go kokietują. Składałam to wszystko na karb jego uroku, ale jedna sytuacja wyprowadziła mnie kompletnie z równowagi i zasiała niepokój.

Właśnie zrobiliśmy sobie południową przerwę w nauce, udając się do barku, w którym można było kupić rozmaite przekąski. Zamówiłam sok i kanapkę, po czym poszłam zająć dla nas miejsce przy stoliku. Mariusz czekał na herbatę przy ladzie. Kiedy już usiadłam na wygodnym, obrotowym krześle, zauważyłam, że do barku wchodzi wysoka, smukła blondynka. Miała rozpuszczone, tlenione włosy, które sprawiały, że od razu rzucała się w oczy. Zlustrowała ludzi stojących w kolejce i zauważyła Mariusza.

- Ooo, Mario! - podeszła do niego i pocałowała go w usta. To był taki mokry, poufały całus. - Kup mi drożdżówkę z serem, co? - Siedziałam na tyle blisko, że słyszałam każde słowo.

Mariusz wyglądał na zmieszanego, gdy spojrzał niepewnie w moją stronę.

- Jestem tu ze swoją dziewczyną - odezwał się, kiedy zawisła na jego ramieniu. Wskazał stolik, przy którym siedziałam.

- Masz dziewczynę? - roześmiała się głośno. - Coś podobnego! Trzeba o tym napisać w „Gazecie Wyborczej”.

Poczułam, że mi się przygląda. Podniosłam wzrok i w jej spojrzeniu dostrzegłam zainteresowanie połączone ze zdziwieniem i jakby niedowierzaniem.

- Dzięki za drożdżówkę, znikam - rzuciła przez ramię. Ona zniknęła i nigdy więcej jej nie widziałam. Ale pojawiło

się wtedy po raz pierwszy przejmujące uczucie: brak zaufania.

- Jak to wytłumaczysz? - zapytałam, kiedy usiadł obok mnie.

- A co mam tłumaczyć? - zapytał beztrosko, co tylko jeszcze umocniło moje obawy. Zachowanie tej dziewczyny nie było normalne, a on najzwyczajniej w świecie za takie je uznawał. I to właśnie wydało mi się podejrzane.

- Kto to był?

- Moja koleżanka z SGH.

- Koleżanka całuje cię w usta na przywitanie i wiesz ci się na ramieniu? Nie żartuj.

- OK. Jest dość ekscentryczna, to po pierwsze, a po drugie, kiedyś dawno temu przez chwilę się z nią spotykałem... jakieś dwa lata temu. To nie było nic poważnego - mówiąc to, składał papierową serwetkę, aż w końcu złożył ją w malutki kwadracik. Zrozumiałam, że tylko udaje spokój.

- Zachowujesz się tak, jakby między nami też nie było nic poważnego - powiedziałam z pretensją i natychmiast wstałam od stolika, kierując się w stronę wyjścia.

Dogonił mnie przed wejściem do czytelnicy.

- Możemy porozmawiać?

- Chciałam rozmawiać, ale ty twierdzisz, że nic się nie stało. Rozumiem więc, że dla ciebie to normalne, że dziewczyny wieszają ci się na szyi i całują prosto w usta.

- Maju, źle mnie zrozumiałaś. To rzeczywiście było głupie zachowanie. Sam nie wiem, co to miało znaczyć. To postrzelona idiotka. Daj spokój, proszę.

Wiec dałam spokój. Dąsałam się wprawdzie przez cały ten dzień, ale potem niemal o tym zapomniałam. Zwłaszcza, że zrobiło się chłodniej i przestaliśmy się uczyć w bibliotece. A poza tym miałam nadzieję, że ona była przeszłością, a w jego życiu -teraz - liczyłam się tylko ja.

Sesja niemal się skończyła i zaczęliśmy planować wspólne wakacje. Znajomy Ewy miał niewielki, drewniany dom w Dębках nad morzem i mógł go nam niedrogo wynająć. Zaplanowaliśmy wyjazd na drugi tydzień lipca. Razem z nami miał pojechać Bogdan z Kubą i Andrzej, kolega Mariusza, ze swoją dziewczyną Klaudią. Pod koniec lipca Mariusz wyjeżdżał na miesięczne praktyki do kancelarii w Paryżu, które sobie załatwił przez francuskiego adwokata, znajomego rodziców. Miał wrócić przed ostatnią sobotą sierpnia i towarzyszyć mi na ślubie i weselu Ewy.

Andrzej był bliskim kolegą Mariusza; znali się i przyjaźnili od czasów szkolnych. Z miejsca go polubiłam. Był bardzo wesoły i spontaniczny, mimo ścisłego umysłu fizyka. Klaudia była podobnie radosna.

Po ostatnim egzaminie poszliśmy wszyscy potańczyć do jakiegoś modnego wtedy klubu w centrum. Tryskałam energią i czułam ulgę, jak zawsze po zaliczonej sesji. Byliśmy młodzi,

zakochani, mieliśmy wakacje przed sobą. Tata, mimo że ciągle go nie było, a może właśnie dlatego, nie żałował mi gotówki, więc mogłam sobie pozwolić na wszystko, co chciałam, nie zwracając sobie głowy takimi bzdurami, jak zarabianie pieniędzy.

- Pijemy dzisiaj szampana i oblewamy udaną sesję! - wykrzyknęłam, kiedy znaleźliśmy się w zatłoczonym klubie, a dźwięki pulsującej muzyki wprawiły nas w imprezowy nastrój.

Klaudia i Andrzej wydali okrzyk radości. Szampan od razu uderzył mi do głowy, bo byłam tak zdenerwowana przed egzaminem, że niewiele jadłam tego dnia. Mariusz też opróżnił swój kieliszek bardzo szybko i nalał sobie drugi. A potem zaprowadził mnie na parkiet.

Tańczyliśmy przez jakieś piętnaście minut, a potem wróciliśmy do naszego miejsca przy barze i zamówiliśmy drinki. Klaudia z Andrzejem spierali się właśnie w jakiejś sprawie, ale nie pamiętam już, o co chodziło. Mieli taki styl swojej relacji, że wiecznie się o coś spierali, a jedno drugie nazywało przy tym pieszczotliwie „głuptaskiem”.

- Jest tu jedna dziewczyna - powiedział nagle Mariusz, patrząc w stronę parkietu - z którą uwielbiam tańczyć. Nie będziesz miała nic przeciw? - spojrzał na mnie.

Byłam zdziwiona jego prośbą, a właściwie tym, że odczuwa potrzebę tańczenia z kimś poza mną. Z drugiej strony, nie chciałam wyjść na jakąś chorą zazdrośnicę, choć oczywiście zazdrość czułam. Nie potrafiłam też wtedy do końca zrozumieć, dlaczego nie wystarcza mu taniec ze mną. Gdyby nam to nie wychodziło, gdybym nie umiała tańczyć, ale tak przecież nie było. Miałam wrażenie, że nasz taniec jest doskonały. I było coś jeszcze, co czułam, gdy tańczyliśmy ze sobą: jego erekcję. Przemknęło mi przez myśl pytanie, czy taniec z inną wprowadzi go w podobny stan.

- A jeśli miałabym przeciw, to co? Nie zatańczyłbyś?

- Nie widzę powodu, żebyś miała mieć coś przeciw. To w końcu tylko taniec z koleżanką z liceum.

- Bardzo dużo masz tych koleżanek - powiedziałam zupełnie niepotrzebnie, bo dałam tym samym do zrozumienia, że jestem zazdrosna.

- To, że jesteśmy razem, nie oznacza chyba, że nie mogę mieć koleżanek? Nie bądź śmieszna. Nie możemy być wobec siebie tacy zaborczy. To byłoby chore.

- Tańcz zatem, jeśli chcesz, proszę bardzo.

- Dziękuję uprzejmie za pozwolenie - powiedział z przekąsem i skierował się w stronę parkietu.

Po chwili widziałam go wirującego w tańcu z jakąś drobną szatynką. Z przyjemnością odnotowałam fakt, że nie była zbyt ładna. A potem zganiłam siebie w myślach za te oceny. Byłam zazdrosna. Dlaczego byłam zazdrosna? Przecież, racjonalnie patrząc, urodą biłam większość tych dziewczyn na głowę. Skąd więc ta zazdrość się wzięła? Jakie były jej powody? Przecież dobrze wiedziałam, że w związku potrzebna jest wolność, co oczywiście nie oznacza prawa do zdrady, ale taniec to żadna zdrada. Co się ze mną dzieje?

Mariusz wrócił do mnie po kilku minutach i przez resztę wieczoru tańczyliśmy tylko ze sobą. Nie wracałam już w klubie do sprawy tańca, ale zagadnęłam o to, gdy wyszliśmy z taksówki i zegnaliśmy się przed moim domem. Nie mogliśmy pójść do mnie, bo tym razem w domu nocowali i tata, i Ewa.

- No tak, jestem zazdrosna. Powiedz mi, czy taniec ze mną ci nie wystarcza?

- Nie powinnaś być zazdrosna. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną w klubie. Żadna ci nie mogła dorównać. One jedynie stosują więcej sztuczek.

- Jakich sztuczek?

- Seksowna bielizna, pończochy... takie tam różne zabiegi, żeby złowić faceta. Nie mam nic przeciw, gdybyś i ty chciała nosić seksowne majteczki.

- Nie podoba ci się moja bielizna? - zrobiłam minę urażonej damy.

- Nie miałbym nic przeciw czarnym, koronkowym majteczkom i pończochom, to chciałem powiedzieć. A teraz daj buziaka na pożegnanie.

Z tej rozmowy wysnułam jeden wniosek: Mariusz chciał, żebym była bardziej seksowna. Nie stosowałam żadnych wyrafinowanych zabiegów, moja bielizna była dobrej jakości i w kolorach dopasowanych do garderoby, ale rzeczywiście nie były to koronkowe podwiązki. Seks z nim był wspaniały, ale jeśli koronkowa bielizna miała sprawić, żeby był bardziej podniecający, to nie miałam oporów, żeby sobie taką sprawić.

Następnego dnia urządziłam kilkugodzinny maraton po sklepach i w efekcie miałam koronkową bieliznę we wszystkich odcieniach i wariantach.

11. Lato zimne i gorące

Nastaly beztroskie wakacyjne dni w upalnej Warszawie. Wpłaciliśmy zaliczkę na nasz wyjazd do Dębek i czekaliśmy, aż nadejdzie piętnasty lipca. Spędzaliśmy większość czasu razem, spotykaliśmy się ze znajomymi z roku, przygotowywaliśmy sobie kolacje, piliśmy wino, a potem kochaliśmy się. Moja nowa bielizna rzeczywiście się sprawdziła.

Pewnego dnia wybraliśmy się razem na film *Truman show* z Jimem Carreym w roli głównej. To był ciekawy film o mężczyźnie, który od chwili narodzin był nieświadomą gwiazdą telewizyjnego show. Jego życie śledziło ponad pięćset kamer,

o czym wiedzieli otaczający go ludzie, a on sam dopiero zaczynał się tego domyślać.

- Może zrobimy to tutaj? - usłyszałam w pewnej chwili szept Mariusza.

Na sali było niewiele osób. Siedzieliśmy sami w ostatnim rzędzie. Przed nami siedziała jakaś kobieta, a potem długo, długo nic, aż do środka rzędów, gdzie ulokowało się kilkanaście osób. Perspektywa seksu w kinie wydała mi się bardzo kusząca, więc odwzajemniłam tylko pocałunek, na znak aprobaty. Kiedy usiadłam na jego kolanach, krzesło zaczęło głośno skrzypieć i kobieta siedząca przed nami odwróciła się zaciekawiona.

- Nie da się, gdy ona tu siedzi - szepnęłam. - Musimy coś z nią zrobić.

- Ale co?

W odpowiedzi usłyszałam mój ściszony głos, gdy zwróciłam się w stronę kobiety:

- Przepraszam panią, halo...!

Kobieta natychmiast odwróciła się w moją stronę. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat.

- Bardzo panią przepraszam. Mamy taką nietypową prośbę. Chodzi o to, że ja i mój chłopak nie bardzo mamy gdzie to zrobić... rozumie pani... w domu rodzice i tak dalej. No i chcielibyśmy teraz to zrobić.... Czy mogłaby się pani przesiąść trochę dalej?

- No, dobrze - odpowiedziała bez najmniejszego zastanowienia i natychmiast podniosła się z miejsca. Jej twarz wyrażała zdziwienie połączone z rozbawieniem.

- Jesteś niesamowita! - szepnął Mariusz i z uznaniem pokręcił głową.

A potem to zrobiliśmy. Mimo woli zerkałam w stronę rzędu, gdzie siedziała „życzliwa” kobieta, ale ona ani razu się nie odwróciła. Zresztą zachowywaliśmy się dość cicho. Wyszliśmy

z kina przed końcem seansu, bo już „po wszystkim” czułam się zażenowana na samą myśl, że będę musiała stanąć z nią twarzą w twarz. A zresztą, i tak straciliśmy wątek.

Dokładnie na trzy dni przed naszym planowanym wyjazdem do Dębek zadzwonił Bogdan. W jego głosie wyczułam jakieś wahanie, jakby zastanawiał się, czy w ogóle warto drażnić temat, kiedy na pozór swobodnie pytał:

- Dużo fajnych filmów ostatnio weszło do kin. Widziałaś coś nowego?

- Niespecjalnie... - odpowiedziałam, bo choć byłam przecież na *Truman Show*, to tak naprawdę go nie oglądałam. Oczywiście, nie zamierzałam opowiadać Bogdanowi o tym, co robiłam w czasie seansu.

- A widziałaś może ten nowy film z Jimem Carreyem? - zapytał wprost.

- Wiesz, byłam na tym, ale przysnęłam w trakcie... Byłam zmęczona i nie powiem ci, czy dobry - uznałam, że to będzie najwłaściwsza odpowiedź.

- Byłaś z Mariuszem?

- Tak.

- Aha - zamilkł na chwilę. - No, właśnie. I nie powiesz mi, dlaczego nie pamiętasz tego filmu, i ja cię rozumiem. Bo ja też bym nie mówił.

Słuchałam go, coraz bardziej zaskoczona dwuznacznością tego, co mówił.

- Ale tak się składa, że ja wiem, dlaczego nie oglądałaś tego filmu, chociaż byłaś na nim w kinie. I wiem, że na pewno na nim nie spałaś.

- Możesz mówić jaśniej? - byłam już wyraźnie zaniepokojona.

- Oczywiście, chociaż przygotuj się, bo to, co usłyszysz, nie będzie miłe - zamilkł na chwilę. - Zastanawiałem się, czy w ogóle ci o tym mówić, czy to nie będzie wtrącanie się, jątrzenie, sianie zamieszania, rozumiesz. Jednak uznałem, że powinnaś wiedzieć.

- Bogdan, błagam, powiedz, o co chodzi. Co wiesz?

- Wiem, że uprawiałaś seks w tym kinie z Mariuszem. Że krzesło skrzypiało i poprosiłaś jakąś babkę, żeby się przesiadła, a potem robiliście to na siedząco i na podłodze.

- Skąd wiesz? - zapytałam. Przemknęło mi przez myśl, że może przypadkiem nas widział, bo też był na tym seansie, albo że widział nas jakiś wspólny znajomy i mu doniósł. Pewnie byliśmy zbyt zajęci sobą, aby zauważyć, że ktoś nas obserwuje.

- Pamiętasz, jak byliśmy razem na dyskotecę, ty z Mariuszem, ja z Kubą i Magda z tym swoim... jak mu tam...?

- Pawłem - dodałam szybko.

- No właśnie. Spotkałem tam wtedy koleżankę z roku. Kiedy ty tańczyłaś z tym przystojniakiem, Mariusz rozmawiał z nami, i wtedy właśnie podeszła Beata. Rozmawiała z nami przez chwilę, a potem wypytywała mnie o Mariusza, bo... no wiesz... spodobał się jej. Pytała, czy jest hetero - zaśmiał się lekko. - Ja jej odpowiedziałem, że owszem, ale że chodzi z moją przyjaciółką i że to bardzo poważne. Specjalnie tak jej powiedziałem, żeby nie próbowała do niego startować, zwłaszcza że widziałem, jaka byłaś wtedy wściekła, że tańczył z tamtą dziewczyną...

- No dobrze, czy możesz przejść do rzeczy?

- No i właśnie ta Beata spotkała wczoraj swoją koleżankę z roku. Ona ma takie śmieszne przezwisko: Smiecha. Więc spotkała ją, gdy tamta razem z Mariuszem piła kawę w jakiejś knajpie, nie wiem nawet w jakiej, jak chcesz, mogę się dowiedzieć...

- No i co? Mów! - byłam coraz bardziej zaniepokojona.

- W pierwszej chwili go nawet nie poznała, ale potem, to znaczy następnego dnia, jak spotkała Śmiechę na uczelni, zaczęła wypytywać o niego. I ona jej opowiedziała o seksie w kinie.

- Ta dziewczyna, z którą Mariusz pił kawę?!

- Tak. Powiedziała, że on jej opowiadał, że ostatnio uprawiał seks w kinie i że to było niesamowite. Wszystko ze szczegółami.

- Idiota! - wysyczałam. - Po co, powiedz: po co?! Szczeniak - nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

- Jednak po coś, jak się okazuje.

- Po co? - zapytałam podniesionym głosem.

- On jej proponował, żeby spróbowała.

- Świetnie - skwitowałam cicho.

- Żeby z nim spróbowała - dodał równie cicho. Poczułam, że robi mi się gorąco. Zdradził intymne szczegóły

naszego życia, nasze sekrety i jeszcze proponował jakiejś dziewczynie seks? To wydawało mi się kompletnie niedorzeczne.

- Co?! - krzyknęłam. - To niemożliwe.

- A jednak.

- Nie, no w to już nie uwierzę! Powiedział o seksie w kinie, chciał pokazać, jakim jest świetnym samcem, zgrywał przed nią ogiera, ale po co miałby proponować jej seks? Przecież to nonsens. Ma udany seks ze mną.

- No i co z tego?

- Jak to, co z tego! Jest nam dobrze, czuję to. Czuję, że jest mu ze mną dobrze, po prostu! Widzę to w jego oczach, rozumiesz?

- Widzę to w jego oczach... - powtórzył za mną. - Czy ty siebie słyszysz? A może po prostu widzisz to, co chcesz zobaczyć?

- Daj spokój! Widzę, że zakpił z tego, co powinno być dla niego ważne. Widzę, widzę! Tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego. Przecież naprawdę jest nam dobrze, w łóżku też.

- Gdyby mu było źle, to by się z tobą nie spotykał. Jemu to najwyraźniej nie wystarcza. Inna, nie oznacza lepsza, po prostu inna. Inne cycki, tyłek...

- Przestań - przerwałam mu. - Nie musisz być taki dosadny. W tej chwili usłyszałam dzwonek domofonu. To był Mariusz.

- On właśnie przyszedł - powiedziałam szybko. - Otwieram mu drzwi.
- Przeszłam do przedpokoju i wcisnęłam przycisk domofonu.

- Co zrobisz? - zapytał Bogdan.

- Nie wiem. Mam mętlik w głowie. Czuję się oszukana, czuję się podle. Kończę, zadzwonię później.

Usłyszałam kroki Mariusza za drzwiami. Otworzyłam drzwi, nie czekając, aż naciśnie dzwonek. Zrobiłam to gwałtownie i widocznie musiał dostrzec na mojej twarzy jakąś zmianę, bo od razu powiedział:

- Coś się stało? Jesteś strasznie blada.

- A co się miało stać? - zapytałam, zbierając myśli. On w tym czasie musnął mój policzek i zdejmował buty. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić, jak się zachować, próbowałam ocenić wszystko to, czego dowiedziałam się od Bogdana. Znaleźć na to jakieś normalne wytłumaczenie, usprawiedliwić całe to zajście.

- Zrobię herbatę - powiedziałam i poszłam do kuchni.

A potem nagle, kiedy, pochylona nad zlewem, poczułam jego dłonie na moich ramionach, odwróciłam się i zapytałam:

- Kto to jest Śmiecha? Zobaczyłam pytanie w jego oczach.

- Moja koleżanka z SGH - odpowiedział.

- Twoja koleżanka, tak? Kolejna koleżanka. I ty opowiadasz swoim koleżankom intymne szczegóły naszego życia, tak? Tak niewiele dla ciebie znaczą? - mówiłam podniesionym głosem, ostatkiem sił powstrzymując się przed krzykiem.

Zobaczyłam zdumienie na jego twarzy i mimo że nie odezwał się jednym słowem, wiedziałam już, że to wszystko, co powiedział mi Bogdan, to szczerą prawdą. Po prostu wyczytałam to z pierwszego drgnienia nerwu na jego twarzy, która stężała, mięśnie skumulowały siłę, a potem w ułamku sekundy twarz wróciła do swojego normalnego wyrazu. Ale już było za późno.

- Jak mogłeś jakiejś dziewczynie opowiadać takie rzeczy?! Mały chłopczyk doświadczył inicjacji i musi pochwalić się przed całym światem swymi podbojami. Zrobił to w kinie, na podłodze!! ! Jesteś podły!!! - ostatnie zdanie wykrzyczałam.

- Oj, to było głupie... - powiedział w końcu, wyraźnie zmieszany.

- Nie!!! To było podłe! - krzyczałam. - Myślałam, że to coś dla ciebie znaczy! A ty sobie urządzasz przechwałki! Zawiodłeś mnie!

- Wyglądałem się po prostu. Wyluzuj, naprawdę.

- Magda mi mówiła, że nie powinnam ci ufać, i miała rację.

- Przestań! - teraz on krzyknął.

- Nie krzycz na mnie! Z nią też chciałeś to zrobić w kinie. Tak ci się spodobało, że proponujesz to teraz dziewczynom na lewo i prawo?!

- Co ty za głupoty wygadujesz?! Nie proponowałem jej niczego!

- Ona twierdzi inaczej! To jest podłe, tak czy inaczej. Opowiedziałeś jej o naszych sprawach.

- I jakie to ma znaczenie? A ty nie zwierzasz się koleżankom albo temu... temu gejowi, twojemu przyjacielowi Bogdanowi? - wypowiadając jego imię, wyraźnie się skrzywił.

- Wyobraź sobie, że o tej sprawie nie powiedziałam nikomu. Nikomu! Bo to jest zbyt intymne! A ty ze wszystkimi szczegółami opowiedziałeś!

- Nie ze szczegółami...

- I jeśli tego nie rozumiesz, to znaczy, że wcale mnie nie rozumiesz. Idź już! Chcę zostać sama.

- Nigdzie nie pójde! To przecież bez znaczenia, co jej powiedziałem, to były żarty.

- Ale ja teraz nie żartuję i mówię: idź sobie, wynoś się! -krzyżąc, przeszłam do przedpokoju i otworzyłam zasuwę drzwi wejściowych. Otworzyłam je na oścież.

Pobiegł za mną i próbował mnie objąć. Wyrwałam się z jego objęć.

- Do widzenia! - wysyczałam.

I w tym momencie zobaczyłam wchodzącą po schodach Ewę.

- Cześć wam! Jaki upał! Przyszłam się trochę ochłodzić w tym starym budownictwie. U nas się nie da żyć. Mam w domu dwadzieścia dziewięć stopni. To się nazywa „słoneczne mieszkanie”. Wychodzisz, wchodzisz?

- zwróciła się do Mariusza.

- Wychodzi - powiedziałam dobitnie.

- Jak sobie chcesz - powiedział cicho. - To cześć! - rzucił przez ramię i zbiegł po schodach.

- Co on taki? Pokłóciliście się? - zapytała i spojrzała na mnie uważnie.

- Tak - odpowiedziałam i poczułam, że chce mi się płakać. Dopiero teraz dotarło do mnie to, co się przed chwilą stało. Mówiłam, żeby sobie poszedł, ale tak naprawdę miałam nadzieję, że będzie mnie przekonywał, przeproszał, że wytłumaczy to w jakiś wiarygodny, przekonujący sposób.

Łzy popłynęły, kiedy opowiadałam o wszystkim Ewie. Zachowanie Mariusza zdziwiło ją nie mniej niż mnie. Uznała, że było dziecinne i płytkie. Stwierdziła jednak, że ta rzekoma propozycja seksu wydaje się szyta grubymi nićmi. Ewa uważała, że ta Śmiecha mogła to sobie wymyślić albo źle oceniła cały kontekst. Takich rzeczy się nie „proponuje” koleżance, stwierdziła.

- To nie jest piekarnia - skwitowała. - Nie chce mi się w to wierzyć, to jakieś bzdury.

- Nie chcę go widzieć - powiedziałam, wycierając nos.

- A co z Dębkami?

- Pojadę bez niego.

Pokiwała tylko smętnie głową. Usiadła w fotelu i napiła się wody mineralnej.

- Od początku nie przepadałam za Mariuszem, uważam, że jest jakiś taki sztuczny, ale cóż..., wiem, że jest ci bliski, byliście tacy szczęśliwi... Zastanów się jeszcze.

Ale ja już podjęłam decyzję. Zresztą tak naprawdę nie miałam wyboru, bo on po prostu nie zadzwonił. Ani tego dnia, ani następnego, a potem nastał już dzień wyjazdu. Miałam pojechać z Bogdanem i Kubą, ale ostatecznie pojechałam tylko z Bogdanem. Przyjechał po mnie swoim zabytkowym trabantem cabrio z nieskazitelnie błyszczącą karoserią, którego pieczołowicie odnawiał przez cały ostatni rok.

Kuba miał dojechać do nas za trzy dni, bo trafił mu się jakiś atrakcyjny biznes z Niemcami. Chcieli kupić trzy obrazy. Bogdanowi w tym czasie, dzięki inwestycjom giełdowym Kuby, bardzo dobrze się wiodło. Twierdził, że jego malutki kapitalik, zainwestowany na giełdzie, przyniósł mu naprawdę duży dochód. Sama zaczęłam namawiać tatę na giełdową inwestycję, ale mój ostrożny z natury ojciec nie uznawał żadnego ryzyka.

Prowadziliśmy samochód na zmianę i cały czas roztrząsaliśmy moje sercowe sprawy. Miałam dylemat; nie wiedziałam, czy dobrze zrobiłam, że go wyrzuciłam wtedy z domu. Nie potrafiłam też zrozumieć, dlaczego nie zadzwonił, skoro mu na mnie zależy. W końcu doszłam do smutnej konkluzji, że to po prostu koniec, że musiałam się pomylić, że wymyśliłam sobie to wszystko i że muszę o Mariuszu zapomnieć. Potem z kolei

Bogdan zaczął się rozplýwać nad Kubą. Stwierdził, że najważniejsze w związku to zaufanie, że jak raz je stracisz, to potem już nigdy nie potrafisz zaufać. I że on właśnie Kubie ufa, bo ten go nigdy nie zawiódł. Że każda dwuznaczność w związku, każde niedomówienie podważa zaufanie. Potem razem stwierdziliśmy, że ludzie niepotrzebnie prowadzą między sobą różne gierki i na tym polega największy problem. Bo nakładają maski, kreują się na innych, niż są w rzeczywistości.

- Więc myślisz, że Mariusz po prostu grał? - zapytałam w pewnej chwili.

- Nie można tego wykluczyć. Magda twierdzi, że w twoim towarzystwie on się inaczej zachowuje.

- Tak ci powiedziała?

- Tak. Ona nie ma o nim dobrego zdania, ale powiedziała mi, że wygląda to jednak na miłość.

- Co?

- To, co jest między wami. Przecież was widzi na wydziale, opowiadasz jej, byliście gdzieś wspólnie parę razy. A ona przecież znała go już wcześniej.

- Jako przystojniaka, który opowiada sprośne kawały i rozprawia o seksie. Kolejna Smiecha?

- Coś może być na rzeczy. Może to erotoman-gawędziarz? Ale powiem ci szczerze, że ja nie rozumiem tego faceta i nie łąpię z nim kontaktu.

12. Poczucie straty

Po przyjeździe do Dębek dotarło do mnie z całą mocą poczucie straty. Przyjechaliśmy przed zmrokiem i z miejsca wzięliśmy się do sprzątanía i wietrzenia. Dom był ponoć przygotowany, ale Bogdan nie usiadł na muszli klozetowej, dopóki jej własnoręcznie

nie umył. Biegał po domu w żółtych, gumowych rękawiczkach i narzekał, że odparza sobie dłonie w taki upał.

Była noc, więc prawdziwy upał miał nastąpić następnego dnia, wraz z pierwszymi promieniami słońca, dlatego postanowiliśmy doprowadzić dom do porządku po zmierzchu, gdy nie było tak gorąco. Poszliśmy spać o drugiej w nocy, a następnego dnia, o szóstej, obudziło mnie słońce, którego nie była w stanie powstrzymać jasna, lniana zasłonka. Próbowałam nakryć głowę kołdrą, ale wtedy nie mogłam oddychać.

W końcu wstałam i poszłam do kuchni zaparzyć kawę. To był mały, jednopiętrowy domek. Na parterze był salon z kuchnią i pokój, który zajmowała ja, a na poddaszu dwie sypialnie. Usiadłam z kubkiem kawy w dłoni na małym tarasie i wpatrywałam się w szpaler wysokich brzozy, rosnących na posesji. Uwielbiałam brzozy. Były takie dostojne i kruche zarazem. Zupełnie jak ja w tej chwili. Pomyślałam, że miałam być w tym uroczym domku z Mariuszem, miałam z nim się budzić i słuchać szumu fal. Poczulałam przejmujący smutek. Wypiłam kawę, a potem poszłam narzucić na siebie szlafrok, bo zrobiło się trochę chłodno. Domek był bardzo akustyczny. Z góry dochodziło głośne chrapanie Bogdana. Postanowiłam się ubrać i pojechać na rowerze po świeże pieczywo i coś na śniadanie.

Kiedy wróciłam, Bogdan siedział na tarasie, dokładnie w tym samym miejscu, co ja godzinę temu, z kubkiem kawy w dłoni. Miał mokre włosy, więc domyśliłam się, że już się wykąpał.

- Myślałem, że uciekłaś do Warszawy - zażartował.

Potem zrobiliśmy sobie śniadanie. Siedzieliśmy na tarasie, jedliśmy jajka na miękko i świeże bułeczki z szynką i pomidorami, i piliśmy *earl greya* z cytryną. A potem poszliśmy na plażę. Założyłam seledynowy, dwuczęściowy kostium i białe szorty. Bogdan miał na sobie białe, lniane spodnie i błękitny podkoszulek. Przeszło mi przez myśl, że jest bardzo przystojny, z tymi

swoimi półdługimi, falującymi włosami. Idealny facet, tyle że gej.

Na plaży czas płynął nam leniwie; czytaliśmy książki i niewiele rozmawialiśmy. Bogdan próbował raz po raz podejmować jakiś temat, ale zbywałam go krótkimi odpowiedziami. Morze było bezkresem; zawsze dawało mi poczucie wolności, lecz w tamtej chwili byłam tylko więźniem myśli, od których nie mogłam się uwolnić. O Mariuszu, rzecz jasna.

Wieczorem, w jakimś barze, w którym wypiliśmy drinka, poznaliśmy grupę bardzo miłych ludzi z Krakowa. Jednej z dziewczyn Bogdan wyraźnie się spodobał i chyba się na niego obraziła, kiedy odrzucił jej awanse.

- W normalnym świecie powiedziałbym jej, że jestem gejem, ale tutaj muszę to ukrywać. Może lepiej, żebyśmy my udawali parę?

- Tak, świetny pomysł, zwłaszcza że jutro ma przyjechać Kuba. Bardzo by się z tego ucieszył - powiedziałam, kiwając pobłażliwie głową.

Tutaj miało jednak spotkać Bogdana rozczarowanie. Następnego dnia rano poszedł zadzwonić do Kuby z poczty, żeby ustalić, o której ma wyjechać po niego na stację, i dowiedział się, że Kuba nie przyjedzie.

- Mówi, że musi pilnować spraw; wiesz, chodzi mu o sprawy giełdowe. Ale indeksy są dobre, więc nie wiem, o co mu chodzi. Mam wrażenie, że chce się po prostu wymigać od przyjazdu tutaj, tylko nie wiem, dlaczego.

- Wcale nie przyjedzie? - zapytałam zdziwiona.

- Nie, no mówi, że za trzy dni będzie.

- No to cóż, musisz jeszcze trzy dni ponudzić się ze mną. Przepraszam za mój nastrój. Obiecuję, że postaram się być weselsza. W końcu są wakacje! Możemy sobie poudawać zakochaną parę przed ludźmi z Krakowa, wszystko mi jedno, skoro nie ma Kuby, to możemy. Oni i tak jutro wyjeżdżają.

Z ludźmi z Krakowa byliśmy umówieni wieczorem. Około szóstej po południu siedziałam na tarasie i malowałam sobie paznokcie u stóp. Bogdan spał u siebie w pokoju. W pewnej chwili uniosłam głowę i zobaczyłam, że przy furtce ktoś stoi. Podniosłam się. Nie mogłam się mylić. Przy furtce stał Mariusz i patrzył w moją stronę. Przyjechał! Moje serce przyspieszyło. Jak się zachować? Co powiedzieć? Nie grać. Być sobą. Nie udawać. Nie prowadzić gierki. Tylko co ja właściwie teraz czułam? Już nie gniew. Raczej żal. A przecież powinnam się gniewać. Ale on mnie już przeprosił. Nie, to za mało. Powinien rzucić się na kolana.

Wyjęłam klucze ze schowka w przedpokoju i poszłam otworzyć furtkę.

- Cześć! - powiedział poważnym tonem.

- Cześć! - odpowiedziałam, a w moim głosie zabrzmiała udawana obojętność.

A jednak gierki. Ale życie to przecież jedna wielka kalkulacja. Nie mogłam pokazać, że czuję ulgę, że się cieszę, bo go widzę. Chociaż moje serce wyło z radości, musiałam kalkulować, żeby wygrać.

Objął mnie, gdy tylko zamknęłam furtkę. Trwaliśmy tak w niemym uścisku. Nie wyrwałam się z jego objęć, ale pozostałam nieruchoma. Zastanawiałam się, jak ustalił adres, ale szybko doszłam do wniosku, że nie było to zbyt skomplikowane.

- Możemy porozmawiać? - zapytał.

Wskazałam ręką wiklinowe krzesła na tarasie. Usiedliśmy. Nie zaproponowałam mu herbaty, choć przemknęło mi przez myśl, że może być głodny i spragniony po podróży. Uznałam jednak, że nie jestem jego niańką. Że jestem kobietą, której należą się wyjaśnienia, której życie intymne zostało wystawione na światło publiczne przez jej własnego chłopaka, który się nim przechwalał.

- Nie powinienem nikomu opowiadać o naszych sprawach. Nie wiem, po co to zrobiłem. Dla zgrywy. Ona mi coś opowiedziała, ja jej... To było głupie i naprawdę chciałbym cię jeszcze raz za to przeprosić. I to nieprawda, że jej cokolwiek proponowałem. To jakieś bzdury... - milczał przez chwilę. - Jest mi z tym bardzo źle, uwierz mi, strasznie za tobą tęskniłem. Ja po prostu nie mogę żyć bez ciebie - chwycił moją dłoń, którą trzymałam na stole.

I wtedy to się stało. Padły słowa, które chciałam usłyszeć i które zupełnie stopiły moją zranioną dumę. Każdy człowiek ich pragnie. To one sprawiają, że w jednej chwili czujemy się nieśmiertelni.

- Kocham cię, nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie - powiedział zupełnie spokojnie, po czym zamilkł, jakby oczekując mojej reakcji.

Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy. „Widzisz to, co chcesz zobaczyć” - przypomniałam sobie słowa Bogdana. A teraz usłyszałam to, co chciałam usłyszeć, tyle że to nie były moje myśli, to były prawdziwe, żywe słowa.

Wstałam i podeszłam do barierki na tarasie. On siedział nie-poruszony, czułam na swoich plecach jego wzrok. A potem się podniósł i podeszedł do mnie od tyłu. Zamknęłam oczy.

- Maju, jesteś jedyną, jesteś pierwszą kobietą, której to mówię. Kochana... - pochylił się, odgarnął moje włosy z ramion i pocałował szyję.

Tak to mniej więcej wyglądało. Potem nastąpiło godzenie, czyli pocałunki oznaczające wybaczenie z mojej strony. Nawet nie wiem kiedy znaleźliśmy się w sypialni. Kiedy we mnie wchodził miał szeroko otwarte oczy. Nic nas nie dzieliło, nie kryliśmy swoich uczuć za jakąś fasadą zamkniętych oczu.

Kiedy już bardzo mocno się pogodziliśmy, wróciliśmy na taras wypić zimną kawę. Zaraz potem przyszedł Bogdan. Przywitał się z Mariuszem.

- No, to jesteśmy w większym składzie, bardzo dobrze.

Zamienili parę słów; Bogdan oznajmił, że za dwa dni powinien dołączyć do nas Kuba, i wytłumaczył, jak najprościej dojść nad morze, a potem Mariusz poszedł rozpakować swoje rzeczy. Kiedy zostaliśmy sami, Bogdan powiedział:

- Obudziłem się, gdy rozmawialiście na tarasie. Strasznie chciało mi się do toalety, ale żeby wam nie przeszkadzać, nie schodziłem, aż w końcu zrobiłem do wazonu.

Parsknęłam cicho.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to poświęcenie. I co sądzisz? - zapytałam.

- A co tu jest do sądenia? Przyjechał, wyjaśnił, przeprosił, zrozumiał, że się głupio zachował. No i wyznał ci miłość... -spojrzał na mnie znacząco. - To brzmiało jak w romantycznym filmie...

- Tak. To zawsze ładnie brzmi w filmie. A w życiu? Jeśli kochasz, to takie wyznanie jest jak lek na całe zło. A ja go Kocham -spojrzałam wymownie na Bogdana.

- Wiem. Ale nie powiedziałaś mu tego jeszcze? Pokręciłam głową. Nie powiedziałam, choć kilka razy byłam

tego blisko. Dzisiaj z kolei zbyt zaskoczył mnie jego przyjazd i wyznanie, żeby to zrobić. A poza tym, jakoś podświadomie bałam się, że te słowa obnażą mnie i pozbawią jakiegoś ochronnego pancerza. To tak, jakby pokazać ukrytą broń, która jest schowana pod zbroją. Kiedy przeciwnik postanowi zaatakować, zrobi to celniej, znając wszystkie nasze fortele. Tyle że partnerzy powinni być sprzymierzeńcami, a nie wrogami. O tym chyba zapomniałam.

Między nami było pięknie. Wylegiwaliśmy się na plaży, wcierając w swoje ciała mleczko do opalania. Za każdym razem, kiedy smarował moje plecy, czułam jego pożądanie i widziałam je aż nazbyt wyraźnie w wypukłości kąpielówek. Zaraz potem

wskakiwał do zimnego morza. A później wracaliśmy do naszego nagrzanego domku i kochaliśmy się do utraty tchu. Robiliśmy sobie rowerowe wycieczki, po których, zmęczeni i głodni, przygotowywaliśmy obfite kolacje.

My byliśmy szczęśliwi, natomiast Bogdan popadł w apatię. Kuba nie przyjechał i wszystko wskazywało na to, że nie przyjedzie wcale. Wymawiał się pracą i brakiem czasu. Krzyczał ponoć do Bogdana, że musi pilnować ich kasy i kasy paru innych osób, nazywał go egoistą i lekkoduchem. W końcu Bogdan zaszył się w starej szopie na terenie naszej posesji i całymi dniami malował abstrakcje zatytułowane „martwe dziury”.

Donosiliśmy mu tylko przyrządzone przez nas *lasagne* i pasty, a on zjadał je w pośpiechu, odkładając na chwilę pędzel. Wpatrywał się w swoje „martwe dziury”, połykając makaron i zupełnie nie czując jego smaku. Gdybyśmy mu przynieśli trociny polane ketchupem, też by je zjadł. Jedzenie było dla niego w tej chwili zupełnie nieistotne.

- Miłość jest martwą dziurą - powiedział któregoś razu. Spojrzeliśmy na niego zdumieni.

- Zakochujesz się i już po tobie. Wpadłeś - dodał.

- Ale miłość to emocje, uczucia. Dlaczego „martwa” i dlaczego „dziura”? - zapytałam rzeczowo.

- Jeśli nie jest odwzajemniona, to znaczy martwa. Jeśli zawiedziona, to martwa. Jeśli zranione serce, to martwe. Martwica nie musi być w tobie; może być w tej drugiej osobie, która kochać nie umie. Bo jeśli na przykład zdradzasz, to nie kochasz szczerze, prawda?

- A co to ma wspólnego z miłością? - zapytał Mariusz i przyznam szczerze, że jego pytanie mnie zdziwiło.

- Jak to co? Gdy kochasz, to nie zdradzasz, to chyba proste. Mariusz zamilkł, ale miałam wrażenie, że chciał coś jeszcze powiedzieć.

- Nie zgadzasz się z tym? - zapytałam Mariusza.

- Chodzi mi tylko o to, że seks to seks, a miłość to miłość.

- A ty to ty, a ja to ja - obruszył się Bogdan. - A drzewo to drzewo, a ptak to ptak, dziura to dziura... Idźcie już, muszę malować - oddał mi pusty talerz.

Wychodząc z szopy, zagadnęłam Mariusza:

- Nie wierzysz w wierność?

- Źle się wyraziłem - zachnął się. - Po prostu można z kimś uprawiać seks bez miłości, to miałem na myśli.

- Ale nas to nie dotyczy, my mamy miłość i seks, prawda?

- Wspaniały seks. I wielką miłość - odpowiedział.

A potem włączyliśmy muzykę w naszym domku, żeby ewentualnie nie rozpraszać Bogdana, gdyby jakieś dźwięki naszej namiętności dotarły do szopy.

Szczęście nie trwało długo i to nie tylko dlatego, że po naszym powrocie z Dębek Mariusz po tygodniu miał wyjechać, i moje serce na samą myśl o tym łkało z tęsknoty. Powód był inny.

Kiedy wróciłam do domu po dwóch tygodniach, zastałam w mieszkaniu totalny rozgardiasz. Wszystkie meble stały na środku pokoi, poprzykrywane starymi obrusami i folią. Dwóch facetów właśnie malowało sufit. W przedpokoju pojawiła się Ewa w starych dżinsach i podkoszulku.

- O jesteś, buziaczek! - pocałowała mnie w policzek. - Cześć, Mariusz - uśmiechnęła się do Mariusza, który przyniósł moje bagaże.

- Postanowiliśmy z tatą odświeżyć trochę to mieszkanie. W końcu za półtora miesiąca mam ślub - westchnęła głośno. - Przyjedzie rodzina...

- No, tak. Jestem padnięta, straszny upał. Ten zapach farby... chyba umrę - powiedziałam.

- Na szczęście bardzo szybko schnie w taką pogodę - powiedziała beztrąsko. - Twój pokój robimy na jasnożółty - stwierdziła.

- Co? To mój pokój, może wcześniej ktoś jednak by to ze mną ustalił? Był kremowy i taki ma zostać.

Oczywiście, rozumiałam, że malują mieszkanie. Wymagało już tego. Ślub był dobrym pretekstem. Ale zmiana koloru mojego pokoju bez porozumienia ze mną, to już była przesada.

- Ale będzie po tym sprzątania - zauważyłam, niezbyt zadowolona z tej perspektywy.

- Robert przyjdzie nam pomóc. No i Mariusz, mam nadzieję, też się włączy - spojrzała na niego lekko się uśmiechając.

- Czemu nie? - powiedział Mariusz bez specjalnego entuzjazmu. - Ale dzisiaj to już będę uciekał - dodał szybko.

Kiwnęłam porozumiewawczo głową i pocałowałam go w usta na pożegnanie. Mieliśmy się zdzwonić następnego dnia.

- Chyba się nie kwapi do pomocy - zauważyła Ewa z przekąsem, kiedy wyszedł.

- Jechaliśmy pociągiem w trzydziestostopniowym upale. Nie wymagaj od niego, żeby skakał z radości na wieść, że ma przenosić meble. - Odniosłam wrażenie, że jest do niego nieprzychylnie nastawiona.

- Facet to facet. Sam powinien mieć poczucie, że trzeba kobietom pomóc. Od faceta musisz od początku wymagać, bo inaczej jesteś na starcie spalona.

Moja siostra była ostatnio bardzo pewna siebie i uważała, że jest największą ekspertką od spraw damsko-męskich. Po bożemu udało jej się usidlić mężczyznę, którego za chwilę doprowadzi do ołtarza. Strasznie mnie denerwowała.

- Nie potrzebuję twoich rad, dobrze sobie radzę - powiedziałam.

- Pogodziliście się, to dobrze. Był u mnie po adres do Dębek.

- Wiem, mówił. Dobrze zrobiłaś. To były świetne wakacje od dnia, w którym się pojawił. Ten pył z farby jest wszędzie -pociągnęłam palcem po kuchennej szafce.

Celowo zmieniałam temat, bo nie miałam już siły roztrząsać kwestii, o których dawno zapomniałam, a przynajmniej chciałam uważać za niebyłe. Jeśli wybaczasz, to musisz się odciąć od wspomnień; w przeciwnym razie ciągle będą jątrzyły ranę.

- Nawet nie będę się rozpakowywała, bo nie mam gdzie. Nie będę prała, bo nie mam jak. Kiedy oni skończą? - wskazałam na przedpokój, w którym pracowali malarze.

- Kończą przedpokój i został im jeszcze twój pokój. Ale skoro nie chcesz tego koloru, to jutro rano trzeba kupić inny.

- Ma być kremowy. Taki mama kiedyś wybrała i taki ma zostać - powiedziałam stanowczo.

Wieczorem przyszedł tata i sprawdził postępy w pracach. Był lekko opalony, bo właśnie wrócił z Mazur, dokąd wybrał się z Barbarą. Musiałam przyznać, że czuło się w nim spokojną radość. Ustalił z malarzami, co trzeba poprawić, gdzie zagipsować. Obiecali, że skończą jutro, więc na pojutrze zaplanowaliśmy uprzątnięcie tego bałaganu.

- Ale tę szafę z przedpokoju to możemy już przenieść do pokoju Ewy. Panie Heniu, to może razem byśmy spróbowali - ojciec zwrócił się do postawnego mężczyzny z wiecznie zdziwionym wyrazem twarzy.

Kiedy przenieśli szafę przez drzwi, mój ojciec nagle krzyknął, a na jego twarzy dostrzegłam grymas bólu.

- Opuszczam, opuszczam! - krzyknął tylko.

- Co się stało?! - podbiegłam do niego.

- Ręka, palec - jęknął, pobiegł do łazienki i odkręcił kran z zimną wodą.

Z miejsca zrozumieliśmy, że ciężka szafa przycisnęła kciuk ojca do ściany, kiedy lekko zachwiała się w drzwiach. Pobie-

gliśmy za nim do łazienki. Woda mieszała się z krwią. Tłumiąc przerażenie, spojrzałam na kciuka i z trudem powstrzymałam się od krzyku. Paznokiec był cały we krwi i miałam wrażenie, że był jakby oderwany z jednej strony, bo widziałam wyraźnie, że odstawał. Zrobiło mi się słabo. Zerknęłam na tatę i przeraziła mnie bladość jego twarzy. Musiało go strasznie boleć.

- Czy mamy coś jałowego, jakiś opatrunek, bandaż? - zapytałam, siląc się na spokój, ale w moim głosie słychać było zdenerwowanie.

- Co się stało?! Mów, bo ja nie mogę patrzeć na krew - zapiszczała Ewa.

- Nie płucz już tego - powiedziałam do ojca. - Ewa, gdzie jest apteczka? Gdzie w tym bałaganie stoi szafka z apteczką?

- O Boże, gdzie stoi...? Zaraz... to ta wisząca, kuchenna... stoi pod oknem w kuchni, zaraz przyniosę - Ewa pobiegła do kuchni.

Po chwili wróciła z jałową gazą i bandażem. Ja tymczasem usadowiłam tatę na fotelu w dużym pokoju, a palec delikatnie osuszyłam ręcznikiem. Krew nadal się lała. Ojciec oparł głowę o oparcie fotela i przygryzał z bólu dolną wargę.

- Dajcie mi coś przeciwbólowego, bo nie wytrzymam - szepnęła, sycząc z bólu.

Do łazienki wszedł pan z wiecznym zdziwieniem na twarzy.

- Ale żeś pan se przyrąbał, nieźle... - odezwał się cicho.

- O cholera, paznokiec ci schodzi! - krzyknęła Ewa.

- Czy możesz się uspokoić?! - powiedziałam rozkazującym tonem. To ja byłam w takich sytuacjach opanowana; ona wpadała w histerię. - Musimy pojechać na urazówkę, tato. Ktoś nas musi zawieźć. Ewa, zadzwoń do Roberta.

- To po nas tu już nic - malarz znowu się pojawił. - Zaraz nam kolejka podmiejska ucieknie, zbieramy się, do widzenia - wycofał się do przedpokoju.

- Robert dopiero jutro wraca z Krakowa. Boże, ile krwi... -powiedziała Ewa.

Od razu pomyślałam, że powinnam poprosić o pomoc Mariusza. To był odruch. Był mi bliski, najbliższy, potrzebowałam go w tej chwili. Jego pomocy. Wzięłam telefon i szybko wybrałam numer. Po chwili usłyszałam zaspany głos jego mamy. Zerknęłam na zegarek, dochodziła jedenasta.

- Bardzo przepraszam, że tak późno dzwonię, ale mam naprawdę pilną sprawę. Czy mogę rozmawiać z Mariuszem?

- Chwileczkę - usłyszałam, jak odchodzi od telefonu. Po dłuższej chwili znów ją usłyszałam:

- Nie ma go - powiedziała krótko.

- Nie ma? - zapytałam zdziwiona.

- No, nie ma. Nie wiem, gdzie jest. Gdzieś widocznie wyszedł, bo w domu go nie ma.

Dobiegły mnie histeryczne krzyki Ewy, więc szybko zakończyłam rozmowę i wybrałam numer korporacji taksówek. Miała przyjechać za dziesięć minut. Ewa przyniosła ojcu środek przeciwbólowy, który łąpczywie popił wodą. Na jego czole wystąpiły krople potu; widziałyśmy, że cierpi.

A potem była koszmarne godzina na pogotowiu, kiedy na żywca zrywali mu paznokiec. Ponoć trzymał się tylko na włosku; na szczęście nie było żadnego złamania. Zrobili tacie zastrzyk przeciwbólowy o działaniu lekko znieczulającym, ale miał pełną świadomość i, jak twierdził, wszystko czuł. Ja z kolei, po powrocie do domu, czułam tylko ogromne zmęczenie. Gdy w końcu położyłam się do łóżka, z miejsca zasnęłam.

Myśleć zaczęłam następnego dnia, po przebudzeniu. Oczywiście, zastanawiałam się, dokąd późnym wieczorem wybrał się Mariusz. Nie musiałam długo się zastanawiać, bo zadzwonił przed dziewiątą i mogłam mu zadać to pytanie.

- Czyżbyś mnie szpiegowała? - odpowiedział pytaniem na moje pytanie.

- A to jakaś tajemnica, gdzie byłeś?

- Żadna tajemnica. Nie rozumiem tylko, dlaczego wydzwaniasz po nocy, budzisz moją matkę i musisz koniecznie ze mną w nocy rozmawiać, skoro widzieliśmy się tego samego dnia i spędziliśmy ze sobą dwa tygodnie.

- Mój ojciec zmiażdżył sobie wczoraj kciuk i musieliśmy jechać z nim na pogotowie. Dzwoniłam do ciebie, bo chciałam żebyś nas zawiózł. Nie sądziłam, że pomyślisz, że cię szpieguję...

- Jak to się stało? Jak się twój tata czuje? - zapytał z troską. Opowiedziałam mu o wczorajszym zajściu i o wszystkim, co

się potem działo, łącznie z tym, że zaraz miała przyjechać do taty Barbara. Wciąż jednak nie dowiedziałam się, gdzie był wczoraj w nocy. Poprosiłam go o pomoc przy sprzątaniu mieszkania, na co z miejsca się zgodził. Miał przyjść o dwunastej.

Tymczasem pojawiła się Barbara, strasznie przejęta wypadkiem, i już w progu oświadczyła, że ojciec nie może przebywać teraz w takim kurzu i że jada do niej. Trudno było nie przyznać jej racji. Poza tym, kiedy zmieniała ojcu opatrunek, robiła to pewnie i zdecydowanie. Wiedziałam, że ja nie zrobiłabym tego lepiej. Pierwszy raz poczułam do niej coś na kształt wdzięczności.

Kiedy po dwunastej przyszedł Mariusz, właśnie myłam zachlapane farbą listwy podłogowe, a Ewa sprzątała łazienki. Rozejrzał się po mieszkaniu i zapytał, w czym może pomóc. Zaproponowałam, żeby umył listwy w przedpokoju i przygotowałam mu wiadro z wodą. Kiedy skończyłam sprzątać kuchnię, zajrzałam do przedpokoju. Nie szło mu najlepiej. Zmoczył wodą ścianę, farba z listew nie była zmyta, ale rozmazana. Wzięłam od niego gąbkę i zaczęłam poprawiać.

- Może zrobisz coś innego, ja już to dokończę - powiedziałam.

- Co mam robić?- zapytał niemrawo.

- Malarze wyjęli kołki ze ścian, z miejsc, gdzie wisiały obrazy. Trzeba włożyć nowe, żeby je powiesić z powrotem - odpowiedziałam.

- Ale po co to robili? Bez sensu! - prychnął.

- Nie było mnie tutaj, nie wiem.

- To nie było bez sensu - Ewa wyjrzała z łazienki. - Po prostu to były stare kołki, chybotwały się w ścianie. Trzeba było je wymienić. Wiertarka jest w pawlaczu, w przedpokoju.

Potem Mariusz długo oglądał wiertarkę i dopasowywał wiertła. Zauważyłam, że zajrzał do instrukcji. Przybrał skupiony wyraz twarzy, ale wyczuwałam w nim zniecierpliwienie.

- Nie ma kołków - odezwał się w końcu. - Jakie to są obrazy? Wskazałam ręką na obrazy stojące pod ścianą.

- Pojadę kupić odpowiednie kołki. I pojechał.

Umyłam przedpokój. Malarze skończyli malować mój pokój, więc wzięłam się za jego porządkowanie. Mariusza nie było. Minęły już cztery godziny, od kiedy wyszedł. W końcu zadzwoniłam do niego do domu. Zdziwiłam się bardzo, kiedy usłyszałam jego głos w słuchawce.

- Mam już kołki. Wpadłem na chwilę do domu, żeby coś zjeść.

- Jest szósta. Wyszedeś przed drugą! - w moim głosie zabrzmiała pretensja.

- Byłem w centrum handlowym, więc pomyślałem, że zrobię sobie jakieś zakupy przed wyjazdem. Okulary słoneczne, sportowe buty...

- Wyjeżdżasz dopiero za tydzień, a ja mam Sajgon w domu. Chcę to jak najszybciej uporządkować, bo trudno żyć w takich warunkach. Tata z tym palcem zupełnie nie może nam pomóc, myślałam, że mogę liczyć na ciebie.

- Kończę jeść i wpadnę. Uspokój się, będę za piętnaście minut.

Był za pół godziny, ale okazało się, że nie umie obsługiwać wiertarki. Ewa, skonsternowana, patrzyła, jak bezskutecznie próbuje wbić wiertło w ścianę.

- Trzeba chyba udar włączyć - powiedziała w pewnej chwili.

- To proszę, włącz - zniecierpliwiony, wyciągnął w jej stronę wiertarkę.

- Daj spokój, ja tego nie umiem robić. Nie znam się na tym - Ewa odsunęła się od wiertarki.

- Ja też się na tym nie znam! U mnie takimi rzeczami zajmuje się pan Henio. I w ogóle mam tego dość. Chodzę cały dzień za kołkami, w upale jeżdżę do centrów handlowych i nikt mi nawet „dziękuję” nie powie, tylko same pretensje - odłożył wiertarkę na stół i poszedł w stronę przedpokoju.

- Nie żartuj! - poszłam za nim. - Nikt ci nic złego nie powiedział. Nie wiedziałam, że nie umiesz wiercić. Szkoda, że nie powiedziałeś wcześniej, coś byśmy wymyśliły. Zresztą jutro będzie tu Robert. Po prostu poprosiłam cię o pomoc. Czy jest w tym coś dziwnego?

- Mnie też nie było w domu dwa tygodnie i też mi się nawarstwiły różne sprawy do załatwienia. Ja za parę dni wyjeżdżam na miesiąc, jakbyś nie pamiętała...

- Pamiętam bardzo dobrze.

- A teraz idę już, bo i tak straciłem na to wszystko za dużo czasu...

Zamknęłam drzwi między przedpokojem a salonem, tak aby Ewa nie słyszała naszej rozmowy, i powiedziałam:

- Pomaganie mi uważasz za stratę czasu? A może powiesz mi, gdzie byłeś, gdy do ciebie dzwoniłam? - zapytałam, bo naprawdę ta jego nocna nieobecność wciąż mnie nurtowała.

- Umówiłem się z kolegą na piwo. Czy ja ci się muszę tłumaczyć? Jestem wolnym człowiekiem. Wiesz co? Może dajmy sobie trochę wolności? Może odpocznijmy trochę od siebie, bo zaczyna się robić duszno. Cześć! - rzucił na pożegnanie i zniknął.

Jego słowa dźwięczały mi w uszach boleśnie; nie mogłam uwierzyć, że wypowiedział je ktoś, kto dwa tygodnie wcześniej wyznał mi miłość. On po prostu miał w nosie to, że sama musiałam się zmagać z tym bałaganem, że w nikim nie miałam oparcia, że zwyczajnie, po ludzku potrzebowałam wtedy pomocy.

Zamknęłam drzwi od swojego pokoju i usiadłam na łóżku. Popatrzyłam na zachlapaną folię na meblach, na ten cały zniechęcający bałagan, i poczułam się samotna. Była jedna osoba, której wtedy potrzebowałam ponad wszystko w świecie. Mama. Byłam już dużą dziewczynką, ale dziewczynki, i duże, i małe, potrzebują mamy. Nie chciałam się roztkliwiać nad sobą, ale nie mogłam powstrzymać płaczu. „Odpocznijmy od siebie, bo zaczyna się robić duszno” - dźwięczało mi w uszach. Zapukała Ewa. Usiadła obok mnie na łóżku.

- Jesteś na mnie zła, że powiedziałam mu o tym udarze? -zapytała cicho.

- Skąd! - wytarłam nos. - Przecież on od początku wcale nie chciał mi pomagać.

- Jutro od rana będzie tu Robert. Specjalnie wziął urlop. Rzeczywiście, Robert ze swoim kuzynem, zaopatrzeni w liny

do noszenia mebli i podkładki z filcowej wykładziny, pojawili się następnego dnia rano. Wnieśli ze sobą pozytywne nastawienie i ożywczą energię. Kuzyn był naprawdę krzepki i miał zmysł do takich rzeczy. I umiał się posługiwać wiertarką.

Miałam kiepski nastrój. Postanowiłam, że nie zadzwonię do Mariusza; on też nie zadzwonił. Ani tego dnia, ani następnego. A potem już wyjechał, więc przestałam czekać na telefon. Nie potrafiłam zrozumieć tego, co się stało. Czułam tylko żal.

Nie tylko ja byłam rozzalona. Bogdan też przechodził trudne chwile z Kubą. Coś się między nimi psuło. Kuba wyraźnie unikał spotkań, był ciągle zajęty. Substytutem miłości stała się dla Bogdana sztuka. Bardzo dużo malował i były to naprawdę piękne rzeczy. Po „martwej dziurze” przyszedł czas na „równię pochyłą”, co rzeczywiście oddawało stan, w jakim się znajdował. Niestety, miał coraz gorszy nastrój. Ja także miałam chandrę, więc ogólnie było smutno.

O Mariuszu oczywiście cały czas myślałam i próbowałam sobie jakoś wytłumaczyć to wszystko, co się stało. Ewa mnie pocieszała, że po prostu dopadł go stres przedwyjazdowy i zareagował przesadnie. A potem obydwójce byliśmy zbyt dumni, żeby zadzwonić.

Wyjechał bez pożegnania. Gdzieś w środku miałam przekonanie, że nic się nie zmieniło, że wróci za miesiąc i wszystko będzie jak dawniej.

Zaangażowałam się w przygotowania do ślubu Ewy. Chodziłam z nią wybierać weselne menu, wiązanki do przyozdobienia kościoła, zespół muzyczny. Było mnóstwo spraw do ustalenia i dopilnowania. Każdego ranka robiłyśmy plan i odhaczałyśmy w nim rzeczy załatwione. Przyszła pora, by ustalić usadzanie gości przy stole. Analizowałyśmy charakter i usposobienie każdej osoby pod kątem tego, czy gość siedzący obok byłby dla niej atrakcyjny towarzyszko. Ja także czekałam z utęsknieniem na ten ślub, bo wiedziałam, że właśnie wtedy wróci Mariusz. Mimo uzasadnionych pretensji, jakie do niego miałam, zwyczajnie za nim tęskniłam. Powinien wrócić dwa dni przed ślubem.

Nie wrócił. Na ślub poszłam sama. Poprosiłam Ewę, żeby zadzwoniła do jego domu jako koleżanka ze studiów i dowiedziała się, kiedy wróci. Usłyszała, że przedłużył pobyt o miesiąc.

Dopiero wtedy wpadłam w „czarną dziurę” rozpacz. Byłam wściekła i rozszalona; w jednej sekundzie postanowiłam, że to koniec. Miałam go za kłamcę, egoistę i dzieciaka. Nie wierzyłam w jego wyznania miłości. Uznałam, że Mariusz to zamknięty rozdział. Moja wściekłość nakazała mi wymazać go z pamięci i bawić się, nie zważając na złamane serce.

Na weselu poznałam Emila. Wysoki blondyn o zawadiackim uśmiechu. Gdy tylko go zobaczyłam, pomyślałam, że to świetny facet „na zapomnienie”. Nasze spojrzenia spotkały się już w kościele, a na przyjęciu Robert nas sobie przedstawił.

To było bardzo wystawne wesele. Autobusy zawiozły gości do pałacu w Radziejowicach pod Warszawą. Tam nastąpiło zwiedzanie pałacu z kieliszkiem szampana w dłoni. Potem konsumpcja składająca się z pięciu dań, szwedzki stół z deserami, prosię pieczone na świeżym powietrzu i tort weselny. A wszystko to przy akompaniamencie zespołu muzycznego i kwartetu smyczkowego, który miał za zadanie dyskretnie wpasowywać się w szum rozmów przy stole. Sto dwadzieścia osób. Ostentacja i drobnomieszczański przepych. Kiedy na to patrzyłam, postanowiłam, że ja nigdy niczego podobnego sobie nie zafunduję.

Emil był rzeczywiście wesoły i roztańczony. Piłam dużo, jadłam mało. Zapijałam swoje rozczarowanie i smutek, o które nikt mnie nie podejrzewał, bo kryły się za moją rozweseloną alkoholem maską. Uśmiechałam się do Emila i otwarcie z nim flirtowałam. Tak. Kiedy przytulał mnie w tańcu, wkładałam swoje kolano między jego nogi. Wysyłałam mu czytelne sygnały.

Wszyscy goście mieli wynajęte pokoje w dworcu przypałacowym, więc mniej więcej między prosiakiem a tortem wylądowaliśmy u niego. Całowaliśmy się przez chwilę. Potem rozpiął zamek mojej błękitnej sukni z połyskliwej tafty i zaczął pieścić piersi. Miałam zamknięte oczy. I przez te zamknięte oczy zo-

baczyłam wszystko jak na dłoni. Oto jestem tu i teraz, i oddaję siebie obcemu mężczyźnie. Co za różnica, jeden więcej, jeden mniej. Wszyscy tak samo mało wari. Tyle że jednego z nich kochałam. I to odróżniało go na pewno od całej reszty. Odepchnęłam Emila gwałtownie.

- Co jest, nie chcesz? - zapytał zdziwiony.

- Nie chcę, nie mogę. Zapnij mi ten suwak - warknęłam. Wykonał posłusznie polecenie, bo wyczuł w moim głosie determinację. Przez chwilę męczył się z zamkiem.

Potem poszłam do łazienki i poprawiłam makijaż. Wyjęłam z kopertówki konturówkę i narysowałam sobie usta. Miałam dwie konturówki w torebce, ciemnobezową i czerwoną, którą kupiłam sobie poprzedniego dnia. Nigdy nie malowałam ust na czerwono, ale wczoraj, w sklepie, kierował mną jakiś wewnętrzny impuls. Wypełniłam usta czerwoną szminką, a kontury zdecydowanie obrysowałam czerwoną kredką. Byłam w tym przebraniu bardziej sobą niż wcześniej.

Wyszłam z łazienki i bez słowa opuściłam pokój.

Po ślubie Ewy wpadłam w przygnębienie. Na szczęście wróciła już Magda i znów miałam wesołą kompankę. Dwa tygodnie spędziła w rodzinnym domu, a potem była z Pawłem na trzytygodniowych wakacjach w Kenii. Wróciła zachwycona dzikością przyrody, z duszą otwartą na świat i ludzi. Zdziwił ją mój mocny makijaż i czerwona szminka, ale stwierdziła, że wyglądam na silną kobietę, do tego piękną i niebezpieczną. Tak właśnie chciałam wyglądać, bo taka chciałam być. Opowiedziałam jej wszystko o Mariuszu, a ona skwitowała to jednym zdaniem:

- Mówiłam ci, że jest za młody. On jeszcze nie wie, czego chce. Chciałby ciebie, ale nie chce, żeby cokolwiek go ograniczało. I dlatego to będzie tylko jedna wielka huśtawka między

wami, a potem i tak się rozstaniecie. Bo już będziecie zmęczeni sobą.

Gdzieś podświadomie wiedziałam, że ma rację, ale nie mogłam zagłuszyć tego, co czułam. Wciąż o nim myślałam. Na szczęście Magda dostawała od Pawła zaproszenia na różne imprezy, promocje, *eventy*, więc na nie chodziłyśmy. Jedzenie było wyborne, trunki eleganckie, ale poza tym nic mi się tam nie podobało. Nie zwracałam uwagi na mężczyzn i oni nie zwracali uwagi na mnie. Żeby kogoś poznać, trzeba chcieć kogoś poznać, odwzajemnić spojrzenie i uśmiech. Królowa śniegu, choćby najpiękniejsza, chłodzi na odległość najgorętsze zamiary. A ja wciąż wiedziałam, że zakończył się jedynie jakiś rozdział mojej miłości. Nie dopuszczałam myśli, że to mógłby być koniec.

Mimo wszystko nudziłam się i miałam za dużo czasu na myślenie. I wtedy przeczytałam ogłoszenie Centrum Kobiet, które poszukiwało wolontariuszy, najchętniej studentów ostatniego roku prawa, do udzielania porad prawnych *pro bono*. Zostałam przyjęta. Miałam pomagać kobietom, które doświadczyły przemocy domowej, pisać wnioski do prokuratury, składać zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa. Zdarzało się bowiem, że kiedy te kobiety szły na policję i chciały ustnie złożyć zawiadomienie, były odwodzone od swojego zamiaru. Słyszały: „No, wie pani, wypił trochę, wytrzeźwieje i będzie spokój”. Policja nie lubiła takich spraw, także z tego powodu, że same kobiety bardzo często po jakimś czasie wycofywały swoje oskarżenia. No i robota policjanta szła na marne. Lepiej było sobie takimi sprawami głowy nie zawracać. Tak myśleli policjanci.

Chodziłam tam trzy razy w tygodniu i patrzyłam ze współczuciem na te wszystkie złamane życiowo kobiety. Gdy przychodziły do Centrum, naprawdę były już mocno zdeterminowane. Patrzyłam na nie i ze zgrozą myślałam, jaki smutny los może zgotować mężczyzna kobiecie albo jakie piekło mogą sprawić

sobie wspólnym życiem. Bo kobiety opowiadały. Lubiły mówić. To im przynosiło ulgę. A opowieści te były naprawdę bolesne. Najgorsze w życiu, to stać się czyjąś ofiarą.

13. Drugie rozdanie kart

Nadszedł początek roku akademickiego. Zobaczyłam dawno niewidziane twarze, przejęte tym, że zaczynają ostatni rok studiów. Jeszcze tylko trzy egzaminy, pisanie pracy i koniec, a przed nami dorosłe życie.

Stałam w grupie moich znajomych z seminarium i słuchałam opowieści na temat aktualnych ofert na rynku pracy. O pracę dla prawnika nie trzeba było wtedy walczyć, a wynagrodzenie było przyzwoite.

I wtedy go zobaczyłam. Opalony, w ciemnej marynarce i koszuli z krawatem w kolorze bordo. Wyglądał bardzo przystojnie. Szedł korytarzem dokładnie w moją stronę. Zauważyłam, że na mnie patrzy i odruchowo odwróciłam głowę w stronę rozgadanej grupy. Wiedział, że go zauważyłam. Po chwili stanął obok mnie.

- Cześć! - powiedział, szeroko się uśmiechając.

- Cześć! - odpowiedziałam obojętnie, choć cała się trzęsłam.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Nie tutaj, nie teraz, ale chciałbym umówić się gdzieś i porozmawiać - mówił z rozmysłem, uparcie próbując złapać moje spojrzenie.

Patrzyłam wszędzie, tylko nie w jego oczy. Kiedy zdałam sobie sprawę, że to może zdradzić moje emocje, spojrzałam odważnie i powiedziałam obojętnie:

- Dobrze, zadzwonię do ciebie, to może się umówimy. A teraz *sorry*, ale mam seminarium, muszę lecieć. Cześć! - odwróci-

łam się i wtopiłam w grupę znajomych, którzy wchodzili do sali wykładowej.

- Czekam na telefon - usłyszałam za plecami. Nawet się nie obejrzałam.

Za kogo on mnie uważał? Wrócił sobie z wakacji i dopiero teraz chce rozmawiać? Zapomniał o moim istnieniu na całe długie dwa miesiące, bo poprosiłam o wwiercenie kołka w ścianę? Bo tak mu było wygodniej? Takie były fakty.

Nie zadzwoniłam. Co nie znaczy, że o nim nie myślałam. Kilka razy podnosiłam słuchawkę i z powrotem ją odkładałam. Nie było wtedy maili, telefony komórkowe kosztowały za dużo jak na kieszeń studenta, nie mogłam więc wysłać SMS-a. Miałam zadzwonić do niego do domu, ryzykując, że go nie zastanę? Miałam zadzwonić i powiedzieć co? Chciałeś mi coś powiedzieć. Słucham? Bez sensu.

Zadzwonił on i na szczęście w domu była Ewa, która odebrała ten telefon. Przybiegła do mnie i szepnęła przejęta, że „to on”.

- Nie ma mnie - powiedziałam. - Powiedz mu, że mnie nie ma.

- Ale już powiedziałam, że jesteś.

- Powiedz, że się kąpię i nie mogę rozmawiać.

Tak zrobiła. A gdy zadzwonił ponownie po półgodzinie, oświadczyła, że wyszłam i wrócę późno.

Nie planowałam tego. Zrobiłam to instynktownie.

Przez kolejne dni unikałam go na uczelni. Nie znałam jego planu, więc mogłam go spotkać w każdej chwili. Nie byliśmy w tych samych grupach zajęciowych, bo ja miałam nazwisko na „A”, a on na „J”, ale mogliśmy się spotkać na przerwie albo na jakimś wykładzie. I rzeczywiście, zobaczyłam go na wykładzie z filozofii. Stał tyłem i z kimś rozmawiał. Zniknęłam. Nie poszłam na ten wykład. Dzwonił jeszcze kilkakrotnie, ale przestałam odbierać telefony. Z Bogdanem umówiłam się, że będzie

dzwonił według specjalnego klucza: trzy dzwonki i się rozłącza. A potem dzwoni jeszcze raz i ja odbieram.

Robiłam uniki przez tydzień. W kolejny wtorek szłam do Audytorium Maximum na wykład i przechodząc koło okna na parterze budynku wydziałowego, zobaczyłam Mariusza w środku. Stał przy drzwiach i rozmawiał z jakimś chłopakiem. Tweedowa marynarka i błękitna koszula. I to inteligentne spojrzenie spod długich rzęs. Co poradzę, że wciąż go kocham? Stałam pod oknem i obserwowałam. Zachłannie rejestrowałam każdy jego gest.

Po wykładzie poszłam na wydział z nadzieją, że się spotkamy. I nie myliłam się. Stałam w towarzystwie Jacka, który był jednym z atrakcyjniejszych chłopaków na roku, i piłam kawę z automatu. Widziałam, że Mariusz kręcił się w pobliżu, ale nie odrywałam wzroku od Jacka, udając wielkie zainteresowanie rozmową.

- Cześć! - podszedł, gdy do końca przerwy zostało zaledwie kilka minut.

- Cześć, Mario, co słychać? - rzuciłam niedbale, nazywając go dokładnie tak, jak to zrobiła kiedyś tleniona blondynka w bibliotece.

- Możemy porozmawiać? - spojrzał na Jacka i dodał z naciskiem: - Na osobności.

- OK, już mnie nie ma - Jacek się oddalił.

- Unikasz mnie? Naprawdę chcę porozmawiać - Mariusz od razu przeszedł do rzeczy.

Wzruszyłam ramionami.

- Przez dwa miesiące nie chciałeś rozmawiać, a teraz nagle sobie przypomniałeś, że istnieję?

- Dwa miesiące byłem we Francji, gdzie cały czas pracowałem w kancelarii. Nosilem teczkę za wielkim mecenasem i przepisywałem jego pisma procesowe. Dopiero co wróciłem i od tego czasu chcę z tobą porozmawiać. Możemy umówić się na kawę?

„Widzisz to, co chcesz zobaczyć”, słyszałam w swojej głowie i patrzyłam mu prosto w oczy. Widziałam w nich absolutnie szczerą prośbę, smutek i pragnienie.

- Masz kilka moich płyt. Celinę Dion, Kasię Kowalską i Seala. W sobotę o szesnastej w „Literackiej” - rzuciłam po chwili.

- W sobotę o szesnastej - powtórzył. - Będę czekał. Kiedy na wykładzie szepnęłam Magdzie, że jestem umówiona z Mariuszem, popukała się w czoło.

- Jeszcze się z niego nie wyleczyłaś? Chcesz to znowu zacząć?

- To miłość mojego życia.

- Żeby nie okazała się zawodem twojego życia. Spojrzałam tylko na nią bezradnie, co miało oznaczać, że w uczuciach rozsądek jest ostatnim doradcą.

- Wypytywał o ciebie - dodała po chwili.

- Co mówił? Czemu nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- A po co miałam mówić? Nie chciałaś się z nim spotykać przecież, mówiłaś że nie odbierasz telefonów...

- Co mówił?

- Pytał, co u ciebie, czy z kimś się spotykasz. Stwierdził, że to schrząnił, z czym ja się zgodziłam.

Pokiwałam głową. Właściwie już wtedy wiedziałam, że jestem gotowa zacząć jeszcze raz. Nie miałam wyjścia. Z miłością nie wygrasz.

Do „Literackiej” wpadłam spóźniona. Do końca nie wiedziałam, w co się ubrać. Przymierzałam po kolei wszystko, co miałam w szafie, a potem przeszłam do szafy Ewy. Znalazłam tam tylko stare, niemodne sukienki, które zostawiła przez sentyment, całą resztę zabierając do Roberta, to znaczy do siebie.

Chciałam wyglądać pięknie, ale z drugiej strony tak, by nie mógł pomyśleć, że wystroiłam się specjalnie dla niego. W końcu

zdecydowałam się na czarną, obcisłą sukienkę z trykotu, którą widział na mnie wielokrotnie, a włosy upięłam wysoko nad karkiem. Czarny, skórkowy plecak z lakierowanej skóry, mój ostatni nabytek, nadawał całości luzu. Byłam czarną damą z blond włosami i czerwonymi, kuszącymi ustami. Piękna i niedostępna, chłodna blondynka; taką chciałam być. I taką widziałam w lustrze, kiedy w końcu, za pięć czwarta wyszłam z mieszkania.

- *Sorry* za spóźnienie. Zupełnie zapomniałam, że się umówiliśmy... - skłamałam na powitanie.

Przesadziłam. Sama nie uwierzyłam w to, co powiedziałam, nie uwierzył on, a ja straciłam punkt na starcie. Zdradziło mnie moje rozdygotanie. Zahaczyłam torebką o stół i strąciłam sok pomarańczowy. Mariusz poderwał się z miejsca i złapał szklanekę w locie. Ja także próbowałam to zrobić i w efekcie zderzyliśmy się boleśnie głowami. Jemu nic się nie stało, za to ja dostałam w nos. Zawylałam z bólu, zasłaniając nos ręką.

- O Boże, nic ci się nie stało? Przepraszam - pocierał ręką swoją głowę.

- Nie wiem - oderwałam rękę od nosa i zobaczyłam na niej plamę krwi. Sięgnęłam po serwetkę ze stołu i przykryłam nią krwawiące miejsce.

- Leci ci krew. Usiądź, odchyl głowę do tyłu, ja zaraz wrócę. Musisz się gdzieś położyć...

Nie wiedziałam, gdzie zniknął. Nos mnie nawet specjalnie nie bolał, ale krew leciała dość mocno. Co za sytuacja, myślałam sobie, miałam być silna i bezwzględna, a tymczasem siedzę tutaj z krwawiącym nosem.

Wrócił po kilku minutach.

- Możemy iść do pokoju kierowniczk sali, ona ma tam kanapę, położysz się.

Zaprowadził mnie na zaplecze, gdzie rozłożyłam się na niewielkiej sofie.

- Poprosiłem ich też o lód, zaraz przyniosę - powiedział przejęty.

Wyszedł i po chwili wrócił z kostkami lodu, owiniętymi w bawełnianą serwetkę.

- A ciebie głowa nie boli? - zapytałam, przykładając lód do nosa.

- Daj spokój, nic mi się nie stało. Bardzo cię boli, kochanie?

Tak, właśnie tak powiedział: „kochanie”. Poczułam ucisk w żołądku.

- Nie mów tak do mnie - powiedziałam, patrząc w sufit w pozycji horyzontalnej.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz, dlaczego. Skoro nie istniałam dla ciebie przez dwa miesiące, to znaczy, że nadal mogę nie istnieć.

- Nieprawda. Ten czas tylko pozwolił mi zrozumieć, jak wiele dla mnie znaczysz.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - odłożyłam serwetkę z lodem i usiadłam na sofie. - Dobrze, już nie leci, chodźmy na kawę.

Poszłam do toalety i przypudrowałam nos. Na szczęście, poza krwotokiem, nic takiego się nie stało. Pokazałam mu swoje ludzkie, krwawiące oblicze. Usta miałam rozmazane, a na brodzie resztki czerwonej szminki. Doprowadziłam się do porządku i poszłam do stolika, tym razem wyjątkowo uważając, żeby czegoś nie stracić.

- Cappuccino? - zapytał. Skinęłam głową.

- Przyniosłam ci twoje książki i komentarz z cywilnego.

- Niepotrzebnie dźwigałaś, przyjechałbym po to.

- Możesz wymazać mój adres ze swojej pamięci - spojrzałam na niego z niesmakiem. - Między nami ciąg dalszy nie nastąpi.

- Nastąpi. Nie może nie nastąpić i dobrze o tym wiesz - roześmiał się.
- Wyjechałem, nie było mnie, więc się nie spotykaliśmy. Po co miałem dzwonić. Powiedziałem sobie, że jeśli to coś ważnego, to przetrwa. A poza tym ty też nie dzwoniłaś.

- Wybacz, ale nie znałam twojego numeru w Paryżu.

- Ale znałaś warszawski i też nie dzwoniłaś. Moja mama skrzętnie zapisywała wszystkie telefony, jakie do mnie były.

- Dobrze, nieważne, stało się. Czasu nie cofniemy - powiedziałam filozoficznie. - Kawa ci stygnie, pij. Bo ja już zaraz będę musiała się zbierać.

- Dobrze. Już wypijam - podniósł filiżankę do ust. - Dostałem propozycję pracy, muszę ci się pochwalić - powiedział.

Apotem szczegółowo mi opowiedział, gdzie, co, kiedy i za ile. Chciał szybciej skończyć studia, żeby nie musieli na niego zbyt długo czekać. Międzynarodowy koncern samochodowy oferował mu niezłe warunki pracy i płacy. Chciał się szybko obronić, żeby jeszcze w tym samym roku zdawać na aplikację adwokacką, bo jako aplikant miałby lepszą pozycję w firmie. A to wszystko za sprawą mecenasa z Paryża, obsługującego tę firmę, która właśnie otworzyła swoje biuro w Warszawie.

- Byliśmy obydwój rozdrażnieni przed moim wyjazdem - powiedział.

- Wcale mi się nie chciało tam wyjeżdżać i zostawiać cię tutaj. Byłem rozbity. I jeszcze ten remont w upale. Zamiast spędzić ostatnie dni razem, na spacerach i w kawiarniach, musiałaś myć podłogi z farby. Też byłaś wkurzona, przyznaj.

- Miło było - zerknęłam na zegarek. - Ale muszę się zbierać.

Poprosiłam kelnera o rachunek.

- Ja zapłacę. I odwiozę cię do domu oczywiście.

- Nie musisz. Jestem samochodem. Tata podarował mi swój stary, a sobie kupił nowy. To tak *a propos* problemów z dojazdem, kiedy przyciął sobie kciuk, a ja nie miałam samochodu

roześmiałam się i dodałam: - Najlepiej liczyć na siebie. W sumie mam prawo jazdy od lat, tylko nie jeździłam i wyszłam z wprawy. Ale wzięłam kilka lekcji i dobrze sobie radzę.

- Brawo! - powiedział bez entuzjazmu, bo najwyraźniej przypomniał sobie tamten wieczór, kiedy dzwoniłam do niego, a jego nie było.

Wymieniliśmy jeszcze kilka nic nieznaczących zdań. Obok, przy stoliku, siedziała starsza pani i przyglądała się nam z uśmiechem. Pewnie myślała, że jesteśmy szczęśliwymi, młodymi ludźmi, że to nasza pierwsza randka albo jedna z pierwszych i stąd istniejący między nami dystans. Rzeczy nie zawsze są takimi, jakimi się wydają. Ludzie często nam się przyglądali, gdy byliśmy razem, bo stanowiliśmy naprawdę piękną parę.

Czułam, że mi duszno. Od dymu papierosów, od atmosfery napięcia, jaka była między nami. Musiałam już wyjść. Pożegnałam się krótko, a patrząc na niego, swoje spojrzenie lokowałam gdzieś pomiędzy jego nosem a brodą. Pewnym krokiem przemierzyłam salę w kierunku wyjścia.

Kiedy wyszłam z kawiarni, głęboko odetchnęłam. A więc moja duma okazała się silniejsza. Spojrzałam na budynek wieży, na której pierwszy raz się pocałowaliśmy. Stracone złudzenia. Wielkie nadzieje, z których nic nie zostało. Szłam wolnym krokiem w kierunku Miodowej, wsłuchując się w odgłos swoich szpilek na chodniku. Raz-raz, raz-raz, raz-raz, raz-raz-raz. Jakoś tak nierówno stukwały. Pomyślałam, że nie chce mi się wracać do pustego domu. Bez Ewy, bez taty. Jednak zdecydowałam, że pójdę, zjem coś, a potem zadzwonię do Magdy; może wyskoczę z nimi gdzieś wieczorem. Jeśli będą chcieli mnie przygarnąć. Ktoś z roku mówił o imprezie w Łomiankach. To Jacek. Może do niego zadzwonię?

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi mieszkania, jego cisza z miejsca mnie przygnębiła. Nie zdejmując butów i nie odkładając plecaka, weszłam do dużego pokoju i chwyciłam pilota. Włączyłam telewizor. Coś gadało. Niech gada.

I wtedy zadzwonił dzwonek domofonu. Podbiegłam do domofonu.

- Zapomniałem ci oddać twoje płyty - usłyszałam głos Mariusza.

Bez słowa go wpuściłam. Zerknęłam do lusterka. Wybrałam minę. Przyjazną, lecz niedostępną. Dlaczego nie mogę być sobą? Dlaczego znowu chcę odgrywać jakieś role?! Otworzyłam drzwi wejściowe. Wszedł do środka.

- Proszę - podał mi reklamówkę z płytami. - Zupełnie zapomniałem; miałem je cały czas przy sobie, ale tak nagle wyszłaś...

I wtedy to się stało. Już nad sobą nie panowałam, nie mogłam dłużej tłumić tego, co czułam. Widziałam jego lekko drżące usta, pragnęłam tylko tego, by się spotkały z moimi. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby odczytał to, czego chciałam. Ten pocałunek był najbardziej ekspresyjnym wyrazem naszych pragnień. Coś mi jednak krzyczało w duszy: zatrzymaj się, zbyt łatwo wybaczasz. Oderwałam się od jego ust.

- Idź już... - wyszeptałam, odpychając go gwałtownie, jednak nie na tyle stanowczo, żeby naprawdę przestał. - Idź... proszę cię...

Całował moją twarz, szyję. Miał zamknięte oczy i doznałam wrażenia, jakby był daleko, jakby kierowało nim tylko pożądanie. A ja pragnęłam przecież czegoś więcej. Kierowana jakimś nagłym impulsem, krzyknęłam:

- Nie chcę, żebyś potem nagle zniknął bez słowa! To mnie naprawdę zabolowało!

- Nie zniknę. Zrozumiałem, ile dla mnie znaczysz. Nic nas już nie rozłączy - ujął moją twarz w swoje dłonie. - Kocham cię.

Te magiczne słowa rozwiały moje wątpliwości. One potrafią stopić lód. Czarodziejskie dwa proste słowa.

Przywarliśmy do siebie ustami. Moje pragnienie, moje pożądanie było niesamowite. Wprost elektryzujące. Kochałam go całym sercem, pragnęłam każdą cząstką. Byłam poruszona i podniecona. Tak, właśnie tak, odczuwałam zwierzęce wprost pożądanie. Chciałam go poczuć w sobie, stopić się z nim w błogą jedność. On też był w transie. Kiedy leżeliśmy na łóżku, zanurzeni w sobie, szeptał mi słowa, jakich nigdy wcześniej nie słyszałam.

- Kochana, tylko z tobą tak się czuję, tylko z tobą to ma sens. Tylko z tobą jest tak. Kocham cię, najdroższa, pragnę cię, jak niczego innego na świecie. Będziemy razem, na zawsze razem... Tylko raz się zdarza taka miłość...

- Ja też cię kocham - wyszeptałam.

A potem oboje mieliśmy orgazm, który zaniósł nas na jakieś wyżyny świata. Stamtąd mogłam już tylko patrzeć z góry na wszelkie przyjemności, jakie daje namiętność i seks. Kiedy się przeżyło coś takiego, to wszelkie inne doznania, kiedykolwiek i z kimkolwiek, będą już tylko substytutem, mizerną namiastką. Tamtego popołudnia weszłam na Himalaje i już nigdy potem tam nie wróciłam. Oczywiście, wtedy nie mogłam o tym wiedzieć.

Byłam szczęśliwa. I on też. I miałam głębokie przekonanie, że już nic nas nie rozdzieli. Spędziliśmy ze sobą cały wieczór. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, zjedliśmy kolację, obejrzelśmy film. Zadzwoił tata i ucieszył się, bo znowu byłam radosna. Tej nocy zasnęłam szybko i spałam długo. A kiedy się obudziłam, miałam wrażenie, że zaczynam nowy rozdział. Coś się zmieniło.

Byłam jakby nowa.

Przeniósł się do mojej grupy ćwiczeniowej na filozofię prawa, żebyśmy mogli spędzać więcej czasu razem. Takie przenosiny nie były wcale proste i trzeba było je należycie uzasadnić. Sprzedał profesorce jakąś zmyśloną historyjkę o kolizji tych ćwiczeń z zajęciami na SGH, których w żaden sposób nie mógł przełożyć. A poza tym „bardzo mi zależy, żeby chodzić właśnie do pani doktor”. Przysłuchiwałam się tej jego rozmowie, stojąc dyskretnie z tyłu, ale na tyle blisko żeby słyszeć każde słowo. Miał wiele wdzięku, który wykorzystywał na każdym kroku. Oczywiście, jego urok najsilniej działał na kobiety. I to już wtedy, niestety, zaczęło mnie bardzo niepokoić, a nawet denerwować. Wiedziałam też, że wiele rzeczy potrafi udawać. Podobnie jak ja, odgrywał role, tyle że scenariusz swoich ról znałam, a jego nie.

Harmonogram dnia miał bardzo napięty. Studia na prawie, kurs na SGH, prawo brytyjskie na naszej uczelni, francuski, tenis dwa razy w tygodniu - to wszystko absorbowало jego czas. W dodatku szukał materiałów do pracy magisterskiej, którą już zaczął pisać. Twierdził, że wszystko można zrobić, jeśli tylko żyje się „planowo”. Cały dzień miał rozpisany z dokładnością do godziny.

W tym wszystkim znajdował także czas dla mnie, a nasze weekendy drobiazgowo planował. Kiedyś wspomniałam, że chciałabym chodzić na spektakle, że uwielbiam teatr. Następnego dnia przyszedł uradowany i poinformował mnie, że zarezerwował bilety do różnych teatrów na pięć kolejnych sobót miesiąca. Któregoś razu kupiłam album z dziełami Velazqueza i zachwycalam się przy Mariuszu kunsztem sztuki malarskiej tego artysty. Co zrobił? Następnego dnia zabrał mnie na wystawę „Polskie dwudziestolecie” do Muzeum Narodowego. Miał przy sobie mały notesik i odnotowywał nazwiska malarzy, których obrazy do niego przemawiały. A nad swoim łóżkiem poprzypinał karteczki z francuskimi słówkami, które chciał zapamiętać.

Wciąż powtarzał, że trzeba żyć „planistycznie”, bo inaczej życie przecieka przez palce.

Któregoś wieczoru przyszedł do mnie bardzo zmęczony, po całym dniu takiej biegania z miejsca na miejsce, z jednej uczelni na drugą. Minęła dziesiąta. Właśnie się wykapałam, chciałam trochę poczytać w łóżku i położyć się spać.

- Jak pięknie pachniesz, chętnie bym cię schrupał - powiedział na powitanie. - Padam, miałem ciężki dzień. Wróciłem do domu i zjadłem kolację, ale chciałem cię jeszcze zobaczyć.

To było słodkie, tyle że jego wieczorne odwiedziny przeciągały się do późnych godzin nocnych. Mimo że kończyły się wspianym seksem, to nie zmieniało faktu, że następnego dnia byłam bardzo zmęczona.

Leżeliśmy w łóżku, przyjemnie senni, kiedy powiedział mi filozoficznie, że niedługo zacznie się dorosłość.

- Skończymy studia, pójdziemy do pracy...

- Jeszcze aplikacja, to też jakby studia - zauważyłam.

- Które musisz połączyć z pracą. Orka. Wcale nie chcę dorosnąć. Chyba najlepiej czułem się ze sobą jako dziecko.

Spojrzałam na niego zdziwiona tym wyznaniem.

- Dlaczego?

- Bo to taki beztroski czas. Niczym się nie przejmujesz, tylko się bawisz. Jesteś jakby postacią z bajki, przynajmniej możesz to sobie wyobrazić.

- Przecież ty jesteś wspianale zorganizowany, zaradny, przebojowy. Świetnie sobie radzisz, a swoją przyszłość doskonale już zaplanowałeś.

- Boję się dorosłości.

- Ja też się boję, wszyscy tak naprawdę się jej boją. Bo wszyscy tak naprawdę boimy się życia. Bo pewna jest tylko śmierć, a życie, koleje życia, to jedna wielka niewiadoma - powiedziałam.

Milczeliśmy przez chwilę.

- To prawda - powiedział po chwili.

To był jedyny raz, kiedy okazał mi swoją słabość. Ja natomiast poczułam lęk, kiedy któregoś dnia szukałam gumy do żucia w kieszeni jego płaszcza i znalazłam małą karteczkę. Uśmiechnęłam się, myśląc, że oto mam kolejny dowód jego planistycznej natury. To był mały skrawek papieru, na którym z dokładnością do pół godziny było rozpisane popołudnie. „16.00: SGH, 17.15: biblioteka, 17.45: francuski, 19.30: Ania, u niej”. Ania, u niej. Poczulałam przyspieszone bicie serca. Znalazłam w tej kieszeni też miętową gumę, której szukałam, i zaczęłam ją szybko przeżuwać. On leżał w jeszcze gorącym od seksu łóżku, a ja, bosa i naga, stałam w przedpokoju z karteczką w dłoni.

- Znalazłaś gumę? Weź dla mnie też - zawołał. Ogarnęła mnie jakaś dzika furia. Dosłownie. Pewnym krokiem ruszyłam w stronę sypialni.

- Co to ma znaczyć?! - krzyknęłam. - Kto to jest Ania?! - krzyczałam coraz głośniej, wskazując na karteluszek. - Odpowiedz! !! - wydarłam się tak, że aż zabolalo mnie gardło. Czułam pulsowanie w skroni.

- To moja koleżanka z SGH - odpowiedział przestraszony. Nie wiedziałam, czy przestraszył się, bo odkryłam, że spotyka się z jakąś Anią, czy mojego wrzasku. Straciłam panowanie nad sobą.

- Co to znaczy: „Ania, u niej”?! Co u niej?! Rzniesz ją u niej?! Co to znaczy?! - stałam nad nim naga, z kartką w dłoni, i krzyczałam, bo czułam, że mam rację, że to jakaś zdrada, że to po prostu naprawdę coś podejrzanego.

- Uspokój się! Nie krzycz - powiedział spokojnie i usiadł na łóżku. - Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Zbierał myśli, widziałam, że zbierał myśli. Wiedziałam, że chciał skłamać. Dlaczego od razu tego nie wyjaśnił? Bo zbierał myśli, bo szukał wiarygodne wytłumaczenie.

- To koleżanka z SGH, z którą pisałem pracę zaliczeniową. Pisaliśmy trójkami. No i ja pisałem z nią. Wpadłem do niej, żebyśmy nanieśli wspólnie poprawki.

- Nic mi nie mówiłeś, że piszesz pracę semestralną z jakąś Anią!

- Tak samo, jak ci nie mówię, że... że co... że na przykład raketę tenisową kupił mi znajomy z kortów, bo kupował sobie po okazyjnej cenie i go poprosiłem. Mam nową raketę, chcesz zobaczyć, mam na dole w samochodzie. Nie bądź zazdrosna.

- Nie podoba mi się to. Nie wierzę ci. - Nałożyłam szlafrok i jeszcze raz spojrzałam na kartkę. Może rzeczywiście zachowywałam się nieracjonalnie. „Ania, u niej”. Może to naprawdę nic nie znaczy. Dlaczego dla mnie oznaczało to tyle, co: „seks u Ani”?

Poszłam do kuchni zrobić herbatę. Po chwili przyszedł do mnie i pocałował mnie w kark.

- Kocham - powiedział cicho. Pokiwałam głową.

14. Sylwester 2000, a świat ciągle trwa

Mariusz pojawił się o wpół do ósmej, kiedy byłam gotowa do wyjścia. Włożyłam różową sukienkę na cienkich ramiączkach i sznur długich koralików z różnobarwnych paciorków. Rozpuściłam włosy, a usta pociągnęłam różową szminką.

- Wyglądasz pięknie - powiedział, gdy mnie zobaczył. - O rany, nie założyłaś stanika. Chcesz, żebym zwariował dziś wieczorem?

- Tak, chcę żebyś oszalał na moim punkcie.

- Ale przecież to już się stało. Wstaję rano, to już do ciebie chcę dzwonić, kładę się spać, to dzwonię i mówię dobranoc, a w nocy mi się śnisz.

Pojechaliśmy jego wysłużonym fordem do Józefowa pod Warszawą, a w czasie drogi przez cały czas trzymaliśmy się za ręce i słuchaliśmy składanki, którą dla niego zrobiłam. *You are making me high* Tony Braxton, *High on emotion* Chrisa de Burgha i *Wicked games* Chrisa Isaaka. Śpiewałam razem z Chrisem *I've never dreamed that I had somebody like you* i w tamtej chwili byłam pijana własnym szczęściem, i czułam się tak, jakby spełniły się wszystkie moje sny. Byłam szczęśliwa, bo Mariusz był mężczyzną, który potrafił okazać czułość i tkliwość, słuchał i rozmawiał. Uważałam się za szczęściarę.

Kiedy dotarliśmy na imprezę, wszyscy byli już nieźle wstawieni i zabawa trwała w najlepsze. Mariusz nie opuszczał mnie na krok. Tańczyliśmy razem i jedliśmy z jednego talerza. Było tam sporo ludzi z naszego wydziału, ale nie tylko. Poznaliśmy też jednego chłopaka i dziewczynę z medycyny. Byli parą i, jak wyznali, chodzili ze sobą od pięciu lat, czyli zaczęli jeszcze w liceum. Nie wspominałabym nawet o tym, gdyby nie to, że ta dziewczyna od pierwszej chwili była zachwycona Mariuszem i mówiła o tym wprost.

- Jesteś podobny do takiego aktora... wyleciało mi z głowy jego nazwisko, zaraz... jak on się nazywał? Bo on wygląda jak amant filmowy, prawda? - zwróciła się do mnie i do swojego chłopaka, który sączył dżin z tonikiem i wydawało się, że nic sobie nie robił z jej słów.

Uśmiechnęłam się tylko, no bo co miałam powiedzieć. Kiedy Mariusz od nas odszedł, dziewczyna zwróciła się do mnie i powiedziała:

- On jest cudny. Musisz być o niego strasznie zazdrosna, co? Baby na pewno na niego lecą. Zaraz, jak się nazywał ten aktor... Banderas! Tak, Antonio Banderas. On jest do niego podobny.

Na widok Mariusza, zbliżającego się do nas z sałatką na talerzu, wykrzyknęła:

- Idzie Antonio Banderas! Do niego jesteś podobny. I masz też coś z młodego Józefowicza. Usta.

Zaczęła mnie irytować, więc przy nadarzającej się okazji zniknęliśmy z jej pola widzenia. Jednak po jakimś czasie, kiedy właśnie skończyliśmy tańczyć, na widok Mariusza znowu wykrzyknęła:

- Jak on tańczy! Jak Józefowicz, słowo daję!

To była ładna dziewczyna. Blondynka, zadbana, niewysoka, na trzecim roku medycyny, więc chyba niegłupia. Czemu zachowywała się tak beznadziejnie? Dziewczyny dwudziestego pierwszego wieku. Zdobywczynie, mówiące wprost o swoich potrzebach i oczekiwaniach. A gdzie tajemnica, flirt, oczekiwanie? A może to jednak tylko poza?

- Skończ z tymi zachwykami, co? - powiedziałam jej cicho, żeby nikt inny nie usłyszał.

- Więc jesteś zazdrosna! Wiedziałam. Dlatego wolę swojego misia - powiedziała z satysfakcją.

- A ty pijana. Puknij się w głowę, bo pleciesz trzy po trzy - wysyczałam.

Zbliżała się północ. Z kieliszkami szampana w dłoniach wyszliśmy do ogrodu. Wpatrywaliśmy się w niebo, na którym rozbłyskały kaskady światła. Kilku śmiazków z naszego grona na tyłach ogrodu puszczało fajerwerki. Słyszałam raz po raz szum uwalnianych petard i mocniej wtulałam się w Mariusza. Nastął dwudziesty pierwszy wiek. To było jak przełom. Świat trwał nadal i śmialiśmy się do niego otwarcie. Za parę miesięcy Andrzej Wajda miał otrzymać Oscara za całokształt swojej twórczości, Aleksander Kwaśniewski - wygrać kolejną kadencję prezydencką, a Putin - zostać prezydentem Rosji. W dwa tysiące pierwszym roku zamach terrorystyczny na World Trade Center zapoczątkuje wojnę z terroryzmem, którą ogłosi George W. Bush. Świat zacznie się bać.

Tamtej nocy byliśmy bardzo szczęśliwi. Weszliśmy razem w dwudziesty pierwszy wiek. Tamtego wieczoru nie mogłam nic zarzucić Mariuszowi. Ale zdałam sobie sprawę, że mogę zarzucić coś innym kobietom. I zaczęłam się ich obawiać. A może zaczęłam obawiać się samej siebie? A może dostałam drugi sygnał, którego nie potrafiłam wtedy dobrze odczytać? Dopiero daleka perspektywa umożliwia dostrzeżenie tego, co wydaje się pozornie niewidoczne.

Późną nocą przyjechaliśmy do mnie. Oczywiście, byliśmy sami. Ojca i Ewy nie było. Zrzuciłam szpilki i poszłam wziąć prysznic. Szampan wciąż jeszcze krążył w moich żyłach, więc byłam przyjemnie rozluźniona. Nie myślałam teraz o zbliżającej się sesji, o nauce ani o narzucającej się dziewczynie. Kiedy namydlałam swoje ciało, drzwi kabiny rozsunęły się niespodziewanie i stanął w nich nagi Mariusz.

- Czyżbyś chciał mi umyć plecy?

- Chcę ci umyć wszystko.

Z pokoju dobiegały dźwięki *Justify my love* Madonny. Całowaliśmy się pod prysznicem, a potem nie wycieraliśmy się ręcznikami, tylko osuszaliśmy siebie pocałunkami. Dosłownie. Spijaliśmy chłodną wodę z naszych ciał. Ja osuszyłam jego, a on mnie. To było czułe i piękne. W tamtym momencie dotarło do mnie coś, przed czym tak długo się broniłam, czego się obawiałam i od czego uciekałam. A wtedy nagle zrozumiałam, dotarło to do mnie z całą mocą: że ten chłopak to miłość mojego życia. Całowałam każdy centymetr jego ciała, czułam zapach jego skóry, stapialiśmy się w jedność. I już wiedziałam, że nigdy nie zadowolę mnie żaden przypadkowy seks, nic z mniejszym ładunkiem napiętności i uczuć; byłam szczęśliwa, że nie muszę dłużej szukać, bo znalazłam jego. Byłam szczęśliwa, a jednocześnie pełna obaw co do ogromu bólu, który bym czuła, gdybym kiedykolwiek miała go stracić.

- Jesteś miłością mojego życia - powiedziałam.

- Czuję to samo - powiedział i mocniej do mnie przywarł. Zasnęliśmy nad ranem, wyczerpani seksem. Spałam wtulona

pod jego ramieniem. Było nam trochę za ciepło razem, ale spanie na dystans nie wchodziło w grę. Nie mogliśmy wypuścić siebie z objęć, bo natychmiast jakaś magnetyczna siła przyciągania kazała nam odnaleźć swoje ciała. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam jego oczy, wpatrujące się we mnie z błogim spokojem.

- Pierwszy raz zasnęłam z kobietą. Uśmiechnęłam się.

- I wyspałeś się?

- Sen z kimś wiele znaczy. To nawet bardziej intymne niż seks.

- Niż seks? - moje pytanie zabrzmiało jak echo.

- Seks jest bez znaczenia. Naprawdę ważny jest wspólny sen. Do łóżka możesz iść właściwie z każdym; chodzi mi oczywiście o czysto fizyczną możliwość. Ale nie z każdym zaśniesz. Do tego potrzeba czegoś więcej.

- Współodczuwanie dusz - powiedziałam ze śmiechem.

- Żebyś wiedziała! Jakieś wspólne pływanie na tej samej fali. Czytałaś *Niežność lekkość bytu*?

- Kundery? Nie, akurat tego nie czytałam.

- Świetna książka. Bohater kochał się z wieloma kobietami, ale z żadną nie spał.

- To inaczej niż ty, bo ty ze mną spałeś i się wyspałeś.

- On też w końcu z jedną zasnął.

- I co?

- Przeczytaj.

- Przeczytam. Ale najpierw muszę przeczytać o Emanuelu Kancie. *Niebo świetliste nade mną, prawo moralne we mnie*. Wiesz, że za chwilę zjemy śniadanie, a potem wrócisz do swojego domku i będziesz się uczył, a ja zrobię to samo tutaj?

- Oboje uczymy się tutaj. Nie zamierzam stąd wychodzić.
- Już widzę, jak oboje się tu uczymy! Nie żartuj.
- Obiecuję, że będę grzeczny.

Obiecał i, o dziwo, słowa dotrzymał. Uczyliśmy się: on w kuchni, a ja w salonie na kanapie. Potem się nawzajem przepytaliśmy. A potem zrobiliśmy spaghetti *carbonara* na obiad. On kroił szynkę i pieczarki, ja przygotowałam sos ze słodkiej śmietany i żółtek. Zszedł na dół do delikatesów i kupił białe wino, które schłodziliśmy w lodówce.

W międzyczasie zadzwoniła jego mama i poprosiła „syna”. Wyczułam, że jest zła. Ze strzępków rozmowy, które słyszałam, zrozumiałam, że ma mu za złe, bo nie wrócił do domu, a ona czekała z obiadem, i że mógł zadzwonić.

- Moja mama ma zły dzień - powiedział. - Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Mam już dość jej wybuchów i pretensji.

- O co ma pretensje?

- O wszystko. Jak jestem, to przeszkadza jej, że siedzę w domu i nic nie robię. Jak mnie nie ma, to narzeka, że mnie nie ma, że jestem u ciebie. Ciągłe czegoś chce i coś jej nie pasuje. Teraz ma pretensje, że za długo u ciebie siedzę. A ja jestem już dorosły i mogę mieć chyba jakieś swoje życie?

- Przynajmniej ktoś się o ciebie troszczy... - powiedziałam zrezygnowana i pomyślałam, że mój ojciec wpada do domu raz na trzy dni i nigdy nie ma o nic pretensji, a ten stan też nie jest dla mnie komfortowy.

- Do mojego starszego brata ma pretensje, że wyjechał do Austrii i tam związał się z kosmetyczką. Nawet jej nie poznała, a już była przeciw. Nie wiesz nawet, co ja przechodzę z moją matką...

Nie powiedział nic więcej, a jednak zrozumiałam dokładnie, co chciał powiedzieć. Miał bardzo silny związek z matką, ale ta więź, zamiast wyzwalać, była ograniczeniem. Nie chciał jej za-

wieść, a jednocześnie ich oczekiwania zaczęły się rozmijać. Czas miał pokazać, czy wybierze własną drogę.

Niedługo potem wyszedł, ale to popołudnie zdecydowanie było bardzo udane. Byliśmy sobie bliscy jak nigdy wcześniej i wydawało mi się, że po raz pierwszy poczuliśmy smak wspólnego bycia razem w wymiarze zupełnie domowym. Wspólne gotowanie, spokojne rozmowy i zrozumienie.

15. Dzięki temu świat się kreci

Mijały kolejne miesiące. Pisałam pracę magisterską, Mariusz już skończył swoją. Miałam wrażenie, że weszliśmy w etap budującej zażyłości. Dużo czasu spędzaliśmy razem. Nasze bycie razem miało w sobie już trochę udomowiony, oswojony wymiar. Miał u mnie swoją szczoteczkę do zębów, własne kapcie i nawet ręcznik. Mieszkałam praktycznie sama, bo tata na dobre wyprowadził się do Barbary, więc chwilami nasze bycie razem przypominało wspólne życie. Mariusz wpadał czasem z reklamówkami pełnymi zakupów. Gotowaliśmy razem, sprzątaaliśmy i kochaliśmy się, wciąż tak samo spragnieni siebie. A nawet bardziej. Eksperymentowaliśmy.

Mariuszowi bardzo zależało, abym brała tabletki antykoncepcyjne. Kilkakrotnie mnie o to pytał. Nie stosowałam tabletek, bo zawsze używałam prezerwatyw. Bałam się infekcji, AIDS, chorób wenerycznych i innych przypadłości, które mógł przynieść seks bez zabezpieczenia. Moje współżycie, zanim go poznałam, było nieregularne, więc nie widziałam potrzeby, żeby stosować inną antykoncepcję. Teraz sytuacja się zmieniła; był on, a ja bardzo pragnęłam mieć go w sobie bez żadnych barier. Lekarz zapisał mi tabletki. Brałam je przez dwa tygodnie i to był jeden wielki koszmar. Potwornie bolała mnie głowa, puchły nogi i zupełnie straciłam ochotę na seks.

- Nie będziesz tego brała. To bez sensu - zdecydował za mnie, kiedy już ledwo trzymałam się na nogach.

Ja byłam szczęśliwa, za to Bogdan przeżywał trudne chwile. Kuba wyjechał w interesach za granicę i przedłużył swój pobyt do miesiąca. Kiedy wrócił, wyraźnie unikał Bogdana. Miał komórkę, więc teoretycznie powinien być zawsze osiągalny, ale nie odbierał telefonów od Bogdana.

- Nie jest już tak, jak dawniej, wszystko się zmieniło... -mówił zrozpaczony Bogdan.

A potem mi powiedział, że już od jakiegoś czasu podejrzewał, że Kuba kogoś ma, i zapytał go o to wprost. I co się okazało? Kuba przyznał, że z kimś się spotyka, a tym kimś jest dziewczyna.

- On próbuje, rozumiesz? Czuje się gorszy przez to, że jest gejem, i próbuje się sprawdzić w związku hetero. Ale nic mu z tego nie wyjdzie. Natury nie oszukasz. My, geje, jesteśmy osaczeni; ludzie po prostu nie potrafią pojąć, jak można kochać kogoś tej samej płci. A jaka to w końcu różnica? Miłość to miłość. Czy myślisz, że ja nie wolałbym sobie uprościć życia i mieć dziewczynę, a potem dzieci z nią i tak zwane normalne życie?

Wiedziałam, że by wolał. Życie jest wystarczająco skomplikowane, żeby je sobie jeszcze dobrowolnie utrudniać. Pocięzałam Bogdana, jak umiałam. Na szczęście jego obrazy dobrze się sprzedawały, paradoksalnie, za sprawą działań marketingowych Kuby. Całymi dniami malował. Była w nim determinacja, upór i pasja.

A ja, może nie z pasją, ale z uporem na pewno, pisałam swoją pracę magisterską. Został mi do zdania tylko egzamin z filozofii prawa i to miał być finał.

Zrobiłam sobie krótką przerwę w pisaniu i jadłam kanapki w kuchni. I wtedy coś mnie zaniepokoiło. Poszłam do swojego pokoju i wyjęłam z biurka zielony kalendarzyk. Zaczęłam go

wertować w poszukiwaniu zaznaczonej daty. Zawsze zaznaczałam datę pierwszego dnia swojego okresu. Spóźniał się pięć dni. Miesiączki miałam dotąd raczej regularne, co dwadzieścia osiem dni. Zaczęłam porównywać wszystkie daty i odliczać dni. Raz było trzydzieści dwa. A więc na pewno dzisiaj dostanę. Trochę się uspokoiłam.

Ale nie dostałam. I przez kolejne dni też. Czułam się dobrze, nie miałam żadnych mdłości czy zachcianek. Byłam tylko zdenerwowana i rozdrażniona na myśl, że jestem w ciąży. To przecież nie był właściwy moment. Kończyłam studia, miałam iść na aplikację, zacząć pracę. Nie chcę dziecka, myślałam w popłochu. Nie mówiłam nic Mariuszowi, choć zauważył, że jestem dziwnie milcząca. Zrzuciłam to na karb zmudnego procesu pisania pracy magisterskiej.

Co powinnam zrobić? Co zrobię, jeśli naprawdę jestem w ciąży? Zaczęłam projektować w myśli różne scenariusze. Urodzę i co? Zwałę obronę, może nie, dziecko urodzi się, kiedy? Obliczyłam. W listopadzie. No tak. Ale nie mam pracy i pewnie do pracy nikt mnie w ciąży nie przyjmie. A potem dzieckiem trzeba się zająć. Więc praca odpada. Ale Mariusz będzie miał zaraz pracę. Na początek to nam wystarczy. Ale ja przecież nie chcę dziecka. Co ja wiem o dzieciach, co ja wiem o życiu w ogóle? Nie chcę dziecka.

Przypomniałam sobie, kiedy to się mogło stać. Był taki moment, że to się rzeczywiście mogło stać. Posunęliśmy się niebezpiecznie daleko.

Zastanawiałam się, co mam zrobić. Nie było sensu dłużej czekać. Powinnam zrobić badania, test ciążowy. Postanowiłam nie mówić o swoich podejrzeniach Mariuszowi, dopóki nie będę całkowicie pewna. Na wynik badania moczu miałam czekać trzy dni. Trzy długie dni. Pozostawał jeszcze test ciążowy. W aptece powiedziano mi, że nie jest wystarczająco czuły, żeby potwier-

dzieć tak wczesną ciążę. Kupiłam dwa. Chciałam jeden zrobić od razu, a drugi za tydzień.

Wykonałam wszystko zgodnie z instrukcją i czekałam, aż pojawi się druga kreska na płytce, a właściwie miałam nadzieję, że się nie pojawi. Wpatrywałam się w nią uparcie, mówiąc na głos: „Nie pojawiaj się”. Czekałam minutę, dwie, trzy. Nie pojawiła się. Nie byłam w ciąży. Zawylałam z radości. Ufff! Jak dobrze! Znowu poczułam się wolna i beztroska. Zadzwoiłam do Mariusza. Jakoś tak spontanicznie, w przyływie ulgi, którą poczułam, powiedziałam:

- Myślałam, że jestem w ciąży, ale zrobiłam test i na szczęście nie jestem.

- W ciąży? Co ty mówisz?

To zabrzmiało obojętnie i sucho. Tak jakby wyciągnął przed siebie obie dłonie na znak protestu, jakby chciał od razu powiedzieć: „dzieci nie rodzą się przecież po tym, jak dwoje ludzi uprawia seks”.

- No właśnie mówię, że nie jestem.

- To by była katastrofa. Dostałaś okres?

- Nie, ale test nie potwierdził ciąży.

- A ile ci się spóźnia?

- Kilka dni - skłamałam, bo spóźniał się już tydzień.

- Mhm...

- To się czasem zdarza; pewnie dziś dostanę.

- Mam nadzieję - w jego głosie wyczułam chłód. - Musisz jednak brać te tabletki.

Po tej rozmowie byłam przygnębiona. Stał się nagle taki obcy, gdy powiedziałam mu o ciąży. Dlaczego to kobieta musi się zawsze mierzyć z takim dylematem, dlaczego to na nią spada cała odpowiedzialność? Gdyby powiedział choć jedno ciepłe słowo, coś w stylu: „Dobrze, że nie jesteś, musiałaś się niepokoić, to nie byłby najlepszy czas na dziecko, mamy na to czas”. „To by była

katastrofa", dźwięczało mi w uszach, lecz największą katastrofą było to, że w ogóle wypowiedział te słowa. Tak mi się zdawało.

Musiałam się w końcu odciąć od tych myśli i wrócić do pisania pracy. Za każdym razem, kiedy szłam do toalety, sprawdzałam, czy mam już okres, który powinien przecież nadejść, skoro nie byłam w ciąży. Pod wieczór odetchnęłam. Dostałam w końcu miesiączkę. Naprawdę nie byłam w ciąży. Schowałam głęboko w swoim biurku drugi test ciążowy. Nie będzie potrzebny. I zrobię wszystko, żeby nie był już potrzebny. Pójdę do lekarza, niech zaproponuje mi jakiś inny środek, spirale, może inne tabletki, cokolwiek. Nie ma nic gorszego dla kobiety niż lęk przed niechcianą ciążą. Tak mi się wtedy zdawało. Mariusz zadzwonił i zadał mi jedno pytanie lodowatym głosem: „Dostałaś?”. Odpowiedziałam zniecierpliwiona, że tak.

Ale następnego dnia mój okres się skończył. Ze zdziwieniem patrzyłam na czystą podpaskę. Więc trwał pół dnia, a właściwie w ogóle na dobre się nie zaczął. Wpadłam w panikę. Gdzieś czytałam o plamieniach ciążowych, które pojawiają się w terminie spodziewanej miesiączki. Więc jednak mogłam być w ciąży.

Dzisiaj miały być gotowe wyniki moczu. Pojechałam do przychodni. Odebrałam. Stojąc w pustej sali recepcyjnej, otworzyłam kopertę. Wynik „pozytywny, stwierdzono gonadotropinę kosmówkową HCG w moczu”. Co to znaczy?

- Przepraszam, czy może mi pani powiedzieć, co to oznacza, ten zapis tutaj - pokazałam pielęgniarce w okienku recepcyjnym swój wynik.

- Ciąża - uśmiechnęła się. - Jest pani w ciąży. Gratuluję! Wspaniale, prawda? - wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu, patrząc na mnie wyczekująco. Miałam być szczęśliwa, miałam odwzajemnić uśmiech.

- Wspaniale - powtórzyłam za nią, sztucznie się uśmiechając

Odeszłam od okienka. Przyszłam do domu.

Umyłam ręce i nie zdejmując butów, wyjęłam z szafki łazienkowej drugi test ciążowy. Mogło się zdarzyć, że pomylili próbki moczu. Pomyłki się zdarzają.

Usiadłam na fotelu, nie zdejmując butów i trencza, i patrzyłam na płytkę. I wtedy pojawiła się niewyraźna kreska. Wpatrywałam się w nią uparcie, aż zrobiła się całkiem wyraźna. Byłam w ciąży. Rozplakałam się.

Bo przecież to nie tak miało być w moim życiu. Na wszystko był czas. Tak to widziałam. I teraz to nie był czas na dziecko. Przemknęła mi przez myśl aborcja. Można było ją zrobić za określoną cenę. Nielegalnie. No bo nie dotyczy mnie żadna z sytuacji, kiedy jej przeprowadzenie jest dozwolone. Ale ja przecież kocham Mariusza. Nie widzę siebie w przyszłości z nikim innym. Może urodzę to dziecko?

Postanowiłam jak najszybciej powiedzieć o wszystkim sprawcy mego stanu. Choć to przecież nie tak. Obydwoje jesteśmy sprawcami. Nie byłoby ciąży bez nas obojga, bez tych kilku minut zapomnienia. Przemknęło mi przez myśl, że może takie jest przeznaczenie? Urodzę teraz, wyłączę się na chwilę lub nieco dłuższą chwilę z życia zawodowego, wychowam dziecko? On w tym czasie będzie robił karierę, później przyjdzie czas na mnie? Czym jest tych kilka lat na przestrzeni całego życia? To zaledwie chwila. Więc urodzę.

I co? Będę siedziała w domu. Karmiła i niańczyła dziecko, przyodziana w szare dresy. On każdego ranka będzie wychodził do pracy w eleganckim garniturze, zostawiając za sobą woń drogiej wody kolońskiej. Mnie zostanie zapach pampersów. A potem będzie wracał do domu i witał zmęczoną po całym dniu żonę, wieszającą właśnie pranie, z palcem na ustach: „Ciii, bo właśnie usnął”. Stanę się zaprzeczeniem samej siebie. Big mamą.

Kurą domową. Nie będzie nas stać na opiekunkę, na sprzątaczkę, wszystko spadnie na moje barki. Nie. Nie chcę! Dlaczego jestem w ciąży?!

Myślałam tylko o tym; nie napisałam ani strony, zdawało mi się, że to już i tak nie ma sensu, bo przepadłam. Mariusz miał przyjść wieczorem. Przygotowywałam się do obwieszczenia mu tej strasznej nowiny. Strasznej? A zawsze myślałam, że ten moment musi być piękny, podniosły, wzruszający. Cud, który się zdarzył między kobietą a mężczyzną. Byłam tak zdenerwowana, że zupełnie straciłam apetyt.

Zastanawiałam się, co powie ojciec, jak zareaguje Ewa, no i oczywiście, Bogdan. Byłam pewna, że Magda popuka się w czoło. Czułam się jak przegrana ofiara. Mamo? Co mam robić? - spojrzałam na jej zdjęcie, oprawione w brązowe ramy. Uśmiechała się tylko. Mój anioł stróż mnie opuścił?

To była gonitwa myśli. Chciałam zadzwonić do Bogdana, do Magdy, ale się powstrzymałam, bo wiedziałam, że to w końcu Mariusz powinien się pierwszy dowiedzieć. To nasze dziecko.

Nie wiem, jak wytrzymałam do ósmej pięć, o której usłyszałam dzwonek domofonu. To był on. Wszedł rozpromieniony, uśmiechnięty i z miejsca zaczął opowiadać o dobrych nowinach. Profesor był bardzo zadowolony z jego pracy magisterskiej i postanowił zgłosić ją na konkurs. Twierdził, że ma dużą szansę na nagrodę, i zaproponował mu studia doktoranckie.

- Jako doktorant będę musiał prowadzić dwie grupy ćwiczeniowe, dojdzie mi praca, no i aplikacja, jeśli się dostanę. Ale to się wszystko da pogodzić. No co, nie cieszysz się, nie gratulujesz swojemu mężczyźnie?

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się smutno. Naprawdę chciałam, żeby jego szczęście trwało jak najdłużej, ale wiedziałam, że to ostatnie chwile jego beztroskiej nieświadomości.

- Jestem w ciąży - wypaliłam.

Znieruchomiał. Na chwilę jakby stał się kamieniem.

- Co ty mówisz, przecież dostałaś okres? - w jego oczach zobaczyłam niedowierzenie.

- To było tylko małe płamienie, tak się zdarza czasem. Odebrałam dzisiaj wyniki badania moczu. Jestem w ciąży. Potem zrobiłam drugi test ciążowy. Wyszło, że jestem w ciąży.

Milczeliśmy. Siedział naprzeciw mnie w fotelu. W salonie zaczęło się robić ciemno. Nie widziałam dokładnie wyrazu jego twarzy, kiedy w końcu odważyłam się na niego spojrzeć. Bo nie miałam odwagi na niego patrzeć. To w końcu ja byłam w ciąży, to ja „zawiniłam”. Bzdura! Odrzuciłam od siebie te pogrążające myśli. Ja byłam kobietą, on nie mógł zająć w ciążę. On powinien teraz stanąć na wysokości zadania. Podjąć wyzwanie. Przecież mnie kochał.

- Dlaczego nic nie mówisz? - zapytałam.

- A co mam powiedzieć? Jestem w szoku. Nie oczekujesz chyba, że będę skakał z radości.

- Aleja potrzebuję od ciebie wsparcia, dobrego słowa, uczucia. Tego teraz potrzebuję, więc nie zasłaniaj się szokiem. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Młodymi, ale dorosłymi! I spodziewamy się dziecka!

- Ty chyba nie zamierzasz urodzić tego dziecka?! - wypalił.

Mogłam pomyśleć o aborcji, mogłam nawet wziąć pod rozwagę taką opcję; może nawet w końcu bym to zrobiła, ale to, co usłyszałam, przygniotło mnie do ziemi. To jedno zdanie zabrzmiało jak najgorsze przekleństwo, jak imperatyw kategoriyczny. Nie było w nim krzty zrozumienia.

- Czuję się jak dziewczyna na jedną noc, o której zapomina się następnego dnia. A potem ona przychodzi po miesiącu i mówi, że jest w ciąży. Co ty sobie myślisz?! - podniosłam głos.

- Nic sobie nie myślę. Po prostu jestem zaskoczony. Nie bierz tego do siebie. Jesteśmy dorośli, ale ja nie jestem gotowy,

żeby być ojcem. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to właśnie to. Że nie możemy mieć teraz dziecka. Czy ty wiesz, co to jest dziecko? To odpowiedzialność, wydatki...

- Chcesz, żebym... usunęła?

Spojrzał na mnie, pierwszy raz tego wieczoru z cieniem czułości w oczach. Przysiadł na skraju fotela, na którym siedziałam, i objął mnie.

- To chyba byłaby najrozsądniejsza decyzja - chwycił moją dłoń i ją pocałował. - Jak sądzisz?

- Nie wiem. Poza wszystkim to jest... nielegalne. Wzruszył ramionami.

- Ale chyba można to jakoś załatwić? Biorę to na siebie. Kolejne zdanie, które mnie zabolalo. Można posprzątać, zamiatając pod dywan. Ale brudu się w ten sposób nie usunie.

- Nie martw się. Wszystko się dobrze poukłada. To skomplikowałoby nam zbyt wiele spraw.

- Jakich spraw? - zapytałam cicho.

- Życie by to nam skomplikowało. Po co tak wcześnie się w to łądować? Trzeba trochę pożyć.

- Nie wiem... muszę wszystko przemyśleć.

Ja myślałam, a on poszedł do kuchni i zrobił nam prostą kolację. Kanapki z szynką i ogórkiem. Potem oglądaliśmy jakiś głupi film w telewizji. Nie pamiętam, co to było. Obydwoje udawaliśmy tylko, że oglądamy, pogrążeni we własnych myślach.

Tamtej nocy niewiele spałam. Kiedy wreszcie zasnęłam nad ranem, śniło mi się, że urodziłam dziecko i zapomniałam je zabrać ze szpitala. Gdy zorientowałam się, że dziecka nie ma, było już za późno i byłam strasznie rozczarowana.

Obudziłam się rozbita. Zrobiłam sobie kawę i postanowiłam pójść do Bogdana. Zadzwoiłam też do Magdy i umówiłam się z nią na popołudnie.

Zastałam go przy sztalugach, w gorączce pracy. Zdziwił się, gdy mnie zobaczył, i nie dostrzegłam, żeby się ucieszył. Na wiadomość, że jestem w ciąży, zareagował spokojnie i nawet się lekko uśmiechnął.

- Wszystko się wcześniej czy później sprowadza do tego, że się rodzimy. Dzięki temu świat się kręci - powiedział filozoficznie.

- Ale ja mam tyle planów... aplikacja, praca... Wiesz, jak trudno byłoby to pogodzić?

- Na aplikację możesz na razie nie iść, finansowo ojciec ci na pewno pomoże; zresztą... Mariusz idzie przecież do pracy. Co on na to?

Jakoś nie miałam odwagi powiedzieć Bogdanowi, że Mariusz rozważał aborcję. Poza tym miałam nadzieję, że zmieni zdanie.

- No wiesz, nie skacze z radości...

- Ja pewnie nigdy nie usłyszę takiej nowiny. Jacy ci faceci są głupi... Ja bym skakał z radości - uśmiechnął się.

Zrobiło mi się jakoś lżej na sercu. Jego proste argumenty brzmiały logicznie. Świat się nie skończy w związku z tym, że nie pójdę teraz na aplikację albo że nie skończę studiów w terminie. Wręcz przeciwnie: świat będzie trwał dzięki temu, że urodzę dziecko.

- Muszę ci coś powiedzieć - powiedział Bogdan, biorąc głęboki wdech.

Spojrzałam wyczekująco.

- Kuba twierdzi, że się zakochał. Że pierwszy raz zainteresowała go dziewczyna i nie może zmarnować szansy na normalne życie. Stwierdził, że musi skończyć naszą znajomość. Tak to nazwał.

Kręciłam głową z niedowierzaniem, a kiedy chciałam się odezwać, usłyszałam:

- I nic nie mów. Nie chcę pocieszenia.

Zobaczyłam w nim jakąś niecodzienną obojętność. Mówił o tym ze spokojem, jakby w ogóle mu już nie zależało. Zatopiona we własnych problemach, nie zastanawiałam się wtedy nad tym, ale teraz wiem: wyciszył swoje emocje, ale nie powstrzymał bólu, który czuł. W obliczu tego, co się potem stało, rozumiem to dokładnie.

- Teraz czy za pięć lat, przecież i tak kiedyś chcesz mieć dziecko - dodał po chwili, zmieniając temat.

Właśnie takie słowa chciałam wtedy usłyszeć.

Wróciłam do domu wzmocniona, bo wiedziałam już, że powinnam urodzić to dziecko. Mówił mi to jakiś wewnętrzny głos mojej podświadomości. Tyle że to, co czułam, to rzeczywiście była powinność, a nie jakieś chcenie czy pragnienie. Najważniejsze było dla mnie jednak przekonanie, że ten mężczyzna, to właściwy mężczyzna. Wszystko inne było mniej ważne. Ja kochałam jego, on kochał mnie. Tak to widziałam.

Kiedy tylko przekroczyłam próg mieszkania, zadzwonił telefon. Magda.

- Nie dam rady się z tobą zobaczyć, wszystko się obsunęło i będę miała spotkanie. A jutro lecimy do Londynu. Będę za trzy dni. Coś ważnego?

- Tak, ale to nie na telefon.

- No dobra, to dzwonię po powrocie. Jak ci idzie pisanie? Przez chwilę nie załapałam, o jakie pisanie jej chodzi. To się stało tak mało ważne.

- Piszę, jakoś idzie.

- Ja jestem w lesie, ale biorę urlop za dwa tygodnie, to pod-gonię. Całusy.

Rozłączyła się. Postanowiłam, że powiem jej gdy wróci.

Mariusz pojawił się po południu, uśmiechnięty i zadowolony. Zachowywał się tak, jakby zupełnie zapomniał, że jestem w ciąży, że są sprawy do obgadania i podjęcia decyzji. Mówił znów o perspektywach, o tym, że od razu będzie odpowiedzialny za duży projekt, coś mi tłumaczył. Nie pamiętam dokładnie, o czym mówił, bo ja myślałam tylko o tym, co mam mu do powiedzenia. Chciałam urodzić nasze dziecko. Nie zdążyłam, bo w pewnej chwili usłyszałam:

- Mam zamiary do bardzo dobrego specjalisty. Uważam, że powinniśmy jak najszybciej się do niego umówić.

- Do jakiego specjalisty? - zapytałam, choć wiedziałam, o co mu chodzi.

- Ginekologa. Robi zabiegi, bardzo profesjonalnie. Mam wizytówkę do niego - położył na stole biały kartonik.

- Ale ja... - zawahałam się - postanowiłam urodzić. Właśnie chciałam ci to powiedzieć.

- Jak to, ty postanowiłaś? A nie sądzisz, że to m y powinniśmy postanowić? Że to nie tylko twoja sprawa?

- To nie sprawa. To ciąża. Spodziewam się dziecka. I to ja jestem w ciąży, więc ja ci mówię, że jestem gotowa urodzić nasze dziecko.

- Świetnie. A ja ci mówię, że nie chcę dziecka. Jestem za młody na taką odpowiedzialność. Po prostu nie chcę tego na siebie brać.

- Ale ja też wolałabym nie być w ciąży. Tylko, że jestem i tu już nie pora na rozważania „co by było, gdyby...”. Trzeba się zmierzyć z tym, co jest.

- Można zrobić zabieg.

- Ja nie chcę żadnego zabiegu. Przecież się kochamy, tak?

- To nie ma nic wspólnego z miłością.

- Nie zrobię zabiegu. Nie chcę i nie mogę. Zaszłam w ciążę, wiem, że to mi pokrzyżuje wiele planów... Ale ty będziesz miał

pracę, pewnie mój ojciec nam pomoże, mamy mieszkanie, poradzimy sobie...

- Na mnie nie licz, ja się z tego wycofuję - powiedział nagle ostrym tonem. - Ja nie jestem gotowy, a ty mówisz głupoty. Dziecko to nie zabawka. „Jakoś sobie poradzimy”. Ja nie chcę żyć „jakoś”! Robię wszystko żeby moje życie nie było „jakieś”, tylko wyjątkowe. Chcę zarabiać pieniądze, chcę się dorobić, a nie niańczyć dzieciaka i zarywać noce. Daj spokój!

Czułam, jak rośnie we mnie złość. Może to jego słowa wyprowadziły mnie z równowagi, a może to hormony ciążowe już działały. Nagle krzyknęłam.

- Wynoś się stąd!!! Nie chcę cię oglądać na oczy! Poradzę sobie bez ciebie! Wynoś się!!! - darłam się, ile sił w płucach, a on wstał z fotela i szybkim krokiem poszedł w stronę przedpokoju.

- A ja nie chcę twojego dziecka i nie chcę żyć z wariatką, bo widzę, że ty jesteś nienormalną histeryczką. Ładnie bym się wpakował!

- W nic się nie musisz pakować. Więcej się tu nie pokazuj! Spierdalaj!

- Zamknij się, przestań wrzeszczeć! Nie mam ochoty tu się pojawiać.
Wątpliwa przyjemność!

Trzasnęły drzwi.

I taka właśnie była ta jego wielka miłość. W chwili próby nic z niej nie zostało. A ja byłam w emocjonalnych strzępkach.

Spotkałam się z Magdą, powiedziałam jej o ciąży i o reakcji Mariusza.

- Niczego innego się po nim nie spodziewałam - skwitowała.

- To był dla niego szok, nie wyobraża sobie tak wielkiej zmiany w swoim życiu - próbowałam go usprawiedliwić.

- Jasne, dla każdego to byłby szok; dla ciebie też. Ale to ty chodzisz w ciąży, rodzisz, karmisz... Kobieta ma gorzej. Dlatego facet powinien decyzję w tej sprawie zostawić kobiecie. To jej ciało, to dla niej większy ciężar. A on... po prostu trzasnął drzwiami.

Pokiwałam głową. Takie były fakty.

- Ja go wyrzuciłam; wrzeszczałam, żeby się wynosił i gorsze rzeczy...

- Nie dziwię się, po tym, co ci powiedział. Naprawdę chcesz urodzić?

- Tak - powiedziałam niepewnie.

- On ci nie zaproponował pomocy, małżeństwa. Wszystko będzie na twojej głowie.

- Odradzasz mi?

- Jesteś taka zdolna, kariera przed tobą. Pieluchy to nie to, co jest ci teraz potrzebne. Gdyby jeszcze on chciał ci pomóc... Sama nie wiem...

- Mam nadzieję, że przyjdzie za parę dni i zmieni zdanie. Przecież mnie kocha. Co, przestał nagle, bo jestem w ciąży? Chyba, że się myliłam...

Mariusz rzeczywiście pojawił się po trzech długich dniach, wypełnionych analizowaniem przeze mnie wszystkich za i przeciw. Naczytałam się w tym czasie wszystkiego o ciąży, dzieciach i porodach, o aborcji i jej konsekwencjach. Umówiłam się do lekarza na konieczne badania. Byłam niemal pewna, że przyjdzie. Kiedy usłyszałam dzwonek domofonu, wiedziałam że to on.

Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Był spięty i zasadniczy. Nie zapytał się co słyhać, jak się czuję, nie pocałował mnie na przywitanie.

- Przyszedłem porozmawiać.

Przeszliśmy do salonu. Akurat piłam świeżo zaparzoną herbatę, więc zaproponowałam, że mu naleję. Odmówił.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że przez te dni myślałem tylko o tej sprawie. I wiem jedno: ja naprawdę nie chcę dziecka. Boję się odpowiedzialności i tych wszystkich obowiązków. Nie chcę tego. Dzieci mnie denerwują, zwłaszcza takie bardzo małe. Nie nadaję się na ojca teraz. Może kiedyś, nie wiem... może pomyślę o tym za dziesięć lat. Mam dwadzieścia trzy lata i nie chcę się wiązać dzieckiem. I to samo dotyczy ciebie. Z twoimi zdolnościami możesz pracować wszędzie, wszędzie cię wezmą, do każdej kancelarii albo firmy. Nie zapłacą może kokosów na początek, ale powinno wystarczyć na życie dla jednej osoby. Pójdiesz na aplikację i zapłacą ci więcej, a jak będziesz już radcą prawnym, za te pięć lat, to zaczniesz naprawdę nieźle zarabiać. Teraz mamy takie możliwości... Ale za parę lat, jak skończą studia te tłumy absolwentów, których ciągle przyjmują, nie będzie już tak; łatwo. Zacznie się konkurencja. Dokładnie wtedy, gdy odchowasz dziecko na tyle, żeby pójść do pracy. I będziesz na gorszej pozycji niż każda gaska bez dziecka, napalona na karierę. Bo ty będziesz pracowała z zegarkiem w ręku i czekała, aż wybije siedemnasta, żeby gonić do dzieciaka. A oni od młodych wymagają dyspozycyjności. Jak sobie wyrobisz pozycję, złapiesz swoich klientów, skończysz aplikację, to wtedy będziesz stawiać warunki i rodzić dzieci. Weźmiesz sobie asystentkę, aplikanta. A teraz to co? Utrudnisz sobie całe życie na starcie.

Wreszcie skończył swój monolog. Kiedy próbowałam mu przerwać, zaczynał mówić głośniejszym głosem i podnosił do góry rękę, co miało oznaczać: teraz ja mówię. Więc słuchałam przemowy, choć dokładnie znałam jego argumenty.

- Ja to wszystko wiem - powiedziałam, gdy zamilkł na chwilę. - Czasem w życiu jest pod górkę, ale potem, gdy już na nią wejdziesz, to masz z górki.

- Jak się spada, to też z górki. Przyniosłem ci pieniądze i namiary do specjalisty - położył na stole kopertę.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Co ty mówisz? Wydajesz mi dyspozycję i płacisz za to? Przecież ci powiedziałam, że...

- Wiem, co mi powiedziałaś, ale zostawiam ci te pieniądze, bo wierzę, że zmienisz zdanie.

- A co zrobisz, gdy urodzę to dziecko?

- Pewnie będę musiał płacić alimenty. Ale na żadną pomoc nie licz, a alimenty też nie będą wysokie, bo ja nie będę zarabiał nie wiadomo ile.

Byłam zdruzgotana. Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam. Takie rzeczy zdarzają się chyba tylko w filmach. On jej mówił, że kocha, było pięknie, była miłość, a potem dał pieniądze na zabieg i wypiął się na resztę. Chciało mi się po prostu płakać.

- Nie rozumiesz, nic nie rozumiesz - powtarzał. - Ja... ja chcę mieć życie nieprzeciętne. Dziecko na początku drogi to jakby porażka, to taki banał... to... Ach, ty nic nie rozumiesz! - zacisnął zęby, a jego prawa dłoń zacisnęła się w pięść.

Stał przy oknie i stał tak, odwrócony do mnie bokiem. Z półprofilu widziałam tylko tę jego zaciśniętą szczękę; miał determinację i zaciętość wypisaną w każdym mięśniu twarzy. Zobaczyłam jego twarz, jakiej wcześniej nie znałam. Jakbyśmy w jednej chwili znaleźli się na przeciwnych biegunach świata i zaczęli mówić niezrozumiałymi dla siebie językami albo stali się wyznawcami innych bogów.

- Weź te pieniądze i idź stąd! I naprawdę nie chcę cię tu więcej widzieć - powiedziałam spokojnym, obojętnym tonem. - Nie rozumiem, jak możesz być taki podły - oparłam głowę na rękach i siedziałam w bezruchu.

On tymczasem spokojnie podniósł się z fotela i skierował w stronę drzwi wyjściowych. Została po nim tylko koperta z gotówką.

16. Biała ściana

Zostałam sama i wpadłam w czarną rozpacz. Kolejne dni spędziłam w łóżku, prawie z niego nie wstając. Spałam, a po przebudzeniu myślałam i nie mogłam uwierzyć w to wszystko. Jak mogłam aż tak bardzo mylić się co do Mariusza, jak mogłam uwierzyć w jego miłość?! Jak mogłam uspić swoją czujność? Przecież zawsze byłam taka dumna i niewzruszona. Otworzyłam się, zaufałam i cierpiałam. Słuchałam smutnych melodii i trwałam w bolesnym otępieniu. *Sleeping Satellite* Tasmin Archer grało w mojej głowie. Tak, miałam być jego gwiazdą, a jestem tylko spadającym w niebyt satelitą.

Moim jedynym towarzyszem niedoli pozostał Bogdan, który także cierpiał z powodu rozstania z Kubą. Przyszedł do mnie pewnego razu z torbą mandarynek, bo słyszał, że zawierają dużo potrzebnego dziecku kwasu foliowego. Dzwonił kilka razy dziennie. Dzwoniła też Ewa i dzwonił tata. Grałam przed nimi zadowoloną z życia i bardzo zajęta pisaniem pracy magisterskiej. Pewnie dlatego nie przychodzili - żeby mi nie przeszkadzać.

Miałam więc święty spokój i mogłam do woli się umartwiać. Magda wzięła urlop i wyjechała do domu rodzinnego, by tam pisać pracę. Stwierdziła, że jest to jedyne miejsce, gdzie nie będzie dzwonił telefon, a Paweł nie wyciągnie jej na żadną imprezę albo inne pokuszenie. Raz dziennie dzwoniłyśmy do siebie.

Tamtego dnia to ona zadzwoniła, wyrywając mnie z popołudniowej drzemki.

- Zrobiłam sobie przerwę. Pisałam pół nocy, ale czas się gdzieś wyrwać i zwiedzić stare śmieci. Przyszła do mnie właśnie przyjaciółka z liceum i idziemy na dyskotekę. Właśnie ciągnę wódkę z sokiem. A jak tam twój nastrój? Odezwał się może?

- Nie - powiedziałam niemrawo.

- Jak się czujesz?

- Ciągłe śpię, a poza tym normalnie. Nie mam mdłości żadnych. To dopiero szósty tydzień. W czwartek idę do lekarza.

- Nie zmieniłaś decyzji? No, wiesz... czy urodzisz?

- Nie zmieniłam.

- On nie jest ciebie wart po prostu.

- Tylko nie mów, że mnie ostrzegałaś. Pamiętam.

- Nie, nie mówię.

- Najgorsze, że ja wciąż nie mogę uwierzyć, że on mnie nie kochał. Że kłamał. Ciągłe myślę, że zaraz przyjdzie i wszystko odkręci. Dał mi te pieniądze, a jak zobaczy, że nic z tego, to przyjdzie i będzie prosił o wybaczenie. Czy to była tylko iluzja, powiedz? Przecież takie rzeczy się czuje; widzisz to w czyichś oczach, prawda? - mówiłam, łkając.

- Fakty mówią same za siebie niestety...

- Idę się wykapać. Jest piąta, a ja jeszcze leżę w łóżku.

-Zdecydowałam, że muszę się ogarnąć.

- Dobrze, jutro zadzwonię.

Rozłączyłam się i chciałam iść do łazienki, ale pomyślałam, że jeszcze zadzwonię do taty i umówię się na weekend. Podniosłam słuchawkę, ale nie było sygnału. Za to całkiem wyraźnie usłyszałam w oddali głos Magdy. Widocznie jej telefon się nie rozłączył. Chciałam odłożyć słuchawkę, ale nagle usłyszałam coś, co mnie zainteresowało, i zaczęłam się uważnie wsłuchiwać.

- ... straszny łoś, ruchał, co popadnie a ona wierzyła, że jest tą jedyną. Próbowałam jej to jakoś uświadomić, ale napadła na mnie, że jestem zazdrosna. Powiem ci, że ja też z nim spałam. Oczywiście, to było zanim Maja zaczęła się z nim spotykać. Potem powiedzieliśmy sobie, że skoro jest z Mają, to nasza „erotyczna przyjaźń” odpada. Nawet przez chwilę wierzyłam, że rzeczywiście się w niej zakochał. Dobrze ją podebrał. Naprawdę, powiedziałybyś: para idealna. A ostatnio znowu go widziałam

w klubie, jak wrywał jakąś panienkę. Robił to, gdy był z Mają, i będzie robił nadal. Taki to typ. Gdyby nie to, że jest w ciąży, powiedziałabym jej teraz wszystko. Ale i tak już sama wie, że ta jego miłość to lipa. Słuchaj, kiedy ta Beata przyjedzie? - zwróciła się do swojej koleżanki. - Może do niej zadzwonię? Usłyszałam, że ktoś wziął słuchawkę do ręki.

- Nie ma sygnału... Halo? - powiedziała Magda.

- Halo! - powiedziałam zdławionym przez łyzy głosem. - Słyszałam wszystko...

- O Boże... cholera... Maja, przepraszam. No, to niestety prawda... ja... jest mi strasznie głupio... - jękała się.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej, że z nim spałaś?

- Jak miałam ci powiedzieć coś takiego?! Byłaś w nim zakochana. Nawet chciałam, ale wyznałaś mi, że to ten jedyny... Ja chciałam, ale nakrzyczałaś na mnie, że jestem zazdrosna, nie pamiętasz? Byliście razem, więc tamto było bez znaczenia. Myślałam, że się zmienił...

- Ale dlaczego mi nie powiedziałaś, że on mnie zdradzał? Że wrywał panienki?

- Ja tego nie wiem na sto procent. Ale takie miałam o nim zdanie od początku, tak siebie przedstawiał. Seks bez zobowiązań, dobra zabawa. A potem, jak już był z tobą, coś tam mi ktoś mówił, ale wiesz, że ludzie gadają różne bzdury. Ja na pewno to nie wiem. Ostatnio go widziałam w klubie, rzeczywiście, jakiś tydzień temu.

- Oszukiwaliście mnie! Spałaś z nim i nic mi nie powiedziałaś. To jakaś paranoja. Czyja śnię?

- Ale to było, zanim zaczął być z tobą. Potem ustaliliśmy, że to koniec.

- To znaczy... że to nie był jeden raz?! - zapytałam, niemal krzycząc.

- Kilka razy. Bez znaczenia.

- Jesteś obrzydliwa. Cześć! Rozłączyłam się.

Czułam się podle. Chodziłam po pokoju i nerwowo gryzłam dolną wargę. Boleśnie, do krwi. A potem zadzwoniłam do Bogdana i poprosiłam, żeby przyjechał. Nie chciałam mu powiedzieć przez telefon, co się stało. Był w ciągu kwadransa. Usmarowany farbą. Poszedł do łazienki i umył ręce.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś była tak przybita. Co się stało?

Opowiedziałam mu wszystko. Cała drżałam. Nie mogłam nawet płakać. Jakbym się zamknęła od wewnątrz. Trzęsłam się tylko jak w febrze.

- Zobacz - mówiłam - miałam znaki: ta dyskoteka, to kino wtedy, potem jego nocna nieobecność. Byłam naiwna. Dlaczego miłość tak zaślepia? - pytałam przejęta. Powiedz, no powiedz!

- Nie rozumiem tego. Wydawaliście się stworzeni dla siebie. Żadnych kłótni, niedomówień. Dlatego to kino i ten remont wydawały się jakimiś nic nieznaczącymi epizodami...

- O nie, teraz inaczej to widzę. To nie było bez znaczenia. Te jego koleżanki na każdym kroku...

- Może i tak. Może związki zawsze wyglądają lepiej z zewnątrz niż naprawdę. Nawet jeśli spał z Magdą, to było to, zanim ciebie poznał. Magda do wstrzemięźliwych nie należy. Ale to nie oznacza jeszcze, że spał ze wszystkimi.

Bogdan posiedział ze mną do wieczora i cały czas rozmawialiśmy. Analizowałam swój związek z Mariuszem, zastanawiając się, gdzie popełniłam błąd. Czułam się upokorzona i skrzywdzona. W końcu zgodnie stwierdziliśmy, że największym moim błędem było to, że zaszłam w ciążę.

- A moim największym błędem było to, że się urodziłem - powiedział smętnie Bogdan.

Spojrzałam na niego zdziwiona, bo dopiero teraz sobie uświadomiłam, że on też ma swoje problemy, a ja mówię tylko o sobie.

- Ale nie jesteś w ciąży - wysiliłam się na uśmiech. - Zostawił cię, ale chociaż nie jesteś w ciąży.

- Kiepski żart.

Tak, to był kiepski żart. Niestety, czasem przez pryzmat swoich problemów trudno dostrzec drugiego człowieka.

Bogdan wyszedł wieczorem, a ja nadal nie mogłam znaleźć sobie miejsca. W końcu postanowiłam zadzwonić do Mariusza. Dochodziła dziesiąta, ale go nie zastałam.

- Dobrze, to proszę go poprosić, żeby do mnie zadzwonił, jak wróci - powiedziałam jego mamie.

- Oj, na to bym nie liczyła. Poszedł do kolegi, swojego sąsiada z kamienicy, coś tam piszą czy oglądają. Jak znam życie, to przeciągnie się to do nocy. Kawka, herbatka... Ja idę spać zresztą, więc dzisiaj to już chyba nie porozmawiacie...

Zbyt długo to wszystko tłumaczyła. Wyczułam fałsz. Rozmowa z Magdą obudziła moją nieufność. Kierowana jakimś wewnętrznym impulsem, postanowiłam pojechać pod jego dom i sprawdzić, czy jego samochód stoi na parkingu.

Nie stał. Pomyślałam sobie, że być może zmienił parking; w okolicy był jeszcze drugi, wolałam mieć całkowitą pewność. Podeszłam do budki parkingowego.

- Przepraszam, przyjechałam właśnie do znajomego, ale domofon jest zepsuty i nie mam kontaktu. Zastanawiam się, czy on w ogóle jest w domu, bo światło się nie pali w mieszkaniu. Jeździ białym fordem escortem, taki wysoki brunet.

- Pan Mariusz?

- Tak.

- A to wyjeżdżał jakąś godzinę temu i jeszcze nie wrócił.

Wiedziałam więc, że wyjechał. Podejrzywałam, że mógł pojechać do klubu. Pojechałam na Wspólną, do Ground Zero. I rzeczywiście, jego samochód tam stał. Zaparkowałam swój w miejscu, z którego mogłam spokojnie obserwować wyjście z klubu i jego samochód.

Kiedy tam przyjechałam, minęła jedenasta. Siedziałam w samochodzie i zastanawiałam się nad wszystkim. Więc siedzę w samochodzie i czekam nie wiem na co, myślałam. Właściwie po co tu przyjechałam? Co chcę sobie udowodnić? Już wiem, że jest w klubie.

Księżyc świecił jasno, jak wtedy, gdy pierwszy raz spacerowaliśmy nad Wisłą. Był dokładnie taki sam. Bierny obserwator nocnych tajemnic. Nocą świat przykrywa ciemny płaszcz, a serca się odkrywają pod wpływem alkoholu. Ja nie byłam pod wpływem alkoholu, ale miłości. Odurzona jej iluzją. A teraz siedzę w samochodzie, a księżyc oświetla prozę mego życia. Podejrzenia, niepewność i brak zaufania.

Zrobiło mi się zimno, więc włączyłam silnik, ale że hałas przyciągał spojrzenia osób opuszczających dyskotekę, wyłączyłam go. Minęła druga w nocy. I wtedy go zobaczyłam. Wychodził z klubu razem z jasną blondynką. Z daleka widziałam tylko jej platynowe włosy, sięgające linii brody. Moje serce biło jak oszalałe.

Wsiedli do samochodu, a ja ostrożnie ruszyłam za nimi. Mógł mnie dostrzec; w końcu znał mój samochód. Stałam za nimi na światłach i przez chwilę byłam nawet przekonana, że mnie zobaczył. Na szczęście myliłam się i mogłam spokojnie ich dalej śledzić. Jechali w stronę Powiśla. Samochód zatrzymał się na Dobrej. Znałam to miejsce. Tam właśnie było mieszkanie starszego brata Mariusza, który od dwóch lat przebywał za granicą.

Zaparkowałam w cieniu kasztanowca. Mariusz wysiadł z samochodu i obszedł go, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Cóż za maniery! Wziął pod ramię swoją towarzyszkę i prowadził ją w stronę klatki wejściowej. Wtedy wysiadłam z samochodu i pobiegłam w ich stronę. On usłyszał, że ktoś biegnie, i odwrócił się. Na jego twarzy zobaczyłam zmieszanie. Potworne zmieszanie. Mógł próbować coś wyjaśniać, tłumaczyć się, ale nic takiego nie zrobił.

- Co tu robisz?- zapytał.

- A ty co tu robisz?

- A więc mnie śledzisz. Jesteś chora.

- Może mi powiesz, co robisz w środku nocy tutaj, z nią?

- On właśnie prowadzi mnie do pustego mieszkania swojego brata, żeby zrobić to, co normalny facet chciałby zrobić z dziewczyną po imprezie - powiedziała blondynka, lekko bełkocząc. Była pijana.

Kręciłam głową z niedowierzaniem. Wszystko miałam jak na dłoni.

- Jak możesz?! Jesteś podły! - krzyknęłam, patrząc na niego z nienawiścią.

- Uspokój się! Naprawdę chyba zwariowałaś. Siedzisz mnie, awanturujesz się na ulicy... To jakaś farsa.

Odwróciłam się i pobiegłam do swojego samochodu. Byle dalej od tego, w co nie mogłam uwierzyć. Co tak bardzo odbiegało od wzoru idealnej miłości, którą sobie wymyśliłam. Jak mam teraz z tym żyć? Jak mam kiedykolwiek komuś zaufać?

Ile razy mnie oszukiwał i dlaczego? Przecież nie byliśmy znudzoną sobą małżeńską parą z wieloletnim stażem. Jak nie chciał być ze mną, to nie musiał. Ale widocznie musiał, bo dawałam mu coś, czego potrzebował. Seks pod ręką, na każde skinienie. Miał seks też gdzie indziej, ale u mnie znajdował jego domowy wymiar. Seks inaczej smakuje po raz pierwszy. Jak danie, którego

smaku jeszcze nie znamy. Musimy zastanowić się nad smakiem. A gdy już danie lubimy i znamy, konsumujemy je zachłannie albo delectujemy się nim. Ja byłam jego kuchnią domową.

Jechałam do domu i połykałam łzy. Byłam zmęczona, wykończona wręcz. Zapraǳnęłam zacząć wszystko jeszcze raz, od nowa. Bez niego, bez tych złudzeń. Skończę pisać magisterkę, poszukam pracy, pójdę na aplikację, poznam nowych ludzi. Nie chcę go więcej widzieć na oczy. To nie była miłość, to był jeden wielki miłosny zawód!

I wtedy pomyślałam, że muszę wyrzucić z siebie tę niechcianą ciążę. Nie mogę darować dziecku ojca bez twarzy i matki, boleśnie złamanej i upokorzonej miłością. Nienawidziłam go w tamtej chwili z całego serca.

Nie pamiętam, jak znalazłam się w domu. Wiem tylko, że leżałam pod kołdrą i łkałam spazmatycznie. Rozbolała mnie głowa, nos i oczy miałam napuchnięte. Dopiero nad ranem zasnęłam.

Obudziłam się w fatalnym nastroju. Wyglądałam koszmarnie. Oczy przekrwione, podkrążone, napuchnięte. Wzięłam prysznic i poczułam się odrobinę lepiej. Zrobiłam sobie kawę. I wtedy się zaczęło. Wypiłam pół filiżanki i poczułam straszne mdłości. Zwymiotowałam. Nie było nikogo, kto by przytrzymał mi włosy.

Spuściłam wodę i usiadłam na podłodze, obok muszli klozetowej. Wymiociny z włosów spływały mi na kolana. Tak ma wyglądać moje oczekiwanie na dziecko? Nie bez powodu dwoje ludzi jest odpowiedzialnych za poczęcie. Bo potrzebne mi będzie wsparcie. Już go potrzebuję. Nie chodzi nawet o pieniądze. Chodzi o to, żeby mi ktoś przytrzymał włosy, gdy wymiotuję. O takie rzeczy. O drugiego, bliskiego człowieka, który razem ze mną oczekuje. Nie mam nawet matki. Ojciec zaczyna nowe

życie, siostra się wyprowadziła. Przyjaciele wysłuchają i pokrzepią, ale na tym ich rola się kończy. Trudno, żeby Bogdan wstawał za mnie w nocy do dziecka.

Nie miałam siły się wykąpać. Chciałam dzisiaj posprzątać, poodkurzać, ale nagle uszła ze mnie cała energia. Poczułam się strasznie senna. Zasnęłam. Kiedy po dwóch godzinach wstałam, poszłam się wykąpać. Na myśl o jedzeniu mdliło mnie. Wypiłam tylko słodką herbatę. A potem spojrzałam na stół, na którym leżała biała koperta od Mariusza. Wyjęłam z niej wizytówkę i wpatrywałam się w nią przez dłuższą chwilę. I w końcu zadzwoniłam. Umówiłam się na zabieg. Recepcjonistka zapytała tylko, który to tydzień ciąży.

Powiedziałam o swojej decyzji Bogdanowi. Przyjął ją ze zrozumieniem.

- Nie potępiasz mnie? - zapytałam.

- No, wiesz! Za co?

- Tyle się teraz mówi o tym, że to... jakby... no wiesz pozbawienie prawa do życia i tak dalej. Kiedyś to było prawnie dozwolone. Wiesz, ze względu na trudną sytuację matki. A teraz? Zrobię to nielegalnie.

- To nie twoje zmartwienie. Odpowiadają ci, którzy robią takie zabiegi.

- Tak, ale nie o to mi chodzi. Jestem w końcu katoliczką. Kościół tego nie popiera. Będę miała grzech śmiertelny.

- Proszę cię, dajmy sobie spokój z analizowaniem doktryny kościoła. Mojego homoseksualizmu kościół też nie akceptuje. Wychowałem się w rodzinie katolickiej, jestem ochrzczony i przez całe życie chodziłem w niedzielę do kościoła. A teraz mój kościół mi mówi: my nie chcemy takich jak ty. Bóg ojciec mnie nie chce? A skąd oni mogą to wiedzieć? Mam sobie znaleźć dziewczynę? One mnie nie pociągają. Kuba sobie znalazł i jestem pewien, że ją unieszczęśliwi. Natury nie oszukasz, a taka jest właśnie moja natura: homoseksualna.

- Ale wiesz, gdzieś we mnie jest takie przeświadczenie, że przecież z tego zarodka urósłby człowiek, a ja go świadomie pozbawiam prawa do życia. Jest coś takiego, nie będę ukrywać. To nie jest łatwe; to jest strasznie trudne. Boże, dlaczego ja zaszłam w ciążę... - zamilkłam na chwilę, żeby opanować skurcz w gardle. - I nie wierzę, że jakakolwiek kobieta mogłaby traktować aborcję jak metodę antykoncepcyjną, to zbyt trudne... Dlatego sądzę, że kobiety powinny mieć prawo do aborcji... W jakim ja kraju żyję?!

Miałam jeszcze kilka dni do zabiegu. Oczywiście, mdłości na dobre się zaczęły i nie ustępowały. Czułam się podle, i fizycznie, i psychicznie. W tych dniach zadzwoniła do mnie koleżanka z roku z pytaniem, jak mi idzie pisanie. Zaprosiła mnie na oblewanie obrony jednego z naszych kolegów. Początkowo protestowałam, wymawiając się pisanem, ale ostatecznie postanowiłam pójść. Miałam nadzieję, że kontakt z ludźmi dobrze mi zrobi.

Zawsze byłam osobą, która brała sprawy w swoje ręce. Aktywny typ, ktoś powie. Tak, to ja. I zawsze, kiedy miałam chandrę, a miewałam ją czasami, szukałam sobie zajęcia, szukałam energii, jaką daje energia innych osób. Bierność nas usypia, aktywność wyzwala aktywność. Teraz byłam przybita, teraz uprawiałam bierną aktywność pod tytułem „pisanie pracy”. Szło to wolno, bo moje myśli były zajęte czymś innym.

Więc poszłam na tę imprezę. Najpierw miałam jakiś opór przed piciem alkoholu, coś mi mówiło: „jesteś w ciąży, nie możesz pić”. Wypiłam jeden kieliszek wina, a potem pomyślałam sobie: to może i drugi? Przecież za trzy dni mam zabieg; jakie znaczenie ma kolejny kieliszek wina? Bawiłam się świetnie. Nie wiem, skąd się wzięła ta moja nagle radość i poczucie humoru. Człowiek jest dziwnym zwierzęciem. Kiedy już mu się wydaje, że jego dusza i ciało są martwe, nagle wstaje jak feniks z popiołu.

Teraz wiem, że to był taki śmiech przez łzy. Nie byłam sobą. Tak naprawdę nie chciałam być sobą. Miałam poważny problem. Za kilka dni miałam go rozwiązać w sposób najprostszy, ale wiedziałam, że nie najlepszy. Moje wychowanie, religia, w której wyrosłam, mówiły mi zawsze, że życie jest święte. Że tylko Bóg decyduje, kiedy je dać i kiedy zabrać. Zamieniłam się rolami z Bogiem i weszłam w jego skórę. A potem tańczyłam na stole, pijąc „za kobiety!”. Za wszystkie: młode i stare, porzucone i zakochane, dziewice i dziwki. Tak właśnie wykrzykiwałam. I zdzierając głos, śpiewając *Don't tell me that you love me, just tell me that you want me!*. No bo przecież nie było miłości, wszystko sprowadzało się tylko do seksu.

Następnego dnia czułam się podle, wymiotowałam cały ranek i niewiele jadłam. Znowu byłam zagubiona i nie wiedziałam, co mam zrobić. Gdyby tylko Mariusz przyszedł, gdyby choć zadzwonił i powiedział dobre słowo, z pewnością poczułabym się lepiej. Wiedziałam, że działałam w jakiejś chorej desperacji. Chciałabym móc się jeszcze zastanowić, przemyśleć wszystko i dopiero podjąć decyzję. Ale wiedziałam też, że jeśli chcę zrobić ten zabieg, to nie mam na co czekać.

To był piękny, letni dzień. Jak na ironię, świat krzyczał: nastąpi wiosna, ciescie się, radujcie! Te kwitnące krzewy przypominały mi wiosnę sprzed roku, kiedy byłam taka szczęśliwa. Wszystko się zmienia, na lepsze, na gorsze, i jednego tylko możemy być pewni: że na wiosnę zakwitną forsycje. Tamtego dnia przyroda wydała mi się bezczelna, nieczuła na stan mojego ducha. Z nieba powinien lać deszcz, niebo powinno płakać, tak jak i mnie chciało się płakać.

Wsiadłam do samochodu i przekręciłam klucz w stacyjce. Samochód nie chciał zapalić za pierwszym razem. Pamiętam dokładnie, że kilkakrotnie przekręcałam kluczyk w stacyjce. Muszę poprosić tatę, żeby podładował akumulator, pomyślałam. W końcu ruszyłam i włączyłam radio. Z radia popłynęła *Kiss from a rose* Seala i od razu mnie rozczuliła.

Gabinet, w którym byłam umówiona na dziesiątą, mieścił się na Woli. Bogdan proponował, że ze mną pojedzie, ale nie chciałam. Dzwoniłam tam jeszcze poprzedniego dnia, żeby zapytać o przebieg zabiegu. Powiedziano mi, że zrobią mi krótkie, około piętnastominutowe, znieczulenie ogólne, w czasie którego „jama macicy zostanie wyłyżeczkowana”.

Słońce raziło mnie w oczy boleśnie, aż zaczęły mi łzawić. Podniosłam głowę wyżej, by znaleźć się poza polem rażenia światła. Byłam już na Woli i wjechałam w ulicę, na której był gabinet. I wtedy poczułam, że nie jestem w stanie tego zrobić. Muszę powiedzieć o tym rodzinie: siostrze, ojcu. Na co czekałam, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam? Nie wiedziałam nawet, co Ewa by mi doradziła. Bałam się, że zostanę sama, a przecież miałam jeszcze ich oboje. Ludzi, z którymi przeszłam przez najważniejsze chwile swego życia. Tata z pewnością by wiedział lepiej niż ja, co w takiej sytuacji doradziłaby mama. Co by zrobiła.

Kiedyś z Ewą obliczyłyśmy, że ona urodziła się siedem miesięcy po ślubie rodziców. Tata tylko się wtedy uśmiechnął. Ale jaka była prawda? Czy też, tak jak ja teraz, zmagali się z podjęciem decyzji, aby w końcu postanowić, że tak, że poniosą ten trud? A potem urodziła się Ewa. Moja piękna siostra. I być może na ten świat chce teraz przyjść moja piękna córka albo syn?

Nie zrobię tego, zdecydowałam. Po prostu nie zrobię tego. To był nagły impuls. Jechałam lewym pasem, a przede mną zamajaczył skręt w lewo, który umożliwiłby mi zawrócenie. W oddali, na przeciwległym pasie dostrzegłam zbliżający się biały

samochód, ale oceniłam, że mogę wykonać manewr skrętu, bo tamten samochód był odpowiednio daleko. Gwałtownym ruchem kierownicy skręciłam w lewo i wjechałam na lewy pas ulicy. Kiedy wykonywałam skręt, kątem oka dostrzegłam jadący wprost na mnie biały samochód. A więc jechał bardzo szybko, czego nie wzięłam pod uwagę, skręcając. Wiedziałam już, że zderzenie jest nieuchronne. Pomyślałam tylko: „Będzie zderzenie, ale nic mi się nie stanie, prawda, mamó?”. Tak, w tamtej chwili pomyślałam o mamie. Usłyszałam tępy huk. Moje ciało wyskoczyło na bok, lecz tuż przed spotkaniem z szybą zakleszczyły się pasy. Świat zawirował wokół mnie, samochód popłynął na lewy pas jezdni, pasy odpuściły, zobaczyłam przed sobą stalowy płot, który oddzielał ulicę od torowiska tramwajowego. Poczułam gwałtowne szarpnięcie i dławiący ból w klatce piersiowej. Nic więcej nie pamiętam.

Ocknęłam się na białej sali. Poczułam ukłucie w klatce piersiowej. Najpierw zupełnie nie wiedziałam, gdzie jestem. Tak jakby w ogóle nie docierała do mnie świadomość. Jak wtedy, gdy budzimy się po popołudniowej drzemce i nie wiemy, czy to jeszcze stary, czy już nowy dzień. Byłam kimś leżącym pośród białych ścian. W pokoju panowała jasność, mimo że żaluzje były przysłonięte. Gdzie ja jestem? Co się stało?

I wtedy zobaczyłam siedzącą w rogu pokoju postać z czasopismem w dłoni. Podniosła głowę. To była Ewa. Podeszła do łóżka.

- Obudziłaś się, to dobrze - uścisnęła mi rękę.

- Gdzie ja jestem? Co się stało?

I wtedy sobie przypomniałam. Miałam wypadek. Zderzyłam się z przeznaczaniem. Moją twarz wykrzywił grymas, bo poczułam tępy ból w okolicy prawych żeber. Co z ciążą? - przemknęło mi przez myśl. - Co z dzieckiem?

- Co z dzieckiem? - powtórzyłam za swoimi myślami, a potem zdałam sobie sprawę, że przecież ona nie wiedziała nic o ciąży.

Zobaczyłam, że drgnęła. Czyli jednak wiedziała. Zamrugła szybko powiekami i cicho westchnęła.

- Maju, nie jesteś już w ciąży. Poroniłaś. Odwróciłam głowę w stronę białej ściany.

A więc mam początek, który chciałam mieć, białą ścianę, którą mogę pomalować tak, jak chcę. Tylko kolorów brak. Przyjęłam wtedy ten fakt ze spokojem, a nawet, powiem szczerze - choć to wyznanie nie jest komfortowe - z ulgą. Sprawa rozwiązała się sama? Tak wtedy chciałam myśleć. Bolesna refleksja przyszła później, a może tkwiła we mnie od początku, tylko ja nie chciałam jej dostrzec? Nie wiem. Czas weryfikuje nasze sądy i zmienia uczucia.

Część III

TAM i TU

Mariusz

„Niczego nie żałować, nie uronić ani jednej łzy, postępować
względem siebie zgodnie z własnym kodeksem honorowym i za wszelką
cenę, z uporem, zabiegać o własną przyjemność”

F. Scott Fitzgerald, *Piękni i przekłęci*

2000

1. Otwarte oczy i szerokie horyzonty

Moja mama rozplakała się na wieść, że jest w ciąży. I to bynajmniej nie ze szczęścia. Zaczynała właśnie aplikację sędziowską i przeraziła się, że sobie nie poradzi. Na świecie był już wtedy mój kilkuletni brat i perspektywa posiadania dwojga dzieci wydała jej się przytłaczająca. Nie byłem zatem planowanym dzieckiem, ale szybko stałem się ulubionym. W przedszkolu, w szkole, na kółkach i zajęciach sportowych. Nigdy nie sprawiałem żadnych problemów wychowawczych. Znakomicie się uczyłem i byłem ulubieńcem wszystkich pań. Dlaczego?

Niektórzy nazywają to urokiem osobistym, inni - charyzmatyczną osobowością albo magiczną zdolnością skupiania na sobie uwagi. A moim zdaniem, to po prostu wdzięk. To ulotne, niewidzialne coś, co sprawia, że człowiek jest przychylnie odbierany i postrzegany.

Tamtego dnia nie czułem się dobrze. Spędziłem noc, a właściwie trzy upojne nocne godziny z Beatą - moją koleżanką z SGH. Zawsze mi się podobała i miło nam się rozmawiało. Miała wtedy od wielu lat tego samego chłopaka i byłem pewien, że zaczęła powoli z niego wyrastać. Usiadła mi kiedyś na kolanach, bo nie było obok miejsc przy stoliku. Mogłem wstać i zaproponować jej swoje krzesło, ale właśnie skończyliśmy zajęcia; atmosfera była

- Pamiętaj, że masz dzisiaj iść do dziadka - mama zajrzała do kuchni. - Wczoraj dwa razy dzwonił i przypominał. On jest już w bardzo złym stanie. Jest bardzo źle...

- Pamiętam, pamiętam...

- Tylko rano, zaraz idź. Bo on się potem gorzej czuje. Rano jeszcze jako tako, a potem go ścina z nóg. Zresztą, już i tak tylko prawie leży. A taki był kiedyś Don Juan. Co to starość z ludzi robi... - machnęła ręką.

Mój dziadek. Kiedyś ceniony adwokat, dusza towarzystwa. Niewyczerpana energia, ostry język i cięta riposta. Zdaniem mojej mamy, utracjusz i hulaka, który zostawił jej matkę z małym dzieckiem, bo - jak twierdził - znalazł miłość swego życia. Tym dzieckiem, rzecz jasna, była moja mama. A miłość jego życia nie była bynajmniej ostatnią.

Moja mama przez wiele lat żyła z nim w otwartym konflikcie. Utrzymywali ze sobą kontakt, choć ona głośno mówiła, że wolałaby go nie oglądać na oczy. Była jedna rzecz, która sprawiała, że jednak z nim rozmawiała; i ona, i wszyscy inni, którzy go nie znosili: jego pieniądze. Mój dziadek był bogaty.

Ogromne mieszkanie w stylowej kamienicy w warszawskiej alei Róż, dom w Wilanowie, który wynajmował, cenne obrazy i dzieła sztuki, działki w Łomiankach pod Warszawą, akcje Orlenu, no i spora gotówka na koncie. Zawsze miał pieniądze i potrafił je dobrze inwestować. Głównie w ziemię, którą sprzedawał, gdy nabierała wartości, i kupował za to kolejne nieruchomości. Szczupły i wysportowany. Kiedy mnie zobaczył pierwszy raz, miałem kilka dni. Moja matka dostała od niego bukiet czerwonych róż i złotą bransoletkę z brylantami. (Wprawdzie potem przez cały czas narzekała, że „co to za brylanty, okruchy za ledwie, zero przecinek zero, zero osiem karata”, ale dawno zauważyłem, że ona zawsze miała do niego pretensje). Kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Moja krew! Zobaczycie, na jego widok

pannom majtki będą same spadały". Moja mama się oburzyła i oburzenia nie kryła; doszło między nimi wtedy do ostrej wymiany zdań.

Chodzi mi o to, że dziadek polubił mnie od pierwszej chwili i szybko stałem się jego ulubieńcem. Choć nie był klasycznym dziadkiem, który spędza z wnukiem każdą wolną chwilę, łowi ryby, gra w szachy i opowiada mu o minionych czasach. Mój dziadek prawie nie miał wolnego czasu, a kiedy już byliśmy razem, miałem wrażenie, że go trochę nudzę. Owszem, wypytywał mnie o szkołę, o wyniki, osiągnięcia w sporcie, ale nie miałem szczerego przeświadczenia, że go to naprawdę interesuje. Mimo to czułem, że łączy nas bardzo silna więź. Nie prowadziliśmy długich dysput, ale można powiedzieć, że rozumieliśmy się bez słów. Kiedy coś mi powiedział, łapałem to w lot.

Przez lata całe trenowałem judo i tenis. Trudno powiedzieć, którą dyscyplinę bardziej lubiłem. Kiedy w pewnym momencie regularnie zaczęła mi się odnawiać kontuzja łokcia - musiałem przerwać treningi. Miałem jakieś odpryski, obrzęki stawu i zwapnienia. Bardzo mnie to przybiło, zacząłem się zamartwiać i rozczulać nad sobą. I wtedy mój dziadek powiedział: „Czasem największą sztuką jest umieć zrezygnować”. Takiego zdania wtedy potrzebowałem. Nie powiedział nic więcej, pokiwał tylko głową znacząco. Zostawić coś, na czym bardzo mi zależało, i znieść to z pokorą? Zniosłem.

Moją drugą pasją była historia. W liceum wygrałem trzy kolejne olimpiady na szczeblu wojewódzkim i przez chwilę nawet myślałem, żeby studiować historię. Kiedy powiedziałem o tym dziadkowi, spojrzał na mnie, a jego wzrok przeszył mnie na wskroś.

- Historię? Ją trzeba znać. Ale żeby z tego robić zawód? Dotarło do mnie. Zrozumiałem. I poszedłem na prawo.

No i tak to właśnie było ze mną i z moim dziadkiem. Miał teraz osiemdziesiąt dwa lata i od dwóch lat w niczym nie przypominał tamtego krzepkiego mężczyzny. Niewydolność krążenia, zakrzepica żył, dwie operacje.

Nie było dobrze.

2. Była kiedyś taka kobieta

Wszedłem do chłodnego wnętrza kamienicy. Tu jakby czas się zatrzymał. Wchodząc do tego budynku, przeskakując stopnie marmurowych schodów, wchodziłem w inny świat, do którego z miejsca nabierałem respektu. Onieśmielał mnie chłodem kamienia i sufitowych sztukaterii.

Dziadek leżał w łóżku i na mój widok podniósł się na poduszkach. Mieszkała już wtedy u niego pani Larisa, która zajmowała się całym domem i dziadkiem, rzecz jasna. Podała nam herbatę i cicho zamknęła za sobą drzwi. Siedzieliśmy w milczeniu przez jakiś czas.

- Jak twoje sprawy? - zapytał.

- W porządku, jutro mam obronę.

- Bardzo dobrze - pokiwał głową z aprobatą. - A potem ta praca w koncernie samochodowym?

- Żadnej umowy nie podpisałem jeszcze, ale szef mi obiecał.

- Oni pracują z Larfontem, tak?

Larfont to był prawnik, u którego praktykowałem w Paryżu rok temu.

- Tak.

- To da ci robotę. Larfont dużo mi zawdzięcza, a oni się z nim liczą.

Tak zrobią, jak powie. I aplikacja adwokacka?

- Za miesiąc mam egzaminy.

- Czyli potem do pracy. No tak...

Milczał przez chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał. Miałem wrażenie, że zbierał myśli.

- Bo widzisz, wszystko ma swój kres, życie też...

- Dziadku...

- Nie przerywaj mi - podniósł dłoń na znak sprzeciwu, po czym zamilkł na chwilę, jakby znowu zbierał myśli. - Ja wiem, że to już niedługo... W ciebie wierzę. Od początku widziałem w tobie - siebie. Tak, jesteśmy do siebie podobni. Ta sama ambicja, upór, błyskotliwość, konsekwencja. To zalety. No i jest trochę wad... też moje masz. Zrobiłem testament.,.

Spojrzał mi w oczy. Tęczówki miał wyblakłe, powieki ciężko opadające. Przeszło mi przez myśl, że on naprawdę czeka na śmierć.

- Będziesz zadowolony.

- Dziadku, co ty mówisz...

- Nie wszystko dla ciebie, nie, ale dużo. To mieszkanie też ci zapisałem. Te obrazy są dużo warte, rzeźba... Wyrzuć to, co niepotrzebne. I jedną działkę w Markach będziesz miał. Trzymaj ją, nie sprzedawaj; jeszcze nabierze wartości.

- Dziękuję...

- Mam tylko do ciebie jedną prośbę...

- Tak, dziadku?

- Była kiedyś taka kobieta... - patrzył przed siebie, jakby unikał mojego wzroku. - Kochałem ją. Bardzo. Byłem młody. Źle postąpiłem...

- Co się stało?

- Byłem egoistą. Nie myślałem o tym przez lata. Wyrzuciłem to z pamięci. Uznałem, że to nie moja sprawa. Ona... widzisz... to trudne, zobacz... całe życie żyłem z tą świadomością choć odgrodziłem się od tego - westchnął głośno i spojrzał na mnie, a potem wyrzucił z siebie: - Ona była w ciąży, a ja ją zostawiłem.

Przerwał na moment, a ja zacząłem bezwiednie drapać się po głowie.

- Ona urodziła to dziecko. Dziewczynkę. To była piękna i mądra kobieta. Znalazła sobie mężczyznę. Sędziego. Zresztą ona potem też zrobiła aplikację sędziowską i została sędzią. Nieważne. .. I ten człowiek, widzisz, zaadoptował to dziecko. Szczęśliwy finał, prawda? Więc już w ogóle zapomniałem o sprawie, żyłem swoim życiem.

- Nigdy się z nią nie kontaktowałeś przez te lata?

- Nie. Ani z nią ani z tym dzieckiem...

Zamilkł na dłuższą chwilę. Spojrzałem na niego uważnie i zobaczyłem cierpiącego człowieka. Człowieka złamanego, jakim nigdy nie był.

- Ja i ona... byliśmy zakochani, ale oboje stanowiliśmy takie choleryczne typy. Pewnie i tak nic by z tego nie wyszło... Nie czas roztrząsać. Nie interesowałem się więcej nią ani tym dzieckiem. Moim dzieckiem. - Zamilkł znów na chwilę i pokiwał głową. - Właśnie. Najgorzej, że potem ten jej ojciec formalny, co ją zaadoptował, zmarł. Ja o tym nie wiedziałem. Ta dziewczynka, ta Ania - tak ma na imię moja córka, paradoks co? Obie córki Anny. No więc ona miała wtedy dziesięć lat, jak ten jej ojciec zmarł. Ja się o tym dowiedziałem niedawno... że tam się w sumie nie poukładało. Jej matka zmarła na zawał jako całkiem jeszcze też młoda kobieta. Więc, widzisz, pewnie łatwego życia nie miała.

- Dziwna historia. Czyli masz dwie córki Anny... - powiedziałem tylko, choć nie to wtedy powinienem powiedzieć. Szczerze mówiąc, zupełnie mnie замуrowało. Nie pamiętam nawet, co wtedy czułem. Zdołałem tylko wykrztusić te dwa słowa: „Dziwna historia”. On jakby ich nie zauważył i kontynuował:

- Zapisalem jej dom w Wilanowie.

Drgnąłem. Wiedziałem, że na ten dom liczyła moja matka. Niewielka willa z dwudziestego szóstego roku, w doskonałym miejscu Wilanowa, wynajmowana w tej chwili agencji reklamowej. Pokiwałem tylko głową i nie wypowiedziałem swoich myśli głośno.

- Chcę, żebyś odszukał moją córkę. Ja... nie miałem odwagi. Zresztą, jaki to miałyby sens? Samotny starzec odczuwa skrucę, odszukuje córkę i zapisuje jej dom, a w zamian... skamle o miłość. I dlatego mam do ciebie prośbę - spojrzaj na mnie i w jego oczach zobaczyłem determinację. - Odszukaj ją, gdy mnie już nie będzie wśród żywych, i oddaj jej ten Wilanów. Taka jest moja wola. I jeszcze tu masz list - podał mi pożółkłą kopertę. - To jest list od jej matki, w którym napisała mi, że już niczego ode mnie nie potrzebuje, że urodzi moje dziecko i sama je wychowa.

Wróciłem do domu rozbity. Następnego dnia miałem obronę, więc machinalnie wziąłem książkę do prawa cywilnego i zacząłem ją przeglądać. Nie mogłem się jednak skupić. Cały czas myślałem o spotkaniu z dziadkiem, o jego ostatniej woli i o tej nieślubnej córce. Mnie uczynił głównym spadkobiercą i wykonawcą zapisu. Nie powiem, że ta perspektywa mnie nie ucieszyła. Skłamałbym. Ale jakoś nie potrafiłem się cieszyć.

Myślałem jeszcze o czymś i to nie dawało mi spokoju. Leżałem na łóżku, w swoim pokoju, i martwo spoglądałem w sufit. Myślałem o ciąży Majki. Powinienem do niej zadzwonić. Tak myślałem. Ale nic nie zrobiłem. Leżałem tylko. Nie chciałem dzwonić. Dlaczego? Bo chciałem, żeby sprawy załatwiły się bez udziału mojej siły sprawczej. Brakowało mi jej, ale wiedziałem, że jest już dla mnie stracona. Albo raczej ja dla niej.

Matka wróciła z pracy i z miejsca zaczęła mnie wypytywać o spotkanie z dziadkiem. Nie chciało mi się opowiadać o tym,

o co mnie prosił, i o jego ostatniej woli. Wiedziałem, że rozpętałyby się burza. Więc powiedziałem tylko, że dziadek pytał o moje plany na przyszłość, o pracę i takie tam rzeczy.

Następnego dnia miałem obronę. Ktoś powie: obrona pracy magisterskiej to czysta formalność. Nikomu nie zależy, aby na tym etapie studenta zablokować, zagadnienia są znane - taki najprzyjemniejszy końcowy egzamin. I tak w istocie jest, co nie zmienia faktu, że każdy się denerwuje. Moja obrona przebiegła jednak bez żadnych zgrzytów. Profesor zadał mi pytania, jakich się spodziewałem, a drugi udawał, że słucha, kiwając tylko z aprobatą głową. Już po wszystkim mocny uścisk dłoni członków komisji i tyle. Od tej chwili byłem magistrem nauk prawnych. Pięć lat mordęgi i stało się.

Wyszedłem z gabinetu i z miejsca zostałem zaatakowany przez grono oczekujących na swoją kolej. Pytali, jak było. Cóż miałem odpowiedzieć? Zwyczajnie było. Zupełnie zwyczajnie. Zostałem magistrem nauk prawnych, ale gdzie te fajerwerki? Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że gdzieś tak w okolicy studiów kończą się zachwyty i aplauz, a zaczyna życie. Prawdziwe życie, w którym nie czekają cię żadne brawa, gdy zrobisz coś dobrze, za to nieuchronna klęska spotyka tych, którzy nie robią nic. I tak rodzi się frustracja.

W domu czekali na mnie rodzice z uroczystym obiadem. Matka się postarała. Pięknie nakryty stół, pieczeń jagnięca, młode ziemniaczki wielkości orzechów, zapiekane z rozmarynem, i wyborne wino. Ojciec wypowiedział jakiś pean na moją cześć i wznosił toast. Wiedziałem, że to dla nich ważne. Edukacja moja i brata były zawsze na pierwszym planie. Nie szczydzili na to pieniędzy. Pewnie mogliby się bardziej dorobić, gdyby nie te wszystkie nasze zajęcia pozalekcyjne, prywatne lekcje języków i tenisa, zagraniczne wyjazdy wakacyjne.

Nasza edukacja przypadła na lata dziewięćdziesiąte, kiedy Polska wkroczyła do zachodniego świata. Pierwsze wolne wy-

bory i swobodne wyjazdy na Zachód. Stało się to wtedy łatwo dostępne, ale było też bardzo drogie. Rodzice cały czas powtarzali, jakie to mam szczęście, że żyję w wolnej Polsce, i wspominali trudne czasy komuny. Dlatego byłem im naprawdę bardzo wdzięczny i wiedziałem, że nie mogę ich zawieść.

- Dziadek dzwonił i pytał, czy już wróciłeś. Był bardzo ciekawy, jak ci poszło. Jakby z nim lepiej; wydawał się jakiś taki zwawszy - powiedziała matka. - Zadzwoń zaraz do niego.

- Lepiej do niego pójde i sam mu wszystko opowiem.

Niespełna godzinę później wchodziłem do kamienicy dziadka. Nastrój miałem całkiem dobry, bardziej za sprawą wina niż rzeczywistej radości. Stałem przed wysokimi, rzeźbionymi drzwiami wejściowymi do mieszkania i nacisnąłem dzwonek.

Otworzyła mi pani Larisa. Była strasznie zdenerwowana, cała się trzęsła dosłownie. Z tych nerwów mówiła coś do mnie po ukraińsku, wymachując rękami, a ja zupełnie nie mogłem jej zrozumieć.

- Co się stało? Coś z dziadkiem? - potrząsnąłem nią gwałtownie. To dało pewien skutek, bo zaczęła mówić po polsku. Ja tymczasem pobiegłem do jego pokoju.

- Ja go obudzić chciałam na obiad. Podeszłam, a on się nie chce obudzić. I ja nie wiem, co się dzieje. Lekarza chciałam wołać, czy co, ale pan właśnie przyszedł... - tłumaczyła przejęta, gdy ja wybierałem numer pogotowia.

Dziadek leżał na wznak i miał zamknięte oczy. Od razu wiedziałem, że nie żyje. Mimo to chwyciłem jego dłoń, starając się wyczuć puls. Jego twarz była inna, jakby młodsza. Przypominała gładką marmurową rzeźbę. Był w nim spokój i ani śladu życia. Usiadłem na skraju łóżka i tylko się w niego wpatrywałem.

- On nie żyje, tak? - szlochała pani Larisa.

- Tak, on nie żyje - odpowiedziałem spokojnie.

Na dźwięk moich słów Larisa zaniósła się jeszcze większym szlochem.

- On żył. Życiem żył. Dzisiaj był taki zadowolony. Mówił, żebym mu rosół ugotowała. No, to ja gotowałam. A on zasnął. I już się nie obudził. Gdyby ja wiedziała, to ja by mu nie pozwoliła spać... - zaniósła się płaczem.

Zacząła mnie denerwować. Sam byłem wstrząśnięty, ale zachowywałem milczący spokój. Jej lamentsy wyprowadzały mnie z równowagi. Wiedziałem, że zaraz muszę zadzwonić do matki, że za chwilę przyjedzie lekarz i zacznie się cały ten kołowrót, więc teraz chciałem tylko paru chwil spokoju podczas mojego ostatniego „sam na sam” z dziadkiem.

- Niech się pani uciszy! Zmarły chce spokoju! - coś takiego z siebie wydusiłem, choć przecież to ja chciałem spokoju.

Wyszła do kuchni, a ja wciąż spoglądałem na dziadka. Nie dopuszczałem do siebie żadnych emocji i tylko przemknęło mi przez myśl, że znam jego ostatnią wolę. Że szarpał się całe życie, po to, aby na starość dopadły go wyrzuty sumienia. I że akurat mnie musiał nimi obarczyć.

Przez chwilę nawet żałowałem, że nie umarł wczoraj, zanim powiedział mi to wszystko. A teraz będę musiał szukać tej jego córki-nie córki, szarpać się z nią i w końcu oddać jej willę wartą mnóstwo pieniędzy. Właśnie o tym wtedy myślałem, siedząc przy zmarłym dziadku. Potem wstałem, podszedłem do mahoniowego biurka, podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do matki. Powiedziałem jej, co się stało.

I wtedy przyjechało pogotowie. Lekarz potwierdził śmierć i wydał kartę zgonu. *Na podstawie karty zgonu wydawany jest akt zgonu w urzędzie stanu cywilnego, właściwym dla miejsca zamieszkania zmarłego* - brzmiało mi w uszach zdanie z części ogólnej podręcznika do prawa cywilnego. Tego się przecież

uczyłem. Życie zderzyło się z teorią i pokazało, że doświadczenie jest największym poznaniem.

Pojawiła się matka, a potem jacyś inni ludzie, wśród nich młodsza siostra dziadka i mój ojciec. Siostra dziadka, Hanka, była bardzo przejęta, choć wcale nie smutna. Ją chyba ta śmierć jakoś pobudziła, bo zaczęła wszystkimi komenderować. Nagle pojawił się garnitur, ponoć dawno wybrany na tę okoliczność, i buty.

- To są nowe buty. Sama je z nim wybierałam. Na skórzanej podeszwie, dobre, czarne buty. Na ostatnią drogę muszą być nowe buty - mówiła, szukając czegoś w szafie. - Nie mogę znaleźć białej koszuli, a też kupowaliśmy... W pewnym wieku trzeba myśleć o takich sprawach, bo człowiek nie zna dnia ani godziny. Ja tam też garsonkę dla siebie już mam. Szyłam na zamówienie, tylko wagę muszę trzymać, żeby nie była za mała.

- Co ciocia opowiada takie rzeczy! Szyć sobie za życia kostium na własny pogrzeb, też coś! - moja matka była zdeglustowana.

- Ja nie mówię, że w twoim wieku, ale w moim już tak. Tylko go nosić nie można, to znaczy za życia, bo musi być nowy, nienoszony...

Moja matka spojrzała tylko na mnie znacząco i pokręciła głową. A mnie argumenty ciotki zupełnie przekonywały. Na wszystko jest w życiu czas. Na śmierć też czas przychodzi. Miejsce na cmentarzu, nowe buty w szafie i porządek w szufladzie. Nie dopuszczałem do siebie bólu po jego śmierci. Dla mnie wciąż żył. Tak mówiłem. Ale dzisiaj wiem, że nie można uciekać od żalu i chować go za fasadą siły. Bo siła nie oznacza braku uczuć, wręcz przeciwnie. Dopuścić do siebie najtrudniejsze emocje i przetrwać wzmocnionym. To jest siła.

I wtedy, po całym tym dziwnym dniu, wróciłem do domu i zadzwoniłem do Majki. Wziąłem po prostu telefon i wybrałem numer. Nikt nie odbierał. Nie wiedziałem nawet, co chciałbym jej powiedzieć, ale myślę, że gdyby wtedy odebrała, po prostu przeprosiłbym ją i powiedział, że akceptuję wszystko. Myślę, że w tamtym krótkim momencie chciałem nawet, żeby była w ciąży. Włączyłem składankę, którą dla mnie zrobiła i przy dźwiękach *Falling into you* Celinę Dion dotarło do mnie poczucie straty. Majka uwielbiała ten utwór, mnie zawsze wydawał się zbyt ckliwy. Teraz obudził we mnie miłe wspomnienia. Coś sobie na chwilę uświadomiłem albo miałem mgliste przeczucie tego, co jest naprawdę ważne, co powinno ważne być. Zacząłem się nawet obawiać, że oto tracę na własne życzenie największą miłość swego życia i popełniam taki sam błąd, jak mój dziadek przed laty.

Telefonu nikt nie odebrał. Zadzwoniłem drugi raz - to samo. Gdybym wtedy do niej pojechał, może wszystko ułożyłoby się inaczej. Może. W każdym razie tego nie zrobiłem. Matka kazała mi obdzwaniać rodzinę i najbliższych znajomych, by poinformować ich o śmierci dziadka.

Po pogrzebie znowu zadzwoniłem do Majki. Nikt nie odbierał. Byłem tym trochę zdziwiony, bo powinna przecież siedzieć w domu i pisać pracę magisterską. A może już skończyła? Czas tak szybko płynął.

Zadzwoniłem do Magdy. Nasze kontakty od pewnego czasu były bardzo chłodne, jednak uznałem, że ona okaże się najlepszym źródłem informacji.

Nie ucieszyła się z mojego telefonu.

- Nie lubię się wtrącać w nie swoje sprawy, ale tym razem to zrobię. Jesteś zwykłym skurwysynem po prostu. Żałuję, naprawdę żałuję, że nie powiedziałam Majce całej prawdy o tobie, zanim na dobre zaczęliście ze sobą chodzić - powiedziała na wstępie.

- Prawdy o mnie i o sobie, powinnaś dodać.
- To nie we mnie się zakochała.
- Ale z tobą się przyjaźniła. A poza tym, co to ma do rzeczy? Daj spokój - przybrałem obojętny ton.
- Powinnam jej wszystko powiedzieć. Że masz te swoje „erotyczne przyjaciółki” i uważasz to za normalne. Szkoda gadać, najgorsze, że ona teraz leży w szpitalu i cierpi.
- Majka leży w szpitalu?! - krzyknąłem przerażony.
- Nawet o tym nie wiesz! Bo jak zaszła w ciążę, to najprościej było rzucić pieniądze na stół!
- Co jej się stało, dlaczego jest w szpitalu?! - pytałem rozgorączkowany.
- Bo miała wypadek!
- Jaki wypadek?!
- Samochodowy!

Nic więcej nie chciała mi powiedzieć. Po prostu nagle się rozłączyła. Jakby się zorientowała, że powiedziała zbyt wiele, i tego pożałowała.

Zadzwoiłem jeszcze raz do Majki. Ciągle nikt nie odbierał. I wtedy pomyślałem, że Bogdan na pewno wie więcej. Nie miałem do niego numeru, ale wiedziałem, gdzie ma pracownię. Kiedyś odwoziłem tam Majkę. Pojechałem.

Zastałem go samego. Na mój widok cały się nastroszył. Dosłownie. Twarz mu się wydłużyła i żuchwa napięła. Pociągał swój bohomas nerwowym ruchem pędzla. Kiedy powiedziałem, że chcę pogadać, wytarł ręce w kawałek szmaty i usiadł na czerwonym, wysłużonym fotelu. Ja także usiadłem.

- Słucham? - wpatrywał się we mnie obojętnie.
- Chciałem cię zapytać o Majkę.
- A ja myślałem, że to dla ciebie temat skończony.
- Słyszałem, że jest w szpitalu.

- Człowieku, ona cudem uniknęła śmierci. Samochód nadaje się tylko do kasacji.

- Co jej się stało?

- Ma złamane dwa żebra i niewielkie obrażenia ciała. Miała szczęście.

Co za historia! I wszystko się zbiegło ze śmiercią dziadka, z moją obroną. Co za sytuacja, próbowałem zebrać myśli.

- Chciałbym ją odwiedzić w szpitalu, gdzie leży? - zapytałem.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Przecież się rozstaliście. Lepiej daj jej spokój. Dochodzi do siebie. Przeżyła naprawdę ciężkie chwile...

- Dlatego chcę ją odwiedzić.

- Daj jej spokój. Ty chyba nie rozumiesz, że nie możesz mieć ich wszystkich. Nie można mieć ich wszystkich więc trzeba kochać tylko jedną! Ale ty o tym zapomniałeś.

Trafił w dziesiątkę? Powiedział coś, czego jeszcze wtedy naprawdę nie potrafiłem pojąć, a jednak jego słowa wprawiły mnie w konsternację. Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

Patrzył na mnie jakimś takim smętnym wzrokiem. Chyba był w kiepskiej formie. Oczy podkrążone, zapadnięte policzki; bardzo schudł od czasu, gdy go ostatnio widziałem.

- Daj tej dziewczynie spokój! - dodał po chwili. - Ona naprawdę bardzo chce o tobie zapomnieć. Nie sądzę, aby po tym, co jej zrobiłeś, chciała być jeszcze z tobą. I nie sądzę, żebyś naprawdę ją kochał, jeśli potrafiłeś ją zostawić w takim stanie.

- Nigdy nie popełniasz błędów? Zawsze trafiasz w dziesiątkę? - zapytałem retorycznie.

Wzruszył tylko ramionami.

- Czy ona jest w ciąży? - bardzo chciałem w tej chwili usłyszeć, że jest.

- Nie jest. Poroniła po wypadku.

Krótki żal.

A potem ulga. Tak, poczułem wtedy wyraźną ulgę. Pomyślałem, że nie musiała robić aborcji i przeżywać tych wszystkich rozterek moralnych. Nie będzie też rodzić i znosić trudów przedwczesnego macierzyństwa. Może to i lepiej. Teraz muszę ją tylko odzyskać, a potem, kiedyś, jak przyjdzie na to czas, będziemy mieli dziecko.

On jakby odgadł moje myśli, bo powiedział:

- Więc nie masz już problemu. Przestań się zgrywać i udawać teraz troskliwego, bo na to już za późno.

- Nie oceniaj mnie, dobrze? Co ty możesz o tym wiedzieć? Nigdy nie byłeś w podobnej sytuacji.

- Słuchaj, jestem zajęty, jak widzisz...

Wiedziałem, że nic już z niego nie wyciągnę. Ale i tak dowiedziałem się bardzo dużo. Musiałem tylko ustalić, w którym szpitalu leży Maja. Niemożliwe, aby przestała mnie kochać. To tak szybko nie następuje. Źle postąpiłem, zniknąłem, nie powinienem. Ale stało się. Ludzie wybaczą sobie gorsze rzeczy. Postaram się naprawdę bardzo mocno, aby wszystko naprawić.

Wyszedłem od Bogdana w niemal radosnym nastroju. Po drodze wstąpiłem do biblioteki wydziałowej, żeby oddać wszystkie książki - bez tego nie wydawali dyplomu. I tam spotkałem dziewczynę, którą znałem z widzenia, a której imienia nawet nie pamiętam. Wiedziałem tylko, że była z Majką w jednej grupie seminaryjnej. Mówiliśmy sobie „cześć” i rozmawialiśmy parokrotnie. Od razu do mnie zagadnęła, pytając o Majkę. Widocznie nie wiedziała, że się rozstaliśmy.

- Przez ten wypadek jest w tyle z pracą - powiedziała. - Ale profesor pójdzie jej na rękę, to równy gość. Najważniejsze, żeby szybko wydobrzała. W Wolskim jest dobra opieka.

A więc jest w Wolskim! Nie mogłem uwierzyć, że wszystko układało się po mojej myśli. Tak jakby los sam chciał, abym do niej poszedł i prosił o wybaczenie.

W tamtej chwili miałem nawet nieśmiałe postanowienie zachowania całkowitej wierności. Choć w wierność nie wierzyłem. Była sprzeczna z moją naturą, a raczej z naturą mężczyzny. Dlaczego miałbym rezygnować z tylu dostępnych, chętnych kobiet? Rozumiałem jej społeczne podstawy, ale biologia wskazywała na zupełnie inne potrzeby mężczyzn. Byliśmy sprawni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez wszystkie dni w miesiącu. Nic nas nie ograniczało. Mogliśmy być reproduktorami nieograniczonej liczby samic, za to one po przyjęciu nasienia zachodziły w ciążę i ich popęd gasł. Więc monogamia nie miała żadnych biologicznych podstaw.

Dla mnie naprawdę seks nie miał nic wspólnego z miłością i mógł swobodnie bez niej występować. I występował w moim przypadku, odkąd skończyłem czternaście lat. Miałem koleżankę z klasy, której pewnego razu po lekcjach, u niej w domu, tłumaczyłem matematykę. Skończyło się na wzajemnej penetracji swoich ciał. Odkrywaliśmy swe tajemne zakamarki w sposób niewinny i zachłanny. Była w tym pierwotna ciekawość nieznanego. Seks był jakimś zaczarowanym światem, do którego wstępu nie mieliśmy, ale przeczuwaliśmy już jego przyjemne oblicze. I tak zyskałem swoją pierwszą „erotyczną przyjaciółkę”.

Okres dojrzewania jest straszny dla chłopaka. Wszystko kojarzy mu się z seksem; jest wrażliwy i podatny na najmniejsze bodźce. Jego napięcie seksualne jest niewyobrażalne i nie znajduje naturalnego ujścia. Pozostaje onanizm. A ja miałem jeszcze swoją „erotyczną przyjaciółkę”, z którą po lekcjach, w ramach wspólnego odrabiania lekcji, oddawałem się wyrafinowanym pieszczotom. Była to duża namiastka prawdziwego seksu.

Pewnie tamte doświadczenia ukształtowały mój stosunek do seksu. Pamiętam, że kiedyś, chyba w trzeciej klasie liceum, pewna dziewczyna poruszyła we mnie jakąś czułą strunę. Wyraźnie ze mną flirtowała, dawała nadzieję, a potem udawała niedostęp-

ną. Typowe, kobiece zagrywki. Przegrała z inną, która zaoferowała mi seks na wyciągnięcie ręki. I tak było, dopóki nie spotkałem Majki.

Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, świat się zatrzymał. Maria, Marysia, Maja... Opowiadała o swojej pasji szydełkowania, a ja słuchałem jak zahipnotyzowany. Jakby to była relacja z meczu Polska-Niemcy! A potem chciałem się nią opiekować. Chronić i pomagać. Kiedy jej nie widziałem, po prostu za nią tęskniłem. I dlatego na początku byłem trochę zdezorientowany. Od razu staliśmy się nierozłączni. Było mi z tym i dobrze, i źle; sam nie wiem, dlaczego. Coś zyskałem, coś traciłem. W dodatku spotykałem się wtedy przez dłuższy czas z pewną dziewczyną z polonistyki i musiałem się jakoś wykaraskać z tamtej relacji. Ona zaczęła sobie za dużo obiecywać i to stało się kłopotliwe. Tak czasem bywało z „erotycznymi przyjaciółkami”, że nagle zaczynał się im marzyć stały związek.

3. Róże na asfalcie

Jeszcze tego samego dnia postanowiłem pójść do szpitala. Wcześniej kupiłem bukiet czerwonych róż. Nie tych największych, ale takich średnich. Były poręczniejsze i delikatniejsze. Wielkie róże wydawały mi się zawsze zbyt pompatyczne i ostentacyjne. Średnie miały wdzięk.

Ustalenie pokoju, w którym leżała Majka, trochę trwało, ale nie było specjalnie trudne. Jechałem windą na trzecie piętro i zastanawiałem się, co jej powiem.

Pokój czterysta trzynaście. Dokładnie pamiętam ten numer. Nie od razu wszedłem. Chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami. Może ktoś u niej był i nasze spotkanie byłoby kłopotliwie niezręczne? Wołałem, aby była sama. Nic nie słyszałem. Przecho-

dząca korytarzem pielęgniarka spojrzała na mnie z zainteresowaniem, a na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

- Śmiało! - powiedziała zachęcająco.

- Ale... czy ktoś u niej jest? Wolałbym...

Nie dokończyłem, bo pielęgniarka otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

- Jest zupełnie sama.

I wtedy wszedłem. Najpierw bukiet róż, a za nim ja. Maria siedziała na łóżku i na mój widok jej twarz stężała. Włosy miała gładko związane w koński ogon, na twarzy śladu makijażu.

Podszedłem do jej łóżka i wpatrywałem się w nią nieruchomo. Nie odezwała się słowem.

- Bardzo żałuję tego, co się stało - powiedziałem w końcu. Milczenie.

- Zachowałem się beznadziejnie. Strasznie głupio. Niewybaczalnie. Wszystko ci wynagrodzę. Mój dziadek zmarł. Był pogrzeb. Umarł nagle. Ja... wiele zrozumiałem.

Nie wiedziałem, co zrobić z kwiatami. Nie było tam wazonu ani jakiegoś sensownej wielkości stolika, więc położyłem je na łóżku. Chwyciłem jej dłonie. Były chłodne. Ona zawsze miała lekko chłodne dłonie.

- Nie zimno ci tu? Może zamknę okno?

Patrzyła na mnie martwo. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale jej spojrzenie raczej nie wróżyło nic dobrego.

- Nie martw się, jeszcze będziemy mieli kiedyś dziecko - powiedziałem nagle.

Na te słowa lekko drgnęła.

- Wynoś się! - powiedziała cicho, a jej głos brzmiał metalicznie obojętnie.

- Nigdzie nie pójde. Już nigdy cię nie opuszczę. Chcę być z tobą na zawsze. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Wiem o tym i ty też o tym wiesz.

- Wynoś się! - powiedziała głośniej.

- Proszę cię. Daj mi jeszcze jedną szansę. Zobaczysz... Ja cię kocham. Tylko ciebie kocham. Jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem.

- Wiesz, czego chcę? - zapytała.

- Czego?

- Żebyś zniknął z mojego życia. Zraniłeś mnie! Zniszczyłeś wszystko! - zaczęła krzyczeć. - Nigdy ci nie wybaczę! Nigdy! Upokorzyłeś mnie i naszą miłość. Zniszczyłeś to rozmyślnie. Z premedytacją. Wynoś się! - nagle wstała z łóżka i zaczęła mnie wypychać z pokoju. Była w niej jakaś ogromna siła połączona z determinacją. Chwyciła mocno moje ramię, a jej szczupłe palce wbiły mi się w mięśnie przedramion.

- Proszę cię... - powiedziałem jeszcze, ale zaraz potem zostałem wypchnięty za drzwi, które z trzaskiem się za mną zamknęły.

Szedłem długim korytarzem w kierunku wind i czułem na sobie wzrok kilku pacjentek, które musiały słyszeć krzyk Majki. Podniosłem tylko głowę wysoko i nie zaszczyliłem spojrzeniem żadnej z nich.

Była wzburzona. Miała do tego prawo. Poza tym poroniła ciążę, więc zapewne przeżywała coś na kształt burzy hormonalnej. To się uspokoi. Jutro znowu pojawię się w szpitalu. Tak łatwo się nie poddam. Będę przychodził codziennie i skamlał u jej stóp jak pies.

Kiedy wyszedłem z budynku i przemierzałem parking samochodowy w kierunku wyjścia, usłyszałem głos dobiegający z wysoka.

- Hej, kolego! Podniosłem głowę.

To była Majka. Stała w otwartym na oścież oknie.

- Zabieraj swoje kwiatki! - krzyknęła spazmatycznie.

A potem zaczęła wyrzucać róże przez okno. Po jednej, przed siebie. Wiatr rozwiewał je na wszystkie strony. Jedna z nich spadła pod moje stopy. Zatrzymałem się i patrzyłem w górę osłupiały. Kwiaty spadały na samochody i na chodnik. Przechodzący ludzie patrzyli zdziwieni w górę. W końcu to nie był szpital psychiatryczny.

Kiedy wyrzuciła wszystkie róże, zamknęła energicznie okno i zniknęła mi z oczu. Wszystko wróciło do normalnego stanu. Ludzie przestali się gapić; jakaś kobieta podniosła jedną różę i z nią odeszła. Jakiś facet zrzucił różę z dachu swojego samochodu i zaklął pod nosem, a potem przejechał kołami po kwiatach.

Stałem chwilę nieruchomo, a potem odszedłem. Wsiadłem do swojego starego forda i odjechałem, przejeżdżając po różach. Zamrugałem szybciej powiekami.

Reszta dnia była równie podła. Matka od razu dostrzegła moją kiepską formę. Powiedziała, że jestem strasznie blady, i zaczęła wypytywać, co się stało. Od słowa do słowa, wyciągnęła ze mnie, że powodem mojego przygnębienia było rozstanie z Majką.

- Ona miała takie nerwowe gesty. Nie ufałam jej... - skwitowała.

Nie zareagowałem. Musiała się zorientować, że powiedziała coś, czego zupełnie w tej chwili nie oczekiwałem, bo po chwili dodała:

- . . .ale wiem, że musi ci być ciężko.

Postawiła na stole dwie filiżanki z herbatą i usiadła obok mnie na sofie w naszym salonie.

- Z cytryną? - zapytała. Kiwnąłem głową.

- Zapomnisz o niej za jakiś czas - powiedziała spokojnie, upijając łyk herbaty.

- Ale ja nie chcę o niej zapomnieć. Nie rozumiesz?

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Ta albo żadna inna! - prawie załkałem.

Przed matką zawsze byłem miękki. W tamtym czasie wciąż czułem się jeszcze jak mały chłopczyk, którego wszystkie troski ulecą, gdy znajdzie się w ramionach matki. I rzeczywiście, mama przytuliła mnie do siebie, a ja na dobre się rozkleiłem.

- To ja to wszystko zniszczyłem! To, co było między nami. Mamo, ja ją kocham. Ale to ja to zniszczyłem.

- Nigdy jedna strona nie jest wyłącznie winna - powiedziała spokojnie.

Zabrzmiało to jak cytat z pozwu. Powinna jeszcze dodać „winna rozkładu pożycia”. No cóż, w końcu napisała wiele pozwów rozwodowych. Dlaczego nie umiała mówić do mnie po ludzku?

- Gdybym mógł cofnąć czas... Wszystko bym zmienił! - powiedziałem.

- Spadło to wszystko na ciebie naraz. Śmierć dziadka...

- Śmierć dziadka? Dzięki dziadkowi zrozumiałem, że popełniłem błąd. Mamo, ona... ona była w ciąży.

- Kto? Majka?

- Tak.

Matka wyprostowała się nagle i spojrzała na mnie z przestraszeniem w oczach.

- Była? To znaczy, że... już nie jest? - w jej głosie usłyszałem nadzieję.

- Już nie jest. Poroniła. A ja jej kazałem usunąć.

- Coś podobnego! - wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Ty nie wiesz, skąd się biorą dzieci?! Ty nie wiesz, że jest antykoncepcja? No, ładnie... - znowu usiadła obok mnie.

- Co „ładnie”? Ona już nie jest w ciąży. Co „ładnie”?

- A ja ci ufałam. Po nocach łazisz... Myślisz, że ja nie wiem, że chodzisz na Dobrą z dziewczynami? Od dzisiaj koniec, zabieram klucz.

Wstała z sofy i energicznym krokiem ruszyła w stronę przedpokoju. Słyszałem, jak wyjmowała klucz z szuflady.

- Koniec tego dobrego! - powtórzyła.

- Zaraz pójdę do pracy i wtedy i tak się wyprowadzę - powiedziałem. - Myślisz, że zabierzesz klucz i co? Przestanę być mężczyzną? Nie rozśmieszaj mnie.

- Hej, hej, nie rozpędzaj się... - powiedziała kiwając znacząco głową i wróciła na sofę.

Przez chwilę milczeliśmy. Położyła klucz na stole. Miałem wrażenie, że do matki dopiero dociera to wszystko, co jej powiedziałem.

- Myślisz, że ona mnie już nie kocha? - zapytałem.

A potem wszystko jej opowiedziałem. W końcu rozwodziła ludzi. Słyszała mnóstwo tragicznych historii o nieudanych związkach. Opowiedziałem jej nawet o kwiatkach na wietrze, wyrzucanych przez okno.

Siedziała nieruchomo.

- Ciężka sprawa. Ona ma do ciebie ogromny żal. Odrzucić kobietę w chwili, gdy jest w ciąży, to... no, to po prostu trudno wybaczyć. Najłagodniej mówiąc.

Oparłem łokcie na stole i schowałem głowę w dłoniach.

- Ja myślę, że i tak by z tego nic nie wyszło. Jakoś jej nie ufałam. Matki nie miała - dodała po chwili.

- A ty ojca nie miałaś. I co z tego?

- No, właśnie.

- Jak dziadek, cholera, jak dziadek... - mówiłem, chowając twarz w dłoniach.

Moja mama nie wiedziała jeszcze wtedy, co miałem na myśli, a ja nie wiedziałem, o co chodziło jej.

Do szpitala pojechałem następnego dnia. Tym razem Majka miała towarzystwo. Była u niej siostra. Kiedy ukazałem się w drzwiach, odwróciła głowę w drugą stronę, a Ewa podeszła do mnie. Ujęła mnie lekko pod rękę i wyszliśmy na korytarz.

- Widzisz, Maja potrzebuje teraz spokoju - powiedziała spokojnie. - Ona nie jest w dobrej formie. Fizycznie dochodzi do siebie, ale psychicznie jest gorzej.

- Ale ja jej właśnie chcę pomóc. Ja ją kocham. Czy ona mnie kocha? - mówiłem przejęty, sam siebie nie poznając.

- Ty chyba zapomniałeś, co jej zrobiłeś? - spojrzała mi głęboko w oczy.

- Wszyscy popełniają błędy. Ale to nie powinno przekreślać wszystkiego, co było między nami?!

- Zostawiłeś ją w momencie, w którym najbardziej potrzebowała wsparcia. W czasie gdy ona biła się z myślami, nie wiedziała, jaką decyzję podjąć, ty pocieszałeś się panienkami. A potem ona podjęła decyzję o zabiegu, jechała go zrobić i nagle zmieniła zdanie. Postanowiła urodzić i miała wypadek. Ponoć jechała cała zapłakana. Podjęła decyzję. Słuszną decyzję i co? Taka ironia losu.

- Tak, ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Ona teraz nie potrzebuje już ciebie, tydzień temu - tak, dwa tygodnie temu - bardzo, ale teraz już nie. Ona potrzebuje spokoju. I jeśli choć trochę ci na niej zależy, to proszę, uszanuj to.

- Ale ona mnie kocha.

- Nie sądzę. Teraz cię po prostu nienawidzi. Obwinia cię o wszystko.

- Muszę z nią porozmawiać. Nie ruszę się stąd. - Jakby na potwierdzenie swych słów, usiadłem na krześle, stojącym w korytarzu. Ewa usiadła obok mnie.

- Posłuchaj, Majka wyjdzie za trzy dni ze szpitala. Wtedy z nią porozmawiasz. Teraz lekarz na to nie pozwala. Kazał jej

unikać wzruszeń. Wczoraj, po twoim wyjściu, dostała silny zastrzyk uspokajający, bo była w kiepskim stanie. Jeśli to się powtórzy, nie wypuszczą jej stąd tak szybko, rozumiesz?

- Wyjdzie za trzy dni?

- Tak.

- Czyli w środę?

- W czwartek rano. I wtedy z nią porozmawiasz. Jakoś się umówicie.

Jej argumenty brzmiały logicznie, więc w końcu dałem się przekonać. Zjeżdżając windą, czułem się jednak dziwnie przegrany.

To uczucie zniknęło dopiero wtedy, gdy przypomniałem sobie, że jutro mam rozmowę w sprawie pracy. I wtedy pomyślałem, że najwyższy czas dorośleć i usamodzielnąć się. Na co mam czekać? Zaliczyłem już wystarczająco dużo pańienek, a w tej chwili naprawdę nie miałem ochoty na żadną kolejną. Postanowiłem oświadczyć się Majce i z nią zamieszkać. Mieszkanie dziadka na pewno jej się spodoba. Jak nam się będzie układało, to możemy wziąć ślub. Czemu nie? Nie jestem pewien, czy rzeczywiście bym tak zrobił, ale pamiętam, że w tamtej chwili właśnie tak myślałem.

Wróciłem do domu w dobrym nastroju. Matka od razu to zauważyła i zapytała, czy rozmawiałem z Majką. Odpowiedziałem, że za trzy dni wyjdzie ze szpitala i wtedy porozmawiamy. Zjadłem kolację i wcześniej położyłem się spać. O dziewiątej następnego dnia miałem spotkanie z prezesem firmy. Chciałem się wyspać.

4. Kod dostępu do życia

Znałem budynek tej firmy, bo dwukrotnie już tam byłem, przekazując jakieś dokumenty od Larfonta, gdy wróciłem z praktyk w Paryżu. Prezes przyjął mnie niemal po przyjacielsku. Jego gabinet był okrągły i cały przeszklony. To była jakby szklana kopuła, wzniesiona na szczycie czteropiętrowego budynku. Robił niezwykłe wrażenie za sprawą błękitu nieba, roztaczającego się z każdej strony. Poza tym stało tu tylko biurko prezesa i stół na dwanaście osób. Wszystko ze stali. Bardzo futurystyczne wnętrze.

- Robi wrażenie, co? - zapytał, gdy dostrzegł, że się przyglądam. - Chciałem, żeby było trochę kosmicznie. Jak w latającym spodku. W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek - powiedział, widząc, że rozglądam się z aprobatą. - Tam stoi luneta. Nocą można obserwować gwiazdy.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- W Polsce Wielka Niedźwiedzica jest widoczna przez cały rok. Trzecia co do wielkości konstelacja nieba. Jej najjaśniejsze gwiazdy tworzą łatwy do odszukania na niebie układ Wielkiego Wozu. Historie gwiazd są fascynujące. Mam aktualne mapy nieba, byłem nawet na kursie... Gwiazdy są fascynujące. A nazwy gwiazdozbiorów nawiązują do mitów. Wiesz, skąd się wzięła nazwa „Wielka Niedźwiedzica”? Właśnie z greckiego mitu o uwiedzionej przez Zeusa nimfie Kallisto...

- .. która zginęła z rąk Artemidy, a następnie, przemieniona w niedźwiedzicę, została umieszczona na niebie - wszedłem mu w słowo.

Jak dobrze, że znałem mitologię. Czytałem ją od dwunastego roku życia. Bogowie kochali się, nienawidzili i uprawiali seks. Esencja życia.

- Tak! - klasnął w dłonie. - A zazdrosna Hera uprosiła bogów, by niedźwiedzica nie mogła się kąpać w oceanie i przez cały czas, bez odpoczynku, wędrowała w kółko po niebie.

Kiwałem tylko głową, zafascynowany jego ekscytacją. Ten człowiek mówił z pasją. Byłem ciekaw, czy jest równie zafascynowany swoją pracą. Jakoś na razie nie mogłem tego dostrzec. Odezwałem się jeszcze kilka razy, wtrącając jakieś szczegóły z mitologii do jego opowieści o gwiazdach. Czułem, że zyskałem dodatkowe punkty.

- No, dobra. Ja o gwiazdach, a ty pewnie chciałbyś zobaczyć swój gabinet - powiedział w końcu. - No, bo pracę masz. Mity znasz... - uśmiechnął się i mrugnął konspiracyjnie. - Larfont to dla nas ważny partner, a skoro on cię rekomenduje - a nie dalej jak wczoraj jeszcze do mnie dzwonił i o tobie mówił - to ja nie mam żadnych wątpliwości. I mitologię znasz, to sobie możemy pogadać czasem, a i wieczorem zapraszam na oglądanie nieba -zaśmiał się przyjaźnie.

Potem pokazał mi przyjemny, choć nieduży gabinet, w którym miałem pracować, i uzgodnił wynagrodzenie. Wyższe niż się nawet spodziewałem. Było dobrze. Potwierdziłem, że za dwa tygodnie będę zdawał na aplikację adwokacką. Potem miałem zacząć pracę.

Wszystko układało się pomyślnie aż do czwartku.

Od rana dzwoniłem do Majki. Nikt nie odbierał. Około południa byłem już nieco zaniepokojony i postanowiłem pojechać do jej mieszkania. Nikt mi nie otworzył. Pojechałem do szpitala. Jej łóżko było puste. Zapytałem pielęgniarkę i dowiedziałem się, że opuściła szpital dwa dni temu, czyli następnego dnia po mojej rozmowie z Ewą. Zatem Ewa mnie okłamała. Jak mogłem jej uwierzyć? Nigdy mnie nie lubiła i robiła wszystko, żeby nas rozdzielić. Tak myślałem i byłem wściekły.

Ze szpitala udałem się wprost do mieszkania Majki, ale nikt mi nie otworzył. Wszedłem za kimś na klatkę schodową i nasłuchiwałem pod drzwiami. Żadnego szmeru, najmniejszego odgłosu. Nacisnąłem dzwonek. Nic. Nikogo tam nie było. Dokąd zatem pojechała?

Znowu pozostawało mi rozpytywać wśród wspólnych znajomych. Były wakacje. Ludzie w większości już się obronili i rozjechali. Zadzwoiłem do kilku osób, ale niczego się nie dowiedziałem.

Przez kolejne trzy dni chodziłem do domu Majki i wyczekiwałem pod bramą albo udawało mi się wejść na klatkę i stałem pod drzwiami. I właśnie wtedy spotkałem starszą panią z psem. Była sąsiadką Marii. Skinąłem jej głową, a ona sama mnie zagadnęła.

- Dawno cię nie widziałam - powiedziała przyjaźnie. Rozpoznała we mnie znajomego Majki. Postanowiłem to wykorzystać.

- Dzień dobry. Ja mam sprawę do Majki, ale jakoś nie mogę jej zastać. Nie wie pani przypadkiem, kiedy wróci?

- Oj, nieprędko. Wyjechała na wakacje. Wszyscy pojechali. I Ewa z mężem też. Ja im kwiaty podlewam.

Wyjechali. Byłem zawiedziony.

- A kiedy wróca?

- Ewa wraca za dwa tygodnie i będzie tu wpadać, żeby mieszkania doglądać i kwiaty podlewać, a kiedy Maja wróci, to ja nie wiem. Z Ewą rozmawiałam. Chyba gdzieś nad morze pojechali, ale nie wiem dokładnie.

Tyle się dowiedziałem. Niewiele, ale wiedziałem już, że w najbliższym czasie na pewno z nią nie porozmawiam. Ewa musiała wiedzieć, że wyjeżdżają, i celowo skłamała.

Co miałem robić? Pozostało mi czekanie i uczenie się do egzaminu na aplikację. Miałem do przerobienia całą stertę testów

z ubiegłych lat. Istniał pewien klucz ich rozwiązywania i trzeba było go opanować, żeby zdać ten egzamin. Porównywałem rozwiązane testy z testami kolegi, a czasem telefonicznie konsultowałem ich treść. Wszyscy uczyli się zawzięcie. Wiadomo było, że pytanie zawsze, z drobnymi modyfikacjami, oscyluje wokół tego samego zagadnienia, a zatem ucząc się, trzeba było znać cały przepis, dotyczący zakresu tematu.

A co trzeba było zrobić, żeby zdać egzamin z życia? Nikt nie podawał uniwersalnego kodu dostępu. Każdy miał prawo do pewnej liczby błędów i jeśli się zmieścił w limicie - wygrywał. Obawiałem się, że liczba moich błędów przekroczyła dopuszczalny limit. Reszta to mógł być tylko falstart.

Na egzamin wynajęto ogromną salę wykładową w prywatnej szkole biznesu. Nie pamiętam już, ile dokładnie osób go pisało, ale było nas pewnie około tysiąca. Sam test, o dziwo, nie sprawił mi większych trudności. Byłem pewien, że pomyślnie zaliczę pierwszą rundę. Ci, którzy przejdą przez sito egzaminu pisemnego, mieli przed sobą część ustną. Pozostawało czekać na wyniki.

Tego dnia wraz z grupą znajomych poszedłem do klubu, odreagować cały ten stres. Było nas w sumie siedem osób, pięciu facetów i dwie dziewczyny z SGH. Z jedną z nich byłem kiedyś na grupowych wakacjach w Słowenii i kilka razy znaleźliśmy się w łóżku. Drugą widziałem po raz pierwszy.

Nie byłem zbyt rozmowny tamtego wieczoru. Nigdy nie piłem za dużo, ograniczając się do jednego lub dwóch piw, ale tym razem świadomie chciałem się upić. Patrzyłem na tańczących ludzi i wlewałem w gardło drinka za drinkiem. Wtedy przysiadła się do mnie ta nieznajoma dziewczyna. Nie pamiętam jej imienia. Nazwijmy ją Kamila. Miała długie do ramion, ciemne włosy

i czarne oczy. Śniada karnacja, mocna budowa. Taki włoski typ. Dość ładna.

- Obserwuję cię. Niczego nie szukasz i na nic nie czekasz -powiedziała.

Spojrzałem na nią uważnie. Dokładnie tak się czułem. Trafiła w punkt.

- A ty czego szukasz? - zapytałem.

- Przegranych facetów. Lubię ich pocieszać.

To właśnie powiedziała. Miała piękne zęby. W ogóle sprawiała takie zdrowe, czerstwe wrażenie.

Zamówiłem kolejnego drinka dla siebie i dla niej. Nawet dobrze mi się z nią rozmawiało, ale szczegółów zupełnie nie pamiętam. Byłem zbyt pijany.

Następnego dnia obudziły mnie promienie słońca w jakimś obcym mieszkaniu. Rozejrzałem się wokół. Obok mnie spała ona, odwrócona tyłem. Przypomniałem sobie, że zrobiliśmy to na stojąco, tuż po wejściu do tego małego mieszkania. Podniosłem się z łóżka i poczułem ból w skroni.

Kac.

Rozejrzałem się za spodniami, ale nigdzie ich nie widziałem. Skoro zaczęliśmy w przedpokoju, to powinny tam być. Wstałem i je znalazłem. Na wieszaku wisiała moja koszula. Cóż za schludność! Wsunąłem buty i cicho otworzyłem drzwi. Już mnie nie było.

Dopiero teraz spojrzałem na zegarek. Minęła jedenasta. Kiedy wyszedłem z budynku, okazało się, że jestem na Bednarskiej. Co za ironia losu! Doskonale pamiętałem ten księżycowy wieczór, kiedy wyszliśmy z Marią z kina w połowie seansu i ruszyliśmy Bednarską w kierunku Wisły. Wszystko się tak skomplikowało.

Wszystko schrzaniłem. Jestem jak dziadek. Co z tego, że paniąkom spadają majtki na mój widok? Co z tego?!

5. Testament wyrzutów sumienia

W poniedziałek zostaliśmy wezwani do notariusza na odczytanie testamentu dziadka. Ja, moja matka i - jak się okazało na miejscu - ksiądz Grzegorz - proboszcz, któremu dziadek pomagał odzyskiwać nieruchomości kościelne.

Moja matka miała na sobie elegancką, kremową garsonkę. Ciemne włosy upięła nad karkiem. W uszach miała złote kolczyki, a na szyi i przegubie dłoni misterne, złote łańcuszki. Wyczuwałem w niej napięcie. Pewnie miała nadzieję, że to ona wszystko odziedziczy. Była jedyną córką. Nie wiedziała, że ma przyrodnią siostrę. O tym na razie wiedziałem tylko ja.

Siedzieliśmy wszyscy w poczekalni kancelarii. Moja matka wymieniła powitalne uprzejmości z księdzem proboszczem i posepnie zamilkła, zastanawiając się najwyraźniej nad powodem jego obecności tutaj. Zaczynałem jej współczuć, bo domyślałem się, że testament bardzo ją rozczaruje.

W końcu zostaliśmy poproszeni przez notariusza. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, szpakowaty i dość tęgi. W kancelarii nie działała klimatyzacja, a w jego gabinecie było wręcz duszno.

- Czy możemy otworzyć okno? - odezwała się niemal natychmiast po wejściu moja matka. Nie znosiła duchoty. Robiło jej się słabo i traciła zdolność logicznego myślenia.

- Tak, oczywiście - notariusz otworzył okno, a potem wziął z biurka białą teczkę którą rozsznurował. - Drodzy państwo, zmarły niedawno pan Marian Kuncewicz przed śmiercią zdepo-

nowa! w mojej kancelarii swój testament. Chciałbym go państwu teraz odczytać. Jeśli będą jakieś pytania, odpowiem na nie po odczytaniu całości dokumentu. Zaczął czytać:

Dnia 6 maja 2000 r. w Kancelarii Notarialnej Zbigniewa Stawskiego stawił się Pan Marian Kuncewicz, urodzony dnia 6 marca 1918 roku w Warszawie, celem dokonania rozporządzenia swoim majątkiem na wypadek śmierci.

Pan Marian Kuncewicz oświadcza, iż spadkobiercą całego swojego majątku, nieruchomości i rzeczy ruchomych, czyni swojego wnuka, Mariusza Jodłę, urodzonego 18 października 1976 roku w Warszawie. Jednocześnie czyni go jedynym wykonawcą testamentu i poniższych zapisów testamentowych:

Po pierwsze: zapisuje parafii św. Krzyża w Warszawie obraz o tematyce sakralnej, autorstwa Kazimierza Nowowiejskiego, z roku 1936, pt. „Ostatnia wieczerza”.

Po drugie: zapisuje swojej córce, Annie Jodle, urodzonej 5 maja 1952 roku, działkę budowlaną w Markach k. Warszawy, nr KW 4567 890 9876879, o powierzchni 2000 m² oraz działkę rolną w Kuklówce Radziejowickiej o powierzchni 1 ha, nr KW 3425 876 8978564.

Po trzecie: zapisuje Pani Annie Nieznalskiej, urodzonej 21 czerwca 1949 roku, swojej prawowitej, choć nigdy nieuznanej córce, dom w Wilanowie, przy ul. Kopernika 3, nr KW 2345 67462 98740. Anna Nieznalska jest córką Hanny Kazimierskiej-Nieznalskiej i adoptowaną córką Jana Nieznalskiego.

Taka jest moja ostatnia wola, proszę ją uszanować. Niech Was Bóg prowadzi!

Podpisano: Marian Kuncewicz

Poświadczył: notariusz Zbigniew Stawski

Spojrzałem na matkę. Była blada i siedziała nieruchomo.

- Czy wszystko jest jasne? - zapytał notariusz.

- Jakiej córce Annie dom? Jakiej Nieznalskiej? - zapytała mama głucho. - Mój ojciec miał jakąś jeszcze córkę? Czy ty coś wiesz na temat tych zapisów, na temat tego ostatniego zapisu dla jakiejś Anny? - zwróciła się do mnie.

- Tak - odpowiedziałem krótko.

- Co?! - spojrzała na mnie z wyrzutem. - Panie rejencie, o co chodzi? Mój ojciec miał drugą córkę? - pytała rozgorączkowana.

- Najwyraźniej tak. Pan Mariusz - notariusz zwrócił się do mnie - wykonuje zapisy. - Jeśli pan chce, przybliżę panu procedurę postępowania.

Nie chciałem, żeby mi cokolwiek przybliżał, bo procedurę dobrze znałem. Miałem wnieść teraz sprawę o spadek, nabyć go, a potem wykonać zapisy. Zapisy to była kwestia zaufania spadkodawcy do spadkobiercy. Spadkobierca powinien je wykonać, natomiast zapisobierca mógł mieć do niego roszczenie o ich wykonanie. Ale wcześniej musiał o nich wiedzieć. Wątpię, czy pani Anna Nieznalska wiedziała, że nieznany, biologiczny ojciec zapisał jej dom w Wilanowie. W związku z tym nie mogła mieć do mnie roszczenia.

To samo wiedziała moja matka. Kiedy tylko weszliśmy do domu, wybuchła.

- No, zobacz, stary zwariował. Nie sądziłam, że wywinie mi taki numer. Muszę coś zjeść. Jestem zła. Jestem głodna i zła. Zjem coś, to się trochę uspokoję. Boże, nie sądziłam, że on po śmierci mnie jeszcze czymś zaskoczy, a tu proszę... ma córkę. Boże święty!

Wrzuciła na patelnię dwa steki wołowe, do tego zrobiła sałatkę z pomidora i ogórka. Zawołała mnie, gdy gorące steki parowały na talerzu.

- I nalej mi wina. Stoi na drzwiczkach lodówki. Wyjąłem kieliszek z szafki nad lodówką i napełniłem go do połowy. Od razu się napiła.

- Nie, no cieszę się, że przynajmniej nie zrobił z niej albo z tego księdza spadkobiercy. To by dopiero było! A ty... wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś. Co to za historia z tą nieślubną córką?

- Dziadek powiedział mi o tym dzień przed śmiercią, gdy mnie do siebie wezwał. A potem umarł...

Opowiedziałem jej mniej więcej to, co od niego usłyszałem. Oczywiście, miała pretensję, że jej nie powiedziałem.

- Więc ona pewnie nawet nie wie, że jej biologicznym ojcem jest ktoś inny. Została adoptowana jako niemowlę. Miała ojca, który potem zmarł; ten też już zmarł. Jakie to w ogóle ma znaczenie? Nic z tym nie rób - powiedziała między jednym kęsem steku a drugim.

- Jak to: nic z tym nie rób? - zapytałem.

- To tylko zapis testamentowy, zależny od twojej dobrej woli. Na podstawie testamentu ty wszystko dziedziczysz i to się znajdzie w orzeczeniu sądowym, a zapisy wykonasz albo nie, twoja sprawa.

- Czyli zapisu na twoją rzecz też mam nie wykonywać? -zapytałem przebiegle.

- Nie bądź cyniczny. To inna sprawa. Ja zostałam wezwana na jego odczytanie, ona nie. Ja w związku z tym mam do ciebie roszczenie, a ona nie, bo o zapisie nic nie wie. Jak nie przyjdzie przez dziesięć lat, to się przedawni i nie ma sprawy. Chyba wiesz, że ja liczyłam na ten dom?

- Wiem.

- Ta jego córka przynajmniej może miała jakiegoś normalnego ojca, bo ja to... sam wiesz... Zostawił mnie i moją matkę, i swoje ojcostwo ograniczył do płacenia alimentów. Nigdy go nie

było, gdy tego potrzebowałam. Nigdy nie był dla mnie żadnym wsparciem. Dlatego tak bardzo chciałam, żeby moje dzieci miały udane dzieciństwo i normalny dom.

Rozumiałem ją. Naprawdę ją rozumiałem. A dzieciństwo mieliśmy piękne. Moi rodzice, choć oboje pracowali intensywnie, naprawdę bardzo się starali, abyśmy mieli fajny dom. Wspólne wakacje, wycieczki rowerowe, pikniki, spacer, zwiedzanie ciekawych zakątków. Byliśmy rodziną, która dużo ze sobą rozmawiała, i obaj z bratem czuliśmy się naprawdę dobrze w relacjach z rodzicami. Moja mama była dość apodyktyczna i choleryczna, za to ojciec spokojny, więc po prostu się dobrze uzupełniali. Mimo to teraz obudził się mój bunt. To ona była cyniczna.

- Mamo, wiem jak to wygląda z formalnej strony. Ale istnieje też ta czysto ludzka, prawda? Dziadek po prostu czuł wyrzuty sumienia w związku z tamtą kobietą i tą swoją nigdy niepoznaną córką. Kiedy mi o tym opowiadał, miał łzy w oczach.

- A nie pomyślał, że ja będę miała łzy w oczach, gdy odda jej ten dom?
- powiedziała z pretensją. - Czemu nie dał jej działki? Dla mnie ten dom ma także wartość sentymentalną. W końcu tam mieszkał przez wiele lat, tam mnie zapraszał, gdy byłam małą dziewczynką. Rzadko. Ale przynajmniej się cieszyłam, że mój ojciec mieszka w takim ładnym domu. Wiesz, że lubię stare wnętrza. Synku, ja cię proszę: nie oddawaj tej kobiecie tego domu. O Michale zapomniał zupełnie. A przecież jest jeszcze Michał, prawda? Też jego wnuk.

Pokiwałem smętnie głową. Mój starszy brat poczuje się pominięty. To pewne.

- Na tym polega właśnie dziedziczenie testamentowe. To spadkodawca decyduje...

- Jakiś ty mądry! - przerwała mi. - Ciekawe, jakbyś się czuł, gdybym ja kiedyś wszystko przepisała jednemu z twoich synów

i jakiegoś nieznanemu człowiekowi, którego za swojego syna chciałabym uznać? No, poczuj to.

- Widocznie miałabyś swoje powody. To twój majątek i twoja sprawa, komu go zapiszesz.

- Więc dasz Wilanów tej kobiecie?

- Nie wiem mamo, nie wiem... Rozumiem też ciebie, ale ty zrozum, że dla mnie to też nie jest proste.

Przez kolejne dwa dni ten temat ciągle był w domu wałkowany. Ojciec także okazał zdumienie decyzją dziadka i choć nie mówił tego wprost, to zgadzał się ze stanowiskiem matki. Michał został o wszystkim powiadomiony telefonicznie i od razu, niejako „na pocieszenie”, rodzice obiecali, że w najbliższym czasie wejdą w budowę mieszkania dla niego. Zaznaczyli, że myślą o czymś naprawdę ekstra. Tak naprawdę to chcieli go w ten sposób zachęcić do powrotu. Mój brat jednak wyraźnie się do tego nie spieszył. Załatwił sobie stypendium w Austrii i został mu jeszcze rok studiów. Na razie nie deklarował, co zrobi potem.

Tymczasem po dwóch dniach temat ucichł. Uczyłem się spokojnie do egzaminu ustnego (tak jak się spodziewałem, zdałem pisemny test) i od czasu do czasu dzwoniłem kontrolnie do Majki.

Bardzo za nią tęskniłem.

Niestety, muszę to przyznać, cały czas chodziłem do łóżka z innymi dziewczynami. W tym czasie - konkretnie z dwiema. Jedna to była koleżanka jeszcze z liceum; można powiedzieć, moja stała „przyjaciółka”, z którą miałem okresy większej i mniejszej „zażyłości”. Drugą była moja koleżanka z SGH, która też właśnie skończyła studia i przygotowywała się do ślubu. Tak, do ślubu.

Kiedyś sypialiśmy ze sobą regularnie, potem przestaliśmy, bo ona poznała właśnie tego swojego przyszłego męża. Niedawno zadzwoniła do mnie i zaproponowała wspólną kawę. Wyznała

mi, że jest zestresowana ślubem i jej narzeczonemu też, i że z tego stresu przestali ze sobą spać. Pomyślała więc, że jeszcze zanim oficjalnie zostanie żoną, chciałaby trochę „poużywać”. Tak dosłownie się wyraziła. To była bardzo seksowna dziewczyna, miała wspaniałe pośladki, więc od razu nabrałem ochoty.

Spotykałem się z nią zwykle późnym popołudniem w mieszkaniu mojego brata i spędzaliśmy razem dwie, trzy godziny. Byłem po tym bardzo odprężony i mogłem spokojnie wracać do nauki. Dokładnie na dzień przed egzaminem zadzwoniła i powiedziała, że znowu do siebie z narzeczoną „wrócili”, stres im odpuścił, bo wszystko jest już zapięte na ostatni guzik, więc już nie będzie się ze mną spotykała. I jeszcze dodała, że jakby się coś zmieniło, to zadzwoni.

Egzamin poszedł mi bardzo dobrze. Była to raczej merytoryczna rozmowa z członkami komisji niż egzamin. Na szczęście, trafiły mi się same kobiety, więc mój naturalny wdzięk zadziałał.

Zaraz po egzaminie, w ciemnej marynarce i białej koszuli, poszedłem do mieszkania Majki. Kiedy zbliżałem się do budynku, zobaczyłem, że z bramy wychodzi Ewa. Podbiegłem. Na mój widok zrobiła jakiś niewyraźny grymas.

- Cześć, jest Maja? - zapytałem zdyszany.

- Nie, nie ma - odpowiedziała i nawet się nie zatrzymała, żeby ze mną zamienić słowo. Po prostu szła przed siebie, a ja starałem się dotrzymać jej kroku.

- Kiedy wraca? Ewa, możemy porozmawiać? Zatrzymała się i odwróciła twarz w moją stronę. Mrużyła

oczy, bo słońce ją oślepiało. Miała tak samo intensywnie błękitne tęczówki, jak Majka.

- Słuchaj, odczep się, co? - wypaliła. - Daj jej święty spokój. Między wami jest skończona historia.

Ruszyła przed siebie, a ja podążyłem za nią. Uniosła głowę wysoko i przyspieszyła kroku. Jej falujące włosy były włosami Majki. Miały taki sam kolor.

- Kiedy ona wróci, powiedz. Kiedy? - skamlałem. Zatrzymała się i rozejrzała wokół. Przy ulicy, niedaleko kiosku, stała taksówka, do której zmierzała.

- Zapomnij o niej - otworzyła drzwi samochodu. - Daj sobie po prostu spokój, tak jak ona sobie dała. Cześć!

Wsiadła do taksówki, trzasnęły drzwi i odjechała.

Zacząłem pracę. Pracowałem solidnie i z zaangażowaniem.

Wniosłem sprawę spadkową, żeby nabyć spadek po dziadku.

Miałem trzy nowe kochanki, w tym jedną stałą. Mężatkę. Od czasu do czasu spotykałem się z moimi „erotycznymi przyjaciółkami”.

Majki nie widziałem od ponad dwóch miesięcy. Przeprowadziłem się do mieszkania dziadka. Do mieszkania Majki chodziłem regularnie co dwa dni. Nigdy nie zastałem tam ani jej, ani Ewy, ani nikogo innego.

6. A potem wybierasz substytut

To był pogodny dzień września. Miałem załatwić w instytucie jakieś formalności, związane z rozpoczęciem studiów doktoranckich. Coś podpisać i donieść jakiś dokument. Pani Mirka z instytutu to była straszna gaduła i zawsze ucinałem z nią sobie pogawędkę. Tleniona blondyna przed pięćdziesiątką, z wydatnym biustem. Podejrzewałem, że musiała być kiedyś w moim typie. Tym razem opowiadała z przejęciem o przygarniętym kocie.

- Ja, wie pan, nigdy nie lubiłam kotów. Skąd! A teraz? Teraz kupuję dla mojego wołowinę na tatar. Najlepszą. On za nią przepada. Koty są niesamowite. Takie dostojne. Przychodzi do mnie, wie pan, siada mi na kolanach i mruczy. Ja nie sądziłam, że koty są takie mądre. I wita się, jak przychodzę...

- Pani Mirko, co robimy z salą na obrony profesora Stankiewicza? - do pani Mirki podeszła młoda sekretarka.

- Nie skończą tego cyklinowania? Pytałaś?- odgarnęła włosy z czoła starannym gestem.

- Skończą, ale podłoga może nie wyschnąć. Powinna schnąć tydzień.

- No tak - pani Mirka spojrzała na mnie, a ja wyteżyłem uwagę. Profesor Stankiewicz to był profesor Mai. - Sala czterdzieści dziewięć będzie wolna; sprawdzałam, to przenieśmy go tam.

Położyła pismo na stole, przekreśliła numer sali i wpisała nowy.

- Jeszcze swoją pieczętkę przystawię, poczekaj chwilę - podeszła do swojego biurka i zaczęła szukać w szufladzie.

Ja tymczasem zerknąłem na pismo. Były na nim trzy nazwiska osób, które dnia dwunastego września o godzinie jedenastej miały mieć obronę pracy magisterskiej. Wśród nich widniało nazwisko Marii.

Pani Mirka podeszła do stołu i przystawiła na piśmie swoją pieczętkę, po czym podała kartkę sekretarce i znów zwróciła się do mnie.

- Koty są naprawdę super. Ja po prostu wcześniej kotów nie znałam. Miałam zawsze psy. A one mają tyle gracji...

Kiwałem tylko głową, udając zainteresowanie, a myślami byłem przy Majce. Więc będzie miała obronę za tydzień. Pewnie przyjedzie albo już przyjechała. Kiedy wyszedłem z instytutu, zadzwoniłem do niej. Od niedawna miałem służbowy telefon komórkowy. Nikt nie podnosił słuchawki. Pomy-

ślałem, że widocznie jeszcze nie przyjechała, i pojechałem do pracy.

Około drugiej zajrzała do mnie Monika i powiedziała, że jedzie na lunch. Oczywiście, pojechałem z nią. Była dyrektorką finansową firmy i moją namiętą kochanką. Gdy tylko ją pierwszy raz zobaczyłem, coś między nami zaiskrzyło. Wysoka, zgrabna brunetka, piękna i elegancka. Taki rasowy typ wyrafinowanej kobiety w średnim wieku. Nie miałem pojęcia, ile ma lat, ale musiała być około czterdziestki. Starsze kochanki miały swoje zalety, a ich doświadczenie było kuszące. Podniecało mnie, gdy myślałem, że musiały spać już z wieloma facetami i przeżyć tysiące orgazmów. Podniecało mnie, gdy myślałem, że zapewne poprzedniej nocy robiła to z mężem i że gdyby on dowiedział się o mnie, z pewnością obiłby mi pysk. Teoretycznie powinno mnie to zniechęcać, a faktycznie działało na mnie bardzo stymulujące

Wsiedliśmy do jej nowego, służbowego samochodu i pojechaliśmy do modnej knajpy. Gdy prowadziła, złote bransoletki brzęczały na jej szczupłym, lekko opalonym przegubie. Kobieta luksusowa. Od stóp do głów. Miałem ochotę w tym momencie ją przelecieć i zobaczyć, jak grymas rozkoszy wykrzywia tę jej twarz, pokrytą nieskazitelnym makijażem. Kiedy robiliśmy to w czasie dnia, zajeżdżając na godzinkę do mojego mieszkania, zabraniała mi całować się w usta i dotykać swoich włosów. Zsuwała tylko spódnicę i zakładała mi nogi na ramiona. Dyrektorka finansowa, profesjonalna i zasadnicza. Kto by pomyślał, że poza pracą jest taką niezaspokojoną suką. Ja to wiedziałem.

Zamówiła grillowaną rybę z sałatą, a do tego wodę mineralną z cytryną. Miała bzika na punkcie zdrowej żywności.

- Jesteś jakiś zamyślony... Wszystko w porządku? - zapytała, połykając kęs ryby.

Moje myśli były dziwną krzyżówką. Myślałem o tym, czy uda mi się przelecieć Monikę po lunchu, na co miałem wielką ochotę. Cały czas zastanawiałem się też, kiedy przyjedzie Majka i kiedy będę mógł z nią porozmawiać, skamleć u jej stóp i prosić o wybaczenie. Wiedziałem też, że nawet gdybym zdołał skłonić ją do powrotu, nie będę w stanie powstrzymać się przed takim lunchem jak ten, z jego dalszym ciągiem w moim mieszkaniu.

- Myślę, że zostanie nam niewiele czasu w alei Róż, jeśli się nie pospieszymy. Muszę jeszcze dziś zamknąć jedną umowę - powiedziałem rzeczowo.

- A ja muszę być na zarządzie. Do nocy nasiadówka. To nie pijmy już kawy.

Pojechaliśmy do mieszkania. Niewiele w nim zmieniłem. Zamierzałem zrobić remont, jak będę miał gotówkę ze spadku. Kiedy przyszła tu pierwszy raz, zdziwiło ją to mieszkanie - pełne antyków, książek i obrazów w złotych ramach. Teraz czuła się tu swobodnie. Wyszła z łazienki w samej bieliźnie i szpilkach. Obserwowałem ją, leżąc na łóżku. Wyjęła stopę ze szpilki i zaczęła nią pieścić moje krocze. Wypielegnowana stopa, z paznokciami pomalowanymi na czerwono.

Trzydzieści minut później dojeżdżaliśmy do pracy. Rozmawiała przez komórkę ze swoją asystentką, wydając jej krótkie polecenia. Odprężona i pewna siebie, z idealnie pomalowanymi ustami, których nie wolno mi było dotknąć.

Kiedy pracowałem, zapominałem o całym świecie. Czas mijał szybko. Godzina, cztery, jak jedna chwila. Wciąż w pełnej gotowości intelektualnej, na najwyższych obrotach. Telefon, faks, negocjacje przez telefon, argumentacje słowne. Byłem jak ryba w wodzie. Świat przestawał istnieć. Przychodził wieczór i tylko brak odpowiedzi po drugiej stronie linii telefonicznej skłaniał

mnie do spojrzenia na zegarek. Ze zdziwieniem zauważałem, że jest ósma albo dziewiąta wieczorem i zbierałem się do domu.

A w domu szybki prysznic i telefon do jednego z moich kumpli, którzy, tak jak ja, właśnie zaczęli samodzielne życie. Andrzej zamieszkał z dziewczyną, więc ostatnio jako kompan wieczornych wypadów odpadał. Miałem jeszcze dwóch innych i z nimi często umawiałem się na miście. Czasem odwiedzałem rodziców, a niektóre wieczory spędzałem w domu.

Moja matka przeżywała coś, co nazywała „syndromem opuszczonego gniazda” i była ostatnio trochę przybita. Mówiła, że musi w sobie odkryć jakieś pasje, nowe zajęcia, żeby nie zwariować. I rzeczywiście, zaczęła ciągać ojca po galeriach i aukcjach dzieł sztuki. Kupowała jakieś gobeliny i nawet zaczęła przebąkiwać, że sama nauczy się tkać.

Oczywiście, przez cały ten czas nie ustawałem w dzwonieniu do Majki. Raz nawet do niej zajechałem, ale nie zastałem nikogo.

Tego dnia, a był to ranek, znowu zadzwoniłem. Do jej obrony zostały dwa dni. W słuchawce usłyszałem jej spokojne „Halo?”. Miałem nadzieję na to „Halo?” od ponad dwóch miesięcy, a tymczasem, gdy je usłyszałem, kompletnie zaniemówiłem.

- Mówi Mariusz - powiedziałem w końcu. Milczenie.
- Halo, słyszysz mnie?
- Tak, słyszę - odpowiedziała obojętnie.
- Maju, czy moglibyśmy porozmawiać...?
- Słucham?
- Spotkać się gdzieś, umówić...?
- Nie sądzę. Za dwa dni mam obronę, nie mam czasu.
- Masz obronę, tak, rozumiem. To może po obronie?
- Nie. Nie chcę. Już nie ma sensu się spotykać. Nie ma po co.

- Wiesz, ja strasznie głupio się wtedy zachowałem. Wiem, że to wszystko moja wina. Chciałbym...

- Nie ma o czym mówić. Słuchaj, muszę kończyć.

- Maria, ale ja...

- Muszę kończyć. Cześć!

Usłyszałem sygnał zakończonego połączenia.

Zadzwoiłem jeszcze raz. Nie odbierała.

Postanowiłem nie dzwonić i nie niepokoić jej przed obroną. Pamiętałem dobrze, że to duży stres. Spotkam się z nią po obronie. Wszystko na pewno pójdzie dobrze, będzie szczęśliwa, i to będzie najlepszy moment, żeby z nią porozmawiać.

Nie chciałem, żeby mnie zobaczyła przed wejściem na salę egzaminacyjną, więc pojawiłem się tam piętnaście po jedenastej. Dyskretnie sprawdziłem, czy nie stoi w grupce osób na korytarzu, po czym podszedłem i zapytałem, kto się właśnie broni. Potwierdzili, że ona. Stały tam dwie osoby, ubrane wizytowo, najwyraźniej abiturienti, i kilka osób, które - jak zauważyłem -dodawały im otuchy. Nie znałem żadnej z nich, więc usiadłem sobie w drugiej części korytarza, skąd mogłem doskonale wszystko obserwować.

Siedziałem tak pewnie dobry kwadrans, aż w końcu drzwi się otworzyły i wyszła z nich Maja. Od razu otoczyła ją wyczekująca grupka i zasypała pytaniami: „Jak było?”, „O co pytali?”, „Jaka atmosfera?”. Poza nimi nikogo więcej na korytarzu nie było, więc słyszałem każde słowo, rozmyte trochę echem pustych ścian. Postanowiłem poczekać, aż tłum wokół Majki się rozstąpi, i dopiero wtedy do niej podejść. I wtedy zobaczyłem faceta, który pojawił się nie wiadomo skąd i zmierzał w jej stronę. Gdy go dostrzegła, uniosła kciuk w górę, roześmiana, i wyciągnęła do niego rękę. Objęli się mocno. On był wysokim blondynem z fa-

lującą grzywką, dobrze zbudowanym i, muszę przyznać, całkiem przystojnym. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia osiem lat. A potem, zobaczyłem jak całuje ją prosto w usta. A ona najwyraźniej odwzajemniła jego pocałunek.

- No i masz to z głowy - powiedział na tyle głośno, że słyszałem każde słowo. - A teraz zabieram cię na obiad z dobrym winem.

Zupełnie mnie zatkało. Byłem kompletnie zaskoczony. Jakoś bezwiednie wstałem z ławki, a oni szli w moją stronę. Objęci i roześmiani. Musiałem wyglądać dziwnie, ale nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać, bo w tym momencie Majka mnie dostrzegła i uśmiech zniknął z jej twarzy. Chłopak musiał dostrzec tę zmianę i błyskawicznie zrozumiał jej powód, gdy zobaczył mnie i zmieszanie malujące się na mojej twarzy.

- Gratuluję! - wyjąkałem.

- Dziękuję! - odpowiedziała, mijając mnie.

I to wszystko. Tak wyglądało nasze spotkanie. Usiadłem z powrotem na ławce pod ścianą.

Miała chłopaka. Poznała go pewnie niedawno i są razem. Tak to wygląda. Byłem wściekły. Sprawy wymknęły się spod kontroli. No tak, w końcu jest piękną, młodą kobietą; nic dziwnego że znalazła sobie faceta. Tego nie przewidziałem. Nie wziąłem tego pod uwagę. Nie sądziłem, że tak szybko sobie kogoś znajdzie. Ja nikogo nie miałem. I wciąż ją kochałem. Oczywiście, moich seksualnych przygód nie zaliczałem do związków. To był tylko seks. Bez znaczenia.

Wróciłem do pracy i zacząłem udawać, że coś robię. Siedziałem ze wzrokiem wbitym w ekran komputera. Miałem swój pokój, z jedną ścianą przeszkloną, więc musiałem zachować pozory. Nie mogłem położyć nóg na biurku i zamknąć oczu w niemym zapomnieniu.

Kiedy przyszła do mnie Monika z informacją, że możemy sobie dziś zrobić dłuższą, wieczorną sesję seksualną, bo jej mąż wyjechał, nie okazałem żadnego entuzjazmu. Szczerze mówiąc, miałem nawet ochotę, żeby się jakoś wykręcić od tego spotkania. Potem jednak pomyślałem, że wieczór z nią poprawi mi humor, i umówiliśmy się na ósmą.

Przyszła punktualnie, cała w czerni. Była ubrana w obcisłe, czarne spodnie i czarną bluzkę z falbanami. Tylko torebkę miała krwiście czerwoną. Wyglądała, jakby zamierzała stoczyć walkę z bykiem. Byk był zapalczywy i nieposkromiony. Uprawiając z nią dziki seks, wyobrażałem sobie seks Majki z tym jej nowym facetem. Było to dla mnie jednocześnie bolesne i podniecające. Ta zapalczywa walka trwała prawie godzinę. W mojej głowie włączyła się jakaś czerwona lampka, która mnie blokowała i nie pozwalała dojść. W końcu, cały spocony, dobrnąłem do mety z okrzykiem ulgi.

Chciałem spać i na chwilę nawet przysnąłem, ale obudził mnie głos Moniki, dobiegający z kuchni. Podgrzała kurczaka po chińsku, którego kupiła po drodze, i wołała mnie na kolację. Przyszedłem do kuchni i nalałem wina do dwóch kieliszków. Swój wypilem niemal natychmiast i od razu poczułem jego przyjemne skutki. Rzadko piłem, ale jeśli już, to wtedy raczej dużo. Nalałem drugi kieliszek i zacząłem jeść. Ona tymczasem opowiadała o finansowaniu jakiegoś nowego oprogramowania w firmie. Jej makijaż nie był już taki nieskazitelny; cienie do powiek się rozmazały, a brak szminki odsłonił blade usta. Pod oczami miała cienie, a twarz błyszczała od potu. Nałożyła moją rozpinaną koszulę, która częściowo odsłaniała jej piersi. Ciało miała bez zarzutu.

Jadłem z apetytem i milczałem. Szumiało mi w głowie i było mi w tej chwili wszystko jedno. Wypiłem trzeci kieliszek wina. I wtedy ona włączyła płytę. *Tak długo czekam, a ty ciągle, ciągle myjesz swoje ciało**, usłyszałem. Podeszła do mnie od tyłu i zaczęła masować mój kark. Odepchnąłem jej ręce, poderwałem się gwałtownie i wyłączyłem odtwarzacz. To była przecież nasza piosenka, moja i Majki. Mogłem sobie mieć inne kobiety, ale te dźwięki obnażyły moje prawdziwe uczucia.

- Powiesz mi, co się z tobą dzieje? O co chodzi?

- Mam gorszy dzień.

- Nie ściemniaj. Jesteś zamyślony i przygaszony. Dziewczyna?

Wzruszyłem ramionami.

- Stara sprawa.

- Ale chodzi o dziewczynę, tak?

- Rozstaliśmy się - powiedziałem. - Ponad dwa miesiące temu. Ja to schrzaniłem, zraniłem ją bardzo. A dzisiaj zobaczyłem ją... Była z chłopakiem, szli objęci.

- To było coś poważnego między wami? - zapytała. Alkohol wyciągnął na wierzch moje ukrywane dotąd emocje.

- Było. Zakochałem się pierwszy raz w życiu. Miałem wiele kobiet, ale tylko na niej naprawdę mi zależało, to znaczy... z nią to miało jakiś inny smak.

- Seks?

- Wszystko. To było piękne.

- Co się stało, że nie jesteście razem? - zapytała spokojnie.

- To skomplikowana historia... - nie chciało mi się o tym opowiadać.

- Dla niej to też było takie ważne?

* Motyw z piosenki *Paryż, Moskwa* Obywatela G.C.

- Na pewno, na pewno. To było... wyjątkowe. I wiem, że ona nie może tamtego kochać, rozumiesz?

- No to na co czekasz?! - podniosła głos. - Walcz o nią! Czołgaj się u stóp, proś, obsyp ją płatkami róż, zaśpiewaj serenadę pod oknem, wysyłaj codziennie kwiaty i czekoladowe serca. Jeśli czujesz, że ją kochasz i że ona kocha ciebie.

Tego potrzebowałem. Zapragnąłem walczyć. A ona dodała po chwili:

- Może dzisiaj wydaje ci się, że prawdziwa miłość zdarza się często. To nieprawda. Potem nagle nic nie czujesz, to trwa, trwa i w końcu wybierasz substytut, bo po prostu boisz się samotności.

To zabrzmiało gorzko i prawdziwie.

7. Tyle słusznego żalu

Następnego dnia po pracy pojechałem do Majki. Miałem na sobie garnitur i błękitną koszulę. Pamiętałem, jak mówiła, że uwielbia mnie w błękitnej koszuli. Jakimś trafem brama była otwarta, więc wszedłem od razu do budynku. Potem dłuższą chwilę stałem pod drzwiami, jakbym zbierał siły przed atakiem. W końcu zdecydowałem się nacisnąć dzwonek. Otworzyła mi niemal natychmiast. Miała rozpuszczone włosy i białą sukienkę z krótkimi rękawkami. Jej skóra była lekko opalona. Na mój widok cofnęła się o krok. Odniosłem wrażenie, że spodziewała się kogoś innego. Może jego?

- Maju, przyszedłem porozmawiać. Musimy porozmawiać. Chcę, żebyś zrozumiała, że ja żałuję, że źle zrobiłem. Teraz to rozumiem. Nie możemy tak tego skończyć, bo takie rzeczy się nie powtarzają to, co było między nami...

Usłyszałem na schodach czyjeś kroki. Obejrzałem się. Więc czekała na niego.

- Ja sama do ciebie zadzwonię, jak będę chciała pogadać, a teraz... mam gościa. - Zwróciła się w jego stronę: - Cześć, dobrze że jesteś.

- Cześć! - odpowiedział jej, a mnie zmierzył lodowatym spojrzeniem. Drzwi się zamknęły. Los mi nie sprzyjał.

Nie mogę powiedzieć, że się wtedy nie starałem. Przecież chodziłem i prosiłem. Co mogłem więcej zrobić? Ona po prostu zacięła się, coś postanowiła i przy tym uparcie trwała. Tak to widzę. A zrozumiałem to wyraźnie nie w tamtym momencie, tylko tydzień później.

Zadzwonił do mnie mój kolega Andrzej. Od razu poznałem po jego głosie, że coś nie gra.

- Słuchaj, ten przyjaciel Majki, z którym byliśmy kiedyś na imprezie, ten Bogdan... On nazywał się Klich? - zapytał.

- Tak. Bogdan Klich. A co? Byłeś na jego wystawie? Ostatnio, kiedy byłem u niego w pracowni, wspominał, że szykuje wystawę.

- Kiedy to było?

- Ze trzy miesiące temu.

- I co? Wszystko z nim było wtedy w porządku? - w jego głosie wyczułem niepokój.

- Tak. A co? Coś się stało?

- On popełnił samobójstwo.

- Samobójstwo?! Co ty mówisz? - nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Byłem młody, miałem jakieś swoje rozterki, problemy nawet, każdy je miał, ale... samobójstwo?

- Otruł się tabletkami. Zasnął i już się nie obudził. Zostawił list. Dlatego wiadomo, że to było samobójstwo. Pogrzeb jutro.

Bogdan nie był dla mnie nikim szczególnym. Był przyjacielem Majki. Ja go po prostu znałem, nawet bardziej z jej opowiadań niż z rzeczywistych kontaktów. Nie mieściło mi się w głowie, że mógł popełnić samobójstwo. Cały czas o tym myślałem, a potem znów zadzwoniłem do Majki. Wiedziałem, że musi to bardzo przeżywać.

- Halo? - usłyszałem męski głos. Przedstawiłem się i poprosiłem Majkę.

- Słuchaj, Majka nie chce z tobą rozmawiać, nie dzwoń tu - wysyczał i odłożył słuchawkę, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

„Co za bezczelny typ”, pomyślałem i wybrałem numer ponownie. Ale usłyszałem tylko „Abonent czasowo niedostępny”. Musiał wyłączyć telefon. Dzwoniłem cały czas, przez kilka godzin. Chciałem do niej pojechać, ale wiedziałem, że on tam jest i że z naszego spotkania i tak nic nie wyjdzie. W końcu otworzyłem piwo. Wypiłem dwa, zmieniając kanały w telewizji, a potem zasnąłem w ubraniu.

O dwunastej w południe miał odbyć się pogrzeb. Kościół Św. Karola Boromeusza na Powązkach był pełen ludzi. W większości młode twarze. To było zauważalne. I wszyscy płakali. Młody skrzypek w czarnym surducie grał *Sonatę księżycową*. Nigdy nie słyszałem jej w wykonaniu na skrzypce. Brzmiała przerażająco smutno. Patrząc na te wszystkie targane łkaniem twarze, poczułem ucisk w gardle.

I wtedy zobaczyłem Majkę. Siedziała kilka rzędów przede mną. Widziałem ją z półprofilu. Patrzyła nieruchomo przed siebie, a po jej twarzy płynęły łzy. Włosy miała związane w gładki kucyk. Powiedziała coś do osoby siedzącej obok. Po kręconych blond włosach poznałem, że to Magda. Jego nie zauważyłem.

Nie było go także po mszy. Wiedziałem, że po pogrzebie muszę podejść do Majki i spróbować z nią porozmawiać. Na razie wolałem trzymać się z daleka. Wiedziałem też, że mnie zauważyła. Nasze spojrzenia przelotnie się zetknęły, kiedy stałem samotnie pod kościołem, a ona, wraz z grupą jakichś nieznanym mi osób, niosła wieniec z białych lilii do samochodu pogrzebowego.

Obserwowałem wszystko z daleka. Gdy wszyscy zaczęli podchodzić do grobu i składać kwiaty, i ja położyłem swój skromny bukiet. Dostrzegłem wieniec Majki z szarfą, na której widniał napis: *Pojąć nie znaczy zrozumieć - najwierniejszemu przyjacielowi - Maria*. Zastanowiłem się nad sensem tego, co przeczytałem. Czy to jakiś cytat, czy wyraz jej własnych uczuć?

Cały czas byłem czujny i utrzymywałem Majkę w polu widzenia. A ona trzymała się kurczowo Magdy. Nadeszła chwila, która dla mnie jest najbardziej przykra podczas każdego pogrzebu: ludzie zaczęli się rozchodzić, w milczeniu i zadumie bądź rozmawiając w niewielkich grupkach. Skonsternowani, że zostawili martwe ciało w ziemi, onieśmieleni tym ostatnim spotkaniem. Jedni szli szybkim krokiem, jakby chcieli jak najszybciej mieć to za sobą, inni odchodzili powoli, niepewnie. Majka tak właśnie szła.

Zbliżyłem się do niej i podążałem prawie po jej śladach. Skojarzyłem się sobie z sępem, który ma nadzieję na jakąś resztkę. I ją dostałem. Majka nagle się odwróciła i mnie dostrzegła.

- Cześć!- powiedziałem niepewnie. - Chcę żebyś wiedziała, że bardzo mi przykro. Wiem, jak bardzo Bogdan był ci bliski.

- Dziękuję - odpowiedziała spokojnie.

Magda patrzyła na nas podejrzliwie, nie odezwała się jednak słowem.

- Podwieziesz mnie do domu? - Majka zwróciła się do Magdy.

- Maju, znalazłabyś chwilę, żeby ze mną porozmawiać? Proszę... - sam się przeraziłem skamleniem, które usłyszałem w swoim głosie.

- Daj jej spokój! - odezwała się w końcu Magda.

Majka, niewiele sobie robiąc z jej słów, spojrzała mi w oczy. Dostrzegłem w nich łzy.

- To straszne, prawda? - zupełnie niespodziewanie zbliżyła się do mnie i objęła mnie mocno. Poczułem jej znajomy zapach i odwzajemniłem uścisk. I miałem wrażenie, że wszystko może być proste.

- Dobrze, pójdźmy gdzieś, porozmawiajmy - powiedziała jakby zrezygnowana. - Opowiem ci, jak to wygląda...

Coś takiego mniej więcej powiedziała. „Jak to wygląda”, tak na pewno powiedziała. Zauważyłem, jak Magda wzrusza ramionami i wysyła jej karcące spojrzenie. Ale ta chwila, to miejsce, nie skłaniało nikogo do gorzkich słów, więc po prostu szliśmy w milczeniu cmentarną aleją po żółtych liściach. Lato było wyjątkowo upalne w tym pierwszym roku dwudziestego pierwszego wieku i drzewa szybko straciły liście. Szedłem ze spuszczoną głową i deptałem te liście, dlatego to dobrze pamiętam. Wrzesień jak jesień, przyszło mi do głowy. Nie mówiliśmy nic aż do bramy przy Powązkowskiej.

- Po drodze widziałam jakiś bar, tam pogadamy - odezwała się Majka.

Magda tymczasem skinęła mi na pożegnanie i musnęła Majkę w policzek.

Bar był obskurny i nie zachęcał do prowadzenia rozmów. Plastikowe stoły i krzesła, cerata w biało-czerwona kratę, zapach przypalonego mleka. Typowy tani, mleczny bar. Zamówiliśmy herbatę z cytryną i usiedliśmy w rogu, pod ścianą. Dwa stoły

dalej siedział jakiś niedomyty jegomość, który na dodatek zaczął palić.

- Tu się nie pali, panie kolego! - krzyknęła gruba kobieta, stojąca za ladą, wskazując znak zakazu palenia na ścianie. Facet odburknął coś i wyszedł z baru. W tle radio grało jakąś smętną melodię.

- Skoro już tak nalegasz, to proszę bardzo, porozmawiajmy - powiedziała, gdy usiedliśmy przy stole. - Nie zamierzałam już nigdy więcej z tobą rozmawiać, uważam naszą znajomość za zamknięty rozdział, ale skoro wciąż mnie męczysz... Życie jest takie krótkie, takie kruche; dzisiaj żyjemy, jutro nas nie ma... - zamilkła i wytarła oczy papierową serwetką, którą wyjęła z serwetnika na stole.

- Dziękuję - powiedziałem i po chwili zapytałem: - Powiedz, dlaczego on to zrobił?

- Bo życie jest beznadziejne, pełne bólu i rozczarowań - wypaliła. - Doskonale rozumiem, dlaczego to zrobił, ale nie mogę pojąć, że go już nie ma.

Przypomniałem sobie napis na jej wieńcu.

- Depresja - powiedziała. - Mnie nie było, bo leczyłam własną, daleko stąd. Ewa załatwiła mi pokój w Jastarni. A on tu sam... Rodzina nie chciała zaakceptować jego homoseksualizmu. O Boże... - schowała twarz w dłoniach. Podniosłem się z miejsca i usiadłem obok niej. Objąłem ją mocno i przytuliłem do siebie. Jej zapach wyzwolił we mnie tęskne uczucie za naszą przeszłością.

- Moja kochana... - pocałowałem ją w głowę.

Szloch natychmiast ustał. Wytarła oczy i odsunęła się ode mnie.

- Ja nie jestem już twoją kochaną, pamiętaj - zaprotestowała, dodając do tego przeczący gest otwartą dłonią.

- Jesteś. I będziesz.

- Nie. Między nami koniec. Spotykam się z kimś od miesiąca. On... jest mi bardzo bliski.

- To nieważne. Ja wiem, popełniłem błąd, ale dajmy sobie jeszcze jedną szansę. Jedną, ostatnią szansę, proszę cię. Ja cię kocham Maju, naprawdę!

Gruba kobieta za ladą wyraźnie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Ściszyłem głos.

- Daj mi miesiąc. Taki próbny czas. Zobaczysz, nie pożałujesz... -prosiłem.

- Co ty wygadujesz? Rozstanie z zawieszeniem na miesiąc? Co ty mówisz? Mariusz, ja już nie chcę. Już nigdy ci nie zaufam. Ten ból wciąż we mnie jest. Nie rozumiem, jak mogłeś być tak podły. Zostawiłeś mnie jak psa, który stał się kłopotliwy. A ja byłam kobietą, która zaszła z tobą w ciążę. To nie było planowane, to było zaskoczenie, nie w czas i w ogóle. Ale ty zostawiłeś mi w kopercie pieniądze na zabieg i ulotniłeś się...

Mówiła na tyle głośno, że kobieta za ladą słyszała każde jej słowo; zauważyłem, jak kręci z dezaprobatą głową, patrząc na mnie z pogardą.

- I dlatego nie mogę i nie chcę już być z tobą. Przyszłam tu, żeby ci to wyraźnie powiedzieć, żebyś mnie już więcej nie nachodził. Chcę zacząć życie bez ciebie. Poznałam wspaniałego, wartościowego chłopaka i... jesteśmy razem. To poważne. Dzięki niemu zachciało mi się żyć. Bo może zrobiłabym to samo, co Bogdan...

- Maju, proszę cię...

- Tak, myślałam nawet o tym. Płakałam całymi dniami i myślałam, że najprościej byłoby wyskoczyć przez okno i skończyć z tym. Do tego mnie doprowadziłeś. Zraniłeś mnie! I teraz opowiadasz mi o swojej miłości. Czy ty siebie słyszysz? Jesteś żaloszny. Jaka to miłość? Własna chyba. Nie umiałabym ci już zaufać. Nigdy. Zawsze czułabym tamto odrzucenie. Nawet te-

raz to wszystko znowu wróciło. Więc proszę cię, przestań mnie nachodzić i dzwonić.

- Popeliłem błąd, największy błąd w życiu, i chcę cię prosić o wybaczenie. Ja cię kocham.

- A ja już kocham kogoś innego.

- Szybko się pocieszyłaś.

- A wolałbyś, żeby to był mój pogrzeb?

- Maju, to bez sensu. Ja nie chcę tak rozmawiać..

- Ja też nie chcę rozmawiać, ani tak, ani inaczej. Ostatni raz ci powiedziałam, żebyś dał mi spokój. Dziewczyn naokoło całe mnóstwo. Gdy ja gryzłam w rozpacz ściany, ty zaliczałeś kolejne panienki. To jeszcze dodatkowa sprawa. Spałeś z Magdą, spałeś pewnie z innymi, namawiałeś je na seks w kinie... to się mi potem wszystko złożyło w całość. Więc do widzenia, a właściwie żegnaj!

Wstała raptownie od stołu, potrącając szklanekę, która się przewróciła w moją stronę, oblewając mi spodnie. Za nią tymczasem z hukiem zamknęły się drzwi tego obskurnego baru. Przyłożyłem plik serwetek do mokrych spodni. Miałem zalane całe krocze. Na szczęście, herbata zdążyła już trochę przestygnąć.

Zobaczyłem nad sobą grubą kobietę ze ścierką w dłoni. Zaczęła wycierać stół. Spojrzała na moje mokre spodnie.

- Dziesięć minut wcześniej by się wylała, to byś pan se nieźle przyrodzenie sparzył i problem by był.

- Nie pani sprawa - wypaliłem.

- Moja, nie moja, wszystko słyszałam. Niezły z pana gagatek; może i szkoda, żeś se pan jaj nie sparzył.

- No, wie pani! - rzuciłem mokre serwetki na stół, po czym wstałem i opuściłem to podłe miejsce.

Wszystko stracone. Już jej nie odzyskam. Jest w niej tyle żalu. Tyle słusznego żalu. Jej słowa wprowadziły mnie w fatalny nastrój. Byłem szują. Męską szują. Szedłem ulicą i wdychałem

głęboko powietrze. W tym barze było tak duszno. Kręciło mi się w głowie. Miałem wracać do pracy, ale w tych mokrych spodniach to było niemożliwe. Musiałem się przebrać. Zadzwoiłem i powiedziałem, że przyjadę później. Wymyśliłem jakąś stypę po pogrzebie. W istocie tak było.

8. Celną reakcja

Kolejne dni pamiętam jak przez mgłę. Jakbym wyłączył jakąś synapsę, neuroprzebieżnik, mediator synaptyczny. Wszystkie moje reakcje były zablokowane i spowolnione, zahamowane przez poczucie straty. Pierwszy raz w życiu straciłem zupełnie ochotę na seks. Powiedziałem Monice, co jest tego powodem, i przyjęła to ze zrozumieniem. A inne panienki, które czasem do mnie dzwoniły, po prostu spławiałem.

Ile to trwało? Kilka tygodni? Miesiąc, dwa? Nie pamiętam. Ale pamiętam, że przed świętami Bożego Narodzenia moja chandra wciąż trwała i że w jakiejś desperacji zadzwoniłem do Majki. Odebrała telefon.

- Cześć, to ja - celowo się nie przedstawiłem.

- Cześć! - odpowiedziała krótko i wiedziałem, że mnie poznała.

- Chciałem ci złożyć życzenia świąteczne. Wesołych Świąt! Naprawdę, wszystkiego dobrego. Rodzinnie żeby było - powiedziałem, siląc się na entuzjazm.

- O tak, będziemy wszyscy razem. Ja tobie też życzę Wesołych Świąt.

- A co u Ewy słyhać? - Zapytałem niepotrzebnie.

- Wspaniale. Jest w ciąży.

Dobry nastrój prysł. Wyczułem w jej głosie jakąś szorstkość, kiedy powiedziała o ciąży.

- To świetnie! A tata twój zdrowy? - chciałem czym prędzej zamknąć temat ciąży, ale już było za późno.

- Wiesz, muszę kończyć. Przed świętami jest dużo pracy. Jeszcze raz wszystkiego dobrego, trzymaj się...

- Słuchaj, Maja, halo...

- Tak?

- Maju, ja mam ciągle nadzieję, że będziemy kiedyś razem, wiesz... że kiedyś jeszcze będziemy razem. Tak myślę. Jak sądzisz?

- Nie, nie sądzę.

- Tak ci się teraz może wydawać, ale ja mam jakąś pewność, że będziemy.

- No, dobrze. Muszę kończyć. Cześć! Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

Byłem sam w domu. Mieszkanie dziadka wydawało mi się za duże jak dla mnie jednego. Sto dwadzieścia metrów. Wysoki na trzy dwadzieścia strop jeszcze potęgował wrażenie przestronności jego wnętrza. Było zimno. Powinienem wymienić okna na plastikowe. Muszę zrobić tu remont. Chodziłem zrezygnowany po tym obszernym mieszkaniu i próbowałem czymś zająć myśli. I wtedy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, moje nazwisko nic ci nie powie. Jestem chłopakiem Majki.

Zupełnie mnie замуrowało.

- Halo, słyszysz mnie?

- Tak - odpowiedziałem.

- Słuchaj, przestań dzwonić do niej, rozumiesz?

- Bo ty mi zabraniasz? - zapytałem drwiąco.

- Bo ona tego nie chce! - krzyknął. - Zniszczyłeś swój związek, to teraz wypierdalaj! I nie wypierdalaj się, kurwa, w cudzy, rozumiesz?! - krzyczał coraz głośniejsze. - Nie dzwoń do niej więcej! Miej choć tyle przyzwoitości, żeby pozwolić jej w spokoju

żyć! Rozumiesz?! Wypierdalaj!! Jeszcze raz zadzwonisz, a będziesz miał ze mną do czynienia! Wsadź se chuja między drzwi!! Zapamiętaj to!!! I żegnaj raz na zawsze z naszego życia!

Rzucił słuchawkę. Trzymałem swoją przy uchu, oniemiały. Po chwili ją odłożyłem. No cóż, musiałem przyznać, że zrobił co powinien, żeby chronić swoją kobietę przed namolnym byłym chłopakiem. Facet z jajami. Zareagował błyskawicznie i celnie. W tamtym momencie pomyślałem, że czas najwyższy dać sobie spokój. To zapewne tylko mój egocentryzm nakazywał mi myśleć, że ona wciąż mnie kocha, że w końcu mi wybaczy i wróci. Ona najwyraźniej metodycznie układała sobie życie i może nawet kochała tego faceta. Dlaczego miałyby go nie pokochać? Bo kochała mnie? A kimże ja dla niej byłem? Faktem z przeszłości. W dodatku bolesnym, o którym chciała zapomnieć. A ja maniakalnie jej się przypominałem. Czas z tym skończyć. Czas pogodzić się ze stratą.

Ze stratą nigdy się nie pogodziłem, ale zacząłem żyć swoim normalnym życiem. Dominowała w nim praca, praca, praca, aplikacja, na którą się dostałem, wieczorne wyjścia kilka razy w tygodniu i seks. Zupełnie nie byłem gotowy na nowy związek, więc nikogo na stałe nawet nie szukałem. Ale kiedy poznawałem jakąś dziewczynę, mimowolnie porównywałem ją z Majką. Jej wygląd, maniery, sposób mówienia, widzenia świata, pasje i zainteresowania. I każda wypadła przy niej blado. Oczywiście, chodziłem z nimi do łóżka. I w łóżku też zaczynałem je porównywać. Psychiczenie i anatomicznie.

Jedna z nich pachniała podobnie jak Majka i zacząłem się z nią regularnie spotykać. Zapach to sprawa niesłychana. Albo pasuje, albo nie, przyciąga albo odstręcza. Majki zapach od początku wchłaniał mnie bez reszty. Potem oczywiście spotykałem

dziewczyny, które pachniały przyjemnie, pociągająco, podniecająco, ale żaden zapach nie stapiał się z moim w jedno, nie wchodził mi tak pod skórę. Marta pachniała podobnie, ale jednak nie wchodziła we mnie tak głęboko. Kupiłem jej nawet perfumy, których używała Majka, ale nic z tego. Dystans pozostał. Po trzech miesiącach usłyszałem od niej, że nasz związek się nie rozwija, i więcej jej nie widziałem.

W pracy miałem spore osiągnięcia i czułem się doceniany. Pracowałem średnio od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem z przerwą na lunch. Zdarzało się, że wychodziłem po północy, a przychodziłem przed ósmą rano. Miałem nad sobą doświadczonego radcę prawnego, który pojawiał się i znikał. Uzgadnialiśmy wszystkie ważniejsze projekty, które były do zrobienia, ale ich finalizacja zostawała w moich rękach. Nasze przedstawicielstwo było jedynym na kraj, z prawem do zlecenia sprzedaży samochodów i wszystkich podzespołów autoryzowanym punktom na terenie Polski. Raz w tygodniu miałem całodzienne praktyki w sądzie, a w soboty zajęcia na aplikacji. To był bardzo wyczerpujący system szkoleniowy, z semestralnymi kolokwiami i egzaminami. W tym wszystkim musiałem jeszcze znaleźć czas na seminarium doktoranckie co dwa tygodnie i prowadzenie ćwiczeń z prawa cywilnego dla dwóch grup. Na brak zajęć nie mogłem narzekać. Na nadmiar czasu wolnego również.

Przeprowadziłem postępowanie spadkowe i nabyłem spadek po dziadku. I wtedy do akcji wkroczyła moja matka. Właśnie skończyliśmy jeść niedzielny obiad, na który mnie zaprosiła, gdy rzekła bardzo poważnie:

- Trzeba się wziąć za dom w Wilanowie. Byłam tam ostatnio; elewację trzeba zrobić.

- A tym to już niech się zajmuje Anna Nieznalska. To nie moja sprawa. Znajdę ją, wykonam zapis dziadka i niech ona się przejmuje tym domem.

- Co ty mówisz?! Ty naprawdę chcesz wykonać ten chory zapis? Mojemu ojcu musiało się coś pomieszać w głowie przecież. To jasne. Nikt w rodzinie nie słyszał o jego nieślubnym dziecku. To musiałyby kiedyś wypłynąć. Ta kobieta starałaby się przecież o jakieś alimenty, o cokolwiek. Nawet ciotka Hanka nic o tym nie wie, a oni przecież byli ze sobą blisko.

- Mamo, dziadek był najzupełniej świadomy, kiedy mi o tym mówił. Zostawił mi jej list. Żałował tego wszystkiego, rozumiesz? Żałował swojego egoistycznego życia. Popęłnił dużo błędów, skrzywdził wiele osób.

- A tym zapisem dodatkowo m n i e skrzywdził! Ja liczyłam na ten dom, już ci mówiłam, a ty chcesz go oddać jakiejś babie.

- Twojej siostrze.

- Jakiej znowu siostrze?! Co ty wygadujesz! Ty nic nie rozumiesz !

Rozumiałem wolę dziadka i zamierzałem ją wykonać. Takie miałem postanowienie. Musiałem odszukać Annę Nieznalską. Wykorzystałem w tym celu Centralne Biuro Adresowe. Niestety, nie mieli osoby o tym nazwisku. Sprawdzałem w książce telefonicznej i w Internecie. Też nic. Potem spróbowałem odnaleźć ją po śladach jej matki i w sądzie podali mi nazwę wydziału, w którym sądziła. Udałem się tam, ale nikt już jej, niestety, nie pamiętał. Na emeryturę poszła w latach osiemdziesiątych.

Poszedłem też do specjalisty od spraw spadkowych i przedstawiłem mu swój problem. Poradził mi, abym zamieścił ogłoszenie w prasie. Zgłosiły się dwie osoby o tym imieniu i nazwisku, jednak żadna z nich nie mogła być córką dziadka. Matka jednej z nich jeszcze żyła i była kiedyś pielęgniarką w szpitalu; druga była moją rówieśniczką. Postanowiłem zamieścić za jakiś czas drugie ogłoszenie, a jego efekt był podobny. Zleciłem pięciokrotne zamieszczanie ogłoszenia podobnej treści w odstępach dwumiesięcznych.

Moja matka zaczęła bronić tezy, że ta cała córka to wymysł jej ojca, że zdarzało mu się już wcześniej kreować jakieś historie i ta jest kolejną. Ja byłem przekonany, że córka dziadka istnieje i że prędzej czy później się znajdzie.

Gdzieś w okolicach wiosny spotkałem przypadkiem w sądzie jakąś koleżankę z roku, która mi powiedziała, że Majka wychodzi za mąż. Nawet nie udawałem, że ta wiadomość jest mi obojętna.

- Jesteś pewna? - zapytałem sucho.

- Tak, dostałam zaproszenie na ślub. Czekaj, wczoraj dostałam, powinnam mieć je w kalendarzu - zaczęła szperać w aktówce. Wyciągnęła brązowy *organiser*, z którego wystawała kremowa koperta. Podała mi zaproszenie.

Miałem wszystko jak na dłoni: datę, miejsce, ich dwa nazwiska i jakiś ckliwy wierszyk o sercach na wieki połączonych. Musiałem mieć minę zbitego psa.

- Nie znam tego gościa - mówiła tymczasem ona. - To chyba nikt z naszego wydziału, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałem niemrawo.

- Wszystko w porządku? - patrzyła na mnie z niepokojem. - Jesteś taki blady. No wiesz, nie jesteście już razem, *sorry*, mogłam o tym nie mówić, ale wczoraj dostałam to zaproszenie i gdy ciebie zobaczyłam, to mi się przypomniało...

- Nie ma sprawy. Słuchaj, będę leciał.

Nogi miałem jak z waty i wyraźnie poczułem intensywny zapach swego potu. Wychodzi za mąż. Wychodzi za mąż. Wychodzi za mąż. Dlaczego tak się spieszy? Jest młoda. Dlaczego po niecałym roku znajomości z tym chłopakiem wychodzi za mąż? To chore i niepojęte. Trzeba z kimś zjeść beczkę soli, być z nim w dobrych i złych chwilach, sprawdzić się w tysiącu sytuacjach. Dlaczego ona to robi? Bez końca zadawałem sobie te pytania.

Znalazłem tylko dwie odpowiedzi. Wychodzi za męża, bo go kocha.
Wychodzi za męża, bo kocha mnie.

2010

9.1 nastał ten dzień

Minęło dziesięć lat. Kalendarz świata rejestrował jego zdarzenia, a mój prywatny zegar odmierzał moje życie. Co się wydarzyło w ciągu tej dekady? Co jestem w stanie wymienić, nie zerkając do Wikipedii? Terrorysty zaatakowali Amerykę, Polska wstąpiła do Unii Europejskiej, zmarł Jan Paweł II, nasz kraj, obok Ukrainy, został wybrany na gospodarza Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej EURO 2012, Barack Obama został pierwszym czarnoskórym prezydentem Stanów Zjednoczonych, zmarł Michael Jackson, a dziesiątego kwietnia dwa tysiące dziesiątego roku polski samolot wojskowy, z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie, rozbił się w Smoleńsku.

Co się w tym czasie wydarzyło w moim życiu? W zasadzie niewiele. Obraz Majki stopniowo się zacierał. Przestałem już porównywać do niej inne dziewczyny. Skończyłem aplikację i kupiłem dobry samochód. Mieszkanie dziadka całkowicie wyremontowałem i zrobiłem z niego luksusowy apartament. Miałem pieniądze za sprawą spadku i moich coraz wyższych zarobków.

Miewałem dziewczyny, miałem kochanki. W tym sensie w moim życiu nic się nie zmieniło. Na aplikacji poznałem grono fajnych ludzi, prowadzących podobne do mojego życie - singli poszukujących. Czego poszukujących? Ja to określałem krótko: uroków życia w jego wszelkich odmianach. Zagraniczne wojaże w czasie urlopu i długich weekendów, kolacje do późnej nocy, tenis, surfing, żeglowanie, kręgle, ciekawe filmy, snobistyczne

koncerty, piękni partnerzy i przelotne związki. Bo z założenia żaden z nas, facetów, na stałe jeszcze nie chciał się wiązać. Z reguły każdy miał za sobą jakiś jeden poważniejszy związek, który go jednak zbyt ograniczał i pozbawiał tych wszystkich hedonistycznych przyjemności. Nasz hedonizm był materialistyczny i nawet jeśli niektórzy nazywali go konsumeryzmem, to takie życie nam odpowiadało.

Wraz z dwoma kumplami z aplikacji założyłem kancelarię adwokacką. Z moją dotychczasową firmą nadal współpracowałem, ale na innych zasadach. Była stałym klientem mojej kancelarii. Wynajęliśmy duże biuro w hotelu Marriot i tam prowadziliśmy praktykę. Czułem się bardziej niezależny, ale nie pracowałem wcale mniej. Zatrudniliśmy kilku młodych prawników i aplikantów, mieliśmy siedmiu strategicznych klientów i prowadziliśmy coraz więcej procesów.

Któregoś dnia poszedłem na rozprawę, wytoczoną firmie deweloperskiej o odszkodowanie. To była już kolejna rozprawa i miał być podczas niej przesłuchany świadek z firmy, którą reprezentowałem. Wiedziałem, że rozprawa będzie odroczone, bo świadek zachorował i nie stawi się w sądzie. Chciałem nawet, żeby poszedł na nią mój aplikant, ale on akurat miał obowiązkowe praktyki. Więc poszedłem sam. Dobiegłem na salę rozpraw w ostatniej chwili, w momencie kiedy protokolantka wywoływała sprawę. Usiadłem po stronie pozwanego i wyjąłem z aktówki zwolnienie lekarskie świadka, który się nie stawił. I wtedy spojrzałem przed siebie. Naprzeciw mnie, po stronie powoda, siedziała kobieta w todze radcowskiej. Otworzyłem szeroko oczy.

- Po stronie powoda stała się... - sędzia spojrzał na pełnomocnika powoda.

Pełnomocnik powoda wstała i wyrecytowała:

- Radca prawny Maria Adynowska, z substytucji radcy prawnego Andrzeja Galockiego składa pełnomocnictwo - wyszła z ławki i położyła substytucję na stole sędziowskim.

To była Majka. Tak samo piękna, choć sprawiała wrażenie bardziej wyrafinowanej. Kiedyś była dziewczyną, teraz stała się kobietą. Patrzyłem na nią oniemiały. Idealna twarz o delikatnie zaróżowionych kościach policzkowych, pełne usta, pociągnięte niewidoczną szminką, wyraźny łuk brwi i migdałowe oczy z dość mocno wytuszowanymi rzęsami. W uszach jakieś eleganckie kolczyki z perłą, a włosy gładko zaczesane w koński ogon. Ona, tylko piękniejsza, dyskretnie elegancka i pociągająca.

- Po stronie pozwanego stawił się... Podniosłem się z miejsca i wyrecytowałem formułkę:

- Adwokat Mariusz Jodła, pełnomocnictwo w aktach. Spojrzała na mnie odważnie, a w jej wzroku dostrzegłem jakby cień rozbawienia.

- Panie mecenasie - sędzia zwrócił się do mnie. - Mieliśmy dzisiaj przesłuchiwać świadka, ale do sądu wpłynął faks z informacją o jego chorobie.

- Tak, Wysoki Sądzie, chciałem złożyć jego zwolnienie lekarskie.

- Dobrze, to piszemy... - sędzia zwrócił się do protokolantki. - Pełnomocnik pozwanego oświadcza, że świadek Jan Mackiewicz nie stawił się z powodu choroby; pełnomocnik składa zwolnienie lekarskie. Odraczamy rozprawę.

Sędzia dyktował treść protokołu, a ja dyskretnie zerkałem na Majkę. Tłumiła uśmiech, byłem pewien.

Kiedy rozprawa się skończyła, pierwszy opuściłem salę i czekałem na korytarzu, aż Majka wyjdzie. Pojawiła się po chwili.

- Cześć, co za spotkanie! - próbowałem ukryć zdenerwowanie.

Podawała mi dłoń i uśmiechnęła się, a w jej oczach zobaczyłem pamiętny błękit.

- Cześć, pełnomocniku pozwanego! - roześmiała się głośno.

- Więc zostałeś radcą prawnym - powiedziałem.

- Nie udawaj, że nie wiedziałeś - spojrzała na mnie wymownie. - Byłam na roku z twoim dobrym kolegą; na pewno ci powiedział.

- No tak, to prawda, wiedziałem - przyznałem lekko zbity z tropu. - No wiesz, tak jakoś chciałem zagadać.

- Jasne.

- Słuchaj, tu obok jest fajne *sushi*, może byśmy wypili herbatę i coś zjedli? Trochę zgłodniałem.

Zgodziła się. Powiedziała po prostu:

- Czemu nie?

Nie było w niej żadnej pozy, udawania. Kiedyś, miałem wrażenie, że w jakiś nienaturalny sposób kreowała siebie. Jakby chciała udawać lepszą, niż była. Może dojrzałość dała jej większą pewność siebie. Ta jej naturalność sprawiła, że i ja zacząłem czuć się bardziej swobodnie.

Rozmawialiśmy jak starzy znajomi, unikając tematu, który nas poróżnił przed laty. Wspominaliśmy tylko dobre chwile i znajomych sprzed lat.

- ...naprawdę, Magda jest tam zastępcą dyrektora finansowego.

- W telewizji?

- No tak. Za chwilę dyrektorka idzie na emeryturę i ona pewnie zajmie jej stanowisko. Zawsze umiała liczyć kasę.

- Zwłaszcza swoich licznych adoratorów.

- I wyciągać od nich kasę. A teraz wyciąga ją od reklamodawców.

- Wyszła za męża?

- Skąd! Chcesz jej telefon? - zapytała unosząc brew.

- Nie, daj spokój! Choć jak widzisz - zamachałem palcami bez obrączki - jestem do wzięcia.

- Żadna cię jeszcze nie usidliła?

W jej tonie usłyszałem uwodzicielską nutę. Czyżby ze mną flirtowała? Zaprzeczyłem zdecydowanym ruchem głowy.

A potem zamówiliśmy białe *chardonnay*. Powinienem wrócić do pracy i ona pewnie też powinna, ale żadne z nas nie chciało kończyć spotkania. Spędziliśmy ze sobą już ponad dwie godziny. Po tym czasie nasze komórki rozdzwoniły się na dobre i oboje zaczęliśmy służbowe rozmowy. Kiedy skończyłem rozmawiać, ona jeszcze tłumaczyła przez telefon zawilości dotyczące jakiejś umowy. Brzmiała bardzo profesjonalnie. Obserwowałem ją ukradkiem i myślałem sobie, że oto przede mną siedzi kobieta mojego życia, która na skutek mojej własnej głupoty i mojego egoizmu, nie spędza życia ze mną.

A była olśniewająca w swojej kremowej, znakomicie skrojonej marynarce, podkreślającej szczupłą figurę. Pod jasną, obcisłą bluzką rysował się piękny biust. Miałem erekcję. Czas niekontrolowanych erekcji miałem dawno za sobą, więc to podniecenie jakoś mnie speszyło. Obserwowałem ją zachłannie. Smukłe dłonie o długich palcach, lekka opalenizna, która ładnie kontrastowała z jasną marynarką. Paznokcie pomalowane białym, perłowym lakierem, na palcu lewej dłoni obrączka i pierścionek z brylantem. Pewnie zaręczynowy, pomyślałem z goryczą.

Piłem wino i próbowałem ukryć wrażenie, jakie na mnie zrobiła. Była piękna. Czemu ją tu spotkałem, w tym sądzie? Teraz znowu nie zaznam spokoju. Mogę przelecieć jeszcze setki kobiet, ale czy kiedyś, przy którejś, poczuję coś takiego? Moja erekcja w spodniach była nie do wytrzymania. Nie mogłem zebrać myśli. Zupełnie jak napalony młodziak.

Kiedy wracałem z toalety, obawiałem się, że już jej nie zastanę. Ogarnęło mnie takie irracjonalne wrażenie, że nie zobaczę

Marii przy stole, bo po prostu nigdy jej tam nie było. To popołudnie było takie nierzeczywiste... Ale była, siedziała, podpierając twarz dłońmi.

- Wypiliśmy całe wino... - spojrzała na mnie przeciągle.

- Zamówię drugie - zacząłem szukać wzrokiem kelnera.

- Nie. Chodźmy stąd.

Uregulowałem rachunek i wyszliśmy z restauracji. Nie powiedziała niczego w rodzaju: „Muszę już iść”; powiedziała: „Chodźmy stąd”. Nie chciała zatem kończyć tego spotkania, tylko przenieść je w inne miejsce.

- Możemy pojechać do mnie - zaproponowałem nieśmiało.

- Tak, jedźmy - zgodziła się natychmiast.

W taksówce opowiadałem jej o remoncie mieszkania dziadka, o tym, że je po nim odziedziczyłem, i że teraz tam mieszkam. Słuchała z zainteresowaniem i wtrącała jakieś zdania, które w zasadzie tylko podtrzymywały mój monolog. Zastanawiałem się w międzyczasie, czy pościeliłem dzisiaj rano łóżko, czy zostawiłem przed wyjściem jako taki porządek i czy otworzyłem okno. Pani Oksana sprzątała dokładnie dwa dni temu, więc było dość czysto, ale nieład to była zupełnie inna sprawa.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, zacząłem na wszystko patrzeć jej oczami. Czy tapeta na ścianie nie jest zbyt krzykliwa, a rzeźbione ramy lustra - pretensjonalne? Od razu skierowała się w stronę łazienki, a ja myślałem uparcie, czy nie zostawiłem tam czasem na wierzchu swoich nieświeżych spodni od pizamy. Nigdy tak nie reagowałem. No tak, ale teraz była tu ona. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek tu przyjdzie, a jednak była.

Otworzyłem czerwone wino. Jedno z najlepszych, jakie miałem. Wyjąłem z szafki dwa kieliszki. Wydały mi się brudne, więc na nowo je umyłem.

- Piękne mieszkanie - pojawiła się tuż za moimi plecami.

Podaliśmy jej kieliszek. Usiedliśmy w dwóch fotelach naprzeciwko siebie. Włączyłem muzykę. Wpadła mi w ręce płyta Ani Szarmach. Miała być jakaś nieprzeszkadzająca muzyka, tło. Tymczasem usłyszeliśmy słowa, które zabrzmiały jak pytanie, które sobie wielokrotnie zadawałem: *Dlaczego nas bez walki rozdzielił los, a może kiedyś coś odmieni go?*² Dostrzegłem, że Majka też wsłuchiwała się w słowa piosenki i była poruszona.

- Myślałeś kiedyś, co by było, gdyby wszystko potoczyło się wtedy inaczej? - zapytała niespodziewanie.

- Milion razy - odpowiedziałem bez namysłu, choć nie do końca wiedziałem, co dokładnie miała na myśli. Może chodziło jej o nas, może o ciążę, może o to, że mogła mi wybaczyć albo że ja mogłem zaakceptować wtedy jej ciążę. Cokolwiek miała na myśli, ja i tak o tym wszystkim myślałem wielokrotnie.

- Tamto... wciąż we mnie tkwi - powiedziała.

- Przepraszam.

- Mam chwilowy kryzys w moim małżeństwie.

- Co się stało?

- Właściwie... nie chcę o tym mówić. Kłopoty miną.

- Życie we dwoje nie jest pewnie łatwe.

- Próbowalesz kiedyś? Pokręciłem głową.

- Dlaczego? - zapytała.

Wzruszyłem ramionami. Co miałem jej powiedzieć? Że w żadnej nie odnalazłem jej? Ma męża. Co my tu robimy w ogóle razem? Jaki to ma sens?

Chyba odczytała moje myśli, bo powiedziała:

- Nie wiem, co ja tu robię. Ale nie wszystko da się wytłumaczyć, prawda?

²Motyw z piosenki *Dlaczego* Ani Szarmach.

- Prawda - odpowiedziałem.

- I tak musimy być strasznie racjonalni. W tym życiu - dodała po chwili.

Nalałem sobie wina. Ona wciąż nawet nie tknęła swojego kieliszka.

- Wiesz... chętnie bym się na chwilę położyła. Chyba zaczyna mnie boleć głowa.

Zaprowadziłem ją do sypialni.

- Zdrzemnę się kwadrans; może poczuję się lepiej.

- Oczywiście - podałem jej pled i wyszedłem z pokoju. Kiedy zajrzałem po chwili do sypialni, ona spała. Leżała na

boku, miała zamknięte oczy. Przykucnąłem obok łóżka i wpatrywałem się w nią przez dłuższą chwilę. Potem wstałem i położyłem się obok. Cicho, żeby jej nie zbudzić. Miała wstać po kwadransie, obudzę ją po dwóch. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem.

Obudziłem się, gdy w pokoju było ciemno. Zapaliłem lampkę przy łóżku. Spała w tej samej pozycji. Zerknąłem na zegarek; dochodziła dziesiąta, czyli spaliśmy kilka godzin. Światło i ją przebudziło. Przysiadła na łóżku.

- Musiałam na dobre zasnąć. Czuję się... Słuchaj, masz termometr? Chyba mam gorączkę.

Przyniosłem jej termometr. Rzeczywiście, miała wypieki na twarzy i szkliste oczy. Mogła mieć temperaturę.

- Trzydzieści osiem - powiedziała, patrząc na wyświetlacz. -Może masz aspirynę albo cokolwiek? - zapytała, wzdychając głośno.

- Tak, oczywiście. Połóż się, zaraz ci przyniosę. Połknęła tabletkę, popijając ją obficie wodą. Ja tymczasem

położyłem się obok i zacząłem gładzić jej włosy. Wydawała się taka bezbronna. Wzrok miała lekko zamglony, ale patrzyła na mnie uważnie. Nie mówiliśmy nic, bo właściwie co było do po-

wiedzenia? Czasem życie tak się dziwnie plecie, że zaskakujące jest to, kogo znajdujemy u swego boku.

- Czy ty mnie wtedy naprawdę kochałeś? - zapytała niespodziewanie.

- Nigdy nie przestałem - odpowiedziałem natychmiast. Odwróciła głowę i nic nie odpowiedziała. Leżała na wznak

i spoglądała w sufit. Nagle odwróciła się i zajrzała mi w oczy.

- Wiesz, wybaczam ci tamto wszystko.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością i zdołałem tylko wykrztusić:

- Dziękuję.

A potem zamknęła oczy i znowu usnęła. Wziąłem prysznic i położyłem się obok niej. Ogarnęło mnie błogie uczucie spokoju i natychmiast usnąłem.

Przebudziłem się w nocy. Sama świadomość, że była obok, na wyciągnięcie ręki, dostarczała mojej wyobraźni setki możliwości. Dotknąłem delikatnie jej ramienia. Poczułem, że drgnęła. Odwróciła głowę w moją stronę. Dostrzegłem w ciemności zarys jej twarzy. Nasze usta się spotkały. Jej wargi były chłodne, tabletki musiała zadziałać. Wyczułem w niej wahanie i jakby podświadomy opór. To nawet nie był pocałunek. Odsunąłem się.

- Budzisz we mnie tkliwość - szepnąłem.

Dotknęła ręką mojej twarzy. Zacząłem całować jej dłoń, każdy palec oddzielnie, a potem spód i wierzch dłoni. Tylko tyle mogłem zrobić. Składałem jej hołd, przeprosiny, jakbym oddawał siebie w ofierze. Teraz nie czułem wcale podniecenia, nie miałem erekcji. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Jednocześnie znajdowałem w tym wielką przyjemność.

O świcie połknęła jeszcze jedną tabletkę i wyszła. Słyszałem, jak wstała, ale po prostu leżałem nieruchomo w łóżku i udawa-

łem, że śpię. Czasem słowa są niepotrzebne. Po co miałem się podnosić, co powiedzieć?

Przecież musiała iść, wracać do swojego życia.

Kolejny dzień był podobny do innych: praca, lunch, praca. Wieczorem przyszła do mnie Iza, z którą spotykałem się od trzech miesięcy. To nie było dla mnie nic znaczącego, ale lubiłem się z nią spotykać. Była ładna i inteligentna, i miała wspaniałe piersi. Kiedy poszliśmy do łóżka i zacząłem gorączkowo pieścić jej ciało, ona nagle poderwała się jak oparzona.

- Czuję tu zapach innej kobiety! Na tej poduszce leżała inna kobieta i to całkiem niedawno! Koniec z nami! - krzyknęła. - Ten związek się nie rozwija! Ja nie wymagam miłości, ale chcę chociaż szacunku! - wykrzykiwała, zbierając z podłogi części swojej garderoby.

Po chwili drzwi wyjściowe trzasnęły głośno. Kolejna dziewczyna. Substytut miłości. Nawet jej nie zdradziłem, a odeszła. W czasie, kiedy się spotykaliśmy, nie miałem żadnej innej kochanki. Nagle uświadomiłem sobie, że ja je wszystkie zdradzałem. Tak. Podstępą mocą ukrytej miłości do tej jednej jedynej.

Kochałem w życiu tylko jedną kobietę i pozostałem jej wierny. Uczuciowo.

Kilka dni później zadzwonił do mnie mecenas od spadków i powiedział, że ma dobre nowiny. Ponieważ nie słyszeliśmy się kupe czasu, zapytał tylko, czy nadal chcę wykonać zapis.

- Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej - odpowiedziałem.

Spotkaliśmy się nazajutrz. O umówionej godzinie zjawiłem się w jego kancelarii. Przywitał mnie mocnym uściskiem dłoni.

- Mam dla pana dobre nowiny - oświadczył. - Znalazłem córkę pana dziadka.

Jak się okazało, znalazł ją zupełnie przypadkiem. Jeśli coś ma nastąpić, to nastąpi. Dawno przestał się zajmować moją sprawą, ale zapamiętał nazwisko, którego poszukiwał. Jego syn właśnie pisał doktorat z zakresu procedury cywilnej. Siedział całymi dniami przy komputerze, obłożony literaturą prawniczą. I właśnie kilka dni temu mój mecenas, wiążąc krawat przed wyjściem, rozmawiał z synem, stojąc nad jego biurkiem. W pewnym momencie jego wzrok padł na książkę, leżącą na wierzchu: „Przypozwanie w procesie karnym”. Autor: Hanna Kazimierska-Nieznalska. Przypomniał sobie, że szukał przed laty sędzi o tym nazwisku; kobiety, która była matką mojej zapisobiorczyni. Przez wydawcę książki, której jako nieaktualnej nie było już w sprzedaży, ustalił adres autorki. Nie było to łatwe, ale pomógł mu kolejny przypadek: w wydawnictwie tym pracował jego kolega, który dotarł do starych umów. Mecenas udał się pod wskazany adres, ale okazało się, że osoba, której szuka, tam nie mieszka. Dowiedział się jednak, że pod czwórką znajdzie starszą panią, która może coś wiedzieć, bo mieszka pod tym adresem od pięćdziesięciu lat. I to był właściwy trop. Kobieta od razu wiedziała, o kogo chodzi, bo jej córka do dzisiaj przyjaźni się z córką Hanny Kazimierskiej-Nieznalskiej. Natychmiast zadzwoniła do niej z prośbą o adres.

I w ten sposób odnalazłem swoją ciotkę, przyrodnią siostrę mojej matki, i mogłem wykonać zapis.

Poczułem się lekko.

Część IV

TU I TERAZ

Maria

„Ludzie spotykają się, trzymają przez chwilę, a potem gubią i odnajdują w ramionach kogoś innego, twarze zmieniają się, ale ręce są wciąż te same”

Erich Maria Remarque, *Nim nadejdzie lato*

2010

1. Gorączka ukrytych tęsknot

Weszłam do swojego domu i poczułam się w nim jak gość. Jakbym nie była u siebie. A przecież to ja sama dobierałam te zasłony, lampy i wazony. Na ścianach wisiały obrazy, które sama malowałam. Od tamtej zimowej wiosny 1999 roku, kiedy w kawiarence na Nowym Świecie Mariusz obudził we mnie uśpioną chęć malowania, w wolnych chwilach sięgałam po pędzel. Urządziłam sobie nawet maleńką pracownię na poddaszu. Nie każdy musi być mistrzem, ale każdy ma prawo do radości, jaką daje tworzenie.

Zrobiłam sobie kawę i z kubkiem w dłoni usiadłam na schodach. Piłam, wsłuchując się w ciszę. Był wczesny poranek, dochodziła szósta. Za jakieś trzy godziny Adam wróci z dyżuru. Powinnam się ogarnąć i położyć do łóżka. Byłam osłabiona. Zaczynała się pewnie grypa. Do kancelarii dziś nie pójdę, nie ma mowy. Muszę odwołać dwa spotkania. Wyślę maila w tej sprawie, bo nie mam siły rozmawiać. Nie, zadzwonię do sekretarki, muszę jednak zadzwonić - myślałam.

On był naprawdę zaskoczony naszym spotkaniem. A ja wiedziałam, że go spotkam na tej rozprawie. Byłam tam przecież w zastępstwie, musiałam przejrzeć akta przed sprawą i wtedy zobaczyłam jego nazwisko pod pismem procesowym. Zlecono mi

to zastępstwo właśnie wtedy, gdy zaczęłam analizować siebie, swoje życie i swoje lęki. Mariusz... Niewiele się zmienił, może trochę przytył, zmęźniał. Nie ma w nim tej dawnej niefrasobliwości i wiary we własną wyjątkowość. Jego spojrzenie przygasło. Owszem, tak jak dawniej chodzi wyprostowany, z brodą uniesioną lekko w górę, ale sprawia wrażenie zdystansowanego.

Dlaczego chciałam go teraz spotkać? Po co poszłam do jego mieszkania? Bo chciałam go zobaczyć, tu i teraz. Jaki jest? Czy się zmienił? Jakbym chciała zwalczyć demona, który wciąż we mnie tkwił. Gdy leżał przy mnie i całował moje dłonie, zrobiło mi się go żal. Nie był szczęśliwy, widziałam to. I nagle poczułam, że mu wybaczam. Nie miałam już do niego żalu. Żal mi było nas obojga. Byliśmy wtedy dziećmi, które się pogubiły i zapłaciły za to wysoką cenę.

Starania o dziecko, te wszystkie próby *in vitro*, stymulacje, badania, stosunek na żądanie - zamiast zbliżyć, oddaliły mnie od Adama. Weszliśmy w jakiś krąg, który nas osaczył i obnażył cały mój skrywany lęk. Czułam, że ponoszę winę za swoją bezpłodność. I ta wina tkwiła we mnie od chwili, kiedy przed laty straciłam w wypadku ciążę. To nieprawda, że zamknęłam tamten rozdział. Ja tylko oderwałam się od przykrych wspomnień i schowałam je głęboko w sobie. Nie byłam godna tego, żeby mieć dziecko, myślałam. On mnie przecież nigdy nie kochał, a jeśli nawet ktoś inny mnie pokochał, to pewnie tylko przez pomyłkę.

Wyznał mi, że nigdy nie przestał mnie kochać. Teraz, gdy jestem o dziesięć lat starsza, wiem, że popełnianie błędów jest rzeczą ludzką. Straciłam złudzenia na temat idealnej miłości po tym, jak ją odrzuciłam, bo nie była idealna. Paradoks? Zadowoliliam się ciepłą dłonią, która mnie podniosła z kolan, uczepiłam się jej niczym tonący liny. I powoli, powoli dopłynęłam do lądu. Silniejsza, choć złamana. Z perspektywy lat wszystko jest inne.

Wtedy myślałam zero-jedynkowo i wniosek nasunął się jeden: za wszelką cenę nie dopuścić go już nigdy do siebie; każda opcja bez niego wydawała mi się opcją lepszą, bo trzymała mnie z dala od traumy, którą przeżyłam.

A może to wszystko, co czuję, to brednie? Jakies chore wymysły? Może niepotrzebnie to wszystko tak analizuję? Żyję w uśpieniu. Od dwóch miesięcy nie kochaliśmy się z Adamem. Od naszej ostatniej, nieudanej próby *in vitro*. Cały czas myślę o swoim życiu, o tamtej ciąży, o tym, że jej przecież nie chciałam.

Przypominam sobie moje pierwsze spotkanie z Adamem. Siedziałam w małej kawiarence w Jastarni i jadłam galaretkę z bitą śmietaną. W tamtym czasie jadłam bardzo dużo słodczy, bo tylko one wprawiały mnie - na krótko - w stan czegoś na kształt zadowolenia. Jadłam wtedy tylko owoce i słodczy. I w tej kawiarni spotkałam Adama. Przysiadł się, bo nie było wolnych miejsc, a ja właśnie kończyłam swój deser. Zagadnął, pytając o tę galaretkę, którą kończyłam, bo też miał na nią ochotę. Ostatecznie zamówił dwie: dla siebie i dla mnie. Okazało się, że był lekarzem z kilkuletnim stażem i pracował w warszawskim szpitalu. Był taki pogodny i naturalny. Opowiadał historie ze swojej pracy, o pacjentach, problemach szpitalnych. Był taki pozytywny. Od pierwszej chwili czułam się z nim dobrze. Niedługo potem opowiedziałam mu o rozstaniu z kimś, na kim bardzo mi zależało. Tyle i niewiele więcej.

Na początku naszej znajomości mówił głównie on. Ja słuchałam. Jego opowieści kołysały moje rozdygotane ciało. Później jakoś tak naturalnie zaczęliśmy spacerować po plaży, trzymając się za ręce. Wszystko było takie spokojne, jakby w opozycji do wzburzonego morza. Powoli odzyskiwałam spokój. Kiedy jego urlop się skończył i wrócił do Warszawy, ja z kolei wróciłam do pisania pracy magisterskiej. Adam przyjeżdżał na weekendy i wtedy

byliśmy nierozłączni. Myślałam, że to jest mężczyzna któremu mogę zaufać. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, grom z nieba, który na mnie nagle spadł. Czy to było moje antidotum na Mariusza? Może tak. Teraz, kiedy między nami zrobiło się jakoś tak niemrawo, nachodzą mnie ponure myśli. Może za szybko zdecydowałam się na to małżeństwo? Byłam przybita po rozstaniu z Mariuszem i śmierci Bogdana.

Ostatnio oddaliliśmy się od siebie. To wszystko przez te starania o dziecko. Skoncentrowaliśmy się na miłości jak na zadaniu do wykonania. W dodatku stałam się nerwowa przez te tabletki hormonalne. „Muszę to zmienić, muszę wszystko naprawić” -myślałam.

Usłyszałam szcęk klucza w zamku. To był Adam. Chyba straciłam poczucie czasu na tych schodach. Podniosłam się w chwili, gdy wszedł.

- Ojej, co tu robisz? Wszystko w porządku? Wychodzisz czy przyszałaś?

- Wróciłam, wróciłam na dobre.

- Dobrze się czujesz?

- Mam gorączkę... Dotknął mojego czoła.

- Musisz się położyć. Idź do łóżka, ja ci zaparzę rumianku.

- Pójdę wziąć najpierw prysznic.

Po chłodnej kąpieli poczułam się lepiej. Położyłam się do łóżka, przy którym już stał kubek z parującym rumiankiem. Adam wiedział, że uwielbiałam rumianek. Herbata rumiankowa była dla mnie lekiem na złe i dobre dni. Zawsze parzyła mi ją mama, dodając do niej łyżeczkę miodu i plaster cytryny.

- Jak się czujesz? Co się dzieje? - Adam usiadł obok mnie na łóżku i patrzył z troską.

- Adam, ja... byłam kiedyś w ciąży. Przed laty - te słowa jakby same ze mnie wypłynęły.

- Jak to? Co ty mówisz? - zmarszczył czoło i patrzył na mnie skoncentrowany.

- Zanim cię poznałam. Pamiętasz, miałam takiego chłopaka na studiach, Mariusza. Zaszłam z nim w ciążę, a on mnie zostawił. Właśnie wtedy, gdy powiedziałam mu o ciąży.

Adam patrzył na mnie z niedowierzaniem. Opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami. O kopercie z pieniędzmi na zabieg, o mojej rozpacz, o tym, jak zamierzałam to zrobić, a potem zmieniłam zdanie i miałam wypadek, i poroniłam.

A potem zanosłam się płaczem i wyrzuciłam to z siebie:

- I pewnie dlatego nie mogę mieć dziecka teraz!

- Co ty mówisz! Jesteś zdrowa, każdy lekarz potwierdza, że możesz. To tylko kwestia czasu.

- Ale ja... ja po prostu chyba się boję - wykrztusiłam.

- Czego?

- Nie wiem, nie wiem dokładnie, ale się boję. I myślę, że to ma związek z tym, co się kiedyś stało. To ma jakiś związek -schowałam twarz w dłoniach.

- Czemu mi nigdy wcześniej o tym nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Ja po prostu przestałam o tym myśleć, tak jakby to się zdarzyło komuś innemu, nie mnie. Chciałam o tym zapomnieć...

- Chodź tu - objął mnie i przyciągnął do siebie. - Pamiętaj, to się wydarzyło dawno temu, ale dobrze, że to z siebie wyrzuciłaś. Dla nas nie ma to dziś żadnego znaczenia. Nie ty zawiniłaś. Czasem rzeczy po prostu muszą się zdarzyć i nie mamy na nie wpływu. Rozumiesz?

Przymknął oczy. Leżeliśmy przytuleni do siebie dłuższą chwilę. Zaczął miarowo oddychać i powoli odpłynął w sen. Był zmęczony po dyżurze. Zdziwiło mnie, że przyjął z takim spokojem to, co mu wyznałam. Może nawet poczułam się rozczarowana jego reakcją? Miałam wrażenie, że była w tym obojętność.

Skarciłam siebie za takie myśli. W końcu zwykłe rzeczy, normalne, życiowe problemy stają się mniejszymi, gdy zyskują perspektywę. Kiedy nie tylko my sami się z nimi zmagamy. W tym jest chyba cały sens bycia razem. Aby w tym życiu mieć kogoś, z kim możemy dzielić nasze smutki. Zasnęłam wtulona w jego ramię.

Obudziła mnie przyjemna pieśczoła. Adam całował moje piersi. Zaczęliśmy się kochać. Chciałam go poczuć w sobie. Odwzajemniałam jego pocałunki. Siedząc na nim, dryfowałam z zamkniętymi oczami. Miałam nadzieję, że wróciliśmy do siebie na dobre.

A potem zasnęliśmy.

Śnił mi się Mariusz. W ciągu tych lat śnił mi się co jakiś czas i te sny były do siebie podobne. Byłam młoda i szczęśliwie zakochana. We snach powracały do mnie tylko te dobre wspomnienia. Po takim śnie budziłam się z poczuciem żalu, że to wszystko, co było piękne między nami, musiało się skończyć.

Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki. Adama czekała jeszcze tego dnia praca w prywatnej klinice, gdzie miał przez trzy godziny przyjmować pacjentów. Słyszałam, jak przygotowując obiad, podśpiewywał sobie radośnie. Optymista. Człowiek radosny. Zawsze wiarygodny i lojalny. Nigdy mnie nie zranił, zawsze wspierał. Nie było między nami szalonej namiętności, tej euforii zakochania, powodującej zawrót głowy. Zresztą, nie tego wtedy oczekiwałam. Chciałam po prostu zaufać, być z kimś na dobre i złe. Nauczył mnie ufności. Zaczęłam myśleć, że ona jest najważniejsza i wystarczy, żeby być szczęśliwą z drugim człowiekiem.

Patrzyłam w lustro, przyglądając się swojemu nagiemu odbiciu. To ja. Kobieta trzydziestoparoletnia, jeszcze młoda, choć już widząca perspektywę obrazu, jaką czas zostawi na mej twarzy i ciele. Cienie pod oczami, które zrobią się wyraźniejsze,

zmarszczki wokół ust, które się pogłębia. Piersi jeszcze jędrne, choć zaczynają lekko opadać, a uda wydają się zbyt pełne; nabrały cech dojrzałej kobiecości, od której każda z nas chce uciec. Wszyscy uciekają od siebie samych i kreują siebie na wzór, który funkcjonuje w powszechnym obiegu, po to, aby z tego obiegu nie wypaść. Jesteśmy przez to podobni do siebie jak środki płatnicze: takie same, choć naznaczone upływem czasu; plamami i zadrapaniami życia.

To ja. Żona z głową nabitą myślami o dawnym chłopaku. Wspominająca miłość tak wielką, że łzy płynęły na samą myśl. Tak naprawdę nigdy nie wyrzuciłam go z serca. Zranił mnie w niewyobrażalny sposób, ale zawsze miał swoje nienaruszone miejsce w moich myślach. I sercu, do czego nie chciałam się przyznać.

Nakremowałam twarz, w ciało wtarłam pachnące mleczko, rozczesałam włosy. Przypomniałam sobie, jak zachłannie na mnie patrzył. Patrzył na mnie z miłością. Tak jak wtedy, przed laty. Więc można kogoś kochać i świadomie go ranić? Byliśmy wtedy za młodzi dla siebie. Spotkaliśmy się za wcześnie. Nasz czas się skończył, zanim nadszedł. Zapytałam go wprost, czy mnie naprawdę kiedyś kochał. Tylko to chciałam usłyszeć. Czy naprawdę mnie kiedyś kochał? Z perspektywy lat, doświadczeń, związków, w których był. W jego łazience, na jasnej posadzce, dostrzegłam długi, ciemny włos, więc pewnie się z kimś spotykał. To nie powinno mieć dla mnie znaczenia. Mam swoje życie i o nie powinnam dbać.

Postanowiłam pozbyć się tych sentymentów i poszłam do kuchni.

- Co my tu gotujemy? - objęłam Adama od tyłu i przytuliłam głowę do jego pleców.

- Spaghetti *carbonara*. Taka mała bombka kalorii. Jeszcze tylko posiekam pietruszkę... Jak się czujesz - zapytał.

- Całkiem dobrze. To... - zawahałam się - ...to jakiś fałszywy alarm. Trochę mnie w gardle drapie, ale będę żyła, po gorączce ani śladu. O której wychodzisz? - zapytałam, bo nigdy nie potrafiłam zapamiętać, którego dnia o której wychodził. Poza pracą w szpitalu miał dwie prywatne przychodnie, w których przyjmował popołudniami.

- Dziś jestem w Medice. Idę na piątą. Pokiwałam głową.

- Dzwoniła do mnie ta pacjentka z endoprotezą, wiesz, ta od jajek, że dzisiaj zajrzy do mnie, więc pewnie znowu przyniosę tuzin jaj - zaśmiał się.

Pacjenci kochali Adama. Poświęcał im naprawdę dużo czasu, a oni czuli dla niego ogromną wdzięczność. Okazywali ją często w prosty sposób, przynosząc konfitury domowej roboty albo wiśniową nalewkę, albo - jak ta pacjentka z protezą biodra - jaja od kur biegających po podwórku. Karmione prawdziwymi ziarnami, a nie jakimiś mieszankami.

Moja choroba okazała się zwykłym przeziębieniem. Następnego dnia poszłam do pracy.

2. Ambicje i marzenia

W kancelarii panował nastrój wyczekiwania. Przyjechał do nas partner zarządzający z Londynu. Wiadomo, że nie bez powodu. Trwały podsumowania, oceny, spotkania ze starszymi specjalistami i kandydatami na partnerów. Miałam nadzieję na konstruktywną rozmowę. Na awans liczyło jeszcze dwóch moich kolegów, którzy zaczęli tu pracę w tym samym czasie, co ja. Mieliśmy najdłuższy staż pracy i byliśmy chyba ostatnimi, którzy mogli liczyć na zostanie partnerami krajowymi. Byłam jedyną kobietą w tym gronie, miałam staż pracy o trzy lata dłuższy

niż oni i nieskromnie przyznam, że merytorycznie rozkładałam ich na łopatkę.

Niestety, muszę stwierdzić, że mężczyźni generalnie mieli fory. Jeden z moich kolegów, z którym równolegle zaczęłam pracę, został partnerem i jednocześnie moim szefem już dwa lata temu. Nie wiedziałam wtedy, że kolacja, na którą zostaliśmy obydwój zaproszeni, była w istocie konkursem o awans. W pozornie przyjacielskiej rozmowie przy polskiej kaczce z jabłkami i czerwonym winie odbywał się ranking, stawiano plusy i minusy.

- Nie masz dzieci, prawda? - zapytał nasz zagraniczny partner. - Ja mam dwóch chłopaków, bliźniaki. Nie planujesz? Dzieci to super sprawa.

Powiedziałam więc, zgodnie z prawdą, że planuję. I awansu nie dostałam. Od szefa zarządzającego dowiedziałam się potem, że przecież będę miała wkrótce na głowie ważniejsze rzeczy niż praca partnera w kancelarii.

O swoich sprawach prywatnych nigdy więcej nikomu w kancelarii już nie mówiłam; o moich trudnościach z zajęciem w ciąży tym bardziej. Nawet Sylwii, mojej koleżance z pracy, z którą zdarzało mi się jadać *lunche* i wysłuchiwać jej utyskiwań na męża i problemy z dzieckiem. Wychowywała je głównie babcia, było rozpieszczone i rozkapryszone, ale ona nie widziała możliwości, żeby to zmienić. Spędzała z nim tylko dwie godziny dziennie; w sam raz, żeby zrobić kolację i przeczytać bajkę przed snem.

Rotacja pracowników w kancelarii była duża, zwłaszcza wśród kobiet, które nie wytrzymały narzuconego tempa. Obiecywałam sobie, że gdy zajdę w ciążę, przeorganizuję swoje życie i nie będę jedną z tych zabieganych mam, które ganiają zdenerwowane na linii praca-dom. Zostanę pełnoetatową matką i odnajdę w tym spełnienie. Tak sobie planowałam. Miałam też wewnętrzne przekonanie, że wszystko uda mi się pogodzić. A tak

naprawdę nie miałam zielonego pojęcia, jak to będzie, i jedynie przewidywałam, że nie będzie łatwo, ale po prostu szłam za swoim pragnieniem urodzenia dziecka. Jak widać - bezskutecznie.

Przed południem zostałam wezwana na spotkanie z partnerem zarządzającym i dyskutowaliśmy o mojej pracy, a właściwie o jej wynikach. Liczba wygranych sporów, obronionych apelacji, moja efektywność i wydajność pracy oraz liczba pozyskanych klientów. Wszystkie oceny roczne miałam pozytywne, żadnych skarg na przewlekłość czy niezadowolenia klientów. To się liczyło w naszej pracy przede wszystkim: terminowość i zadowolenie klientów.

Po pracy poszliśmy w kilka osób na kolację: nasz gość Paul, ja, mój szef Andrzej, partner krajowy Michał i jeszcze dwóch starszych prawników, którzy, podobnie jak ja, byli brani pod uwagę przy tym awansie i mieli dziś prywatne audiencje z partnerem zarządzającym.

Czułam, że podobam się Paulowi. Każda kobieta rozpoznaje, że mężczyzna patrzy na nią z zainteresowaniem. Są różne spojrzenia. Zainteresowanie tak zwane ogólne, kiedy rozmawia z tobą i z aprobatą przyjmuje to, co mówisz, a jego oczy wyrażają obojętną ciekawość. I jest też spojrzenie pełne żaru, które krzyczy: „Chciałbym cię dotykać i chciałbym, abyś ty dotykała mnie”. I on właśnie tak na mnie patrzył, zjadając z apetytem zrazy zawijane.

- A co poza tym... no wiesz... w życiu osobistym? Ten sam mąż? Jakież dzieci? - zapytał.

Tym razem byłam czujna.

- Ten sam, żadnych dzieci. Czy wszystkie kobiety muszą mieć dzieci? - zapytałam przewrotnie.

Wzruszył ramionami i odniosłam wrażenie, że przysunął się do mnie bliżej. Był postawnym mężczyzną po czterdziestce, a jego ciemne kiedyś włosy, na skroniach były całkowicie siwe.

Miał bystre spojrzenie zziąjanego buldoga. Tak, to taki człowiek-buldog, pomyślałam.

- Życie jest skomplikowane, nie sądzisz? - zapytał, upijając kolejny łyk czerwonego wina. -1 nudne. Masz kochanka?

Jego pytanie było nieoczekiwane i jedyną sensowną odpowiedzią był mój otwarty śmiech. Śmiałam się teraz głośno i patrzyłam na niego z lekką przyganą.

- Co się śmiejesz? Nie jest nudne? A powiedz, co jest w nim ciekawego? Jutro ogłoszę, że zostajesz partnerem, no i co z tego? Pocieszysz się trzy dni i przyzwyczaisz. I znów nastanie nuda.

Spojrzałam na niego z zainteresowaniem. Powiedział coś, co od dawna wiedziałam, a jednak zabrzmiało to strasznie dekadentcko. Spoważniałam.

- Wiesz, co przerywa tę nudę? - zapytał.

- Co? - zapytałam, ciągle się śmiejąc. On sobie mógł pozwolić na szczerość, na wygłup, na kpinę. Ja czekałam na awans i musiałam ważyć słowa.

- Miłość. Tylko miłość. Choćby jej złudzenie, jaką daje krótki romans.

- Masz rację, miłość jest najważniejsza.

- Nie wyglądasz mi na zakochaną kobietę. Nie wyglądasz nawet na kobietę, która dochodzi do orgazmu. Zimna ryba.

Był pijany. To pewne. To, co mówił, wcale nie było miłe i zupełnie przestało mnie bawić. Wiedziałam, że chciał mnie sprowokować. To wszystko wykraczało poza granice sprośnych żartów, ale postanowiłam wyłącznie tak to traktować. Zachowałam więc zimną krew i odpowiedziałam:

- *You would be suprised!* - po czym wstałam z krzesła i udałam się do toalety.

Poprawiłam makijaż. Byłam trochę wstawiona, ale wszystkie jego słowa odebrałam zupełnie przytomnie. *Cold fish* - dźwięczało mi w uszach.

Później próbowałam nie wchodzić z nim w żadne bezpośrednie rozmowy, a i on chyba nie miał na to zbytnej ochoty. Kiedy opuściliśmy restaurację, wsiadłam do jednej taksówki razem z Andrzejem i Paulem. Andrzej siedział z przodu, a ja z Paulem na tylnym siedzeniu. Jego ręka leżała niebezpiecznie blisko mojego uda, ale udawałam, że zupełnie nie zwracam na to uwagi. Wysiadałam pierwsza i mój *boss* na pożegnanie obdarzył mnie zdecydowanie nie przyjacielskim całusem prosto w usta. Otarłam je z obrzydzeniem, zmierzając w stronę klatki schodowej.

I tak wygląda nasza damska niezależność? Kiedy jesteśmy na tyle młode, że panowie przełożeni nas adorują, żeby nie nazwać tego wprost „molestowaniem”, nie robimy z tym nic, bo robimy karierę. Kiedy już karierę zrobimy, nikt nas molestować nie będzie, bo wokół będą młodsze, które karierę robią i molestowanie akceptują. I jak świat światem, kobiety molestowane będą przez samczą część ludzkości. Nie, nie, to nie jest tak, krzyczałam sama do siebie, ja nic nie akceptuję, po prostu wyolbrzymiam. Ale podświadomie wiedziałam, że jest tak, jak czułam. Kilka lat temu, kiedy wyznałam mu, że zamierzam być matką, nie dostałam awansu. Teraz byłam za to zimną suką, która, jak sądził, marzyła o romansie z nim. Tak to wyglądało. Klasyczny archetyp aseksualnej matki i niebezpiecznej modliszki.

Następnego dnia zostałam wezwana do Andrzeja. W jego gabinecie był także Paul, który wyglądał na potwornie skacowanego.

- Upiliście mnie wczoraj strasznie - oświadczył na powitanie. - Zawsze tak jest, gdy przyjeżdżam do Polski. I jeszcze zawożę do Anglii baterię wódek - wskazał na firmową torebkę Polmosu, w której stały trzy butelki. - Co złego, to nie ja, nie byłem sobą i nic nie pamiętam - dodał przepraszająco, spoglądając na mnie znacząco.

Dobrze wiedziałam, że wszystko pamiętał. A on dobrze wiedział, że trochę się zagalopował. Chociaż tyle. A potem Andrzej oświadczył:

- Gratuluję, podjęliśmy decyzję o twojej nominacji na partnera krajowego. Przedstawię twoją kandydaturę partnerowi zarządzającemu.

Uścisnęli mi dłonie. Akceptacja była tylko formalnością. Oficjalne spotkanie w tej sprawie nastąpi w Londynie za miesiąc, dwa. Pojadę tam, będzie impreza i Paul znów uraczy mnie mokrym całusem. O, nie! Tylko raz mogłam na to pozwolić.

No cóż, byłam szczęśliwa. Miałam wszystko. Choć marzenie o sukcesie jest piękniejsze niż jego realizacja. To pewne. W obliczu jego spełnienia poczułam znów bardzo silnie, niemal dotkliwie, jak bardzo marzę o dziecku, i że naprawdę ono w tej chwili jest dla mnie najważniejsze.

Moje nienarodzone dziecko. Gdzieś w głębi serca czułam, że czeka na mnie, że mnie woła. I miałam nadzieję, że przez jego narodziny odzyskałabym tamto, stracone przed laty, i że w końcu zniknąłby żal, który wciąż głęboko we mnie tkwił.

3. A ona już trzeci raz

Moja siostra Ewa była żoną i matką dwojga dzieci. Mieszkała w ładnym domku w podwarszawskich Łomiankach, w otoczeniu Puszczy Kampinoskiej, jadła wyłącznie ekologiczne produkty, gotowała same pyszności i wydawała się naprawdę szczęśliwa i spełniona.

Tej soboty wybieraliśmy się do niej na obiad, na który zaprosiła nas kilka dni wcześniej. Ojciec z Barbarą też mieli tam być.

Mimo świetnego zorganizowania Ewy, przygotowanie obiadu dla ośmiu osób przy dwojgu dzieciach jest pewnym wyzwaniem, więc zapytałam od razu, czy jest jakaś szczególna okazja. Odpowiedziała, że po prostu miło jest raz na jakiś czas się razem spotkać. Nie uwierzyłam jej.

Jak zawsze rano w sobotę, poszłam na fitness. Z dziką zaciekłością robiłam składy, skłony, pompki, męczyłam mięśnie pośladków i brzucha. Takie zmęczenie fizyczne przynosiło mi spokój ducha. To prawda, że człowiek zmęczony nie ma siły zastanawiać się nad nędzą egzystencji, robić rachunków zysków i strat. W ciągu tygodnia, po całym dniu pracy, byłam wystarczająco zmęczona, żeby mieć spokój ducha. W soboty i w niedziele musiałam się zmęczyć w inny sposób. Bez tego czułam niepokój, zwłaszcza gdy Adam był na dyżurze, a on, niestety, w weekendy dyżurował dość często.

Kiedy już się wykapałam po treningu, poszłam na zakupy do Carrefoura. Adam w tym czasie był na basenie. Ot, przewidywalne życie dwojga żyjących ze sobą ludzi. Gdy wróciłam, rozpakowałam zakupy, ogarnęłam trochę mieszkanie i zaczęłam czytać „Wyborczą”, oczywiście zaczynając od „Wysokich Obcasów”. Adam w tym czasie pisał jakiś artykuł na konferencję medyczną, na którą wybierał się w następnym tygodniu.

Kilka minut po piętnastej podjechaliśmy pod dom Ewy i Roberta. Mały, biały domek ze ślicznym ogródkiem i małym tarasem. U jego wejścia powitały nas kolorowe transparenty: „Witamy Ciocię Maję i Wujka Adama”, „Witamy Dziadka i Babcie”. To oczywiście dzieło dzieci Ewy: pięcioletniej Ani i dziewięcioletniego Piotrusia, wykonane, rzecz jasna, z inspiracji Ewy.

Moi siostrzeńcy byli cudni, a Ania - zdaniem całej rodziny - podobna do mnie. Kiedy weszliśmy do niewielkiego salonu z kominkiem, tata i Barbara już tam byli. Wszystko w domu Ewy było niewielkie, jakby szyte na miarę. Panowała przytulna, rodzinna atmosfera.

- Jesteście, cudownie! - Ewa podbiegła i ucałowała nas na powitanie. Wyglądała świeżo i promiennie w świetnie skrojonej błękitnej sukience.

Robert zaproponował nam drinka. Barbara zaczęła strofować ojca, kiedy ten poprosił o drugą lampkę czerwonego wina.

- Będziesz miał znowu nadkwasotę, nie pij wina - mówiła.

- Jedna lampka, dla zdrowia - prosząco odpowiedział ojciec.

- On ma naprawdę problemy gastryczne, ciągłe bóle, refluks, problemy z trawieniem. Idziemy teraz na płukanie jelita; to jest fenomenalne oczyszczenie organizmu.

Barbara zaczęła wykład o płukaniu jelita, a potem przeszła do zaburzeń wchłaniania. Zdrowie, a właściwie poszukiwanie wszelakich chorób, to był jej ulubiony temat. Z ojcem żyli zgodnie, byli, rzecz jasna, prawowitym mężem i żoną, i tworzyli układ pielęgniarsko-opiekuńczy. Pielęgniarką i opiekunką była oczywiście Barbara. Obie z Ewą zaakceptowałyśmy ją w końcu i nawet polubiłyśmy. Trochę za dużo mówiła i była lekko nieokrzesana, ale doceniałyśmy wszystko to, co robiła dla ojca. Musiała go naprawdę kochać.

Naszą rozmowę raz po raz przerywał jazgot dzieci, które kłóciły się lub spierały o różne rzeczy. W końcu Ania usiadła obok mnie i zaczęła rysować bukiet kwiatów. Patrzyłam z zachwytem na jej skupioną twarzyczkę.

Kiedy kończyliśmy drugie danie, Robert wstał i zastukał w kieliszek.

- Korzystając z tego, że jesteśmy wszyscy razem, chcielibyśmy coś wam powiedzieć. - Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco. - Otóż nowina jest taka, że po raz trzeci będziemy rodzicami.

- Wspaniale! - zawołała Barbara.

Ojciec też jakoś tam okazał swoją radość, a potem z niepokojem spojrzął na mnie. Wszyscy wiedzieli, że bezskutecznie staramy się o dziecko.

Razem z Adamem, niemal w tej samej chwili, wypowiedzieliśmy to samo słowo: „Gratuluję!”. Ewa uśmiechała się niewinnie, niczym dziewczica przyłapana na grzesznych uciechach. Nie mogłam pozbyć się duszącego uczucia, że powinna była mi oszczędzić ostentacyjnego ogłaszania dobrej nowiny. Tym bardziej, że nie robiła tego w ten sposób ani przy pierwszym, ani przy drugim dziecku. Opowiedziałam jej jakieś pół roku temu o naszych nieudanych próbach *in vitro* i o mojej frustracji z tego powodu. Znała sytuację, ale najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co czuje kobieta, która nie może zająć w upragnioną ciążę.

Adam też był jakiś nieswój i wyczuwał moje napięcie.

- A moja żona awansowała w tym tygodniu na partnera w kancelarii. Będzie jedyną kobietą na tym stanowisku - powiedział, zadowolony z siebie.

Obecni zawyli z radości, a ja chciałam się schować. Oto ja, bezpłodna, ale aktywna, bezproduktywna samica która jednak ma jakieś inne zalety. Uśmiechnęłam się tylko niemrawo i przyjąłam gratulacje. Na szczęście Ania wylała sok na stół, więc zrobiło się małe zamieszanie, które zmieniło tok rozmowy.

A potem, jeszcze na dobie, podeszła do mnie Barbara i konspiracyjnie szepnęła:

- Nie martw się, będziesz miała dziecko, karty mi powiedziały...

Więc to aż tak było czytelne? Moja udawana radość z powodu ciąży siostry? A tak naprawdę moja frustracja wychodziła na wierzch i tylko każdy udawał, że jej nie zauważa.

Jedynie Barbara pozwoliła sobie na szczerość. Płukanie jelita, niekonwencjonalne leczenie i jeszcze tarot. Cała skarbnica jej złotej wiedzy. Ścisły umysł mojej matki nigdy nie dopuszczał

do siebie takiego źródła wiedzy. Co mój ojciec w niej widział? Wydawało mi się, że byłam coraz bliższa odpowiedzi na to pytanie. Kochał moją matkę ponad wszystko w świecie i był w stanie wytrzymać jedynie z kobietą, której w niczym z nią nie mógł porównywać. Była po prostu zupełnie inna. Barbara i moja matka, zestawione razem, były jak z innej planety. Tak jak Adam był zupełnie inny od Mariusza, przemknęło mi przez myśl.

Wracaliśmy samochodem i nie odzywaliśmy się do siebie. Podejrzywałam że i jego dopadły smętne myśli o braku dzieci. Byłam poza tym zła, że wyskoczył z tym moim awansem. Czułam się dziwnie upokorzona.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, z miejsca skierowałam się do łazienki. Marzyłam o kąpeli.

- Jesteś zła? - zapytał, kiedy w szlafroku i ręczniku na głowie usiadłam obok niego na kanapie.

- Tak, jestem zła.

- Na mnie?

- Dlaczego powiedziałaś im o moim awansie?

- A co? Zamierzałaś to ukrywać?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Powiedziałeś to... jakby w odpowiedzi, w kontrze do jej ciąży. Oni o ciąży, a ty bach! O moim awansie.

- Ale ja nie miałem nic złego na myśli. Daj spokój... Po prostu cieszę się, że cię docenili, byliśmy tam wszyscy, no to powiedziałem, czemu nie?

- To wyglądało tak, jakbyś chciał mnie przed wszystkimi... nie wiem... usprawiedliwić... że nie mamy dzieci. Że za to mam udaną karierę. Wszyscy tak to odebrali.

- Co ty mówisz? Jesteś po prostu przewrażliwiona.

- A ty nie jesteś?

- Nie. Boże święty, nie mamy dzieci, no i co z tego? Jeszcze będziemy mieli albo nie, no i co z tego? Nie będę z tego powodu świrował. Moje życie ma sens. Mam pracę ciekawą...

- Nie rozumiesz, że dla mnie to może być trudne? To, że moja siostra ogłasza dobrą nowinę, podczas gdy wszyscy liczą, że to ja ją ogłoszę. Oj, nie rozumiesz... - poczułam ogarniające mnie wzburzenie, machnęłam ręką i wyszłam z pokoju.

Chyba naprawdę nie rozumiał.

Leżałam w ciemnościach, kiedy wszedł do pokoju i położył się obok bezgłośnie. Dał nura pod swoją kołdrę i odwrócił się do mnie plecami. Ile jeszcze czeka mnie takich samotnych nocy w jednym łóżku? Seks raz na tydzień, potem na miesiąc i to zawsze z mojej inicjatywy? Czy on mnie jeszcze pragnął? Dwie zimne ryby, pomyślałam sobie.

Nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok i czułam irytację, słysząc jego uśpiony oddech. W końcu wstałam i poszłam do kuchni. Nalałam sobie do kubka mleka i wypiałam je w ciemnościach. Potem wróciłam do łóżka. Usłyszałam, że się przebudził. Wyciągnęłam rękę w jego stronę i dotknęłam twarzy.

- Mhmm... - zamruczał. - Nie śpisz? Dlaczego? A jednak nie rozumiał.

- Kochasz mnie? - zapytałam w ciemności.

- No, jasne... Szalejesz niepotrzebnie. Przytul się do mnie i śpij już. Zasnęłam dopiero nad ranem.

4. A przecież tak ufałam

Mówią, że matki jedynaków są najgorszymi teściowymi. Zapatrzone w swoich synków, w każdej kobiecie widzą rywalkę. Tymczasem Adam był jedynakiem, a jego matka najlepszą teściową pod słońcem. Jako lekarz pediatra, całe życie przepracowała w państwowej służbie zdrowia, z wyjątkiem pięciu lat, które spędziła w Chicago. Ojciec Adama pojechał tam na krótki

pobyty, który przedłużył się do roku. Jako inżynier budownictwa, znalazł w Stanach niezłą pracę i w końcu ściągnął do siebie żonę z dzieckiem. Tyle że potem „na boku” miał Amerykankę, która niebawem zaszła z nim w ciążę. Dziecko miało trzy lata, kiedy o wszystkim powiedział matce Adama. Ostatecznie jego rodzice się rozstali, a Anna wraz z synkiem, który miał wtedy dziesięć lat, wróciła do Polski. Potem kontakty Adama z ojcem były sporadyczne; urodziło mu się kolejne dziecko i całkowicie wrósł w nową rodzinę.

To matka wzięła na siebie całkowity trud jego wychowania. Wróciła do kraju z piętnem zdradzonej żony i musiała sobie radzić zupełnie sama. Mieszkanie, które mieli, sprzedała, gdy wyjeżdżała do Stanów, po powrocie wynajęła więc skromne dwa pokoje, na które szła większa część jej zarobków. Nie było jej lekko, to pewne; bardzo dużo pracowała w przychodni i w szpitalu, aby zapewnić sobie i dziecku godne warunki życia. Potem, na szczęście, doszły alimenty od ojca Adama, więc było łatwiej. A kiedy matka Anny zmarła nagle na zawał serca, sprzedali jej mieszkanie i kupili za nie dwa małe na Żoliborzu: jedno dla matki Adama, drugie dla niego.

Od razu bardzo się polubiłyśmy. Czułam się z Anną bardzo swobodnie od samego początku. Zdawałam sobie sprawę z zawodu, jaki musiała czuć, gdy dowiedziała się o zdradzie męża. Poczułam instynktownie, że nosi w sobie ból. Zawsze potrafiłam wyłowić takich ludzi spośród wielu innych i znaleźć z nimi porozumienie. Tak jakby nawiązywała się między nami tajemna nić wspólnoty. Człowiek z jakąś zadrą w sercu jest ciekawszy, naznaczony cieniem bólu; nie wiem sama, jak to nazwać. Więcej rozumie, a ja jestem w stanie lepiej zrozumieć jego. Anna taka właśnie była.

Miała klucz do naszego mieszkania i czasem wpadała, żeby zostawić nam w lodówce zupę albo jakąś pieczeń. Gdy byliśmy

wtedy akurat w pracy, wysyłała krótkiego SMS-a: *podgrzejcie sobie jagnięcinę w rozmarynie na kolację, zostawiłam*. Była jedyną osobą, którą całkowicie wtajemniczyliśmy w nasze starania o dziecko, wszystkie zabiegi, badania itd. Nigdy nie była nadmiernie dociekliwa, pozwoliła nam powiedzieć tylko to, co chcieliśmy, i może dlatego mówiliśmy jej dużo. Nie krytykowała i nie oceniała. O innych mówiła wyłącznie dobrze albo wcale, machając niedbale ręką, gdy o kimś miała złe zdanie. Ciemnowłosa i ciemnooka, mocnej budowy, ale nie gruba. Miała w sobie jakąś arystokratyczną wyniosłość. Trochę przypominała mi w tym matkę Mariusza, ale w obejściu była zupełnie inna.

Zajrzała do nas właśnie w chwili, gdy pieczołowicie składałam koszule Adama, w których miał wystąpić na konferencji. Przygotował referat, który zamierzał indywidualnie wygłosić. Tylko koszule przeze mnie składane, po rozłożeniu nie były pogniecione. Prasował on, ale składałam zawsze ja.

Była dziwnie zamyślona, kiedy usiadła na sofie w naszym przestronnym salonie. Rozglądała się wokoło, jakby była tu po raz pierwszy. Przez dłuższą chwilę przyglądała się olejnej abstrakcji, wiszącej na ścianie, a potem zaczęła nerwowo głaskać plusz naszej wygodnej, oliwkowej kanapy. Wyczułam, że chce coś powiedzieć, ale jakby się waha, jakby się zastanawia. Zaproponowałam herbatę.

- Raczej melisę poproszę. Miałam dzisiaj trochę wrażeń... Po chwili przyniosłam melisę i usiadłam obok niej.

- Przyszłam do was od razu po tym spotkaniu. Dwa dni temu zadzwonił do mnie pewien adwokat i poprosił o spotkanie w sprawie spadkowej. Powiedział mi tylko, że jest na moją rzecz zapis i że wszystkiego się dowiem na spotkaniu. No i dzisiaj byłam na tym spotkaniu w jego kancelarii.

- Co to za zapis? - zapytałam rzeczowo.

- A co to jest zapis? O spadek chodzi? - zapytał Adam.
- No, powiedz mu, Marysia, bo to skomplikowane...
- Ktoś może odziedziczyć spadek z jakimś zapisem. Dziedziczysz wszystko po kimś, a w testamencie jest na przykład zapis, że samochód masz oddać przyjaciółce zmarłego.
- I muszę to zrobić?
- Musisz tylko wtedy, jeśli ta przyjaciółka się o to upomni. Tak, wtedy musisz. A tak to nie musisz, ale oczywiście ludzie to robią z szacunku dla zmarłego. No i co to za zapis? - zwróciłam się do teściowej.
- O Boże, wyobraźcie sobie, że to jest zapis człowieka o nazwisku Marian Kuncewicz na moją rzecz...
- A kto to jest? - przerwał jej Adam.
- Daj mi powiedzieć, słowo daję! - zirytowała się.
- Przepraszam. No i co? - powiedział Adam.
- Zapisuje mi dom w Wilanowie i twierdzi, że jest moim ojcem. Rzucił moją matkę, gdy była w ciąży, ponoć razem studiowali na prawie... No i dostałam list - wyjęła z torebki poślódką kopertę i zaczęła czytać:
Marian. Nawet nie wiesz, ile bólu sprawiły mi Twoje słowa. Miałam nadzieję, że przemyślisz wszystko i cofniesz to, co powiedziałeś. Nie możesz wierzyć w to, co mówiłeś, bo to się nie mieści w granicach żadnej logiki. Nie zaszłam celowo w ciążę. Komplikuję sobie w ten sposób życie osobiste, a także zawodowe, które jest dla mnie bardzo ważne. Jak możesz zarzucać mi premedytację? Kochałam Cię całym sercem i myślałam, że Ty kochasz mnie. Teraz za późno, aby cofnąć czas. Co się stało, to się nie cofnie. Jestem w ciąży, dziecko się urodzi pod koniec czerwca 1949 roku. Takie są fakty. Wierzę, że przemyślisz wszystko, że dojrzejesz i wrócisz do mnie, a właściwie do nas, bo gdy urodzi się dziecko, będzie potrzebowało ojca, a Ty nim jesteś. Nie będę błagała i prosiła o łaskę. Jeśli nie zdecydujesz się na życie ze mną

i z naszym dzieckiem, będę musiała sobie sama poradzić z Bożą pomocą. Ale wciąż wierzę, że zaakceptujesz fakty i że będziemy razem.
Hanna, Warszawa, dn. 15 grudnia 1948 r.

Podczas czytania kilkakrotnie załamał jej się głos. Gdy skończyła, zamilkliśmy.

- Mamo, czy to pismo babci? Potrafisz je rozpoznać? - zapytał w końcu Adam.

- Tak, to na pewno jej pismo - powiedziała cicho, a po chwili dodała: - Wpadł mi kiedyś w ręce akt małżeństwa moich rodziców i zdziwiło mnie bardzo, dlaczego pobrali się dopiero dwa lata po moich narodzinach. Kiedy zapytałam o to mamę, zaczęła się dziwnie tłumaczyć: że to nie miało sensu, mówiła, że takie czasy były... - machnęła ręką. - Niczego nie podejrzewałam; zresztą... ojciec zmarł, gdy byłam dorastającą dziewczyną... W głowie mi się to wszystko nie mieści.

- Nawet nie za bardzo mam kogo zapytać o tamte minione czasy... - z zadumą powiedziała Anna. - Powiem wam, że to jest dla mnie szok. Babcia Hania nie żyje, mój ojciec nie żyje, nawet go nie znałeś - zwróciła się do Adama. - I po co mi ten człowiek, ten mój prawdziwy ojciec, zapisał ten dom?

- Może miał wyrzuty sumienia? - powiedziałam. - Wiedział, że po świecie chodzi jego córka, a on jej zupełnie nie zna.

- No, właśnie. To dlaczego wcześniej się nie ujawnił? Nie chciał mnie poznać?

- A co to za dom? - zapytał przytomnie Adam.

- Niewielka, przedwojenna willa w Wilanowie, warta mnóstwo pieniędzy.

- Mamo, no to trzeba się cieszyć, będziesz miała zabezpieczenie na starość. Całe życie pracujesz, nie masz żadnych oszczędności. Ten dom spadł ci jak z nieba - powiedział Adam.

Mój optymistycznie nastawiony do życia mąż zawsze znajdował jasną stronę.

- No, właśnie. I powiem wam, że to wcale nie jest takie komfortowe. Nigdy nie dostałam niczego za darmo, a tu teraz taki majątek.

- To nie jest za darmo - powiedziałam. - Ten człowiek, ten twój ojciec, skrzywdził bardzo twoją matkę. Czy wyobrażacie sobie, co ona czuła, zostawiona w takim stanie? To jest tylko niewielkie zadośćuczynienie... - podkreśliłam.

- No, ale wiesz... ja przecież nie miałam świadomości, że zostałam skrzywdzona, zostawiona. W papierach mam innego ojca; zresztą... nawet teraz to on jest dla mnie ojcem... Ja w to wszystko nie mogę uwierzyć! - złapała się za głowę. - No, jest ten list - wskazała ręką kartkę, leżącą na stole - ale potrzebuję jeszcze czegoś, żeby w to uwierzyć, żeby to do mnie dotarło. Zadzwoń do wujka Zenona, może on coś wie.

- Kto to? - zapytałam, bo jakoś nie skojarzyłam.

- Młodszy brat mojego dziadka, czyli ojca mojej mamy - powiedział Adam. - Rodzina dziadka musi coś wiedzieć... Przecież nagle pojawiła się w życiu dziadka Jana kobieta z dzieckiem; oni musieli wiedzieć - powiedział Adam.

- Wzięli ślub, jak miałam dwa latka. A przecież znali się wcześniej... Dlaczego nie wzięli wcześniej ślubu? - zastanawiała się Anna.

Gonitwa naszych myśli trwałaby dłużej, gdyby nie to, że Adam zbierał się do wyjazdu i nagle stwierdził, że jeśli chce dotrzeć przed północą do Gdańska, to musi już jechać.

- Pojedź expresse. Jak ja nie znoszę tych twoich wieczornych podróży! - narzekała Anna.

- Ale nocą najlepiej się jeździ. Nie ma tirów, trzy, cztery godziny i będę na miejscu.

Tak dokładnie powiedział, zamykając walizkę. Ucałował nas na pożegnanie i pojechał.

Zostałyśmy same.

- Nie, no nie mogę w to uwierzyć! To niemożliwe, to się nie mieści w głowie po prostu! - powtarzała Anna.

- A mnie mieści się jak najbardziej - powiedziałam do niej zdecydowanym tonem. - Twoja mama postanowiła, że urodzi dziecko, urodziła je, a potem poznała swojego przyszłego męża, który postanowił zastąpić ci ojca i cię zaadoptował. To musiała być dzielna kobieta, a twój ojciec był szlachetnym i odważnym człowiekiem. Cóż, takie rzeczy się zdarzają...

Historia Anny bardzo mnie poruszyła i skłoniła do zwierzeń. Opowiedziałam jej o moich doświadczeniach sprzed lat, o niechcianej ciąży i odrzuceniu przez chłopaka. Przez lata nie mówiłam o tym nikomu; teraz, w ciągu zaledwie miesiąca, opowiadałam tę historię już drugi raz. Chyba na dobre odchodziły ode mnie zmory przeszłości.

Dojrzałam lekką konsternację w oczach swojej teściowej, kiedy hipotetycznie rzuciłam, że niewykluczone, iż na przykład Adam zaakceptowałby moją ciążę, gdybym nie poroniła, i być może zaadoptowałby moje dziecko.

- Przyznam się, że wołałabym, aby nie stawał przed takim dylematem. Pewnie wtedy, jako matka, nie byłabym zbyt zadowolona - powiedziała.

- Ale twój ojciec tak właśnie zrobił i dzięki temu miałaś normalne dzieciństwo - odpowiedziałam.

Pokiwała ze zrozumieniem głową, ale nie byłam pewna, czy się ze mną zgadza.

Do szczęścia nie ma jednej, prostej drogi, choć zazwyczaj boimy się wychylić poza ustalone stereotypy. A za brak odwagi płacimy później złamanym sercem, a czasem nawet życiem. Stereotypy i uprzedzenia, schematy i sprawdzone wzorce - dobrze że są, pod warunkiem że rozszerzają nasze horyzonty, a nie je ograniczają.

Kiedy wstałam następnego dnia rano, znalazłam na swojej komórce SMS-a od Adama: Dotarłem szczęśliwie. Co za historia z tym zapisem, cały czas o tym myślę, całuję, A. Mnie też to skłoniło do refleksji. Jadąc do pracy myślałam o dziwnych kolejach losu, nieprzewidywalności życia i niespodziankach, jakie niesie każda ludzka egzystencja.

W pracy miałam istny zawrót głowy. Planowałam, że dokończę opinię prawną na temat zniesławienia w Internecie, a tymczasem musiałam ratować klienta. Termin wniesienia sprzeciwu mijał o północy i trzeba było szybko działać, żeby uniknąć płacenia dwustu tysięcy, zasądzonych nakazem zapłaty. Sprawa była na tyle skomplikowana, że to ja musiałam się nią zająć. Klient przyszedł zdenerwowany, bo jego eks-żona odebrała za niego list, który przekazała mu dopiero wczoraj. Płacił najwyższą stawkę za zajęcie się tą sprawą natychmiast.

Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło się ciemno. Po raz kolejny udowodniłam swoją niezawodność, ale do domu wróciłam dopiero późnym wieczorem. W telefonie zauważyłam nieodebrane połączenia od Anny i Adama. Nie miałam dziś nawet chwili na myślenie o czymkolwiek poza pracą.

Adam miał wrócić dopiero następnego dnia. Zrobiłam sobie gorącą kąpiel, a potem zjadłam kolację i zachłannie czytałam jakieś babskie pismo. Powinnam zajrzeć do komentarza z prawa cywilnego, żeby jutro szybciej poradzić sobie z ekspertyzą, ale postanowiłam odpuścić.

Moją lekturę przerwał telefon od Anny. Dzwoniła rozgorączkowana. Ponoć brat dziadka wszystko jej potwierdził. Że jej ojciec ją adoptował, że tamten mężczyzna po prostu porzucił jej matkę, gdy była w ciąży. A ze swoim przyszłym mężem znała się jeszcze ze studiów. Przyjaźnili się ponoć bardzo, a jak ona już była w ciąży, to on jej pomagał. A potem się oświadczył.

Następnego dnia, około dwunastej, przyszedł SMS od Adama: *Mój referat wzbudził ożywioną dyskusję. Nadyskutowałem się już na dzisiaj wystarczająco, więc niedługo wsiadam do samochodu i wracam do Warszawy. Do zobaczenia, A.* Przeczytałam go dopiero około drugiej i natychmiast odpisałam: *No, to super, postaram się wrócić wcześniej z pracy, całusy, Maja.* Potem zajęłam się pracą, parokrotnie zerkając na wyświetlacz telefonu, lecz żadna odpowiedź nie nadeszła. Zadzwoiłam do Adama, ale nie odbierał. O siódmej wyszłam z pracy, w drodze do domu wstąpiłam do delikatesów i kupiłam coś na kolację. Z samochodu jeszcze raz do niego zadzwoniłam, jednak w dalszym ciągu nie odbierał telefonu. Byłam przekonana, że powinien już być w Warszawie, i miałam nadzieję, że czeka na mnie w domu. I tu spotkało mnie rozczarowanie, bo go nie zastałam. Poczułam dziwny niepokój. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie przyjmuje dziś w jakiejś prywatnej klinice, choć byłam pewna, że nie.

Bywały dni, że nie kontaktowaliśmy się przez cały dzień; zdarzało się, że wyjeżdżał na trzy dni i nie dziwiło mnie jego milczenie. Nie należałam do kobiet, które każde spóźnienie męża wyprowadza z równowagi, które dzwonią do niego co trzy godziny, bo tęsknią albo się niepokoją. Tym razem jednak byłam zaniepokojona. Zadzwoiłam do jego matki.

- Nie miałam z nim kontaktu cały dzień. Myślałam, że ma konferencję do wieczora. O której miał wracać? - zapytała.

Powiedziałam jej o SMS-ie.

- Może jednak zdecydował się zostać na tej konferencji? - powiedziała Anna.

- No to dlaczego nie dzwoni? Padła mu komórka? Postanowiłam zadzwonić do Artura z jego oddziału, bo wiedziałam, że on także był na tej konferencji. Zaczęłam gorącz-

kowo szukać jego numeru. Pod nazwiskiem nie znalazłam, pod imieniem też nie. Byliśmy kiedyś z nim i jego żoną na kolacji; powinnam mieć jego numer. Nie miałam. Myślałam przez chwilę, skupiając się intensywnie. Przypomniałam sobie, że niedługo po tej naszej kolacji dzwoniła do mnie żona z jakimś pytaniem prawnym. Musiałam zapisać jej numer, bo zawsze to robię. Nie umiałam sobie przypomnieć jej imienia. Sylwia? A może Edyta? Znalazłam: Sylwia Górka, to ona. Zadzwoiłam i zapytałam, czy Artur wrócił już z konferencji.

- Już wczoraj wieczorem, pojechał tam tylko na chwilę - powiedziała.
- Dzisiaj musiał być w Warszawie. Jest w szpitalu, zadzwoń do niego.

Podawała mi numer i zadzwoiłam do Artura. Znał ludzi, którzy byli na tej konferencji, i obiecał, że do nich zadzwoi i zapyta o Adama.

Nie dzwoił dwadzieścia minut. Po dziesięciu zadzwoiłam ja, ale numer miał zajęty; widocznie rozmawiał. Potem jeszcze raz zadzwoiłam do Adama i nagrałam się na pocztę głosową. W końcu odebrałam telefon od Artura.

- Słuchaj, on wyjechał około pierwszej. Nawet na *lunchu* nie został.

- Jest dziewiąta. Minęło osiem godzin. Nie odbiera komórki. Strasznie się denerwuję.

Po chwili zadzwoiła Anna, pytając, czy Adam już dotarł do domu.

- Może jest jakaś ewidencja wypadków, jakiś rejestr, czy ja wiem... żeby zadzwoić - mówiła rozgorączkowana.

Zacząłam szukać w Googlach podobnego hasła. Wpisywałam różne jego warianty, ale nic konkretnego nie znalazłam.

Dochodziła północ, kiedy zadzwoił telefon. To był Adam.

- Co się z tobą dzieje?! - krzyknęłam - Odchodzę od zmysłów! Dlaczego nie odbierasz telefonu?!

- Szkoda gadać! Złapałem wirusa żołądkowego i dosłownie ścięło mnie z nóg. Musiałem się zatrzymać w hotelu. Zadzwoń do mojej mamy i ją uspokój. Wrócę jutro po południu.

- Ale dlaczego nie zadzwoniłeś?! My tu z twoją mamą od zmysłów odchodzimy! - cały czas mówiłam podniesionym głosem.

- Miałem zadzwonić, ale zasnąłem. Muszę kończyć, idę spać. Miałem ciężki dzień. Dobranoc! - jego głos nie zdradzał żadnych emocji. Był bezbarwny, jakby plastikowy.

- Ale... lepiej się już czujesz?

Zorientowałam się, że mówię do siebie. Adam się rozłączył.

Stałam przez chwilę oniemiała. Nigdy tak ze mną nie rozmawiał. Wybrałam numer Anny i powtórzyłam jej rozmowę z Adamem.

- No, to wszystko jasne. Dobrze że się przebudził i zadzwonił - powiedziała z wyraźną ulgą.

A ja wcale nie byłam uspokojona. Czułam niepokój. Całą noc nie mogłam zasnąć. Nad ranem trochę się zdrzemnęłam, ale nie na długo, bo przed siódmą musiałam wstać. O dziewiątej miałam rozprawę.

Obudziłam się, oczywiście, niewyspana. To była ostatnia rozprawa, więc musiałam wygłosić mowę końcową, co wprawiło mnie w stan lekkiego napięcia i wyzwoliło adrenalinę. Miałam po tym więcej energii i czułam się przyjemnie ożywiona, zwłaszcza że sprawę wygrałam. Obwieściłam w kancelarii dobrą nowinę. Andrzej bardzo się ucieszył, a potem zaprosił mnie do siebie.

- No cóż, szczerze powiem, że twoja działka przynosi kancelarii całkiem niezłe wpływy. Myślę, że powinnaś stworzyć w kancelarii dział własności intelektualnej i zostać jego szefem.

Dotychczas zajmowałam się tą dziedziną w ramach działu prawa cywilnego, któremu szefował. Jego propozycja byłaby krokiem milowym w mojej pracy.

- To wspaniale! - powiedziałam, nie kryjąc radości.

- Dostaniesz budżet, weźmiesz kogoś ode mnie, a potem zatrudnisz ze trzy nowe osoby, jak to się zacznie kręcić.

- Świetnie, właśnie negocjuję umowę z Openhousem. Zaproponuję im nowe warunki i stałą obsługę prawną - powiedziałam radośnie.

Omówiliśmy inne szczegółowe kwestie. Ustaliliśmy, że opracuję cały moduł działu, dziedziny prawa, którymi będzie się zajmował, i strukturę osobową działu na naszą stronę internetową. Potem spotkałam się z młodszymi prawnikami, z którymi pracowałam, i powiedziałam im o naszych planach. Dwoje moich najbliższych współpracowników od razu zadeklarowało chęć przejścia do mojego działu. Byłam wniebowzięta, bo to był miły wyraz zaufania i sympatii do mnie.

W międzyczasie, gdzieś pomiędzy spóźnionym *lunchem* a popołudniową kawą, przerywaną rozmowami z klientem, odebrałam SMS-a od Adama. Pisał, że jest już w domu i na mnie czeka.

Dotarłam do naszego domu parę minut po siódmej. Adam oglądał telewizję i pogryzał herbatniki. Na mój widok lekko się uśmiechnął i podniósł z fotela.

- Martwiłam się. Co się stało, jak się czujesz? - zapytałam na powitanie.

- Musiałem zostać... - powiedział niepewnie. - Jesteś głodna? Zrobiłem sałatkę z grillowanym kurczakiem.

Skinęłam głową, a on poszedł do kuchni. Przebrałam się w domowe dresy i usiadłam w fotelu, zmywając mleczkiem makijaż. Po chwili Adam przyniósł mi sałatkę. Byłam rzeczywiście głodna, więc zaczęłam ją błyskawicznie pochłaniać. Oglądaliśmy razem „Wiadomości”.

Miałam wrażenie, że patrzy w ekran, ale myśli o czymś zupełnie innym. Dostrzegłam w nim smutek. Zmarszczył brwi,

jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał. Niemożliwe, żeby tak bardzo przejmował się tym, co mówił Krzysztof Ziemięć w „Wiadomościach”. Rosnące bezrobocie wśród absolwentów szkół wyższych - ten temat nas zupełnie nie dotyczył. Wyłączył telewizor. Otoczyła nas cisza.

- Czasem człowiek w życiu robi coś, kierując się jakimś impulsem, chwilową potrzebą, a potem niespodziewanie w to brnie... Sytuacja się rozwija i nie ma wyjścia... - zaczął niespodziewanie.

O czym on mówi? O co chodzi? Jaki impuls? Jaka potrzeba? Poczułam niepokój. Przestałam jeść i spojrzałam na niego uważnie. Był blady i miał podkrążone oczy. Nie wyglądał dobrze. Przemknęło mi przez myśl, że mówi o jakiejś zawodowej sytuacji, jakimś przypadku nieuleczalnym, lekach źle podanych. Widziałam, że jest przybity. Zanim zdążyłam zapytać co się dzieje, usłyszałam najgorszą nowinę, coś, czego nie spodziewałam się nigdy. Nie od niego, od każdego, ale od niego nie.

- Jakiś czas temu zacząłem się z kimś spotykać. Najpierw pożyczyłem jej materiały na konferencję, do której się przygotowywała, wysyłałiśmy sobie materiały do doktoratu, ogólnie dobrze się dogadywaliśmy. To bardzo fajna osoba...

Zalała mnie gorąca fala niepokoju. Miałam tylko jedno, proste skojarzenie:

- Masz romans? - zapytałam wprost.

Spojrzał na mnie i od razu wiedziałam, że to prawda.

- Czy możesz mnie wysłuchać? - powiedział zniecierpliwiony.

- Powiedz, czy masz romans? - byłam nieustępliwa.

- Romans, romans... Co to za słowo. Co to oznacza w ogóle? Oddaliliśmy się od siebie, przez te całe „zawody płodności” wszystko się zepsuło. Sama wiesz...

- Czyli... jest ktoś? - właściwie nie musiałam pytać. Wszystko było jasne.

- Tak, jest ktoś - odpowiedział, wstając z fotela. - Jest lekarką, przyjeżdżała do Warszawy na seminarium do mojego profesora, tak ją poznałem.

- Długo to trwa?

Zawahał się. Chodził po pokoju i nic nie mówił. Był blady i nerwowo zaciskał usta.

Trzęsły mi się ręce. Nie mogłam wprost utrzymać kubka w dłoniach.

- Prawie rok - odezwał się wreszcie.

- Rok czasu mnie zdradzasz?! - wykrzyknęłam. - Jak mogłeś? Przecież staraliśmy się o dziecko?! Jak mogłeś?! Nie, ja nie mogę w to uwierzyć...

Cała się trzęsłam. Patrzyłam na niego i miałam wrażenie, że widzę zupełnie nieznaną mi osobę. Przed oczami przelatywały mi sceny z ostatniego roku: wigilia, gdy dostałam od niego bransoletkę, nasze wizyty u lekarza, nasze rozczarowanie, gdy okazywało się, że nie jestem w ciąży, nasz seks, wyjścia do kina, do rodziny i znajomych. Nasze wspólne życie, w czasie którego mnie oszukiwał. Miałam wrażenie, że śnię. Ale najgorsze miałam usłyszeć za chwilę.

Usiadł w fotelu i przez chwilę zbierał się w sobie. Wiedziałam już, że to jeszcze nie wszystko, że za chwilę jeszcze coś usłyszę.

- Ona jest w ciąży - powiedział.

Tego już było za wiele. To ugodziło w mój najczulszy punkt. Miał kochankę i ją zapłodnił. Mnie nie mógł, ale ją zapłodnił. Dostrzegłam w tym jakby samczy śpiew.

- Sam nie wiem, jak to się stało. W końcu... nam się nie udawało - kręcił niedowierzająco głową.

- No i po co to jeszcze mówisz?! Myślisz, że ja nie wiem, że nam się nie udawało?

- Przepraszam - powiedział cicho.

- Będziesz jeszcze mnie przepraszał, sukinsynu. Ty kanalio fałszywa - wysyczałam.

- My to już nie tamci my sprzed lat. Coś się zepsuło między nami - mówił płaczącym głosem, co jeszcze bardziej mnie zdenerwowało.

- Coś się zepsuło i musiałeś się pocieszać gdzie indziej?! - krzyczałam.

- To właśnie oznacza przysięga na całe życie: „że cię nie opuszczę aż do śmierci”? A ja ci ufałam!

- Co mam zrobić? - zapytał.

- Co masz zrobić?! Co masz zrobić?! Nie wiesz, co masz zrobić? Ja mam ci to powiedzieć?! Ja ci nie mówiłam, żebyś pieprzył inną kobietę!

Byłam strasznie zdenerwowana. Mój świat się zawalił. W jednej chwili zaczęłam się nim brzydzić. Chciałam, żeby zniknął z mojego życia. To było jak impuls. Nie było mowy o wybaczeniu, o współczuciu. Nie zastanawiałam się, że może rzeczywiście ja też ponoszę jakąś winę za to, co się stało. Oddaliliśmy się od siebie, było inaczej niż kiedyś, było spokojnie, nudno nawet trochę, rutynowo i powtarzalnie. Był problem, który ciągle miałam w głowie. No i co z tego? Czy to może go usprawiedliwiać? To on mnie zdradził! On zrobił dziecko innej! Nie było się nad czym zastanawiać. To był koniec.

Umyłam twarz zimną wodą, bo paliła mnie od łez. Nawet nie czułam, że płynęły. Wydmuchałam nos i postanowiłam wyjść z tego domu. Włożyłam jakieś dzinsy i podkoszulek, narzuciłam płaszcz i wybiegłam z domu.

Dokąd? Po co? Do kogo? Oczywiście - do Magdy. Wciąż była moją najlepszą przyjaciółką. Od czasu burzliwego rozsta-

nia z Pawłem, z którym - jak twierdziła - zmarnowała pięć lat swego życia, nie miała nikogo na stałe. Miałam różne koleżanki, znajome z pracy, które wiedziały o mnie tylko tyle, ile chciałam, by wiedziały. Pozornie bliskie kontakty, rozmowy na obojętne tematy, eleganckie kolacyjki, niebudujące żadnej głębszej więzi. Takie było moje życie. Magda wiedziała o mnie najwięcej i mogłam jej powiedzieć o tym, co mnie właśnie spotkało. Pewnie, gdyby Bogdan żył... Ale cóż, wolał pożegnać się z życiem. Nigdy nie pogodziłam się z tą stratą. Kolejną w moim życiu i - jak się okazuje - nie ostatnią.

Minęła dziewiąta, Magda powinna być w domu. W pośpiechu nie wzięłam komórki. Na szczęście w torebce miałam portfel z gotówką. Złapałam taksówkę. Po dwudziestu minutach stałam pod domem Magdy na Mokotowie. Wcisnęłam przycisk domofonu. Czekałam dłuższą chwilę. Nic. Byłam nieustępliwa i zadzwoniłam jeszcze raz, potem znowu.

- Halo? - usłyszałam w końcu jej poirytowany głos.
- Magda, to ja, Majka, wpuść mnie - powiedziałam błagalnie.
- Mam faceta w łóżku - powiedziała ściszym głosem.
- Magda, ja jestem w rozsypce, Adam... on ma babę i zrobił jej dziecko
- wypaliłam.

- O kurwa, wchodź! - usłyszałam przeciągły dźwięk uruchamianych domofonem drzwi.

Wjechałam windą na piąte piętro i stanęłam przed drzwiami mieszkania Magdy. Cicho zapukałam. Od razu otworzyła.

- Poczekaj w kuchni, on się ubiera i znika.

Magda była rozczochrana i miała na sobie biały, jedwabny peniuar. Domyśliłam się, że musiałam jej przerwać miłosne igraszki. Poczułam wdzięczność, że potrafiła dla mnie ochłonać. Przez zamknięte drzwi do kuchni usłyszałam, jak żegna się z facetem

i zamyka za nim drzwi. Po chwili pojawiła się w kuchni. Otworzyła drzwi stalowej lodówki i wyjęła z niej czystą wyborową. Napełniła wódką prawie połowę szklanki i podała mi ją.

- Pij! - rozkazała.

Wypiłam posłusznie, niemal duszkiem. Myślałam, że zwymiotuję. Aż mną zatrzęsło. Podała mi drugą szklankę, z sokiem jabłkowym. Też wypić musiałam duszkiem.

- A teraz mów.

- Przepraszam, że ci przerwałam.

- Nie ma sprawy, to taki mój stały kochanek. Zrozumiał. No, mów.

- Co tu mówić? Wrócił dziś z konferencji i powiedział, że od roku spotyka się z jakąś lekarką, że my to się od siebie oddaliliśmy. .. Że to przez te starania o dziecko... No i zrobił tamtej dziecko... - schowałam twarz w dłoniach.

- Ona jest w ciąży? - otworzyła szeroko oczy.

- No tak, jest w ciąży - kiwałam nerwowo głową, jakby nie dowierzając.

- W którym miesiącu?

- A co mnie to, kurwa, obchodzi, w którym miesiącu - powiedziałam z pretensją, podnosząc głowę.

- No tak.

- Co mnie to obchodzi?! - Poczułam że robię się przyjemnie pijana. - Mój mąż, mój idealny mąż. Ta nieskazitelna kreatura...

- To nie do wiary - przyznała. - Każdy inny, ale nie on. Tacy faceci nie zdradzają. Do kościoła chodził co niedzielę.

- I do spowiedzi. Daj mi jeszcze tej wódki. Nalała mnie i sobie.

- Powiedział, co chce zrobić? - zapytała.

- Pytał m n i e, co ma zrobić. Rozumiesz?

- Nie.

- Ja też nie. Boże, jak mogłam się tak mylić?! - pytałam spazmatycznie.

- Nie myliłaś się; ludzie się po prostu zmieniają. Poczuli nową dupę i podryfowali...

Piłyśmy do drugiej w nocy.

Kompletnie pijana wróciłam do domu. Następny dzień oczywiście był spisany na straty. Rano nałożyłam na twarz staranny makijaż i elegancki kostium, by wbrew wszystkiemu udawać, że wszystko gra. Nadchodził czas udawania. Ale może właśnie dzięki niemu udaje się przeżyć? Wkładając maskę, stajemy się osobą, którą gramy, i uciekamy od wszystkich smutków naszej prawdziwej twarzy? Już wiedziałam, że nie.

5. Ja byłem tylko ostoją życia

Kiedy wieczorem dotarłam do domu, stwierdziłam, że wszystkie rzeczy Adama zniknęły. Nie zostawił zupełnie nic, żadnej swojej osobistej rzeczy. Oczywiście, na półkach stały jego książki i płyty, ale czy to były jego osobiste rzeczy? Wszystkie kupiłam ja; on tylko zawsze pytał, co czytam, i sięgał po to w drugiej kolejności. Czy sam kupował jakieś książki? Tylko medyczne i one zniknęły. No i czasem dla mnie coś w prezencie, gdy akurat był pewien, że chcę to mieć. Kiedy jakiś czas temu chciał sobie kupić płytę zespołu AC/DC, skrytykowałam ten pomysł, mówiąc, że to muzyka, która wyzwala agresję. Wsiąkł we mnie? Stracił swoje „ja”? Powinnam czuć się winna?

Chodziłam po naszym domu i szukałam jego śladów. Niczego nie dostrzegłam. To ja wybierałam wszystkie obrazy, lampy, meble, dywany i drobiazgi. Filiżanki i szklanki. Czyżbym pozbyła się z mojego życia jednego, nieistotnego elementu gry, bez któ-

rego mogła toczyć się dalej? Jeszcze dwa dni wcześniej zaprzeczyłabym; teraz nie byłam już tego taka pewna.

W łazience go nie było. Cała półka - na której miał ustawione wody toaletowe i balsamy po goleniu, a także krem pod oczy, który mu kupiłam, a którego nie używał - była pusta. Jego szlafrok, piżama, wszystko zniknęło. Zajrzałam do małej garderoby, którą zajmował przy sypialni. Nie zostało nic. Tylko puste wieszaki chybotwały niemrawo.

Zadzwoił telefon.

- Maju, wiem wszystko. Jak ty się czujesz? To była Anna. Jego matka.

- A jak się mogę czuć?

- Przyjadę do ciebie.

Była po godzinie. Przywiozła supkę ogórkową i pierogi z mięsem. Od razu weszła do kuchni i wszystko podgrzała, a potem zawołała mnie do stołu.

- Ja nie wiem, jak mój syn mógł coś takiego zrobić? Jest mi tak głupio i wstyd. No, zobacz... Ja przecież wiem, jak to jest, gdy facet idzie do innej... Poszedł w ślady swego ojca. Szkoda gadać! - machnęła ręką. - Ale ty jedz.

Jadłam. Na kacu zawsze miałam apetyt, a dzisiaj przez cały dzień zjadłam tylko drożdżówkę z serem i wypłam cztery kawy, no i jeszcze, rzecz jasna, piłam dużo wody. Byłam po prostu strasznie głodna.

Po pierogach i zupie mogłam zebrać myśli.

- Zabrał wszystkie swoje rzeczy i wyprowadził się. Nawet mnie nie uprzedził - głos mi się trochę załamał przy ostatnim zdaniu, ale siłą woli powstrzymałam łzy.

- A ja to myślę, że może się wszystko jeszcze ułożyć... między wami... - powiedziała Anna niepewnie.

Zmroziłam ją spojrzeniem.

- Pewnie do niej się wyprowadził - powiedziałam. Pokiwała smutno głową. Nie było o czym rozmawiać. No,

nie było. Czułam, że mam ją po swojej stronie, i to było dla mnie ważne. Wypiłyśmy herbatę, a potem włączyłyśmy jakiś głupi serial i oglądałyśmy go w milczeniu.

Następnego dnia zamieniłam się w sopel lodu. Już nie płakałam; nawet nie musiałam się powstrzymywać. Wyrzuciłam z siebie całą fontannę wody i jej zasoby się skończyły. Wyszłam. Nawet skórę miałam bardziej suchą. No i wyszłam z siebie. Ze swojego smutku i poczucia straty. Wiedziałam, że to koniec. Zabrał wszystko bez słowa. To mówiło samo za siebie. Zresztą, nie widziałam opcji, żeby z nim być. Gdzie się podziały te wszystkie frazesy o wybaczeniu? Że ludzie dojrzały powinni umieć wybaczyć sobie zdradę, chwilowy kryzys zażegnać i umieć żyć dalej. Każdy ma prawo do słabości?

Zamiast myśleć o wybaczeniu, projektowałam sobie w głowie obrazy Adama z nią. W łóżku razem. On w nią wchodzi. Bez zabezpieczenia, ciało w ciało, jej śluz i jego. Potem pocałunek, wymiana śliny. A skoro to trwało rok, to nie mógł być to tylko seks. Więc co? Jeśli nie miłość, to na pewno bliskość, zażyłość, uczucie. I jak po czymś takim mogłabym go dotknąć? Cięża była ukoronowaniem, dowodem zdrady, jej pełnym skutkiem. Z takim balastem nie mogłabym żyć. Ja, bezpłodna, niepełnowartościowa. Bzdury. Nie byłam niepełnowartościowa. Wartości człowieka nie mierzy się wydolnością macicy. Wiedziałam o tym, a mimo wszystko moja podświadomość czaiła smutne refleksje.

Zadzwoił do mnie wieczorem i poprosił o spotkanie.

- Może spotkamy się gdzieś w mieście? - zaproponował.

Nie chciał w domu. Wolał grunt neutralny. Żeby uniknąć świadectwa wspólnego życia? Żeby nic nie kłuło w oczy. Pewnie tak.

Kiedy weszłam do małej knajpki na Mokotowie, od razu go dostrzegłam. Siedział przy stoliku w rogu sali. Pił wodę mineralną. Tweedowa marynarka, którą mu kupiłam, džinsy i brązowe mokasyny. Wszystko mu wybierałam, doradzałam; on mierzył, a ja oceniałam. Po to, aby innej się spodobał i zrobił jej dziecko.

Przywitaliśmy się krótkim „cześć”. Zamówiłam herbatę.

- Co słyhać? - zadał mi głupie pytanie, ale z drugiej strony, co miał powiedzieć.

- Mój mąż ma kochankę, zrobił jej dziecko i się wyprowadził - odpowiedziałam.

- To wiem. Jak się czujesz? Jak to znosisz?

- Co ty bredzisz? Daruj sobie te komunały. Nie możesz teraz występować w roli troskliwego pocieszyciela. To ty mnie zostawiłeś. Chcesz mi coś powiedzieć, bo muszę wracać do pracy -zniecierpliwiona spojrzałam na zegarek.

W tym momencie przyszedł kelner i zapytał, co podać. Zamówiłam tylko espresso. Nie zanosilo się na długą rozmowę.

- Przeprowadzam się do Gdańska - powiedział.

- Do niej, tak? - w jednej chwili zrozumiałam powód jego częstych konferencji w Gdańsku.

- Tak. Załatwiłem już tam sobie pracę. Załatwiam właśnie formalności.

- To się nazywa szybka akcja - zauważyłam. Zignorował moją uwagę.

- Nie ma na co czekać. Ewa jest w piętnastym tygodniu. Źle się czuje, muszę jej pomóc.

Kiwała tylko głową. Więc to już czwarty miesiąc. Musiała od dawna wiedzieć. Może mu nie mówiła, a może wiedział, tylko

mnie nic nie mówił. Myślał, co zrobić. A teraz podjął decyzję i działał szybko. Tak musiało być.

- Niczego nie chcę. Biorę tylko swój samochód.

- Wystąpisz o rozwód?

- Tak.

- Nie powinno być problemów. Dzieci nie mamy. Wprawdzie rozkładu pożycia nie było, ale cóż... - zauważyłam.

- Zgodzisz się na rozwód bez orzekania o winie? Będzie szybciej.

- Tak. Nie będę robić problemów.

- Jesteś piękna. Wspaniała. Na pewno sobie kogoś znajdziesz. Nie mogę jej w takiej sytuacji zostawić.

- Nie rozumiem tego wszystkiego. To mi się nie mieści w głowie - parsknęłam. - Może i między nami nie było tak, jak kiedyś, ale przecież nie było źle. Nic nie mówiłeś, nie skarżyłeś się.

- I to był mój błąd. To prawda. Ostatnio dużo myślałem, dlaczego to wszystko się stało, i wiem... Ja nie narzekałem i akceptowałem to, co było. A byłaś tylko ty, twoje pragnienia, twoje sprawy... Ja byłem... nie wiem... chyba nikim dla ciebie. Nie czułem, że mnie naprawdę kochasz. To znaczy, tak naprawdę zrozumiałem, jak może być, gdy poznałem Ewę. Między nami nigdy tego nie było.

Co on bredził? Usprawiedliwiał swoją zdradę, ale czemu przy okazji obwiniał mnie?

- Więc to moja wina? - zapytałam spokojnie. - Przed chwilą mówiłeś, że jestem wspaniała. Nie łapię jakoś sensu. Więc to moja wina?

- Wcale tak nie twierdzę. Myślę, że od początku byłem dla ciebie „ostoją życia”. Tylko. Pamiętasz, sama mi to powiedziałaś kiedyś, na początku? - Zamilkł na chwilę, a ja usiłowałam sobie przypomnieć tamtą chwilę, kiedy rzeczywiście powiedzia-

łam mu, że jest moją „ostoją życia”. To było na początku naszej znajomości, gdy nie chciało mi się żyć po rozstaniu z Mariuszem i wypadku. - Maja, życie jest skomplikowane. Może lepiej niczego nie wyjaśniać, bo niepotrzebnie się zranimy.

- Nie, nie, ja z chęcią posłucham. Co masz mi do zarzucenia?

- OK, nic. To ja zdradziłem, to ja zawiniłem.

Zapadło milczenie. Popatrzyłam w jego przekrwione oczy. Nie wyglądał dobrze. Zauważyłam, że nie miał na palcu obrączki.

- Robisz to z litości? Z poczucia obowiązku względem niej?

- No... nie tylko, muszę przyznać - spuścił oczy i wpatrywał się w szklankę.

Nie chciał dodać, że ją kocha, że chce z nią być. To było jasne. Nie mówił, że mnie kocha. Nagle przestał?

- Mnie już nie kochasz?

- Między nami się zmieniło. Nie mogę powiedzieć, że nie, ale ją też kocham. To bardzo wartościowa osoba... Tak się czasem życie układa. Pomogłem jej się pozbierać po stracie męża; wiesz, zginął w wypadku dwa lata temu...

Nie chciałam tego słuchać. Przerwałam mu.

- Więc teraz jesteś jej „ostoją życia”? - zauważyłam. Pokiwał głową.

- To coś innego. Dla ciebie byłem tylko ostoją.

- Muszę już wracać do pracy - dopiłam kawę.

Wyszłam stamtąd, czując się jak zbity pies. Jakie pojemne serce ma mój mąż! Wszystkich kocha. Ale czy nie dlatego właśnie go wybrałam? Kochał świat i ludzi, do wszystkich był nastawiony przyjacielsko. Pocieszyciel strapionych. Mnie poznał, gdy miałam złamane serce. Ją też pocieszał. Jak widać, bardzo skutecznie. A ona? „Bardzo wartościowa osoba”, złodziejka cudzych mężów? Co za nonsensy wygadywał! Z kim ja żyłam? Czy na tym świecie nie ma już normalnych facetów?

A ja? Naprawdę go kochałam? Żyłam z nim tyle lat i zadaję sobie to pytanie. Czy był dla mnie tylko „ostoją życia”? Kochałam go. Inaczej niż Mariusza, ale kochałam. Boże, muszę zacząć wszystko od nowa, myślałam. Znowu będę umawiać się na randki i spotkania. Dbać, aby łona nie porastał żaden włos. Co później w związku uchodzi, na początku dyskwalifikuje. Taka to gra damsko-męska. Nie chciało mi się. Miałam męża, świetną pracę, dom, chciałam mieć dziecko. A teraz muszę zaczynać od początku, z bagażem tych wszystkich doświadczeń. Może to tylko sen, z którego zaraz się obudzę, znajdując Adama u swego boku? Ze zgrozą sobie uświadomiłam, że żałuję tego, co się stało, z czystej wygody, a nie z prawdziwego bólu serca. Znałam ten ból, dobrze go pamiętałam sprzed lat. To, co czułam teraz, w niczym go nie przypominało.

W sobotę pojechałam do ojca i od razu powiedziałam mu, co się stało. Ojciec zamilkł, Barbara była w szoku.

- Ja zaraz ci rozłożę tarota. To mi się nie zdaje możliwe. Karty mi co innego mówiły.

Zdenerwowała mnie tymi kartami. Aż mi się od razu gorąco zrobiło.

- Ja nie chcę żadnych wróżb! - krzyknęłam. - Proszę, nie wyjeżdżaj mi teraz z zabobonami.

- Barbaro, proszę cię... - ojciec, jak nigdy, teraz też był zniecierpliwiony. - Zrób lepiej jakiejś herbaty, widzisz, że ona jest zdenerwowana, słowo daję... - kręcił głową z dezaprobatą.

Barbara potulnie zniknęła w kuchni.

Ojciec naprawdę się przejął. Siedział nad filiżanką herbaty i tylko kręcił głową. Uścisnął pokrzepiająco moją dłoń na znak symbiozy i porozumienia. Nierozwalna więź dziecka z rodzicem, inna niż wszystkie, niż na przykład węzeł małżeństwa. Czymże było małżeństwo? Aktem odwagi zadeklarowania mi-

łości po grób. Umową cywilnoprawną, podlegającą rozwiązaniu na skutek wyroku sądowego.

- A jak w pracy? - ojciec najwyraźniej chciał przejść do kwestii, w których mogłam pochwalić się sukcesami.

- Doskonale. W przyszłym tygodniu lecę na spotkanie partnerów do Londynu. Partner zarządzający przedstawił moją kandydaturę na partnera krajowego i zostałam zaakceptowana.

- To wspaniale! - powiedział ojciec.

- No i tworzę dział własności intelektualnej jako jego szef.

Ojciec był zachwycony, a może tylko udawał? Nie wiem. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę o pracy i już później nie wróciliśmy do kwestii moich problemów małżeńskich. Był problem? Cóż, takie jest życie, a żyć trzeba dalej. To była jego dewiza życiowa, którą dobrze znałam. Nigdy nie narzekał, nigdy nie biadolił; żył, choć życie mu się zawaliło po śmierci żony.

Ewa zareagowała wręcz histerycznie. Zaczęła wykrzykiwać, że Adam to niegodziwiec, że zaraz do niego zadzwoni i mu wygarnie. Tak się uniosła, że zaczęłam się martwić o jej zdrowie; wszak była w ciąży. Ostatecznie zamieniłyśmy się rolami i zamiast ona mnie, to ja ją zaczęłam pocieszać. Tak gorliwie zapewniałam ją, że sobie poradzę, aż w końcu sama zaczęłam w to wierzyć.

6. Druga szansa, czyli ktoś stoi za plecami i się śmieje

Uciekłam w pracę. Dosłownie. Przez kolejny miesiąc zorganizowałam nowy dział w naszej kancelarii i podpisałam umowy o stałej współpracy z czterema dużymi klientami. W pracy spędzałam cały dzień, a wieczorami umawiałam się na kolacje ze znajomymi, z którymi dotychczas widywałam się sporadycznie.

Czasami znajdowałam w lodówce jakąś potrawę, przygotowaną przez Annę.

Muszę przyznać, że Annę zupełnie załamało nasze rozstanie. Adam zostawił mnie, ale w pewnym sensie także ją, bo wyprowadził się do Gdańska. Wyznała mi, że czuje się osamotniona. Tak w istocie musiało być, bo oprócz syna, nie miała żadnej bliskiej rodziny. Była jedynym dzieckiem swoich rodziców. W dodatku dowiedziała się niedawno, że jej ojciec nim naprawdę nie był.

Któregoś wieczoru wpadła do mnie ze świeżą lasagnią. Siedziała obok i piła wino, w czasie kiedy ja jadłam.

- Tobie ciężko, ale kto wie, czy mnie nawet nie bardziej. Najpierw dowiedziałam się, że mój ojciec to nie mój ojciec, a potem mój syn zostawił żonę i wyprowadził się do innego miasta. Nie wiem, jak on mógł tak zrujnować nasze życie.

Lubiła i umiała uważać się nad sobą. Inaczej niż ja, która udawałam, że wszystko gra. Nikomu w pracy nie powiedziałam o mojej sytuacji.

- Mam przyjść do notariusza na wykonanie zapisu - powiedziała Anna. - No wiesz, tego domu po moim rzekomym ojcu. Już wcześniej do mnie dzwonili, ale byłam zbyt zdenerwowana Adamem, żeby o tym myśleć, żeby się spotykać z prawnikiem. Adam miał pojechać ze mną i obejrzeć ten dom, ale nie przyjechał, bo ponoć ona dostała jakiegoś krwotoku i położyli ją do szpitala.

Zainteresowałam się. Może dostała krwotoku i poroni? - przeszło mi przez głowę. Okrucieństwo podświadome. Tkwi w każdym z nas. Właściwie czemu miałyby urodzić? Mogła przecież stracić ciążę. Taka kara byłaby uzasadniona w obliczu tego, co mi oboje zrobili. Skarciłam siebie za takie myśli. Pewnie i tak bym z nim nie była. Anna dostrzegła moje zainteresowanie i chyba się domyśliła, o czym pomyślałam, bo powiedziała:

- Ale wszystko jest w porządku. Porobili jakieś badania i wypuścili ją do domu - westchnęła.

Zamilkła na chwilę.

- Sama tam pojechałam i obejrzałam ten dom. Bardzo przyzwoity. Stary, może nawet do remontu, ale w świetnym miejscu. Zupełnie nieoczekiwanie szykuje mi się godna starość, no, bo chyba go sprzedam; a zresztą nie wiem. On jest teraz wynajmowany.

- Trzeba sprawdzić w księgach, czy są czyste - zauważyłam.

- A jak to się robi?

- Normalnie. Idzie się do działu ksiąg wieczystych. Podaj mi numer księgi to sprawdzę; i tak powinnam tam pójść w jednej sprawie - zaproponowałam.

- Oj, byłoby wspaniale. Ale nie chcę cię obciążać.

- Nie ma sprawy, sprawdzę to.

- Bo ja to bym chciała, żebyś na to podpisanie aktu ze mną poszła, wiesz, do notariusza.

- Dobrze, pójdę. Jak wrócę z Londynu. Mam tam spotkanie zawodowe w przyszłym tygodniu.

Przez cały weekend szukałam jakiegoś odpowiedniego ubrania na ten wyjazd. Byłam zaproszona na oficjalną kolację, na której, poza partnerem zarządzającym i ludźmi z naszego londyńskiego biura, mieli być świeżo wybrani partnerzy lokalni z czterech krajów. Oczywiście, miałam kilka sukienek, które się na tę okazję nadawały, jednak chciałam kupić coś, w czym wyglądałabym świeżo i nowo. Niczego nie znalazłam. Wyciągnęłam więc z szafy kilka obnoszonych sukienek i zaczęłam je mierzyć. Okazało się, że schudłam. No cóż. To pewnie na skutek stresu. Rzeczywiście, ostatnio straciłam apetyt. Czasem zmusza-

łam się tylko do zjedzenia kawałka chleba bo czułam wyraźne ssanie i lekkie mdłości. Piłam tylko kawę i wodę. Gdy stanęłam na wadze, okazało się, że schudłam trzy kilo.

Mogłam sobie udawać silną, nie płakać i nie użalać się nad sobą, a moje ciało wiedziało swoje. Nie mogłam go oszukać. Buntowało się i usychało. Sylwia z pracy stwierdziła, że to wrzody, i że mdłości i chudnięcie na to wskazują. Obiecałam sobie, że po powrocie z Londynu pójdę do lekarza.

A tymczasem do Londynu poleciałam sama, bo Andrzej udał się tam dwa dni wcześniej. Zamieszkałam w małym i bardzo eleganckim hoteliku w South Kensington, gdzie znajdowała się londyńska siedziba naszej kancelarii. Niestety, moje dolegliwości się nasiliły po zjedzeniu w samolocie jakiejś beznadziejnej kanapki z majonezem. Ten majonez leżał mi na wątrobie przez kolejne dwa dni. Na kolacji, w czasie której byłam jednym z pięciorga gości honorowych, podano ostrygi. Po zjedzeniu jednej z nich myślałam, że zwymiotuję. Oczywiście, ostrygi były przysmakiem partnera zarządzającego, więc nie ośmieliłam się przyznać do moich odczuć. Jadłam ogólnie niewiele, za to nadrabiałam piciem. Wyborne *chardonnay* wchodziło mi bez problemów. W sumie kolacja się udała, choć oczywiście luz, który podczas niej panował, był kontrolowany, a repertuar żartów i anegdot znałam już z poprzednich spotkań. Partner zarządzający operował pewnym schematem.

W Warszawie przywitała mnie jesień i od razu wpadłam w przygnębienie. W domu panował zaduch i przerażająca cisza. Jeszcze zanim zdjęłam buty, wyrzuciłam z wazonu uschnięte astry. Zawsze, kiedy wracałam z wyjazdów służbowych, już na lotnisku witał mnie Adam, a potem w domu zapach kolacji, którą przyrządzał. Było nam przecież dobrze. Czemu to się skończyło? Kochał mnie i mnie zostawił. Tak jak przed laty Mariusz. Jeden uciekł do ciąży, drugi przed ciążą. Usiadłam w fotelu, w którym

zwykle siadywał Adam, i zaczęłam płakać. Przemknęło mi przez myśl, że chciałabym spotkać Mariusza. Nasze ostatnie spotkanie zostawiło we mnie pozytywny ślad.

Płakałam parę minut i chyba poczułam się lepiej. Oczyszczająca moc łez zadziałała. Za to moje oczy zrobiły się czerwone, a na twarzy wystąpiły różowe plamy. Zawsze tak miałam od płaczu. Potem już nie płakałam, ale smutku się nie pozbyłam. Wiedziałam, że muszę tylko doczekać jutra. Pójdę do pracy, wejdę w kierat i smutki przegonię w kąt.

I wtedy coś mnie tknęło. Kiedy ja ostatnio miałam okres? Wzięłam swój kalendarzyk, w którym okrągłą obwódką zaznaczałam daty pierwszych dni miesiączek. Był październik. Ostatnie oznaczenie było z czerwca. Maj też był pusty i kwiecień. Od kiedy przestałam tak usilnie starać się o dziecko, zbuntowałam się wobec wszystkiego, co kojarzyło mi się z dniami płodnymi. A pierwszy dzień menstruacji oznaczał, że za około dwanaście dni nadejdzie owulacja i wtedy można próbować. Więc po prostu przestałam ją oznaczać. Zwykły syndrom wyparcia.

I teraz nie wiedziałam już, nie pamiętałam, kiedy miałam ostatnią miesiączkę. Wydawało mi się, że wystarczająco dawno, żeby się jej natychmiast spodziewać. I nagle... moja niestrawność, mdłości, płaczliwość, nabrzmiałe piersi - wszystko to zaczęło mnie utwierdzać w tym, że mogę być w ciąży.

Następnego dnia, w drodze do pracy, kupiłam test ciążowy.

Tego dnia pisałam opinię prawną, więc cały dzień ślęczałam przed komputerem, analizując orzecznictwo i poglądy doktryny. Nie mogłam się skupić na orzeczeniach. Ogarnęło mnie przeczucie graniczące z pewnością, że naprawdę jestem w ciąży. Umówiłam się do ginekologa na następny dzień. I tak powinnam zrobić już rutynowe badania.

Gdy tylko wróciłam do domu, sięgnęłam po test. Robiłam go w ostatnich latach wielokrotnie, czasem już wtedy, gdy o jeden

dzień spóźniał mi się okres. Tylko raz, wtedy przed laty, pojawiła się druga kreska. Teraz uparcie wpatrywałam się w mały kwadracik plastikowego próbnika. I dostrzegłam wyraźnie, jak pojawia się na nim druga kreska. Byłam w ciąży. Kiedy to się mogło stać?! Gdy wróciłam nad ranem od Mariusza, a Adam przyszedł z dyżuru? A może wcale nie był na dyżurze, tylko u niej? Co za przewrotność losu! I znów jestem sama w ciąży. Jakby życie zatoczyło koło i postawiło mnie przed tym samym wyzwaniem.

Druga szansa. Ktoś stoi za plecami i się śmieje. I co teraz zrobisz? Masz wątpliwości? Strata czy szansa, wygrana czy przegrana? Tym razem nie miałam żadnych wątpliwości. Będę miała to dziecko. Samotnie je wychowam. Byłam zaskoczona i zdezorientowana, ale na pewno bardziej zadowolona niż jeszcze wczoraj, kiedy wróciłam do pustego domu.

Część V

TERAZ

Maria i Mariusz

„Nie można mieć pretensji do powieści, że fascynują ją tajemnicze spotkania przypadków (...), ale można mieć pretensję do człowieka, że nie dostrzega w swym codziennym życiu takich przypadków i że jego życie traci w ten sposób swój wymiar piękna”

Milan Kundera, *Niežnośna lekkość bytu*

Maria 2010

1. Dziwne konstelacje życia

Czekałam w jasnej poczekalni wraz z dwiema kobietami. Obie były w zaawansowanej ciąży i rozmawiały ze sobą o trudach i znojach swojego stanu. Ja siedziałam w milczeniu, przysłuchując się z uwagą ich wynurzeniom o pierwszych ruchach dziecka, o zgodzie ciążowej i skurczach Braxtona. Niedługo potem zostałam poproszona do gabinetu.

Powiedziałam pani doktor o pozytywnym wyniku testu. Przyjęła to w milczeniu, bez jakiegokolwiek zaangażowania. Chłodny profesjonalizm. Poszłam do pierwszego z brzegu ginekologa, który miał akurat wolny termin. Teraz zaczęłam tego żałować. Kiedy mnie zbadała, zaczęła coś notować w karcie, a potem powiedziała spokojnie:

- Rozpulchniona szyjka i trzon macicy. Macica też wydaje się powiększona. Ciąża. Gratuluję!

Uśmiechnęłam się. Ona tymczasem znów zaczęła coś pisać.

- Badanie moczu, krew. Tu są skierowania. USG trzeba zrobić, bo to nam przybliży wiek ciąży. Nie zna pani przecież terminu ostatniej miesiączki - ostatnie zdanie wygłosiła z wyraźną przyganą.

Wyszłam z gabinetu i od razu zadzwoniłam do Ewy. Ona także była przecież w ciąży. Pewnie miała jakiegoś dobrego lekarza.

- Jesteś w ciąży?! - wykrzyknęła uradowana. - To cudownie! Tylko, o Boże, co na to Adam, on przecież...

- Nic nie wie jeszcze, a poza tym ma przecież drugą, która też jest w ciąży. Nawet nie wiem, czy chcę mu teraz o tym mówić. Muszę sama sobie to wszystko zorganizować, wiesz, jakoś zaplanować...

- No, jasne. Ale co to dla ciebie? Ze wszystkim sobie poradzisz. A ja w ogóle myślę, żeby przedszkole otworzyć, to będziesz dziecko przyprowadzać do cioci Ewy.

- Potrzebuję namiar do dobrego specjalisty od USG.

- Wyślę ci wszystko SMS-em. Mam kogoś świetnego.

Jej reakcja bardzo mnie ucieszyła. Ciekawe, jak by zareagowała przed laty, na wiadomość o tamtej ciąży? Może nie wsiadłabym wtedy do samochodu i nie pojechała po zderzenie z przeznaczaniem?

Potem zadzwoniłam do ojca. Także i on bardzo się ucieszył. Od razu powiedział, że mogę liczyć na pomoc jego, czyli dziadka, i babci, czyli Basi. A w tle słyszałam krzyki Basi, że ona mi to przecież przepowiedziała, że będę wkrótce w ciąży. O Adamie nawet nie wspomnieli. No, a potem zadzwoniłam do Magdy, która była zaskoczona i oniemiała, i powiedziała tylko: „Ale się porobiło!”. Potem wykrztusiła swoje: „Gratuluję!”, a potem jeszcze dodała: „I cieszę się razem z tobą bo w końcu chciałaś mieć dziecko przecież”.

- Straciłam męża, zyskałam dziecko - powiedziałam, naśladowując jej beztroski ton.

Magda przysłała do mnie jeszcze tego samego dnia. Usiadła w fotelu, piła napój energetyzujący, który sama przyniosła, i przyglądała mi się z uwagą. Tak jakby chciała dostrzec we mnie jakąś zmianę.

- To ja, twoja przyjaciółka, w ciąży i porzucona przez męża. Wkrótce samotna matka - odezwałam się.

- Nie płaczesz, nie rozpaczasz. Nic nie rozumiem - powiedziała.

- Więc wolałabyś zobaczyć mnie we łzach?

- Nie, skąd. Ale już to kiedyś przerabialiśmy, z Mariuszem, pamiętasz?

- Pamiętam. I dziwię się sobie wtedy. Że to była dla mnie taka tragedia. Wszystko się zmienia.

- Byłaś wtedy dziewczyną wchodzącą w życie; nic dziwnego, że tak zareagowałaś.

- I wierzyłam, że szczęście jest gdzie indziej. Czy uwierzysz, że moja rozpacz po odejściu Adama skończyła się, gdy dowiedziałam się, że będę miała dziecko?

- Nie rozumiem. A ja cię pocieszałam, że przynajmniej dzieci nie macie...

Nie rozumiała. I ja sama tego nie rozumiałam. Ale tak naprawdę było.

Wiedziała, że powinnam powiedzieć o wszystkim Adamowi. To zadziwiające, że zniknął z mojego życia tak szybko. Nie było go już prawie dwa miesiące. Odciał się od naszego życia w dosłownym tego słowa znaczeniu. Był ojcem mojego dziecka i nawet o tym nie wiedział. Uznałam, że muszę mu o tym powiedzieć, i wielokrotnie chciałam zadzwonić, ale coś cały czas mnie powstrzymywało. Nie wiedziałam, jak zareaguje, ale w naszej sytuacji każda reakcja była zła. Wyjścia były dwa: albo na wieść o tym będzie chciał do mnie wrócić, albo mimo wszystko zostanie z nią. Nie chciałam, żeby został ze mną, bo to oznaczałoby, że wraca tylko ze względu na dziecko. Gdyby mimo mojej ciąży chciał zostać z nią, poczułabym się dla niego zupełnie nieważna i też byłoby źle. To, co do niego w tej chwili czułam, najprościej mogłam wyrazić jako żal. I to, że spodziewałam się z nim

dziecka, nie mogło tego zmienić. Postanowiłam więc ostatecznie, że nic na razie nie powiem ani jemu, ani Annie.

Miałam się z nią spotkać tego dnia po pracy u notariusza, a potem pójść na pierwsze USG ciąży. Wnuk jej biologicznego ojca-zapisodawcy miał wykonać na jej rzecz darowiznę domu w Wilanowie, realizując w ten sposób ostatnią wolę swego dziadka. Kilka dni wcześniej sprawdziłam księgę wieczystą tej nieruchomości. Nie była w żaden sposób obciążona.

Wyszłam z pracy przed szóstą i pojechałam prosto na ulicę Jana Pawła II, gdzie mieściła się kancelaria. Z daleka dostrzegłam Annę czekającą przed budynkiem. Podeszła do mojego samochodu.

- Denerwuję się. Całą noc nie spałam - powiedziała na przywitanie.

Wjechałyśmy windą na szóste piętro, usiadłyśmy w skórzanych fotelach i czekałyśmy, aż nas poproszą. Poczułam, że jestem straszliwie głodna. Nie miałam w ustach nic od *lunchu*, a jadłam po drugiej. Przypomniałam sobie zasady odżywiania w ciąży: jedzenia niewiele, ale często, najlepiej co trzy godziny. Dla dobra dziecka.

- Muszę zjechać do barku na dole i kupić sobie jakąś kanapkę; jestem strasznie głodna - powiedziałam do Anny i zanim, zdumiona, zdążyła się odezwać, ja już zniknęłam za drzwiami.

Kanapek zabrakło, ale był jogurt i banany na sztuki. Zjadłam łąpczywie i poczułam się lepiej. Po pięciu minutach byłam z powrotem, ale Anny nie zauważyłam.

- Pani już weszła do pokoju - uprzedziła moje pytanie sekretarka i wskazała drzwi, za którymi miała być Anna.

Zapukałam i weszłam do środka. Przy dużym, konferencyjnym stole siedzieli obok Anny dwaj mężczyźni. Jeden postawny, po pięćdziesiątce, z czupryną siwych włosów, a drugi? Mój puls przyspieszył.

Tym drugim mężczyzną był Mariusz.

Obaj wstali, żeby się ze mną przywitać. Zauważyłam w oczach Mariusza radosne zaciekawienie.

- Państwo się znają? - zapytał notariusz, widząc, że wymieniliśmy poufałe „cześć”.

- Studiowaliśmy na tym samym roku - wyjaśniłam.

- No tak, świat jest mały, prawda? Choć pani Anny długo nie mogliśmy znaleźć. Pan Kuncewicz użył w testamencie pani panińskiego nazwiska i to dodatkowo skomplikowało sprawę. No, ale w końcu dotarliśmy do szczęśliwego finału, tu jest akt darowizny... - odezwał się notariusz.

Byłam zdumiona tym spotkaniem. Kiedy zerknęłam na dane w akcie darowizny domu, zdałam sobie sprawę, że wnukiem, który wykonywał zapis, był Mariusz. W jednej sekundzie zrozumiałam, że dziadkiem zarówno Mariusza, jak i Adama, był jeden mężczyzna, właśnie ów zapisodawca. Życie. Tajemnicze spotkania przypadków.

Notariusz odczytał akt. Nie było w nim nic, co budziłoby moje wątpliwości. Standardowa umowa darowizny. Zauważyłam, że Mariusz mi się przygląda. Patrzył na mnie swoimi ciemnymi oczami, ale jego myśli nie mogłam odgadnąć.

- Ile chce pani odpisów aktu? - zapytał notariusz. Anna spojrzała na mnie pytająco.

- Dwa poprosimy - odpowiedziałam.

- To ja teraz poproszę panią do sekretariatu; trzeba uiścić opłatę - notariusz zwrócił się do Anny.

Wyszła za notariuszem, a my zostaliśmy sami.

- To twoja klientka czy znajoma? - zapytał.

- To... jakby powiedzieć... to jeszcze moja teściowa.

- Twoja teściowa? - zapytał i zamilkł na chwilę, jakby chciał sobie w głowie to poukładać. - Jeszcze? - uniósł brwi.

- Rozstaję się z mężem - powiedziałam szybko, bo jakoś nie chciało mi przejść przez gardło: „Mój mąż mnie zostawił” albo „Odszedł do innej”.

- Naprawdę? Ojej, przykro mi - powiedział, lecz nie zabrzmiało to szczerze. - Słuchaj, czy może... czy moglibyśmy pójść na jakąś kawę i porozmawiać? Tu niedaleko jest...

- Możemy - zgodziłam się natychmiast, przerywając mu, bo do pokoju wróciła Anna z notariuszem.

- Kwadrans po tym spotkaniu, w „Akashii” na Jana Pawła? -zapytał szybko.

Skinęłam głową.

- No, to cóż, cieszę się, że udało nam się sprawę sfinalizować - notariusz zwrócił się do Mariusza, a potem spojrzał na Annę.

- Ja jestem... powiem państwu... bardzo wzruszona... Nie wiem... chciałabym poznać pana... - tu popatrzyła na Mariusza - i pana rodzinę. Tak się dziwnie życie ułożyło... Dla mnie to był prawdziwy wstrząs, z chęcią dowiedziałabym się czegoś o moim ojcu, jeśli to możliwe. Może dałby się pan zaprosić na kolację do mnie?

- Czemu nie? - odpowiedział Mariusz i sięgnął po portfel, z którego wyjął mały kartonik. - To moja wizytówka, proszę dzwonić.

- Dobrze, na pewno zadzwonię. A pana dziadek był ojcem pana mamy, tak? Bo ma pan inne nazwisko.

- Mojej mamy. I ona też ma na imię Anna.

- Taaak? - zapytała Anna przeciągle. - Czyli... mam przyrodną siostrę. Annę...

Przypomniałam sobie matkę Mariusza i musiałam przyznać, że naprawdę były trochę do siebie podobne.

Zjeżdżałam z Anną windą i wyczuwałam jej przejęcie.

- Ten pan Mariusz to w porządku człowiek. Zobacz, uszanował ten zapis, a nie musiał przecież. Teraz ludzie są takimi materialistami.

Było mi niezręcznie, że musiałam jej sprzedać kłamstwo o konieczności szybkiego powrotu do pracy. Wiedziałam, że wolałaby zostać ze mną. A ja? Nie wiedziałam, co czułam. To się po prostu stało. Znow go spotkałam. I za chwilę miałam go spotkać w restauracji. Gdybym nie chciała, to bym się nie zgodziła. Chciałam. To wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie. Nie miałam czasu nawet się nad tym zastanowić. Nie wiedziałam, o czym będę rozmawiała, czy powiem mu o ciąży i o zdradzie Adama.

Niewiele o tym myślałam. Przeszłam długą drogę. Jedyne, czego pragnęłam, to być po prostu sobą. Niczego i nikogo już więcej nie udawać. Miałam w sobie spokój.

Restauracja była niedaleko. Szłam szybkim krokiem w swoich płaskich butach, zostawiając za sobą przeszłość. Wszystkie wysokie obcasy poszły ostatnio w odstawkę. Po kilku minutach byłam na miejscu. To był pierwszy dzień chłodnej jesieni. Poczulałam, jak zimno przeszywa mnie na wskroś i od razu pomyślałam o dziecku. Że nie mogę się przeziębnić, bo zaszkodziłabym dziecku.

Od progu uderzyło mnie ciepłe powietrze restauracji, połączone z zapachem sosu *teriyake*. Poczulałam mdłości. Jak ja wytrzymam te zapachy? Przecież *sushi* i tak nie mogę jeść. Zdjęłam trenecz i oddałam go w szatni. Mariusz siedział w rogu sali i pomachał mi z daleka. Szłam wolnym krokiem w jego stronę. Podeszłam do stolika, przy którym siedział.

Jakbym to od zawsze robiła, jakbym zmierzała w dobrą stronę.

Mariusz 2010

2. A każdy wybór zmieni twój los

Kiedy powiedziałem mojej mamie, że odnalazłem córkę dziadka i zamierzam wykonać zapis, nie odezwała się słowem. Z jej strony znaczyło to bardzo wiele, bo nie miała natury milczki. Jeśli milczała, to oznaczało, że nie jest przeciwna. Dom wciąż był wynajmowany; kilka lat temu zrobiłem w nim remont. Początkowo co jakiś czas słyszałem jej gorzkie żale, że tak bardzo została pokrzywdzona przez ojca, że ojca nigdy nie miała, że ojcowskiej miłości nie zaznała, a potem jeszcze nie dostała domu. Kiedy nie mogłem odnaleźć córki dziadka, zaczęła wygłaszać swoje dobrotliwe nadzieje na życie w tym domu, kiedyś, ze mną i może moją rodziną. Te nadzieje szybko się rozwiały, bo na horyzoncie nie dostrzegła żadnej kobiety, z którą chciałbym zbudować związek.

Pół roku temu moja mama zachorowała. Rak piersi. Odbyła się operacja. Pozwoliła wyciąć tylko guza i węzły chłonne, choć lekarz radził usunąć wszystko. To był trudny czas dla nas wszystkich, ale przede wszystkim dla niej.

Po kolejnej chemii zawiozłem ją do domu, a potem siedziałem obok; ona leżała, a herbata na stole stygła. Zawsze była energiczna, zbuntowana i bezkompromisowa, a teraz wydawała mi się mała i słaba.

- Wszystko bym oddała, żeby móc z nim choć chwilę porozmawiać, żeby znów poczuć irytację, gdy wydaje polecenia swoim nieznoszącym sprzeciwu głosem. Albo gdy tłumaczy mi oczywistości, które uważa za swoje wielkie odkrycia - powiedziała w pewnej chwili, patrząc w sufit.

Początkowo nie skojarzyłem, o kogo jej chodzi, ale po chwili domyśliłem się, że o dziadka.

- Nie sądziłam, że będzie mi kiedyś tego brakowało - kontynuowała. - Żałuję tych wszystkich lat, kiedy przy każdym na-

szym spotkaniu myślałam tylko, jakby mu dopiec. Żałuję, że nie potrafiłam pozbyć się pretensji, że zostawił mnie i moją matkę. Tak trudno wybaczać, a kiedy wreszcie jesteście na to gotowi, na wszystko jest już za późno.

- Tak - przyznałem skwapliwie, bo akurat pod tymi słowami sam mogłem się podpisać obiema rękami.

- Dlatego nie marnuj życia, bo masz je tylko jedno - dodała, odwracając głowę w moją stronę. - Nie odkładaj wszystkiego na później, bo może się nagle okazać, że jest już za późno.

- O co ci chodzi?

- O twoje życie, o rodzinę, takie rzeczy... Myślisz, że ja nie widzę, że nie chcesz się angażować? Że zmieniasz w kółko dziewczyny?

- Masz rację - powiedziałem tylko.

Kiwałem potakująco głową, bo nie chciałem roztrząsać z mamą swojego życia. Zwłaszcza teraz, kiedy potrzebowała spokoju. Ostatnimi czasy już nie zmieniałem kobiet. Moje życie wydawało mi się jałowe i bez sensu. Cóż mogłem poradzić na to, że nie znalazłem nikogo, z kim chciałbym być, że miłość życia straciłem, a kolejna nie chciała przyjść? Byłem rozczarowany sobą, a teraz poczułem, że rozczarowałem także ją. A przecież przez całe życie słyszałem: „Ucz się, ucz!”, „Bądź konsekwentny”, „Nie trać czasu na głupoty”, „Walcz o swoje”. Nikt mi nie powiedział: „Otwórz serce na miłość”. Teraz, po latach, wiem, że nie można miłości odkładać „na potem” i trzeba akceptować wszystkie wyzwania, które przynosi, bo są jej częścią. Teraz dopiero to wiem.

Milczeliśmy przez chwilę, a ona piła wodę i herbatę na przemian.

- Że to człowiek musi się tak męczyć. Jestem taka słaba...

- To minie, mamo, po poprzedniej chemii szalałaś z mopem po dwóch dniach, pamiętasz?

- Pamiętam. Uwierz mi, marzę, żeby mieć siły i umyć okna w domu. Sama. Nie chcę brać nikogo do pomocy. Albo mogłabym zrobić porządek w piwnicy - roześmiała się. - Widzisz, jak zmieniają się marzenia?

Pokiwałem głową.

- Nie chcę tego domu. Oddaj go. Skoro ojciec tak chciał... -nagle wróciła do tematu, który początkowo zbyła milczeniem. -Podniosła się i siedziała przez chwilę, a potem z powrotem się położyła. - Nie mam siły - westchnęła. - Widziałeś ją? Tę jego... - zawahała się - córkę?

- Nie. Ale wkrótce ją spotkam, bo mamy finalizować sprawę.

- Może... czy ja wiem... może ja bym się z nią spotkała? Zobaczysz, kto to jest. Może bym się z nią spotkała... Powiedz jej, że bym chciała...

Kiedy wszedłem do lokalu kancelarii notarialnej, od razu ją dostrzegłem. Na krześle pod ścianą siedziała elegancka kobieta około sześćdziesiątki, z ciemnymi, krótko ściętymi włosami. Kiedy podniosła głowę, zobaczyłem w jej twarzy oczy dziadka. W rysach też miała coś z niego, tę samą zdecydowaną linię żuchwy.

Podszedłem i przedstawiłem się.

- Ach, to pan. Bardzo mi miło - powiedziała niepewnie. Widać było, że jest zdenerwowana.

- Możemy już wejść do pana rejenta? - spojrzałem pytająco na sekretarkę, siedzącą tuż obok, za biurkiem.

- Tylko że ja jeszcze na kogoś czekam. Ja... przyszłam z prawnikiem. Ta pani zaraz wróci - Anna zwróciła się do sekretarki.

- Dobrze, powiem jej, że pani już weszła, a pan rejent w tym czasie sprawdzi pani dane - wskazała nam drzwi do gabinetu notariusza.

W środku wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości, po czym poproszono Annę o dowód osobisty. I wtedy ktoś zapukał. W drzwiach stała Maria.

Nie widzieliśmy się dziesięć lat, a teraz, w ciągu zaledwie kilku miesięcy, spotkałem ją po raz drugi. Poczułem od razu lekkie podenerwowanie. Miałem wrażenie, że i ona jest zmieszana. Przywitała się z notariuszem, a potem wyciągnęła dłoń w moją stronę.

- Państwo się znają? - zapytał notariusz, słysząc, że wymieniliśmy poufałe „cześć”.

- Studiowaliśmy na tym samym roku - wyjaśniła Maria.

- No tak, świat jest mały, prawda? Choć pani Anny długo nie mogliśmy znaleźć - zauważył notariusz. - Pan Kuncewicz użył w testamencie pani pańskiego nazwiska i to dodatkowo skomplikowało sprawę. No, ale w końcu dotarliśmy do szczęśliwego finału, tu jest akt darowizny...

Maria zaczęła przeglądać akt i po chwili dostrzegłem, że jest głęboko poruszona. Na jej czole pojawiła się podłużna zmarszczka, a na twarz wystąpił lekki rumieniec. Na pewno była zaskoczona naszym spotkaniem, ale odniosłem wrażenie, że chodzi o coś jeszcze.

Notariusz odczytał akt. Standardowa umowa darowizny. Przyglądałem się ukradkiem Marii, ale i tak dostrzegła moje spojrzenie, bo nagle zaczęła kontrolować swą mimikę. Z jej twarzy zniknęło napięcie, przybrała wyraz kontrolowanego profesjonalizmu. A jednak mnie nie mogła oszukać. Wiedziałem, że jest bardzo poruszona.

- Ile chce pani odpisów aktu? - zapytał notariusz, zwracając się do Anny.

- Jak sądzisz, Maju? - zapytała Anna.

- Dwa poprosimy - odpowiedziała Maria.

- To ja teraz poproszę panią do sekretariatu, trzeba uiścić opłatę - notariusz zwrócił się do Anny.

Wyszła za notariuszem, a my zostaliśmy sami.

- To twoja klientka czy znajoma? - zapytałem, bo dostrzegłem między nimi jakiś rodzaj zażyłości.

- To... jakby powiedzieć... to jeszcze moja teściowa - odpowiedziała z wahaniem.

- Twoja teściowa? - zdziwiłem się.

Zamilkłem na chwilę, bo chciałem poukładać sobie w głowie elementy tej życiowej układanki.

I wtedy zrozumiałem jej poruszenie.

- Co za historia... - powiedziałem tylko. - To jeszcze twoja teściowa? - położyłem nacisk na słowo „jeszcze”.

- Rozstaję się z Adamem - powiedziała szybko.

- Naprawdę? Ojej, przykro mi...

To na pewno nie zabrzmiało szczerze, bo... no cóż, muszę przyznać: tysiące razy, zwłaszcza na samym początku, wyobrażałem sobie, że Majka wyzwoli się z tego związku. Oczywiście, życzyłem jej jak najlepiej, ale w ich rozstaniu widziałem drugą szansę dla nas: dla siebie i dla niej. W głowie miałem jakiś szalony kołowrót myśli. Jedyne, czego byłem pewien, to tego, że muszę z nią porozmawiać teraz, zaraz, natychmiast; że nie mogę pozwolić jej odejść.

- Słuchaj, czy może... czy moglibyśmy pójść na jakąś kawę i porozmawiać? - zapytałem chyba nieco zbyt gorliwie, ale jakoś inaczej nie potrafiłem. - Tu niedaleko jest...

- Możemy - nie pozwoliła mi dokończyć, bo drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Anna z notariuszem.

- Kwadrans po tym spotkaniu, w „Akashii” na Jana Pawła? -zapytałem szybko.

Skinęła głową potwierdzająco.

- No to cóż, cieszę się, że udało nam się sprawę sfinalizować - notariusz zwrócił się do mnie, a potem spojrział na Annę.

Kobieta trzymała swoją torebkę obiema rękami na kolanach. Miała wypieki na twarzy.

- Ja jestem, powiem państwu, bardzo wzruszona, nie wiem... chciałabym poznać pana... - tu popatrzyła na mnie - i pana rodzinę. Tak się dziwnie życie ułożyło... dla mnie to był prawdziwy wstrząs. Z chęcią dowiedziałabym się czegoś o moim ojcu, jeśli to możliwe... Może dałby się pan zaprosić na kolację do mnie?

- Czemu nie? - odpowiedziałem i sięgnąłem po portfel, z którego wyjąłem wizytówkę. - Proszę zadzwonić.

- Dobrze, na pewno zadzwonię. A pana dziadek był ojcem pana mamy, tak? Bo ma pan inne nazwisko.

- Mojej mamy. I ona też ma na imię Anna. I też chciałaby panią poznać.

- Taaak? - zapytała przeciągle. - Czyli... mam przyrodną siostrę.

Było w niej coś ujmującego. Podświadomie obawiałem się, że spotkam jakąś nieprzyjemną postać, frustratkę w wieku emerytalnym, a tu spotkało mnie miłe zaskoczenie. W innych okolicznościach pewnie to ją zaprosiłbym na kawę, ale moje myśli orbitowały wokół Majki. Chciałem jak najprędzej z nią porozmawiać. Była dziwnie milcząca; stała tuż za Anną i wcale się nie odzywała. Zauważyłem, że schudła od naszego ostatniego spotkania, jakby zmizerniała. Jej gładko zaczesane włosy odsłaniały wysokie czoło, na którym rysowała się poprzeczna zmarszczka smutku. Miałem ochotę ją przytulić.

Wymieniliśmy jeszcze jakieś standardowe uprzejmości, a potem oficjalnie się pożegnaliśmy. Kiedy uścisnąłem na pożegnanie dłoń Majki, znacząco dodałem „do zobaczenia”. Skinęła porozumiewawczo głową.

Wcisnąłem pedał gazu, aby jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Nie chciałem, aby to ona pojawiła się pierwsza w restauracji. Czekałem na zmianę świateł, zadzwoniłem do lokalu i zrobiłem rezerwację na swoje nazwisko. Na szczęście, mieli ostatni wolny stolik. Skręciłem z Jana Pawła II w Anielewicza i rozglądałem się za miejscem do parkowania. Zazwyczaj był z tym problem. Tym razem też wszystkie miejsca były zajęte. I wtedy, jak na zawołanie, w samochodzie naprzeciw zapaliły się światła cofania i po chwili miałem miejscówkę tuż obok wejścia do restauracji. Los mi sprzyjał.

Siedziałem przy stoliku na wprost schodów i wypatrywałem Marii. Czekałem jakieś dziesięć minut, a jej wciąż nie było. Zacząłem się obawiać, czy w ogóle przyjdzie. Może nie widzi w tym sensu? Przechodzi trudne chwile, a ja jestem dla niej tylko gorzkim wspomnieniem sprzed lat? I co wtedy zrobić? Odszukam ją, to pewne. Nie mam jej telefonu, ale wiem, gdzie pracuje. Znajdę ją, to nie problem.

I wtedy się pojawiła.

Podniosłem się z krzesła, widząc, że schodzi po schodach. Szła pewnym, równym krokiem. Zaraz do mnie dojdzie. I już zostanie. Nie pozwolę jej odejść. Musnęła mój policzek na przywitanie, a ja, odwzajemniając muśnięcie, przytrzymałem jej ramiona i przyciągnąłem do siebie na chwilę dłuższą niż powinienem. Zganiłem siebie za tę poufałość. Muszę być bardziej powściągliwy, bo inaczej ją spłoszę.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziałem. Uśmiechnęła się, usiadła, rozwinęła serwetkę z materiału

i położyła ją obok nakrycia, a potem wreszcie na mnie spojrzała. Więc ona też szukała uspokojenia, zajmując dłonie czymkolwiek?

- Ja też się cieszę - rzuciła.

- Czego się napijesz? Wina? - zapytałem. Wciąż miałem w pamięci tamto ostatnie popołudnie, gdy po rozprawie wypiliśmy butelkę.

Jakby się zawahała.

- Jestem samochodem - odpowiedziała po chwili.

Przyszedł kelner, podał nam karty. Zamówiła rosół z jakimiś pierożkami. Ja poprosiłem o mały zestaw *sushi*. Czekać na herbatę, zachwalałem kuchnię tej restauracji, mówiłem coś o jakichś rankingach, stosunku ceny do jakości. Byłem zdenerwowany. Chciałem zapytać, jak się czuje, dlaczego się rozstaje z mężem, czy mamy szansę, czy możemy się spotykać, a tymczasem mówiłem te wszystkie rzeczy bez znaczenia. W końcu zamilkłem, bo przyniesiono nam herbaty. Zacząłem nalewać swoją, próbując powstrzymać drżenie dłoni. Gdzie się podziała moja pewność siebie?

- Adam miał romans, ta kobieta zaszła w ciążę i odszedł do niej - Maria wypowiedziała te słowa zupełnie beznamiętnie. To była pozorna obojętność. Powiedziała to jednym tchem, a potem spojrzała gdzieś w bok, jakby bała się mojej reakcji. Zrozumiałem, że bała się mojej oceny. Bo przecież każde rozstanie jest porażką i nie ma strony jednoznacznie winnej. Miała poczucie winy?

W mojej głowie trwała gonitwa myśli. Więc ten drań ją zdradzał; no tak, podobnie jak ja kiedyś. Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo wszystko zabrzmiałoby nedorzecznie. Zacisnąłem zęby i pokręciłem głowę z niedowierzaniem. Czym sobie na to zasłużyła ta piękna kobieta siedząca naprzeciw mnie? Dlaczego życie bywa tak skomplikowane?

- Jak to znosisz, kochana? - zapytałem tylko i miałem nadzieję, że usłyszała w tym czułość.

Uśmiechnęła się tylko blado, ale spojrzała na mnie uważnie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Jej spojrzenie

było przenikliwe. Widziałem w nim same pytania i niedowierzenie. Będę musiał ją do siebie przekonać, ale zrobię to.

- Samo życie. Już chyba nic mnie nie zaskoczy - powiedziała.

- Ja też jestem sam - powiedziałem cicho. - Niedawno skończyłem kolejny związek, który nie miał szans. Bo to nie byłaś ty... - zaśmiałem się gorzko.

- Naprawdę wciąż coś dla ciebie znaczę?

- Nie mów, że nie wiesz. Wiesz to i musiałaś to wiedzieć przez te wszystkie lata.

- Chyba wiedziałam. Tak. Wiedziałam, ale bałam się, że i tak pewnego dnia odejdziesz. A jemu ufałam... I on też odszedł. Nie dałam mu wszystkiego. Nie kochałam go, tak jak powinnam. Tylko ciebie w życiu naprawdę kochałam - schyliła głowę, a gdy ją podniosła, zobaczyłem w jej oczach łzy.

Wyciągnąłem rękę w jej stronę i nakryłem dłonią jej dłoń. Była chłodna. Odwzajemniła mój uścisk.

- Ja też. Uwierz mi, ja też... - powiedziałem, a potem dodałem: - Bardzo żałuję tego, co się stało kiedyś między nami... - zacząłem niepewnie, w obawie, że nie będzie chciała mnie słuchać. Nie protestowała. Spokojnie czekała na ciąg dalszy.

- Myślałem, że sens jest gdzie indziej. Że wolność, pieniądze, uznanie... że to jest najważniejsze. Dzisiaj mam to wszystko, ale nie mam ciebie, a wtedy... - zamilkłem, bo musiałem zebrać myśli. - Dostałem znak, ale za późno. Dziadek mi wyznał, że porzucił kiedyś kobietę, którą kochał, że bał się odpowiedzialności. I wtedy... chciałem cię błagać o przebaczenie, ale było już za późno. Już miałaś wypadek... Dalszy ciąg znasz...

Kiwała tylko głową, gdy to wszystko opowiadałem. Miałem wrażenie, że choć mnie słucha, to myślami jest gdzie indziej. Spojrzała na zegarek, ja też; minęła dziewiętnasta trzydzieści.

- Muszę już iść. O ósmej mam pierwsze USG - powiedziała.

- Jakie USG?

- Ciąży. Jestem w ciąży.

Już to kiedyś słyszałem. Z tych samych ust. Patrzyłem na nią i znów kręciłem głową; musiałem mieć dziwny wyraz twarzy. Co się dzieje? Co się wyrabia? Czy los sobie ze mnie kpi?

- Jesteś w ciąży? I on cię zostawił? - zapytałem przejęty.

- Najpierw mnie zostawił, a potem dowiedziałam się, że jestem w ciąży - wyjaśniła.

- Czy on wie?

- Nie. Jeszcze nie. Oczywiście, powiem mu... powinnam mu powiedzieć, ale na razie nie mam siły. I tak między nami wszystko skończone.

- W którym jesteś miesiącu?

- W trzecim. Długo staraliśmy się o dziecko... Nawet nie chce mi się do tego wracać. - Zamilkła na chwilę. - To stało się po naszym spotkaniu... Tylko wtedy to się mogło stać i nawet wiem, dlaczego.

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Próbowałem ogarnąć to wszystko myślami. Wiedziałem tylko, że jest w ciąży. Kiedyś też była w ciąży, lecz to ja zniknąłem. A teraz pojawia się w odpowiedniej chwili. Tak to widziałem. W jednej sekundzie zrozumiałem, że to niczego nie zmienia. To nie zmienia moich uczuć. Czasem myślałem sobie, że skoro jest mężatką, to może mieć też i dzieci. I to też niczego nie zmieniało. Wciąż jej pragnąłem. Bo drugi człowiek jest całością z jego wadami i zaletami, problemami i radościami, i dopiero akceptacja tego wszystkiego oznacza miłość. Nie chciałem więcej kalkulować.

Zdjąłem serwetkę z kolan i skinąłem na kelnera, prosząc o rachunek.

- No, to chodźmy. Już za dwadzieścia pięć ósma - powiedziałem.

- Zaparkowałam samochód pod kancelarią tego notariusza - powiedziała, gdy podałam jej płaszcz. - Czy możesz mnie podwieźć do kliniki? To niedaleko.

Czy mogę ją podwieźć? Nie wyobrażałem sobie innej opcji. Wyglądała na zmęczoną. Siedziała obok mnie w samochodzie, a mijane latarnie odbijały refleksy na jej twarzy. W ich świetle wydawała się nierealna, tak jak to nasze dzisiejsze spotkanie. Wsłuchiwaliśmy się w piosenkę, która grała w radiu.

- Uwielbiam ją - powiedziała Majka.

Goes around Justina Timberlake'a. Wszystko się kręci wokół miłości. Czyżby to miała być kolejna piosenka na naszej mapie? Miałem mętlik w głowie, ale po raz pierwszy od dawna wiedziałem, że idę w dobrym kierunku. Milczeliśmy, lecz to nie było krępujące milczenie.

Zaparkowałem na Nowolipiu, tuż obok wejścia do kliniki.

- Bardzo chciałbym tam pójść z tobą. Na to USG. Czy mogę pójść z tobą? - zapytałem, odwracając twarz w jej stronę.

- Chcesz zobaczyć moje dziecko? - zapytała.

- Chcę - powiedziałem.

W milczeniu weszliśmy do kliniki. Maria zgłosiła swoją obecność na recepcji. Kobieta za ladą odnotowała ten fakt w komputerze i wystawiła rachunek za wizytę.

- Pokój czternaście. To na końcu korytarza - wskazała nam dłonią kierunek.

Usiedliśmy obok siebie na drewnianych krzesłach przed gabinetem. Nad drzwiami świeciła lampka: „Trwa wizyta”, a w mojej głowie trwała gonitwa myśli. Nagle zaczęło mi się to wszystko wydawać dziwne i zupełnie nieprawdopodobne.

- Słuchaj... - powiedziała Maria niepewnie. - Możesz, oczywiście, tutaj poczekać na mnie.

- Chcę być tam z tobą - powiedziałem stanowczo. Skinęła głową.

- To niesamowite, że się dzisiaj spotkaliśmy, prawda? - powiedziałem po chwili.

- Niezwykłe - odpowiedziała cicho.

Nic więcej nie umiałem powiedzieć. Słowa były zbędne. Nie wiedziałem, co mnie jeszcze czeka, ale miałem wrażenie, że dzieją się ważne rzeczy.

Po chwili z gabinetu wyszli kobieta i mężczyzna. Trzymali w ręku płytę i zdjęcie USG. Kobieta miała ogromny brzuch; musiała być co najmniej w ósmym miesiącu.

Jakoś tak jednocześnie się podnieśliśmy i weszliśmy do gabinetu. Przywitała nas uśmiechnięta pani doktor. Spojrzała na nas przyjaźnie i zapisała w karcie dane Marii.

- Pierwsze dziecko i pierwsze USG. Zaraz zobaczymy, kogo my tu mamy - odezwała się z uśmiechem.

Maria położyła się na kozetce w zaciemnionym pokoju. Ja usiadłem obok monitora, tuż przy lekarce. Jakieś zamazane „coś” pojawiło się na chwilę. Jakby zarys człowieczka. Maria zamrugała szybciej powiekami. I wtedy to usłyszeliśmy. Puk puk, puk puk, puk puk. Ktoś pukał do mego serca. Serce, które biło w niej. Więc teraz serca ma dwa?

- A tak właśnie bije serce państwa dziecka - powiedziała radośnie lekarka.

Podszedłem do Mai i chwyciłem jej rękę.

- Ale to nie jest... To... On to.... - słowa ugrzęzły jej w gardle.

- Ciiicho... Nic nie mów... Słowa są niepotrzebne - mocniej uściskałem jej dłoń.

Odwzajemniła uścisk. I tak trwaliśmy, w niemym zachwycie nad cudem tego, co widzieliśmy, i nad nieprawdopodobieństwem naszych losów, które dziwnym trafem zaprowadziły nas do początku. Wszystko się zmieniło, a jednak wróciliśmy na początek drogi. Czy los sobie z nas kpił, czy wystawiał na próbę?

I tak zmierzamy naprzód, a przeszłość zagląda wciąż do nas ukradkiem i śmieje się za plecami. I co teraz powiesz? I co teraz zrobisz? Twój statek znów dopłynął do portu. Przywitał go nowy ląd. Możesz zawrócić, póki czas. Możesz zostać. Zawsze masz opcję, a każdy wybór zmieni twój los. Pozostanie tylko pytanie, jak życie potoczyłoby się w innej konstelacji.

Warszawa, wrzesień 2011 r.